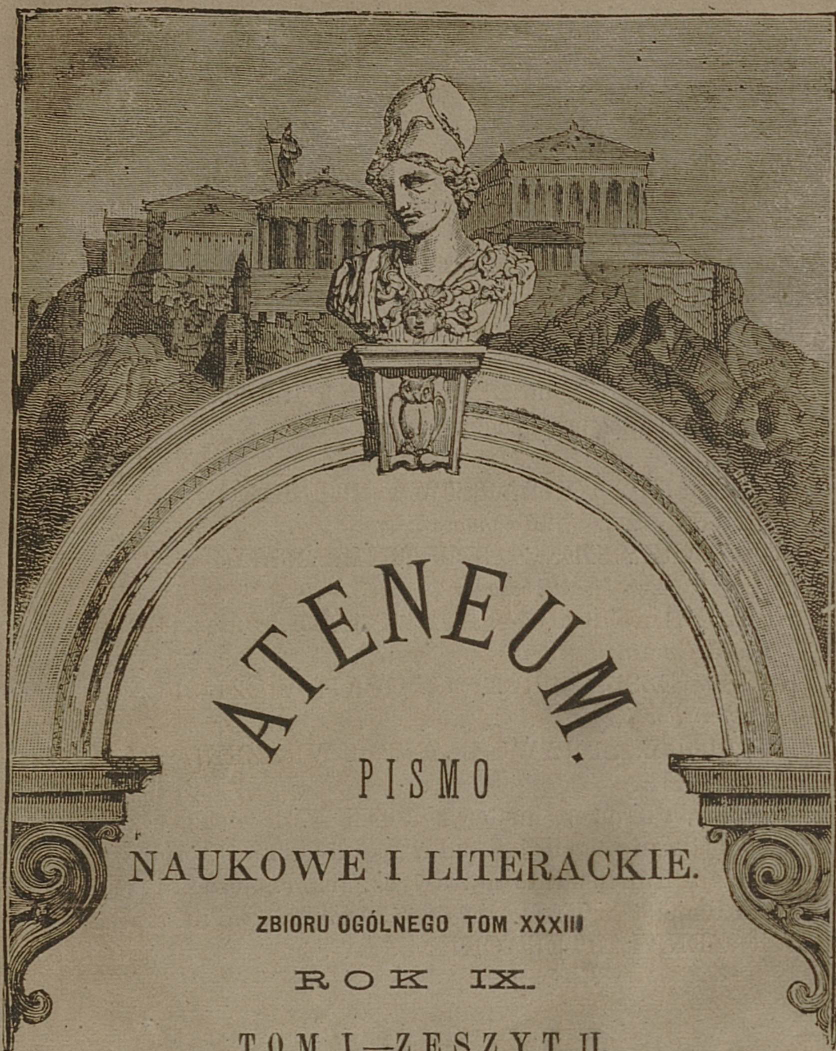


ATENEUM.

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXIII

ROK IX.

TOM I.—ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1884.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Lutego 1884 r.

WSPÓŁCZESNA RUMUNIA.

I.

Nie masz w Europie narodu, którego przeszłość byłaby tak młodą, jak przeszłość Rumunów. Narodzili się oni politycznie w oczach — że się tak wyrazimy — historyi, w epoce na pewne już historycznéj; mimo to pochodzenie ich otaczają mgły inaczéj gęste, aniżeli pochodzenie narodów innych o początkach, gubiących się w pomrokach przedhistorycznych, z których wynurzają się one z zapasem podań, legend, baśni, świadczących o życiu, o jakimś ruchu, przywiązanym do gruntu, na którym narody te historya zastała. U Rumunów pod względem tym panuje próżnia absolutna. Żadnych podań, legend, baśni; żadnych wspomnień, śladów, świadectw. Z pomroki dziejowéj wyszli, niby Minerwa z głowy Jowisza, uzbrojeni od stóp do głowy w odrębność narodową romańską, która nie wiedzieć jak na gruncie słowiańskim się wzięła.

Zamierzając pisać o najnowszych czasach Rumunii, moglibyśmy kwestyą pochodzenia Rumunów milczeniem pominąć, gdyby nie wiązała się ona ściśle z najnowszemi politycznemi ich aspiracyami — tak dalece najnowszemi, że nie zatarło się jeszcze wrażenie, jakie wywarła na gabinety przemowa (w Jassach, w miesiącu lipcu 1883) senatora Gradisteanu do króla Karola, głosząca to, co Niemcy o ojczyźnie swojéj głoszą, a mianowicie, że ojczyzna rumuńska rozciąga się wszędzie tam... *„wo die rumanische sprache klingt.“* Nie jest to rzecz dzisiejsza. Rumuńskie w kierunku tym aspiracye datują się od roku 1848, opierając się na tym fakcie, że narodowość rumuńska, na Mołdawii i na Wołoszczyźnie jednolita, wylewa się z granic dwóch tych hospodarstw dawniejszych, przeistoczonych od dnia 26 marca 1881 r. w królestwo Rumuńskie, na wsze strony Spotykamy się z nią na Bessarabii, na Węgrzech, w Siedmiogrodzie

w Serbii, w Bulgaryi, w głębi Turcyi nawet. Żywotność jéj niezaprzeczona posiada siłę ekspansywności ogromną, dzięki któréj rozszerzyła się znacznie po zagranice królestwa i natchnęła Rumunów pragnieniami, którym wyraz daje jeden z dzienników rumuńskich w sposób następny:

„Złotem Rumunów marzeniem jest założenie potężnego rumuńskiego państwa, idącego od Dniestru do Cissy i od granic Galicyi do Dunaju, któreby obejmowało Bessarabią, Bukowinę, Siedmiogród, Mołdawią z Wołoszczyzną i banat Temeski, albowiem we wszystkich tych krainach istnieje jedność rasy, języka, zwyczajów i uczuć, a zatém logika wymaga, ażeby w nich i jedność polityczna zaprowadzoną została. Oto korona, którą my królowi czyli przewodnikowi naszemu na głowę wkładamy, korona dziesięciu milionów łacinników, mieszkańców krajów, mogących karmić jeszcze milionów czterdzieści.“

Niezależnie od powiedzeń tego rodzaju, idących w świat bez stępla oficyalnego, aspiracye rumuńskie mają i wyraz oficyalny, posiadający aprobatę ministeryalną. Wyraz ten znajduje się w szkolném geografii kraju ojczystego nauczaniu. Wszystkie wyżéj wymienione krainy wchodzą w skład „*patria Romana.*“ *Patria* owa, wedle akademika A. Treb. Laureanu, dzieli się na: *Romania australe* (Wołoszczyzna) 1,350 mil kw. i 3,000,000 mieszkańców, *Romania orientale* (Mołdawia) 960 mil kw. i 1,730,000 mieszk. Daléj następują pozostające pod obcém panowaniem prowincye, oznaczone nazwami złacinionemi, zarówno jak i znajdujące się w takowych miasta znaczniejsze. P. Hunfalvy (*Die Rumanen und ihre Ansprüche*) wytyka akademikowi rumuńskiemu w przemianowywaniu tém naciągania i błędy. Naprzykład w nazwie „*Munkács*“ upatruje pisarz rumuński „*Montis castrum*“ i nazwę miasta przemienia na „*Moncastru*“; „*Szöllö*,“ oznaczające po węgiersku winogrono i winnicę, przerabia na „*Vinariu*“; „*Belényes*“ przeinacza na „*Beiușini*“ nie wiedząc, że wyraz węgierski „*béleny*“ znaczy „żubr“ i dałby się po łacinie przez podstawienie „*bos urus*“ wytłómaczyć. „*Szatmar*“ przemienia na „*Satu mare*“ (wielka wieś); „*Hermanstadt*“, mianujący się po węgiersku „*Szeben*“, od rzeczki podobnéj nazwy, mianuje „*Sabiniu*“, domyślając się, że jest to kolonia Sabińczyków. Słowem, jak Prusacy obchodzą się z polskiemi nazwami, tak Laureanu obchodzi się z węgierskiemi, przerabiając takowe bezwzględnie na rumuńskie i wcielając w ten sposób do ojczyzny rumuńskiéj 3,410 mil kwad. kraju i 5,270,000 mieszkańców“ „*Romania libera*“ (dziennik) z dnia 21 lipca 1881, powiada, że „połączenie wszystkich Rumunów samo się przez się rozumi.“

Sapienti sat. Ci co się zajmują polityką czynną znajdują się wobec aspiracyi, wypowiadanéj przez ludzi dojrzałych, pielęgnowanéj w umysłach młodzieży, popieranéj oficyalnie i odnoszonéj do podstawy bardzo realnéj: do oznaczonéj ilości mil kwadratowych i ludności, stanowiących punkt wychodni i oznaczonéj ilości mil kwadratowych i ludności, przedstawiających się pod postacią przedmiotu pożądania w teraźniejszości i jabłka niezgody w bliższéj lub dalszéj przyszłości.

Co do téj ostatniéj, to jest co do ludności rumuńskiéj, zamieszkującéj po za granicami hospodarstw, z których się w r. 1881 zrobiło królestwo, zachodzą kwestye wątpliwe, osłabiające znacznie pretensje patryotów rumuńskich. Na Węgrzech i w Siedmiogrodzie nie masz okolicy ani jednéj, zamieszkałéj przez Rumunów wyłącznie. Ludność jest pomieszana. Zaludniają oni, wedle świadectwa J. H. Schwickera (*Die Rumänenfrage*), dwadzieścia sześć komitatów, z których w jedenastu większość po ich znajduje się stronie. W jednym tylko komitacie Fogaras dochodzą do 88,7%, w komitacie Hunyad 86,5%; następnie stosunek się coraz to obniża: 76,1%, 76,0%, 75,5%, 70,5%, 65,3%, 64,1%, 60,9%, 60,4%; w komitacie Klausenburgskim 57,4%. W piętnastu innych są w mniejszości, jak naprzykład w głośno reklamowanym komitacie Marmaros, w którym leżą wzmiankowane powyżéj miasta Munkacs i Szöllö, przyanektowane przez p. A. Treb. Laureanu do Rumunii za pomocą przemianowania, 46,7% przypada na ludność rusińską, a tylko 25,1% na rumuńską. W komitacie Udvarhely zaludnienie rumuńskie spada do 2,9%. Na Bukowinie Rumuni, których się liczy 190,000, stanowią 33,43% ludności ogólnéj; na Bessarabii 48,8%.

Podstawa przeto, do któréj się aspiracye patryotów i mężów stanu rumuńskich odnoszą, a o któréj „*Dacia vietore*“ (przyszła Dacya), pismo rumuńskie w Paryżu założone, głosi w programowym artykule: „Chcemy ciosy nasze przeciwko tym zwrócić, co nad nami panują, jakiegokolwiek byliby pochodzenia, celem skruszenia jarzma, uciskającego naród rumuński“; podstawa ta nie przedstawia się nader mocno, gdy się ją z punktu zaludnienia stosunkowego rozpatruje. Przypuściwszy bowiem, iżby skruszoném zostało jarzmo, uciskające Rumunów, to z chwilą skruszenia onego téż same pretensye, z jakiemi oni obecnie występują przeciwko nim by się zwróciły. Dziś uważają się oni za uciskanych; jutro by uciskali oni. Jest w tém coś niedokładnego czy fałszywego. Ostatnia ta perspektywa zachwiewa stanowisko Rumunów w krajach, znajdujących się pod panowaniem obcém i zmusza ich szukać wzmacniania takowego—gdzie?... Gdzież, jeżeli nie na polu historyi! Ponieważ

etnografia nie dostarcza dowodów dostatecznie przekonywających, dostarczyć zatém takowych powinna... historya.

Biedna ta historya, gdy polityce na usługi idzie! Czego z nią nie wyrabiają! Jak jéj nie wyłamują, nie wykręcają, nie gwałcą! Dzieje się to i u nas. Nie obraca się jéj to jednak na niekorzyść—owszem, nastroje i widoki polityczne urabiają w ludziach namiętność, która napędza do badań, rozjaśniających horyzont wiedzy historycznéj. Prawda, że z góry nakreślony rezultat, prowadzi do wniosków i hypotez najdziwaczniejszych; ale—od czegóż krytyka!

„Dacya przez dyplomacyą na dwie rozdartą została części, z których jedna jest rumuńską, druga obcą"— powiada przytoczona powyżéj „*Dacia vietore*" z d. 1 lutego 1883—chodzi więc o to, ażeby części te ocalić, to znaczy, wskrzesić Dacyą w tych granicach, jakie zajmowała pod panowaniem rzymskiém, jako prowincya bezpośrednio cesarstwu podległa, w tych rozmiarach, jakie jéj „dyplomacya" (używamy wyrazu tego, ponieważ o dyplomacyi mowa) rzymska nadała. Działo się to pomiędzy rokiem 107 a 258, biorąc rok 107 dla tego, że w latach, które takowy poprzedziły, a mianowicie od 101 do 103 i od 105 do 107 pomiędzy państwem Rzymskiém, w którém panował Trajan, a Dakami, którym przewodził Dacebal, toczyły się wojny zacięte. Wojny te zakończyły się pokonaniem Daków i spustoszeniem ich kraju. Spustoszenie nadaje im cechę szczególną z téj racyi, że nie było ono w zwyczaju Rzymian, którzy podbite ziemie urządzali i do kwitnącego stanu przyprowadzać się starali. Z tego powodu trudno dać wiarę Eutropiuszowi (*Breviarium rerum Romanarum*), piszącemu w trzy wieki po zaszłych na gruncie dackim wypadkach i opowiadającemu o eksterminacyj, dokonanéj przez Trajana, o eksterminacyi tak dalece zupełnéj, iż kraj wyludniony zaludniać należało. W celu tym sprowadzano do Dacyi kolonistów z cesarstwa całego („*ex toto orbe Romano*", Eutrop.), spędzano ich „tłumami całemi", nie z Włoch jednak, które same w momencie owym na niedostatek zaludnienia chorowały i kolonizacyą się ratowały, lecz, jak świadczą liczne w Dacyi nadpisy (Hunfalvy), z Dalmacyi, Galli, Noryku, Panonii, zwłaszcza zaś z Azyi, Syryi, Karyi, Galacyi i Paflagonii. Napisy te świadczą oraz, że eksterminacya, jeżeli była, nie była tak doszczętna, na marmurach bowiem spotykają się nazwiska czysto dackie (*Studien zur Geschichte der traianischen Daciens* p. C. Goos), zromanizowane za pomocą zakończenia, jak np. Epicadus, lub cale nie zromanizowane, Mavida, Theimes. Ostatnie to imię wyczytane zostało na wyoraném przez wieśniaka na polach stolicy Dacebala marmurze, na którym napis, poczynający się od wyrazów „*Diis patriis*", świadczy, jako jakiś

P. Aem. Theimes pobudował świątynię dla siebie i bogów manów (Hunfalvy). Pod panowaniem rzymskiém Dacya nie cieszyła się pokojem. Namiestnicy cesarscy często orężnie poczynać musieli, tak przeciwko Dakom, którzy się buntowali, jak przeciwko Jazygom, Kwadom, Markomanom, a także Giermanom i Sarmatom, którzy posiadłości rzymskie ustawicznie niepokoili. Co do niepokojów tych, C. Goos opowiada o ciekawém jedném w Siedmiogrodzie odkryciu, tyczącém się przesiedleńców dalmackich, co się wydostawaniem złota trudnili. Przesiedleńcy ci, spłoszeni przez najezdników, uciekając, złożyli narzędzia i dokumenty w kopalniach, które zasypali, w nadziei zapewne, iż powrócą i roboty przerwane na nowo prowadzić będą. Nie powrócili jednak. Zagrzebane przez nich skarby odkryto poraz pierwszy w r. 1786 i odkrywano coraz aż do r. 1855. Znaleziono mianowicie 25 tabliczek woskowych, używanych przez Rzymian do pisania, zapisanych. Zdarzenie te świadczy o narodowości kolonistów przez Rzymian sprowadzanych, a zarazem i o położeniu takowych, nieubezpieczoném dostatecznie przez obecność legionów i władz rzymskich, stanowiących jeno wiązanie organizacyi prowincyonalnéj. Władza wojskowa stawiała zamki, budowała obozy i usiłowala, nie zawsze skutecznie, kraju od napaści bronić; władza cywilna pobierała podatki, ekzekwowała służebności, wykonywała sprawiedliwość i dozorowala porządku administracyjnego.

Pytanie: jakim ona zawiadywała obszarem? Granice Dacyi rzymskiéj z dokładnością oznaczyć się dadzą na południu tylko, gdzie opierały się o Dunaj; na północ sięgały, zdaje się, Cissy; na zachód to się posuwały, to cofały, stosownie do tego, jak się zachowywali Jazygowie; na wschód można o nich sądzić wedle odkrytych dotychczas świadectw kultury rzymskiéj, przechowywujących się na kamieniach pomnikowych, nie przekraczających granic Siedmiogrodu i biegu Ałuty. Na zewnątrz granic tych we wsi Peatroassa położonéj nad rzeczką Buzeo, w jedném tém miejscu tylko odkryto ślady *castrum romanum*; zresztą nigdzie indziéj, ani w Wielkiéj Wołoszczyźnie, ani w Mołdawii; przypuszczać przeto można i należy, iż dzisiejsze jądro Rumunii, stanowiące punkt wychodni kwestyi rumuńskiéj, nie wchodziło zgoła w skład dawniejszych posiadłości rzymskich. Znajdą się może kiedyś świadectwa, które rzecz tę przedstawią inaczéj; jak dotychczas, przedstawia się ona pod tą postacią, że jeżeli Rumuni, na podstawie panowania rzymskiego, upominają się o Siedmiogród, o północno-wschodni zakątek Węgier i o banat, w razie takim zrzec się powinni nietylko Bukowiny i Besarabii, ale Wołoszczyzny i Mołdawii. Byłoby to absurdem, gdyby kto do nich z podobném wystąpił żądaniem, pomimo że żądanie to

odpowiada ściśle wyprowadzaniu praw historycznych do Dacyi, która istniéć przestała lat temu, ni mniéj ni więcéj, tylko licząc od roku bieżącego (1883) — 1625. Wieków szesnaście i ćwierć nad kwestyą tą przeszło. Bądź-co-bądź kwestya to stara.

„Stara ale jara“— powiadają Rumuni i, wyprowadzając siebie od kolonistów rzymskich, reklamują prawa, których oni nie posiadali i nie wiedzą, jakim sposobem pochodzenie swoje wykazać.

Pochodzenie Rumunów jest to jeden z tych fenomenów etnograficznych, które przedstawiają się pod postacią zadania, rozwiązującego się nie inaczéj, jak za pomocą przypuszczeń.

Fakta historyczne niewątpliwe niemożliwém absolutnie czynią przypuszczenie, dawniéj rozpowszechnione, a puszczone w świat przez uczonych rumuńskich (Şincaï, Radulescu, Laureanu), że Rumuni dzisiejsi są potomkami w linii prostéj kolonistów rzymskich. Nie czytali oni zapewne uważnie Eutropiusza i nie znali chyba tych świadectw, jakie na kamieniach późniéj wyczytano. Od kolonistów rzymskich, którzy w sensie etnograficznym Rzymianami nie byli, pozostać mogło potomstwo wszelakie inne, tylko nie romańskie. Nadto, ciż koloniści nie ostali się w Dacyi. Napad Gotów w r. 257 wymiótł ich, wraz ze wszystkiem co było rzymskiém. Legiony pobite przeszły na prawy brzeg Dunaju. Stan ten faktyczny staje się prawnym w roku 270, kiedy cesarz Aurelyan zawarł z Gotami traktat, na mocy którego odstąpił im całkowicie Dacyą na lewym brzegu Dunaju, Dacyą starą, trajańską. Opowiadający fakt ten historycy rzymscy: Eutropiusz, Flaviusz, Vopiscus, Rufus, wyraźnie powiadają, że Aurelyan wyciągnął nietylko siłę orężną, ale i mieszkańców, i założył Dacyą nową, aureliańską, na prawym brzegu Dunaju, w Mezyi. Na prawym przeto brzegu pozostali w powtórnie opustoszonym kraju Gotowie z Dakami pomieszani, z Dakami, którzy—przypuszczać można—na Rzymian ich naprowadzili, albowiem, wedle świadectwa historyków rzymskich, namiestnictwo miało ustawicznie do czynienia z buntowniczemi niedobitkami, którzy się wiązali z barbarzyńcami. Tak — jak wiadomo — Rzymianie nazywali narody niepodległe. Buntownicy ci przeto gdzieś istnieli; pytanie— gdzie? Na pytanie to odpowiedziéć można nie inaczéj, jak sposobem przypuszczalnym, lokując ich w okolicach, w których świadectwa historyczne nie wykazują żadnego z plemion scytyjskich, fińskich, mongolskich i w których, pomimo bliskości, nie pozostały ślady kultury rzymskiéj, mianowicie zaś w Mołdawii, a może i w Bukowinie. Lasy, jakie krainy te okrywały i położenie onych górzyste, przedstawiały schronienie bezpieczne przed dosięgłością oręża wojsk regularnych, zmuszonych w tych samych warunkach topogra-

ficznych czuwać nad bezpieczeństwem w okolicach, mianujących się dziś Siedmiogrodem, Banatem i Małą Wołoszczyzną, przez którą przechodziła główna droga komunikacyjna pomiędzy Dacyą rzymską a posiadłościami, położonemi na prawym brzegu Dunaju (most Trajana, szczątki fortyfikacyi w Turnu Severinul). Bardzo więc być może, iż niedobitki dackie, nie tylko na Mołdawii i Bukowinie schronienie znajdowały, ale oraz miały ułatwienie w naprowadzaniu napastników na tych, co ich z ojczyzny wywłaszczyli. Niepokoili oni Rzymian przez lat sto trzydzieści; panowanie zaś rzymskie w Dacyi trwało lat sto pięćdziesiąt i jeden.

Ponieważ koloniści rzymscy nie byli Rzymianami, ponieważ i ci nawet nie-Rzymianie wynieśli się: przeto nie oni zostawili na gruncie zarodki narodowości, odznaczającéj się cechami romańskiemi. Hypoteza Šincajów, Radulesców i Laureanów upada sama przez się i zastąpioną być musi przez inną, polegającą na tém, że Rzymianie nie wytępili wszystkich Daków i nie wyprowadzili, w chwili najścia Gotów, wszystkich kolonistów. Ubożsi, ci co do stracenia nic nie mieli, pozostali w kraju i, wraz z pozostałością ludności dackiéj, chronili się przed najezdnikami w miejscach niedostępnych. W sposób ten Dakowie i koloniści wytwarzali amalgamat narodowościowy, i w amalgamacie tym do porozumienia się służył ten język, w którym, w momencie najścia Gotów, załatwiały się wszystkie sprawy pomiędzy różnojęzycznem zaludnieniem. Językiem tym był język urzędowy — łaciński, posiadający wyższość cywilizacyjną nad wszystkiemi innemi, tak europejskiemi jak azyjskiemi. Język ten przemógł w amalgamacie, zapanował nad gwarami niewyrobionemi i zabarwił narodowość, która się ostatecznie z pomieszania szczepów rozmaitych wytworzyła. Opinia ta, wyrzeczona przez historyka rumuńskiego, Hašdeu (*Istoria critica a Romanilor*, Bukarest 1874), o którym poniżéj będzie jeszcze mowa, znajduje bardzo poważne, uczonych niektórych niemieckich takich jak Momsen i dr. J. Jung, poparcie, znajduje się zresztą już u Gibbona, posiada bowiem pozory rozwiązania zagadki z punktu ogólnikowego. Nie rozwiązuje jéj jednak. W zbiegowisku tém różnojęzycznem, które sobie wyobrazić można, znajdowały się przypuszczalnie jednostki, mówiące po łacinie. To najmniejszéj nie podlega wątpliwości. Daleko jest atoli od przypuszczenia tego do przypuszczenia, że jednostki owe spełniły funkcyą nauczycieli języka, obcego gronom, z jakich się zbiegowiska składały, że matki, co np. do dzieci swoich przemawiały dotychczas po słowiańsku, przemawiać zaczęły po łacinie. Zdrowe na rzeczy zapatrywanie się mniemanie to obala, mimo szacunek cały jaki mieć należy dla opinii Momsena,

I. Junga i Gibbona, przeciwko której przemawiają przykłady dzisiejsze. P. J. H. Schwicker przytacza przykłady kolonii wojskowych austryackich, t. zw. „Pogranicza,“ czyli „pułków graniczarskich,“ w których urzędowym językiem jest język niemiecki, wyższy pod względem cywilizacyjnym od kroackiego i rumuńskiego. Zaprowadzenie języka tego połączoném jest z usilowaniem zaszczepienia onego w ludności. I cóż? Mimo usiłowanie całe, trwające lat trzysta z górą a wyrażające się za pomocą pomiatania językiem krajowym i faworyzowania ludzi garnących się do urzędowego, język niemiecki jak był w wieku XVI, tak do dziś dnia pozostaje obcym Kroatom i Rumunom. Trzebaby wymyślić położenie takie, w któremby przyswojenie mowy obcéj stało się koniecznością; w którém by ludność, w miejscu jedném skupiona, zmuszoną została przez jakieś do pojęcia trudne racye, do zaniechania języka własnego.

Położenie tego rodzaju wymyśla p. Hašdeu. Umieszcza on zbiegów przed gockim zalewem na Małéj Wołoszczyznie i każe krainie téj odegrywać rolę ustronia, zapewniającego przechówek bezpieczny. W ustroniu tém ludność różnojęzyczna się skupiła, nasiona mowy łacińskiéj zakiełkowały i miały czas—wieków dziesięć od wieku III do chwili pierwszego wynurzenia się Rumunów, jako Rumunów—plon wydać, pod postacią odrębnéj narodowościowéj cechy. Można by hipotezę tę, z zadaniem pewnego zdrowemu rozsądkowi gwałtu, przyjąć, gdyby nie to, że schronieniem bezpieczném żadną miarą być nie mogła miejscowość, przez którą trakt główny przechodził. To jedno—i luboć to samo już wystarcza na obalenie hipotezy, zachodzą jeszcze względy inne, które ją nieprzypuszczalną czynią. Nie ma pewności najmniejszéj, ażeby kraina ta w wiekach IV, V, VI, VII i następnych, aż do X, a może i do XI włącznie, przez Rumunów zamieszkiwaną była. W razie, gdyby ją oni zamieszkiwali, skąd-że by się wziąść mogły nazwy uroczysk, rzek i osad słowiańskie? Zkąd by nazwy łacińskie, jakie im Rzymianie ponadawali, na słowiańskie się poprzemieniały? Przykład tego ostatniego najbardziéj w oczy bijący stał się ze stolicą Decebala, Sarmizegetuzą, która, po zajęciu Dacyi przez Rzymian, pozostała stolicą Dacyi rzymskiéj i została zamianowaną „*Ulpia Trajana,*“ czyli, „*Ulpia Trajana Augusta Dacica Sarmizegetusa.*“ Po przejściu Gotów miasta, które zapewne posiadać musiało gmachy rządowe, pałace, świątynie, portyki, pomniki, ślad zaginął; na miejscu onego znajduje się dziś wioska, nosząca nazwę podwójną, późniejszą węgierską „*Varhely*“ i dawniejszą słowiańską, a oznaczającą toż samo, „*Gradisztie.*“ Zamieszkują ją Rumuni. Miano „Varhely“ jest tłómaczeniem miana słowiańskiego „Gradisztie,“ dokonaném

tak samo i z tego samego powodu, dla którego niemcy w Czechach potłómaczyli nazwy: „Kralowe dvor“ na „Königinhof,“ „Josefov“ na „Josephstadt“ itp. Czemuż Węgrzy nie mieli do tłómaczenia nazwy rumuńskiéj? Czemu Rumuni zaginąć dali nazwie łacińskiéj? Przeniosłszy się zaś do właściwéj Małéj Wołoszczyzny, spotykamy w niéj co krok nazwy osad, brzmiące zasadniczo po słowiańsku, naprzykład: Porezeu, Dragojeszti, Strojeszti, Prosteni, Właduleni, Gaje, Kosowec, Gilowa, Radowan, Czernec (naprzeciwko ruin mostu Trajana), Krajowa (stolica m. Wołoszcz.); albo nazwy rzeczek: Czerna, Isworе. W nazwach nawet dwóch rzek znaczniejszych, które M. Wołoszczyznę zraszając do Dunaju wpadają, dosłyszéć można brzmienia słowiańskiego: *Žïu* (Schyll)—czy to nie „szyja“? Aluta (Olten)—czy nie brzmi w niéj czysto słowiański przymiotnik „luty luta“? Wspomnimy mimochodem o Dębowicy, Prahowy, Miłkowie, płynących w W. Wołoszczyznie, które, nawiasowo jeno wtrącamy, mając na uwadze same tylko, wedle p. Hašdeu, gniazdo Rumunów. Gniazdo to, jak się pokazuje, za gniazdo zgoła uchodzić nie może. Przechowanie zarodka narodowości rumuńskiéj miało miejsce nie tam. Gdzie jednak?

Jest jeszcze jedno przypuszczenie, które R. Rösler, (*Romänische Studien*, Lipsk, 1871) czyni, które Jos. Lad. Pič (*Ueber die Abstammung der Rumänen*, Lipsk, 1880) analizuje, odsyłające kolebkę téj ciekawéj pod względem każdym narodowości w Bałkany Tam się ona zawiązała, tam urosła, tam po dziś dzień ona pod nazwą Kuco-Włachów czyli Cincarów przebywa i ztamtąd przesiedleńców, którzy pod postacią pasterzy, robotników i najemników wychodzili, w karpaty siedmiogrodzkie wysłała. Podróżnicy i uczeni rumuńscy, którzy usiłują koniecznie historyą swoję z kolonizacyą rzymską związać, upatrują w nich potomstwo ludności, która zamieszkiwała Dacyą aureliańską. Apostoł Margaritu opisał ich (*Kommunele Romane din Dacia Aureliana*, Bukar. 1875), najpierwszą zaś o nich, wedle Hunfalvy, wiadomość podał Thunman (w *Untersuchungen* itd.) jeszcze w r. 1774, czerpiąc takową z opowiadań pewnego uczonego, nazwiskiem Hadżi Tzechani. Oto, co ów uczony opowiadał: „Kuco-Włachy jest to naród wielki i liczny. Powinno ich być więcéj, aniżeli połowa mieszkańców Tracyi i więcéj aniżeli trzy ćwierci mieszkańców Macedonii i Tessalii. Wiele ich jest w Albanii. Mówią tym samym językiem, co bracia ich po tamtéj stronie Dunaju, tylko mocniéj z wyrazami greckiémi pomieszanym na żeden sposób nie przybyli oni z Dacyi. Są oni po większéj części nomadami; ale wielu z nich mają mieszkania stałe i większa część miast w Tracyi, Macedonii i Tessalii przez nich jest wyłącznie (?)

zaludniona.“ Podanie to Thunmana razi przesadą; bez przesady atoli powiedzieć można—cośmy na własne widzieli oczy—że w krajach, które przed kongresem berlińskim wchodziły w skład państwa Ottomańskiego, nie masz miasteczka, w którém by Cincarów nie było. Trudnią się oni mularką, ciesielką, szynkarstwem, handlem, podejmują się robót ziemnych i budowlanych i te ostatnie stanowią ich specyalność, jak ogrodnictwo jest specyalnością Bólgarów.

Owóż, z pomiędzy przypuszczeń i hipotez różnych, wydaje się być najprawdopodobniejszą ta, że kolebki rumunizmu dzisiejszego szukać należy nie w Dacyi ani w koloniach rzymskich, ale w owéj Kuco-Włachii bałkańskiéj, która powstać mogła wprost z przesiedleńców z półwyspu Apenińskiego, podległego w ciągu istnienia państwa Rzymskiego tylu zaburzeniom, tylu wstrząśnieniom, tylu pobudkom, zmuszającym mieszkańców do emigrowania. Ludność do Rzymu napływała i odpływała. Spartacus był Trakiem z pochodzenia; pod wodzą jego zebrało się 70 tysięcy niewolników, którzy zagrażali państwu zanim się pobić dali. Iluż to niewolników, bez tentowania fortuny z orężem w ręku, szukać musiało swobody w ucieczce! Historya zapisywać nie mogła tych wyswobadzań się z niewoli, odbywających się powoli, w ciągu wieków i formujących zdala od Rzymu, zdala od Konstantynopola, zdala od posiadłości patrycyuszów, od ich ogrodów i pól, od ich pałaców i więzień, stowarzyszenia zrazu, grona późniéj, które pozostawały pod osłoną gór i lasów. Do gron tych przyłączać się mogli ciurowie zbiegli od legionów, które przez półwysep Bałkański ustawicznie tam i napowrót przeciągały. Rozbitki z bojów takich, jak pod Filippami, gdzieś się także chronić musiały. W oczach naszych zbiegostwo od pańszczyzny, od służby pańskiéj i wojskowéj formować poczęło było na Dobrudżi społeczność rusińską, sadowiącą się śród Tatarów i Rumunów. Przypuszczać więc można zbiegostwo od niewoli, do znoszenia stokroć trudniejszéj aniżeli poddaństwo i wytwarzanie się w Tracyi, Macedonii, Epirze odmiany narodowościowéj, odrębnéj od Traków, Macedończyków i Epirotów a cechującéj odrębność tę językiem, nie tym wytwornym językiem jakiem Cycero przemawiał a Tacyt pisał, ale tym, którym rozmawiali pomiędzy sobą słudzy i niewolnicy.

Nie upieramy się przy hipotezie, odnoszącéj zawiązek narodowości rumuńskiéj do przyczyn społecznych, tkwiących w stosunku obywatelstwa rzymskiego do niewolników i lokującéj zawiązek ów w Bałkanach, w górach téj saméj natury, w atmosferze tego samego rodzaju, w których wyhodowała się odmiana narodowościowa, również prawie jak rumuńska zagadkowa: Albańczycy. Nie upieramy

się przy tém; zaznaczamy jeno przypuszczenia tego prawdopodobieństwo większe, aniżeli wszystkich innych, aniżeli nawet tego, które dostąpiło zaszczytu uznania ze strony historyka Francyi, Henryka Martina, a które polega na tém, że Dakowie byli to Gallowie i, jako tacy, przejęli i przechowali mowę rzymską. Według zasługującego na większą we względzie tym, aniżeli Henryk Martin, wiarę Lelewela, Dakowie byli to Słowianie. Jest to kwestya nierozstrzygnięta: pewną rzeczą jest to tylko, że po pojawieniu się Gotów nazwa Daków zaginęła. Co się ze szczątkami narodu stało—nie wiadomo: rozpłynęły się w zalewach kolejnych, jakim kraj przez ciąg sześciu wieków podlegał; wsiękały w łono Gotów, Hunnów, Gepidów, Awarów, Węgrów w końcu—wsiękły, znikły; częścią zapewne—jeżeli Dakowie Słowianami byli—ze szczepami słowiańskiemi się zmieszały na nienawiedzanych przez najazdy ziemiach dzisiejszéj Bukowiny i dzisiejszego Pokucia. Słowem, co się z nimi stało, nie wiadomo—przepadli bez wieści, jak przepadają w pułkach w czasie wojny maruderzy.

Tak samo, jak oni, zaprzepaścili się koloniści, którymi Trajan zaludnił był Dacyą.

I Dacya i Dakowie i koloniści owi znikają faktycznie w wieku IV ery chrześciańskiéj, pozostając jeno na kartach dziejów, jako wspomnienia.

Oni znikają, a wynurzają się: „Wołochy, Vlachy, Blachy, Ulachy, to jest—powiada Lelewel—włóczący się.“

„Co za znaczenie ma nazwa „Vlach“?“—zapytuje dr. P. Hunfalvy. Nazwa ta, wynaleziona przez Gotów, albo przez Słowian, ma przedewszystkiem znaczenie etniczne, to samo co „Wälschen,“ odnoszące się do ludzi szczepu romańskiego. Ztąd pochodzi, że Polacy mieszkańców Rumunii Wołochami a mieszkańców Italii Włochami, Węgrzy pierwszych „Oláh,“ drugich „Olasz“ zwą. Naciąganém nieco wydaje się nam tłómaczenie (Hunfalvy) pochodzenia téj nazwy od „Romaeos“—Rzymianin, nazwy, którą sobie nadawali wojownicy bizantyjscy pod sztandarami cesarstwa Rzymskiego na półwyspie Bałkańskiém, a na miejsce którego Słowianie, Grecy, Niemcy podstawiali nazwę „Vlach,“ odmianę nazwy „Wälsch,“ dla wyrażenia stosunku etnicznego tego ludu nowego do państwa. To tłómaczenie nie pochodzenia, ale znaczenia, znaczenia które, ponieważ Wołosi ukazali się przedewszystkiem jako pasterze, przychodzący z Bałkanów, zastosowaném zostało do pasterzy i w ogóle do nomadów—do, jak Lelewel powiada, „włóczących się.“ Etymologia porównawcza nie rozjaśnia pochodzenia. Ireczek zwraca uwagę na to, że po nowogrecku „vlach“ (*Vlachos*) znaczy „chłop“, w przeciw-

stawieniu do pasterza (*czoban*). Kwestya ta jednak, skąd się nazwa wzięła, wydaje się nam podrzędną, w obec faktu tego, że nazwa „Vlach,“ Wołoch, nadaną została włóczęgom, którzy sami się zwali „Rumunami,“ że tak pierwsza, jak druga odnosi się do pochodzenia etnicznego, wskazując na Włochy, jako na pierwotną Wołochów-Rumunów ojczyznę, którą oni dla Bałkanów opuścili.

Nazwę „Vlach“ (Βλάχοι) po raz pierwszy historya zapisuje pod rokiem 976, opowiadając o powstaniu Bólgarów przeciwko państwu Byzantyńskiemu, pod wodzą trzech braci, Dawida, Aarona, Samula. Dawid zamordowany został przez „włóczęgę Vlacha.“ Następnie, pod rokiem 1013, pojawia się nazwa miejscowości, brzmiąca po rumuńsku „Kimbalonga“ (Kimpu-lungu), przez którą cesarz Bazyli Bólgarobójca przeprowadzał armią swoję. Tenże cesarz Bazyli, urządzając w r. 1019 bólgarski kościół, wydał „chrysobulę“ (złotą bullę), na mocy któréj pod władzę arcybiskupa Ochrydskiego poddał „wszystkich w Bólgaryi całéj Vlachów.“ Było to pierwsze urzędowe odrębności narodowościowéj zaznaczenie, po którém w kronikach greckich przychodzą częste o nich wzmianki, świadczące o obecności ich w szeregach wojsk cesarskich. W szeregach swoich miał ich Konstanty IX, jakotéż Emanuel Komnen. Piszą o nich i podróżni. Benjamin z Tudeli, który w drugiéj połowie wieku XII odbywał podróż z Saragossy przez Włochy i przez Grecyą do Palestyny, spotkał się z nimi—gdzie?—w Zeitum, mieście greckiem, leżącém nad zatoką tegoż imienia, w którą, niby w pochwę, wchodzi północno zachodni cypel wyspy Eubei (Negropont). Oto co o nich podróżnik ten podaje: „Pod Zeitumem poczyna się Wołosza. Wołosi zamieszkują w górach; są szybsi w nogach aniżeli kozy, z gór schodzą i Greków plondrują. Nikt im nie może rady dać.“ Występowali z cesarzami byzantyńskimi przeciwko Bólgarów; od końca wieku XII występują z Bólgarami przeciwko cesarzom i przyczyniają się potężnie, pod wodzą Piotra, Asana i Kalojoana, do odzyskania niepodległości bólgarskiéj. Na widownię dziejową wychodzą wyraźnie, ważą już; nowa dynastya bólgarska, zarówno jak cesarze rachują się z nimi i wyróżniają ich od Bólgarów, a Nicetas Choniates nazywa ich „dawniejsi Mezowie, obecnie Vlachami zwani.“ Objaśnienie to waży jeno pod względem wyróżnienia, gdyby bowiem Wołosi byli w rzeczy saméj „dawniejszymi Mezami,“ w razie takim by ich nie wyróżniał, gdyż „dawniejsi Mezowie“ byli to Słowianie, którzy, podbici przez Bólgarów, Bólgarów nazwę za czasów Izaaka Anioła nosili; wyróżniać więc ich nie byłoby powodu. Objaśnienie przeto historyka greckiego bałamutném jest i oznacza tylko, że się Wołosi od Słowian różnili. Trzéj bracia (Piotr, Asan i Kalojoan), jakoby,

do narodowości ich należeli. Tak świadczy N. Choniates. Państwo nowe, dla którego niepodległość wywalczyli, tytułowało się zrazu „królestwem wołosko-bólgarskiem“ i „bólgarsko-wołoskiém,“ następnie przymiotnik „wołoski“ w tytule wypuściło. Bałamuctwo, które uczeni Pałauzów, Makuszew i in. bardziéj jeszcze zagmatwali, usilując takowe usunąć, występuje w spotęgowaniu w korespondencyi, pomiędzy królem bólgarskim Kalojoanem a papieżem Innocentym III. Pierwszy, n. b. jako Bólgar, reklamuje, drugi reklamującemu przyznaje pochodzenie... od Rzymian. Zdaje się, że obydwa do sądzenia w materyi téj niekompetentnymi byli i opinia ich w téj mierze mniéj jeszcze ma znaczenia, aniżeli objaśnienie N. Choniatesa, przyznające Wołochom narodowość słowiańską. Tenże sam historyk powiadamia nas, że za czasów jego Tessalia nazywała się „wielką wołoszą“; z innych zaś źródeł, których szkoda, że dr. P. Hunfalvy nie przytacza, wiadomo, że kiedyindziéj Starą Etolię i Akarnanję nazywano „Małą Wołoszą,“ południowo-wschodnią zaś część Epiru „Wyższą Wołoszą.“ Nie były to nazwy officyalne, administracyjne, używały się jednak w mowie potocznéj, co świadczyło o znacznéj liczbie Wołochów, prowincye te zamieszkujących.

Jak się zdaje, dowodów więcéj, ani dosadniejszych nie potrzeba na wykazanie, że istotném narodowości rumuńskiéj gniazdem jest półwysep Bałkański, prawy brzeg Dunaju, na którym historya wynajduje ich najpierwéj.

Wynalazek najpierwszéj wzmianki o nich na brzegu lewym świadczy o bystrości uczonych rumuńskich we względzie widzenia tego, czego istnienie niemożliwém jest. Stała się historya taka. Cesarz Bizantyński Emanuel namiestnictwo w Braniczewie i Nissie powierzył krewniakowi swemu Andronikowi, który, w zamiarze zrzucenia cesarza z tronu, zawiązał stosunki tajemne z dworem węgierskim. Stosunki te na jaw wyszły i Andronik ucieczką się ratować musiał. Uciekł daleko, aż do Małéj Azyi, do Cylicyi i schronił się w mieście Anchialos, położoném na południo-zachód do Tarsu, nad brzegiem morskim. Dotąd rzecz jest w porządku. Nicetas Choniates, który historyą tę opowiada, nie nazywa prowincyi, ale wymienia wyraźnie miasto, znajdujące się w okolicy, podmywanéj wodami morza Śródziemnego, w części onego wysuniętéj na Wschód najbardziéj. W mieście owém przyjaciele Andronika dostarczyli mu środków i przewodników do ucieczki dalszéj. Przewodnicy prowadzą go do Galicyi (*sic*)—ἐς Γαλιτζίαν wyraźnie. „Gdy on atoli granic Galicyi dosięgnął i z rąk już prześladowców uratowanym się sądził, wpadł w sieci tych co go ścigali. Wołosi, którzy o ucieczce jego uwiadomieni byli, pochwycili go i do cesarza z powrotem za-

prowadzili.“ Tu miejsce właściwe wydać okrzyk: „Gdzie Rzym gdzie Krym, gdzie bałabanowiecka karczma!“ Z położonego na wybrzeżu morza Śródziemnego, na pograniczu Mezopotamii, Anchialos człek z przewodnikami wybiera się do Galicyi, która w r. 1164, kiedy zdarzenie to miało miejsce, jeszcze się Galicyą nie mianowała. Późniéj dopiero dostaje się to miano księstwu Halickiemu, gdy roszczący do onego pretensye królowie węgierscy uczuli potrzebę złacinienia miana Halicz. Zresztą, gdyby się państwo to Galicyą już w r. 1164 nazywało, to, czyż jest rzeczą przypuszczalną, ażeby w Anchcialos znaleźli się nie już przewodnicy, ale ludzie, co by o niém słyszeli? Lecz N. Choniates napisał wyraźnie Γαλιτζία! Napisał—w jednéj literze się omylił: po λ zamiast ι być było powinno α, zamiast Galicya—Galacya, prowincya, leżąca w Małéj Azyi, oddzielona od Cilicyi ku wschodowi Kapadocyą, ku zachodwi Frygią; prowadził do niéj z Anchialos trakt bity, lecz widocznie zbieg unikać onego potrzebował i, dla dostania się do Galacyi drogami pobocznémi, przewodników szukać musiał. Przewodnicy owi sprawę wyjaśniają i omyłkę wskazują, luboć i bez tego obracanie drogi z Braniczowa, zkąd miał jeno Węgry do przejścia, do Galicyi na Anchialos mogła nie wydać się absurdem chyba tylko panu Hašdeu.

Ta przeto najpierwsza o Wołochach na lewym brzegu Dunaju wzmianka usuniętą być musi. Tyczy się ona nie Dunaju, ale dawniejszego Halys, dziś Kizit-Irmaku, nad brzegami czy też na porzeczu którego Wołosi jacyś, wędrowni zapewne, samotrzask na krewniaka cesarskiego nastawili.

Wzmianka o nich istotnie najpierwsza i istotnie do prawego brzegu Dunaju się odnosząca jest o wiele późniejsza. Królowie węgierscy w XII i XIII wiekach posiadali Siedmiogród i Małą Wołoszczyznę, w których ludność utrzymać się nie mogła z powodu, że trapioną była przez Kumanów, zajmujących Wielką Wołoszczyznę. Ludność siedmiogrodzka składała się z Szeklerów i ze sprowadzonych około r. 1185 „Flandrów,“ znanych obecnie pod nazwą Sasów. Król Andrzej II, celem zasłonienia jéj przed napaściami tych niedogodnych sąsiadów, zrobił to, co Konrad Mazowiecki: zaprosił zakon rycerski (*Cruciferis de Hospitali Sanctae Mariae*), Krzyżaków i uczynił im nadanie ziemi Borza, gdzie dziś Kronsztat. W nadaniu tém o Wołochach wzmianki nie ma. Wzmianka o nich przychodzi dopiero w następném, z r. 1222, potwierdzającém pierwsze i uzupełniającém takowe niejakiemi prerogatywami, a mianowicie: pozwoleniem pomykania podboju w krainie Kumanów aż do Dunaju i pozwoleniem spławiania soli, jako też innych towarów rzekami Maroszą i Alutą, przez kraje Szeklerów i *Wołochów*. Oto wzmianka istot-

na i najpierwsza, do której za rodzaj komentarza służy oznaczenie granic i potwierdzenie nadania przez papieża Honoriusza III. W potwierdzeniu nazwa „Blachy“ „Valachi,“ zmieniona jest na nazwę „Brodniki,“ to znaczy, „włóczęgi,“ ludność przenosząca się z miejsca na miejsce. Przyjęcie zmiany téj przez króla, wprowadzonéj do dokumentu nie przez kogo innego, jak przez krzyżaków, oznacza, że była ona jednoznacznikiem, pozostającym w użyciu powszechném, nadanym przez ludność osiadłą ludności napływającéj. Papież nie rozumiał znaczenia wyrazu; może i krzyżacy nie rozumieli, a na pewne nie wiedzieli, że jest on słowiańskim. Dla czegóż nazwa ta jednoznacznikowa, którą za przezwisko urągliwe uważać można, brzmiała po słowiańsku, nie zaś po węgiersku ani po niemiecku? Dla tego—oczywiście—że ludność podkładowa, gruntowa, słowiańską być musiała i przezwisko, które z ust jéj wypłynęło, przyjęte przez Szeklerów i Sasów, przeszło do Krzyżaków, którzy popasali nie długo, albowiem we dwa lata późniéj, 1224, Andrzej II, mędrszy aniżeli nasi Piastowie, zrażony postawą, jaką rycerze krzyżowi przybrali, nie zważając na proźby i instancye najusilniejsze, ani na pogróżki ojca świętego, nadania wszystkie im odebrał i z kraju wypędził.

Od momentu tego nazwa „Wołochy,“ jako téż odmiana onéj wedle węgierskiego wymawiania „Olahy,“ przychodzi coraz to częściéj w dokumentach officyalnych. Zbytecznėm by było przytaczanie takowych. Nie można jednak milczeniem pominąć dwóch faktów, rzucających światło na kwestyą, która, z czasów owych odległych wprowadzona do polityki bieżącéj, stanowi w rękach Rumunów oręż zaczepny.

Fakt jeden tyczy się znów rycerzy zakonnych, ale nie Krzyżaków, lecz szpitalników ś-go Jana, Johanitów, którzy, za pośrednictwem mistrza swego, Rembalda, ofiarowali się królowi Beli IV bronić i zaludnić krainę, odwiedzoną po raz pierwszy przez Tatarów i spustoszoną przez nowych tych napastników. Król z baronami i dostojnikami państwa naradzał się nad ofiarą i przyjął, r. 1247, układ, na mocy którego odstępował rycerzom kraj po Alutę (dzisiejsza Mała Wołoszczyzna), pod warunkiem dzielenia się z nim półna-pół dochodami, jako téż całą Kumanią (dzis. Wielka Wołoszczyzna), pod tym warunkiem, że rycerze przez ciąg lat dwudziestu pięciu będą z niéj pobierali dochody całkowicie, a po upływie czasu tego dzielili się takowemi po połowie z koroną węgierską. Nie to jednak w kwestyi wołoskiéj stanowi wagę dokumentu, ale zastrzeżenia. Król zastrzega nienaruszalność praw swoich, praw biskupich i arcybiskupich, jako téż praw dwóch „kenezatów wołoskich“ i je-

dnego „województwa wołoskiego,“ położonych w dzisiejszéj Małéj Wołoszczyźnie. Powodu zastrzeżenia ostatniego szukać nie sposób w czém innem, jak w potrzebie wabienia ludności do opustoszałéj krainy. Zwraca się ono do ludności, która, ruchoma będąc, wabić się dawała i któréj dla tejże saméj przyczyny do gruntu przywiązać inaczéj nie było można, jak za pomocą prerogatyw wyjątkowych. Zauważymy przytém dwa wyrazy: „kenezat“, od „knez“ (wójt) i „wojewoda“ — obydwa słowiańskie. Odnosiły się one do Wołochów osiadłych już, zorganizowanych w gminy, mających nawet wojewodę, to jest przewodnika w czasie wojny — i zorganizowanych na wzór i na podobieństwo słowiańskie z prawego brzegu Dunaju przyniesione. Czyż zachowania organizacyi téj z nazwami przez władzę węgierską uważać nie należy jako prerogatywy dla przesiedleńców?

Przesiedleńczość wykazuje się wyraźniéj jeszcze w innym fakcie—w fakcie religijnym. Ludność Siedmiogrodu należała do wyznania rzymsko-katolickiego, ludność zaś rumuńska była wyznania wschodniego, księży dostawała z Bulgaryi i księża liturgią odprawiali w języku słowiańskim. Jak się to stać mogło? Stać się to nie mogło inaczéj jak w ten sposób, że w momencie wprowadzenia chrześcijaństwa w Węgrzech (972—997) Wołosi nie byli obecni na gruncie. Gdyby bowiem obecnymi byli, gdyby byli — jak autorowie rumuńscy uparcie utrzymują—autochtonami w Siedmiogrodzie, toć prędzéj oni, jak wszystkie inne narodowości, byliby się dla języka samego do kościoła rzymskiego przygarnęli. Liturgia w języku łacińskim dla nich przystępniejszą była, aniżeli dla Jazygów, Madiarów, Słowian, dla Kumanów zresztą. Wszyscy ci w obrębie państwa Węgierskiego wyznanie zachodnie przyjęli, z wyjątkiem Wołochów, którzy sami jedni w brzmieniu języka liturgicznego brzmienie mowy własnéj znajdowali. Zamiast tego, woleli język obcy i trzymanie się obrządków kościoła wschodniego. Zwróciło to na siebie uwagę papieży, którzy ustanawiając, celem nawracania Kumanów, diecezyą Miłkowińską, przemianowaną następnie na Kumańską, dostawali raporta o stanie kraju pod względem religijnym. „Słyszymy—pisze Grzegorz IX pod r. 1234—że w biskupstwie Kumańskiém znajdują się ludzie, co się Vlachami zwą i wedle imion chrzestnych chrześcijanami są, ale trzymają się zwyczajów osobliwych, chrześcijaństwu przeciwnych. Gardzą oni kościołem rzymskim i nie przyjmują sakramentów z rąk biskupów kumańskich, lecz wyszukują biskupów greckich, a oraz uwodzą Węgrów, Niemców i innych prawowiernych, co śród nich mieszkają, do czynienia tegoż samego.“ Dziwném by to zaiste było, gdyby nie było niemo-

żliwém, ażeby Włosi w Siedmiogrodzie i w Kumanii, gdzie panował obrządek łaciński, przyjęli grecki. Obrządek przyjęli oni w Bulgaryi od Bulgarów i wraz z nim do użytku kościelnego język, w którym Cyryl i Metodiusz przetłómaczyli księgi święte. Z tém się przesiedlali, równie jak z organizacyą, nacechowaną słowiańskiemi nazwami urzędów, tak gminnych (knez), jako też wojennych (wojewoda). Gdyby autochtonami byli, ani jedno, ani drugie miejsca by mieć nie mogło.

Ku końcowi pierwszéj połowy wieku XIII obecność ich zaznacza się już w Kumanii, krainie rozciągającéj się na południowéj pochyłości Karpat siedmiogrodzkich, wzdłuż Dunaju, od Aluty do rzeczki Milków. Kraina ta, która ani do Dacyi niepodległéj, ani do Dacyi rzymskiéj nigdy nie należała, w momencie owym, to jest w pierwszéj połowie wieku XIII, zamieszkaną była przez nawracanych na chrześcijaństwo Kumanów i Kumanią się nazywała. Kumanowie nawróceni, przepłoszeni przez Tatarów, opuścili ją niebawem, przenosząc się za dozwoleniem korony do Węgier i osiedlając obok Jazygów. Przestrzeń pomiędzy Alutą a Miłkowem do zajęcia pozostała.

Z chwilą przesiedlenia się Kumanów zawiązuje się właściwe Rumunii dzisiejszéj bytowanie polityczne — zaczyna się historya jéj, na którą, ze względu na wpływ onéj na dążenia polityczne najnowsze, pogląd ogólny uczynić musimy. Zanim atoli do takowego przystąpimy, wyczerpać pierwéj należy kwestyą pochodzenia, stanowiącą konika, na którym harcuje dla narodowości ościennych bezwzględny, młody patryotyzm rumuński. Sięga on po wszystko, co mu się do zaokrąglenia *patriae romanae* potrzebném wydaje. „Ta mała prowincya — pisze p. Hašdeu o Pokuciu, w ks. p. t. *Jonu-Voda cellu cumplitu*, wydanéj w Bukareszcie 1863 r.—leżąca na północ od Mołdawii pomiędzy Prutem a Dniestrem, stanowiła w starożytności część Dacyi trajańskiéj, jak tego dowodzi nie tylko położenie jéj geograficzne, ale oraz nazwy dwóch miast, Kołomyja, to jest „*Colonia romana*“ i Sniatyn, w starożytności „*Netin-dava.*“ A zatém, jako potomkowie Rzymian, Mołdowani mają do Pokucia prawo tradycyonalne.“

Wyznawcy ci tradycyi nie zdaje się ażeby o dziejach własnych jasne mieli wyobrażenie. Są oni przypuszczalnie potomkami Rzymian, nie tych atoli, których być chcą. Przodkowie ich przed drugą połową wieku XIII nie władali niczém, tém zaś mniéj Pokuciem, do którego nie dosięgały posiadłości dawnego państwa Rzymskiego. Przytoczone powyżéj świadectwa historyczne wykazują w Bałkanach kolebkę ich narodowościową. Wykaz ten byłby nie zupełnym,

gdyby nie było sposobu na sprawdzenie onego — gdyby świadectw historycznych nie wspierały świadectwa językowe.

Język stanowi niejako zwierciadło, w którém się odbija fizyonomia narodowości.

Zobaczmyż jak na zwierciedle tém przedstawia się fizyonomia narodowości rumuńskiéj.

Uczeni rumuńscy powołując się na bardzo poważne świadectwo R. Röslera (*Romänische Studien*, Lipsk 1871), z dumą niejaką powiadają, że w języku ich nie masz śladu najmniejszego wpływu języka gockiego. Brak wpływu tego zaznaczamy na późniéj, gdy wykażemy wpływy, które ślady pozostawiły.

Że podkład językowy jest łaciński, to kwestyi nie ulega najmniejszéj. Podkład ten atoli przeniósł się na grunt obcy i postawił w warunkach, od których rozwój językowy zależał o tyle, o ile się to przedewszystkiem tyczyło materyału słownikowego, powiększającego się i dopełniającego, jak wiadomo, w miarę rozwoju życiowego. Owóż, język rumuński pod względem tym rozpatrywany, tę przedstawia osobliwość, że wyrazy odnoszące się do najpierwszych potrzeb życiowych, są jeżeli nie wszystkie, to prawie wszystkie pochodzenia łacińskiego, te zaś, które do kategoryi dopełnienia słownikowego się odnoszą, zapożyczone są — u kogo? — u Greków i u Albańczyków.

Żeby twierdzenie to gołosłowném nie pozostawało, wspieramy je przykładami: chleb po rumuńsku *pûne*, po łacinie *panis*; mąka—*farina—farina*; ogień—*foku—focus*; woda—*apa—aqua*; igła—*aku—acus*; wół—*bou—bos*; węgiel—*karbune—carbo-nis*; dym—*fumu—fumus*; ząb—*dinte—dens-ntis*; oko—*okiu—oculus*; mleko—*lapte—lac-ctis*; trawa—*jarba—herba*; kamień—*piatra—petra*; człowiek—*omu—homo*; kobieta—*mujere—mulier*; język—*limba—lingua*; drzewo—*lemnu—lignum*; czynię—*faku—facio*; mówię—*ziku—dico*; milczeć—*taczere—tacere*; łamię—*frangu—frango*; który—*kare—qualis* etc. etc.—wszystkie przytém liczebniki do dziesięciu.

Kościół—*biserika*; nauczyciel—*daskalu*; pisarz—*logofet*; diabeł—*draku*; droga—*drumu*; pustynia—*ermu*; obraz *ikoana*; brak, niedostatek—*lipsa*; jablko—*meru*; kara—*pedepsu* i t. d.; wedle świadectwa Cihaca, język rumuński liczy więcéj aniżeli 740 wyrazów greckich.

Wyrazy albańskie wymienimy następujące: para—*abur*; sosna—*brad*; żaba—*broaska*; przyjemny, szczęśliwy—*bukur*, *bucuros*; warga—*buza*; las—*kodru*; tęcza—*kukurbeu*; kamień do ostrzenia—*greše*; strumień—*pareu*; wieś—*sat*; ślad—*urma*; hardość—*mendre* i t. p.

Nie dosyć na tém. Spadkowanie rzeczowników, które w języku lacińskim odbywa się za pomocą odmian końcówki, a w ję-

zyku włoskim za pomocą odmian przedimka przed rzeczownikiem, w języku rumuńskim idzie na sposób albański, zaimek odmienia się po rzeczowniku, dla oznaczenia tak spadków, jak liczb, np. *bou-l* (wół), *bou-lui* (wołu), *bou-lui* (wołowi), *boi-le* (woły), *boi-lor* (wołów). Podobnież rzeczowniki odmieniają i Bulgarowie po nowobulgarsku. I w konjugacyach, mianowicie w formowaniu czasów przyszłych, Rumunom za wzór służyła forma albańska.

Dodać tu jeszcze należy formowanie imion liczbowych po dziesięciu: jedenaście—*un-spre-zeczi*, dwanaście—*doi-spre-zeczi*, trzynaście — *tri-spre-zeczi* i t. d., to znaczy: jeden wyżéj dziesięciu, dwa wyżéj dziesięciu, trzy wyżéj dziesięciu i t. d. W sposób ten sam Albańczycy imiona liczbowe, następujące po dziesięciu, formują: *vje-mbe-djete*, *du-mbe-djete*, *tre-mbe-djete* i t. d.

Jakże Rumuni zapas ten greckich i albańskich wyrazów nabrali?—skąd do albańskich form przyszli?

Ażeby to na lewym brzegu Dunaju, na gruncie siedmiogrodzkim stać się mogło, przypuścić by należało oddziaływanie na język rumuński wpływów grecko-albańskich nie inaczéj, jak przez osobliwą jakąś, a pojąć się żadną miarą nie dającą, elewacyą. Przerzucaniu takiemu zdaleka wyrazów i form gramatycznych podlegają niekiedy języki, ale języki piśmienne, posiadające i uprawiające literaturę, która potrzebuje zasiłku z zewnątrz, nigdy zaś języki ludowe, które nie wciągają w siebie żywiołów obcych inaczéj, jak na drodze zetknięcia się bezpośredniego ludności z ludnością. A język rumuński piśmiennictwa nie posiadał do czasów ostatnich, do—sięgając w przeszłość jego literacką jaknajdaléj — połowy wieku zeszłego, kiedy lud mówił po rumuńsku od wieków, nie uczuwając jeszcze zgoła potrzeby przelewania mowy swojéj na papier. Mówił tak samo jak dziś, temi samemi wyrazami łacińsko-grecko-albano-węgro-słowiano- i t. d. rumuńskiemi, temi samemi zwrotami, urobionemi wskutek ocierania mowy jednéj o drugą.

Napływ językowy słowiański nastąpił w sposób naturalny i byłby nastąpił w takim nawet razie, gdyby Rumuni w rzeczy saméj mieli gniazda swoje w Siedmiogrodzie. W otoczeniu świata słowiańskiego byliby musieli mowę łacińską zmodyfikować. Otoczenia tego nie brakło im w Bałkanach, gdzie na modyfikacyą nie wpłynąć nie mógł język, który w kościele panował— i luboć dla nazwania kościoła zapomnieli wyrazu łacińskiego a przyjęli nie słowiański „crkwa“, ale grecki „biserika,“ zawsze jednak oddziaływanie w kościele pomagało oddziaływaniu otoczenia. Moglibyśmy z pamięci przytoczyć dość wyrazów słowiańskich, które w mowie rumuńskiéj prawo obywatelstwa uzyskały. Zamiast tego jednak,

odwołamy się do opinii uczonych, co się przedmiotem tym specyalnie zajmowali. A. de Cihac w przedmowie do pracy swojéj „*Dictionaire d'étymologie daco-romane*“ (Frankfurt 1879) powiada, że „element słowiański w dzisiejszym ludowym języku rumuńskim obejmuje około dwie piątych całego słownikowego materyału, podczas gdy na właściwie rumuński przypada jedna piąta tylko.“ Reszta materyału, zdaniem tegoż uczonego, dzieli się pomiędzy języki: madiarski, turecki, nowogrecki, albański etc. Fr. Miklosicz (*Die slavischen Elemente in Rumänischen*, Wiedeń 1862) tego jest zdania, że w języku rumuńskim pierwiastki słowiańskie należą do języka starosłowiańskiego, czyli starobulgarskiego, słowem do języka ksiąg cerkiewnych—co wskazuje, że się język rumuński tam kształtował, gdzie Bulgarzy na kształtowanie się onego wpływać mogli.

Gdyby język rumuński, w jakiéj małéj bodaj mierze nasiąkł był pierwiastkami gockiemi, mogłoby to do pewnego stopnia posłużyć za dowód, że Rumuni pochodzą od Daków, którzy się o Gotów ocierali i śród Gotów utonęli; gdyby nie nasiąkł pierwiastkami greckiemi, albańskiemi i bulgarskiemi, byłoby to świadectwem, że nie w Bałkanach, ale — jak chce profesor Trib. Laureanu, prof. Hašdeu i in. — narodowość rumuńska urodziła się i rozwinęła na lewym brzegu Dunaju. Ponieważ atoli pierwszego niema, a drugie jest, ponieważ fakt lingwistyczny jest sprawdzianem dla faktów historycznych, a zatém jak uczeni rumuńscy nie mają racyi upierać się przy zapośpiesznie trochę wyrzeczonych hypotezach, tak patryoci i politycy nie mają prawa odwoływać się do praw, które są więcéj aniżeli wątpliwe. Rumuni są w Siedmiogrodzie przybyszami—dosyć nawet późnymi; na wołoszczyźnie i Mołdawii późniejszymi jeszcze. Rozrodzili się—dowodzi to żywotności ich cielesnéj; wyrobili dla siebie bytowanie polityczne—przyczyniły się do tego w części znacznéj okoliczności, bez których państwa ani powstają, ani upadają, a na które uczynimy pogląd ogólny, zastosowany ściśle do założenia, jakieśmy sobie w pracy niniejszéj zakreślili.

T. T. Jeż.

DOLA.

NOWELLA.

I.

Pierwsze brzaski dnia oktawy Bożego ciała oróżowiły jutrzenką ciemne chmury na wschodzie. W ślad za nią słońce rzuciło snop jasnych promieni, radując serca ludzkie i zgasło. Ciemne chmury gromadząc się w zbite kolumny popychane wiatrem szły do szturmu. Błyskawice przelatywały wśród szeregów,—głuche, przytłumione grzmoty zapowiadały walkę. Słońce starało się przedrzéć z po za ciemnéj zasłony, lecz zwyciężone utonęło w nawale, lecącéj szalonym pędem.

Serca ludzkie posmutniały, w oczach wiejskich dziewcząt świeciły łzy. Białe spódniczki, koszule z wielkiemi haftowanemi kołnierzami prasowane całą noc, zawieszone na strychach, kołysały się od podmuchu wpadającego w szczeliny wiatru. Kwiatki zerwane na wieńce drzemały w cebrzykach, wstążki i gorsety wróciły do skrzyń. Ciężkie westchnienia przerywają ciszę w chatach. Wczoraj tak jasno, złoto i różowo zachodziło słońce, nocą gwiazdy świeciły... Dziś wiatr jęczy pędząc ciemne chmury, dym rozciąga się po drogach, ptaki zamilkły, bydło ucieka z pastwiska, a ludzie leniwo, z pochylonemi smutno głowami, powoli,—oglądając się po za siebie wracają z pola.

Przycichło,—deszcz ciepły, kroplisty, zaczął padać uderzając miarowo o strzechy chat. Słychać go było jak bił o twardą ziemię drogi. Zagrzmiało i piorun daleko uderzył. Deszcz zgęstniał przyśpieszając uderzenia i zdawało się, że cienkie strugi leciały z nieba. Gorąco było i parno, mgła zasłoniła pola, głuche jęki grzmotów oddalały się, chmury bielały,—słońce promienie swe powoli, ciekawie wysyłało na zwiady, chociaż jeszcze deszcz padał. Wiatr się zerwał z południa, przerzedzone chmury ustępowały. Słońce wydoby-

wając się z po za srebrnéj mgły, niespodzianie roztoczyło swe blaski. Przeglądało się w kroplach deszczu, zawieszonych na liściach drzew, w zielonych kłosach zbóż i płynącéj strugami wodzie. Świergot ptactwa wypełnił powietrze, ryk bydła biegnącego na pastwisko, rozlegał się po błoniu.

Rozradowały się serca ludzkie, dziewczęta z rozkoszą spoglądały w jasny błękit nieba. Oczy ich świeciły radością, z uśmiechniętych, różowych ust ukazywały się szeregi białych zębów. Prasowane noc całą spódniczki i koszule z haftowanemi kołnierzami zniesiono ze strychów. Wieńce z bławatów, niezapominajek i polnych róż wiły się szybko, gorączkowo, aż palce mdlały. Lusterka poustawiano na stołach, włosy splatano w warkocze upinając je wstążkami. Gorsety już nie leżały w skrzyniach,—wznosząc się na falujących radością i niepokojem piersiach,

— Żeby ino Najświętsza Panienka dozwoliła pogody. To było jedyne życzenie dzisiejszego dnia.

Gospodynie przeglądały z powagą i godnością swe chustki. Jedne z nich wełniane w pasy, lub kwiaty, miały okrywać ich ramiona—drugie mniejsze, białe, haftowane na rogach przeznaczone były do ubrania głowy.

Nie zabawiano się długo przy obiedzie. Dziewczęta nic nie jadły. Gdzie im tam myśléć o jedzeniu,—radość je karmiła, niepokój i—wzruszenia serca, zaspakajały głód.

Wystrzał z moździerza zadzwonił na szybach jęknął w powietrzu, chłopcy na dzwonnicy zaczęli bić w kotły. Na drodze do kościoła najprzód ukazały się wystrojone gospodynie, za niemi w białych płótniankach powoli szli gospodarze. Na gościńcu zrobiło się ludno i gwarno.

Parami w białych, prasowanych spódniczkach, z wieńcami na głowach, z wstążkami u warkoczy, w wyciętych gorsetach i haftowanych kołnierzach przechodziły dziewczęta, zarumienione, nieśmiałe, uroczyste i dumne.

Kto żył na wsi wybiegł przed chatę, lub wyglądał przez okno. Dziwiono się głośno, zazdroszczono w duchu. Dzieci pogoniły naprzód zwołując ludzi.

Wygonem w stronę usypanego wałku od krętego strumyka, chuda dziewczynina prowadziła na powrozie uwiązane dwie krowy i jałówkę. Śpieszyła się, bo choć krowy szły raźno, poganiała je, wstrząsała powrozem i chudą rękę podnosiła w górę strasząc, lub prosząc je głośno.

Nareszcie we czworo dopadli do odarnionego wałku, krowy rzuciły się chciwie na macierzankę i żółte mlecze, Jagusia trzymając

w ręku powróz usiadła. Spódniczkę miała krótką, zaledwo sięgającą po za kolana, wyrosła z niéj,—gorsecik nie dopinał się, chusteczka na głowie spłowiała od słońca i deszczu. Niebieskie duże jéj oczy patrzały łagodnie na płynące cicho wody strumyka,—usta wązkie i małe poruszały się. Szeptała.

— Gdybyś ty latocha nie leciała w pański owies i nie prowadziła drugie na pokuszenie, wydołałabym może uzbierać... odezwała się głośno zwracając się do czarnéj z białemi łatami krowy.

Latocha rwąc z chciwością krwawnik z macierzanką nie zwracała uwagi na prośby dziewczynki.

— Nie polecisz?

Latocha podniosła łeb, spojrzała rozumnemi oczami w stronę owsa i w dalszym ciągu skubała trawę.

— Pamiętajże, zawołała Jagusia,—wyjęła białą chusteczkę z zanadrza, rozłożyła ją na murawie i rwać zaczęła sierotki, rumianek i żółte mlecze.

Nad wodami strumyka rosły niezapominajki, patrząc modremi ślepkami na dziewczynę.

— Latocha bój się Boga nie lećże w owies zawołała, zsuwając się z urwistego brzegu do wody. I choć woda po deszczu była zimna i głęboka nie cofnęła się.

— Moje kwiateczki nie bójcie się, mówiła—nie rwę ja was la siebie na uciechę. I po cóżbym was rwać miała. Pójdziecie wy przed samą Najświętszą panienkę. A proście tam za Matusią i za mną biedną sierotą.

Latocha tymczasem porozumiała się z towarzyszkami. Powoli, nieznacznie podprowadziła je wałkiem pod rosnące zboże. I gdy dziewczyna zakryta wyniosłym brzegiem rwała kwiatki,—rzuciła się na zdobycz.

Tentent przeraził dziewczynkę—wydobyła się z urwistego brzegu i całą siłą młodych nóg, puściła się w pogoń, pochwyciła wlokący się za Latochą sznur i wyprowadziła z owsa szkodników.

Na wałku obejrzała się pełna niepokoju i złowrogich przeczuć. Szczęściem dla niéj nikogo nie było na całéj przestrzeni od drzew dworskiego ogrodu, zbitych w zieloną masę, chat rozrzuconych w półkole, aż do krzaków olszy i owałowanego strumyka. Na wielkiém błoniu daleko, bawiły się dzieci,—ledwo ich dojrzéć było można.

— Ej Latocha, Latocha co ja się już za ciebie nacierpiała. Nie pamiętasz to jak mnie zbili polowy, a stryjna dołożyła. Sińce ci mam po całém ciele.

I tyle było skarg i wyrzutów. Pociągnęla Latochę i jéj towarzyszki pod stromy brzeg strumyka, pozbierała rozrzucone kwiatki i schowała je do białéj chusteczki. Trzymając w jedném ręku sznur przywiązany do rogów krowy w drugiem chusteczkę zwróciła się w stronę kościołka, którego czerwona wieżyczka wyglądając z po za lip i topoli rosnących na cmętarzu kąpała się w błękitach.

Wytężyła wzrok, wyobraźnia jéj pracowała. Widziała tłumy ludu, ołtarze ubrane w zieleń, dywany i lustra, dziewczęta niosące obrazy, księdza pod baldachimem, śpiewy—światło... Widocznie musiała czekać znaku, bo wzroku nie odrywała, chwytając słuchem najlżejsze szmery w powietrzu, brzęczenia pszczół i dźwięki konika polnego.

Odgłos dzwonów rozlał się w przestrzeni. Serce Jagusi uderzyło gwałtownie, ściągnęła mocno trzymany w ręku powróz i nie zwracając uwagi, że Latocha i jéj towarzyszki rozjadły się w najlepsze, pociągnęła je za sobą zmuszając do odwrotu urwaną gałęzią olszyny.

Biegły we czworo przez zielony wygon i szeroki gościniec, wpadając zdyszane przez wąskie drzwi, do obórki.

Jagusia zamknęła je na skobel, obtarła zapaską spoconą twarz, zawiązała chusteczkę na głowę i zajrzała do uzbieranych kwiatów.

Dzwony i strzały z mozdzierzy odurzyły ją. Ściskając w ręku chusteczkę biegła i chociaż strach łapał ją za nogi i zatrzymywał, serce biło z radości popychając naprzód.

— I cóż że jestem bosa i obdarta, to i tak mnie Świeta Panienka zobaczy. I cóż że mnie stryjna zbiją—to może prędzéj Święta Panienka zlituje się nademną. Mało to mnie nabili z dobra-woli? Może i lepiéj że teraz zbiją za Świętą Panienkę. Nie śmiała głośno myśléć, lecz na dnie jéj serca drzemała nadzieja, zgłuszona strzałami mozdzierzy.

Po kamiennych schodach dostała się na cmętarz. Śpiewy ludu przybranego świątecznie,—muzyka, światła, ołtarze, chorągwie, dziewczęta w wieńcach niosące obrazy, po nad tém baldachim czerwony trzymany przez starszyznę, proboszcz w złotéj kapie rozradowały Jagusię. Oparta o topolę patrzała zdziwionemi oczami na ten uroczysty pochód. Chłopcy w białych komżach i czerwonych pelerynach dzwoniąc trzymanemi dzwoneczkami oprzytomnili ją. Tuż za chłopcami zobaczyła córkę organisty, wójtównę i kowalczankę sypiące kwiaty pod stopy księdzu. Zarumieniła się ze wzruszenia, przecisnęła przez szeregi braci różańcowych idących z zapalonemi świecami, drżącą ręką wydobywała kwiatki z chusteczki i zaczęła je sypać.

Wójtówna zmarszczyła brwi, kowalczanka się od niéj odwróciła, jeden z braci różańcowych uderzył ją świecą po nogach, że o mało co nie upadła—lecz ją schwycił za rękę i wypchnął za szereg.

Wójtówna z kowalczanką uśmiechnęły się dumnie. Jagusię oprzytomnił ból—nie dała za wygranę. Usunąwszy się nieco ludziom z drogi patrzała ciekawie.

Napróżno idąca w tłumie z zapaloną świecą stryjna groziła jéj. Nie widziała jéj groźb—a choćby widziała, nie ustąpiłaby.

Kapela złożona z trzech trąb, dwóch fletów i jednego bębna przy podniesieniu, zagrała. W serce dziewczyny wstąpiło męstwo i otucha. Obiegła w przeciwną stronę cmętarz, minęła chorągwie, aż póki nie zobaczyła dziewczyn niosących obrazy. Upatrzyła sobie najładniejszą Świętą Panienkę w złotéj koronie i różowéj sukience i przed nią drżącą ręką wydobywając z chusteczki kwiaty sypała.

Dziewczęta były rade, uśmiechały się depcząc kwiatki, jak gdyby je dla nich sypała.

— Abo to tu głupia,—szepnęła jéj stara Klimkowa.

Nie odpowiedziała jéj Jagusia, wiedziała co robi. Wysypała wszystkie kwiatki i wtedy spojrzała pogodnie na Świętą Panienkę. Zdawało jéj się że się uśmiechnęła. Ognie wystąpiły na bladą jéj twarz, odetchnęła głęboko i pełna radości cofnęła się pod lipę stojącą na pagórku.

Raz jeszcze przesunął się przed jéj oczami cały orszak procesyi, raz jeszcze bito z mozdzierzy, kapela przygrywała, chłopcy dzwonili w dzwoneczki, lud się korzył przed monstrancyą, baldachim błyszczał złotem i purpurą na słońcu, chorągwie powiewały. Nadeszły dziewczęta z obrazami Jagusia nie śmiała patrzeć ze strachu i radości. Oczy spuściła, serce jéj biło, nogi drżały.

Przez otwarte podwoje kościoła cisnął się lud. Na cmętarzu zrobiło się pusto. Chłopcy starym zwyczajem łamali gałęzie z ołtarzy. Z wnętrza kościoła wydobywały się przytłumione tony organów.

Jagusia popychana ciekawością weszła nieśmiało do kruchty stanęła na starych schodach patrząc zdziwiona. Dym kadzideł wznoszący się w górę, światła migocące jak złote gwiazdy i setki świec i śpiew ludu uroczysty, rzewny—napełniły jéj serce grozą i podziwém. Nie śmiała sięgać wzrokiem do wielkiego ołtarza, szukała oczami Świętéj Panienki w koronie i rożowéj sukience. Zobaczyła ją po za niebieską chmurą dymu.

Zadrżała, zeskoczyła ze schodów, wysunęła się na cmętarz i pędząc drogą dobiegła do obórki,—w któréj schowana Latocha z towarzyszkami żałośnie ryczała.

— Cicho, cicho ty pieszczocho, uspakajała ją dziewczynka. I wielgie cię nieszczęście spotkało—żeś sy na chwilę legła i bąki cię nie kąsały—co?

Słowa Jagusi widocznie trafiły do serca Latochy, bo wyciągnąwszy szyję, trącała pyskiem rękę dziewczyny, dając jéj znać, że sobie życzy, aby ją podrapała po podgardlu na zgodę.

Nie było czasu na pieszczoty, stryjna mogła nadbiedz z kościoła...

I znowu wygonem we czworo--dziewczyna, Latocha i jéj towarzyszki biegły na wałek. Widocznie strumień radował się z przybycia dziewczyny, bo szemrał po kamykach i wesoło bulgotał na zakręcie. Przykucnęła trzymając w ręku powróz,—Latocha i jéj towarzyszki rzuciły się na macierzankę i żółte mlecze.

Przed oczami dziewczynki przesuwały się widziane obrazy. Uśmiech świętéj Panienki i grożąca ręka stryjny—jéj ściągnięte brwi i zaciśnięte usta.

— Przecież mnie święta Panienka obroni,—wmawiala w siebie. A jak nie obroni?... Dreszcz ją przeszedł po ciele. Jak nie obroni, to i przecierpię. Tyle już przecierpiałam—w jéj serce odwaga wstąpiła, uśmiech świętéj Panlenki przebłyskujący w wspomnieniach, rozpędził ciężkie myśli.

Mgły zaczęły okrywać strumień i łąki nad rzeczką,—gwary panujące nad błoniem i wioską przycichły, góry ciemniały i rozpływały się w wieczornym mroku. Olsze tylko poruszane wiatrem smutno szumiały—żaby w przykopach odzywały się. Po nad szum olszyn, skrzekot żab i szmery rzeki wypłynął cicho księżyc. Światło jego srebrzyło zielone błonia—muskało liście drzew i zawisło nad białemi mgłami.

Latocha spojrzała mądremi oczami na osrebrzony krajobraz i szarpnęła powrozem budząc z odrętwienia dziewczynę.

Zerwała się Jagusia, myśli jéj podobne do zatrzymanych wód wezbrały.

Stryjna z grożącą pięścią i nasuniętemi brwiami na czarne oczy zasłoniła świętą Panienkę i jéj uśmiech. Gniew gospodyni łączył się z rozpalonym ogniem na kominie, syczał i wybuchał;—ziemniaki nieoskrobane patrzały na nią surowo, woda w garnku kipiała przekleństwami, stryjek wzdychał, – a pewno parobek markocił i wyzywał...

Pobiegła przez wygon ciągnąc Latochę i jéj towarzyszki. Im bliżéj była wsi, tém ją więcéj strach chwytał za serce i nogi. Dopadła do zagrody. We drzwiach stajni stała Stryjna podparta pod bo-

ki i gdy Jaguś przestąpiła próg, uderzyła ją pięścią w kark, że aż upadła.

— Zachciewa ci się z gospodarskiemi dziećmi rzucać kwiatki przed księdza i dla tego bydło mi głodzisz i do nocy je trzymasz. Ja z ciebie duszę wywlokę.

Postąpiła z wyciągniętą pięścią krok naprzód—Jagusia schowała się za Latochę wiążąc ją do żłobu.

Nie obroniła dziewczynki święta Panienka.

— A może za jéj przyczynieniem skończyło się na jedném uderzeniu,—pocieszało się dziewczę.

Pomimo że Latocha dała prawie pełen skopiec mleka a jéj towarzyszka większą połowę, nie pocieszyło to zagniewanéj gospodyni, gdyż dojąc krowy powtarzała.

— Chciałoby się to równać z gospodarskiemi dziećmi a nie ma czem grzbietu przykryć. Ale ja sobie z nią poradzę, chyba mi ręka ustanie. Wyszła z mlekiem nie spojrzawszy na Jagusię.

Dziewczyna została sama—usiadła na progu podparła głowę na rękach, patrząc w okna chaty czerwone, od płonącego ognia na kominie.

— I cóż ma z nią sobie tak radzić,—myślała. Czyż ona nie pasie troje sztuk bydła, nie rwie dla nich chwastu, nie miele na żarnach, nie pierze bielizny bijąc ją przy strumyku kijanką chociaż jest jeszcze mała, zbiedniała i chuda.

Głód jéj dokuczał. Wstała, powoli podeszła do chaty, uchylając nieśmiało drzwi.

Stanęła przy kominie, zapach ugotowanego mleka rozchodził się po izbie.

Zobaczyła ją stryjna; pochwyciła za rękę i wypchnęła z izby.

— Kiej nie robisz, to i nie jedz.

Drzwi z trzaskiem się zamknęły.

Kuba młody o łagodnéj twarzy parobek spojrzał z pewnym wyrzutem na gospodarza, siedzącego za stołem, przy misce klusek. Spojrzenie Kuby widocznie dobrze oddziałało, bo opuścił oczy i biorąc na odwagę odezwał się.

— Ej Kaśka bój się Boga chcesz ty zamorzyć dziewczynę? Ino ją bijesz, klniesz i głodzisz...

— A tobie co do dziewczyny,—wrzasnęła biorąc się pod boki.

Kuba się uśmiechnął szydersko.

Podrażniony uśmiechem gospodarz zawołał:

— A toć dziecko mojéj siostry,—rozumiesz?

— A ty z jakimżeś to bogactwem wlazł do mojéj chaty?.. Jedna koszula na grzbiecie i buty podarte.

— Wlazł w nowym kożuchu, i buty miał jak się patrzy,—odezwał się Kuba.

— Cicho,—krzyknęła gospodyni grożąc Kubie, nie wtykaj nosa między drzwi. A choćbyś miał i kożuch,—zwróciła się do gospodarza,—to i cóż? A że siedzisz w porządnéj chacie i masz co do gęby włożyć—komużeś to winien.

— A nie pracuję,—odpowiedział zmieniając ton głosu na łagodniejszy.

— A cóżeś chciał leżeć i spać, aby ci ino pod gębę podtykać.

Kuba korzystając z nieporozumienia małżeńskiego, wyszedł unosząc z sobą miskę z ziemniakami.

— Gdzie,—krzyknęła za nim gospodyni.

— Szwarzycie się, to wolę pojeść se w stajni.

— Niesiesz dla téj szelmy.

— Moje, to mi wolno,—odpowiedział niknąc w ciemnościach.

Miała wielką ochotę dogonić go i odebrać mu miskę z ziemniakami, tylko się bała.

Chłop w milczeniu wyławiał kluski, potém wypił mleko, otarł usta rękawem i wyszedł siadając na ławie przed chatą. Lecz gdy gospodyni zaczęła omywać naczynia i pacierz mówić,—poszedł wolno do stajni.

— Naści,—szepnął wsuwając kawałek chleba do rąk Jagusi siedzącéj na progu.

Pocałowała go w rękę.

— Kuba dał ci ziemniaków?

— Dał,—odpowiedziała cicho.

— Jak tylko podrośniesz, to cię oddam, kej w dobre ręce—a bez ten czas musisz jakoś przebiedować.

— Dobrze, odpowiedziała dziewczynka.

— Przebiedować, odezwał się Kuba podchodząc z głębi stajni. Abo to przetrzyma zimę w takiéj poniewierce?

Gospodarz uczuł prawdę słów Kuby, lecz nie umiejąc na nie odpowiedzieć, wrócił do izby.

— Ej przebiduję mój Kuba,—odezwała się Jagusia,—bo widzisz święta Panienka uśmiechnęła się dziś do mnie.

— Oj głupia, głupia,—szepnął Kuba.

— Uśmiechnęła się, jak matusię kocham. I to za jéj wolą przyniosłeś mi ziemniaków, a gospodarz kawałek chleba.

— Nie pleć, przyniosłem, bo mi cię żal było.

— Żal ci mnie było, bo święta Panienka ulitowała się nademną! Dawniéj mnie nie żałowałeś.

Kuba wzruszył ramionami. Nie roztrząsał rozumowań dziewczynki, nie miał na to czasu i ochoty.

Jagusia zagrzebała się w słomę leżącą w rogu stajenki i zasnęła.

II.

Dzień egzaminu w szkole zbliżał się powoli. Gospodynie szyły spódniczki dla dziewczyn, prały dla chłopców płótnianki,—dzieci na błoniu rozprawiały o nim głośno. Mówiono o nagrodach, czerwono i niebiesko oprawnych książeczkach, o kwiatkach robionych, wstążkach i obrazkach. Jagusia słuchała opowiadań dzieci. Oczy jéj patrzały ciekawie, usta na pół odchylone mówiły, że jest mocno zajęta tą sprawą.

Dla niéj nikt nie szył spódniczki, nikt jéj nie splatał warkoczy, nie głaskał jéj. Książki, obrazka nie miała w ręku. Chłopcy śpiewali piosnki, których się nauczyli w szkole, przytupując nogami, klaszcząc w ręce. Dziwy opowiadali o panu Nauczycielu, o czarnéj tablicy, o wielkiéj mapie, o krajach całych i morzach malowanych na niéj. Jagusia słuchała smutna.

— Gdyby matuś żyli—myślała—i jabym się uczyła. Przed oczami jéj duszy stanęła Święta Panienka w różowéj sukience i koronie na głowie.

— Czyż mnie zaprowadzi do szkoły, nową uszyje spódniczkę— rozmyślała. Może ino obronić, gdyby chciała — Czy ino zechce?..

— No i czegóż to Jaga stoisz jak malowana i ślepia wytrzeszczasz — zbudził ją z zamyślenia Wojtek, smagając batem po trawie.

Dziewczyna zawstydzona nie odpowiadając odeszła i usiadła na wałku. Chłopcy i dziewczęta śmiali się z niéj nazywając ją malowaną Jagą. „Malowana Jaga“ rozbrzmiewało na błoniu. Dziewczynka nie odpowiadała na śmiechy i wołania dzieci. Myślała potroszę o swéj doli, o matusi i Świętéj Panience, a najwięcéj o jutrzejszym egzaminie.

Stryjna jeszcze przed wschodem poszła na jarmark.

Słońce wczesnym rankiem rozpędziło mgły błąkając się nad rzeczką, wypiło rosę z łąk, osuszyło liście drzew i mknąc w górę coraz większy żar rzucało z nieba. Gorąco było i cicho — nikogo na bożym świecie. Czasami wiatr przesunął się po wierzchołkach drzew, zaszeleścił liśćmi i przycichł. Ptaszki zamilkły, bydło przestało ryczéć—pastuszkowie leniwo szli za bydłem.

Ogień z nieba leciał.

Jagusia uwiązała Latochę i jéj towarzyszki, uczesała się w stajni przed lusterkiem Kuby, zaplotła warkocze starą wstążeczką darowaną jéj przez Marysię Łucarzównę, i uśmiechnięta, chociaż boso i w krótkiéj spódniczce, poszła do szkoły.

Przed drzwiami stał przysiężny i wpuszczał tylko zaproszonych gości.

Jagusia wpatrywała się w niego miłosiernie.

— Byłaś kiedy w szkole? — zagadnął ją.

— Nie jeszcze tatusiu—odpowiedziała całując go w rękę—i nie czekając na odpowiedź przesunęła się przez drzwi.

— A niech i to biedajstwo ucieszy się — myślał przysiężny, patrząc na dziewczynkę różową z radości, zaglądającą ciekawie do klasy. — Powoli, nabierając odwagi, weszła do dużéj, jasnéj izby zapełnionéj dziećmi.

Na katedrze siedziała starszyzna: Dziedzic, proboszcz, dziedziczka z córką i jakiś pan młody i piękny.

— Wstać — zakomenderował nauczyciel.

Dzieci powstały i na dany znak zaczęły chórem śpiewać:

„Szczera dziś wdzięczność w sercach naszych tleje,
Iżeście państwo zacni dobrodzieje
Przybyć raczyli do malutkiéj młodzi,
By się przekonać na czem jéj czas schodzi.
O małych siłach tyleśmy zrobili,
Więc nas oceńcie w rozłączenia chwili....“

Jagusia słuchała z otwartemi ustami wlepiając w dzieci swe niebieskie oczy. Śpiew ustał — dziewczynka wciąż patrzała — uroczysta, zamyślona.

Nauczyciel przeczytał listę najpilniejszych uczniów, a dziedziczka rozdawała nagrody, czerwono i niebiesko oprawne książki, kajeta, gorsety i wstążki. Dużo było radości, szeptów i gwaru. Córka dziedziczki wzięła pakiet obrazków i zbliżywszy się do ławek rozdawała je po kolei dzieciom. Pomagał jéj młody pan. Gdy przyszli do miejsca w którém stała Jagusia, dziewczynka wyciągnęła rękę.

— Ona nie chodziła do szkoły — zawołały dzieci.

Dziewczynina spuściła rękę i zarumieniła się.

— Dla czego nie chodziłaś? — spytał się jéj młody pan.

— Bo nie mam ani butów, ani elementarza — i stryjna nie dadzą — dokończyła cicho.

— A gdybyś miała elementarz?

— Chodziłabym bez całą zimę i lato.

— Któż za nią będzie paść — odezwała się Kowalczanka.

Młody pan nie słyszał skargi; wyjął z portmonetki srebrnego guldena i podał dziewczynce.

— Kup sobie elementarz i chodź do szkoły.

Córka dziedziczki dała jéj obrazek i pogłaskała ją ręką po twarzy.

Jagusia ze wzruszenia zapomniała podziękować. Zbladła, serce jéj biło, oczy świeciły.

— Patrz pan jaki to ładny kolor oczu u téj dziewczynki. Bławatki jéj zazdroszczą.

— Widzisz nie podziękowałaś — mówił młody pan i nadstawiając twarz dziewczynce, pocałuj—doradzał jéj cicho.

Dziewczynka pocałowała — piękna panienka uśmiechnęła się. wśród dzieci powstał szmer nad odwagą malowanéj Jagi i jéj szczęściem. Uśmiechnęła się i dziedziczka i radni siedzący przy drzwiach

Zarumieniona ze wstydu nie wiedziała co z sobą zrobić. W jedném ręku ściskała guldena, w drugiém obrazek, a nie mogąc znieść zwróconych na siebie oczu starszyzny, powoli wysunęła się ze szkoły.—Na korytarzu odetchnęła głęboko, na dworze zaśmiała się serdecznie, podskoczyła i pobiegła z całych sił prosto do obórki. Nie miała się przed kim pochwalić — chwaliła się przed Latochą, przykładając jéj srebrnego guldena do oczu i do pyska. Latocha sapała chwytając językiem rękę dziewczynki.

— Tybyś ino wszystko zjeść chciała — rzekła uderzając ją zlekka ręką po karku.

Przechodził Kuba.

— Kubuś, bój się Boga, a stanijno i popatrz — widzisz srebrny talarek od panicza, a obrazek od panienki. Patrz taka ci samiutka Święta Panienka, jak na obrazie, co się do mnie uśmiechała.

— I cóż będziesz robić z temi pieniędzmi — odezwał się Kuba.

— Panicz powiedział, że to na elementarz.

— Bo cię to stryjna oddadzą do szkoły — głupia. Lepiéj daj gospodarzowi niech dodadzą z pięć szóstek i kupią ci buty—choćby podszycie.

Jagusia nie miała ochoty zgodzić się na praktyczną radę Kuby, bo głową przecząco wstrząsała.

— A jak zima przyjdzie? — spytał Kuba.

— Zima daleko — zawołała — daleko mój Kubusiu, i nie odwódź mnie od tego, bo i panicz tak kazali i ja mam ochotę. W szkole ładnie i pewno ciepło.

— Pójdziesz ty do niéj — rzekł Kuba — i machnąwszy ręką odszedł.

Dziewczynka została sama. Wybuchy jéj radości zmniejszały się i cichły. Kuba ją otrzeźwił. Zaczęła wahać się między obowiązkiem kupienia butów, a rozkoszą posiadania elementarza.... Elementarz zwyciężył!

— Wszystkie dzieci mają elementarze, ino ja jedna go nie mam—mówiła wpatrując się w obrazek Świętéj Panienki.

— Taki ci samiutki jak w kościele. A może to święta Panienka kierowała ręką córki dziedziczki.

W umyśle Jagusi zaczęła się tworzyć legenda.

Kuba dał jéj kawałek dektury, złożyła go na dwoje kładąc do środka obrazek. Z konopi uwiła nitkę — nią związała dekturę i wszystko razem schowała za gorset i koszulę.

— Mój Kubuś nie gadajże o srebrnym talarku, ani stryjnie, ani gospodarzowi. Nie powiesz?

— Cóżbym miał gadać, a dyć ta jędza z gardła by ci go wydobyła.

Po południu zaludniło się błonie dziećmi. Pobiegła i Jagusia pędząc Latochę i dwie jéj towarzyszki. Dzieci się chwaliły pokazując swe nagrody i prezenta. Bogate czapki czerwieniły się na zieloném błoniu. Wesołość i ochota wybuchały dowcipem i skocznemi piosnkami.

Dziewczynina bała się pokazywać srebrnego talarka, a obrazki miały wszystkie dzieci, lecz rada się była bawić, rada była być wesołą, tylko jakoś nie mogła. Śmiała się gdy się inne śmiały, ale ani tańcować, ani się ochocić nie umiała.

Walek raźny i wesoły chłopak skończył pierwszą klasę; na książce nieźle czytał i źrebięta pasał, przezco był w poważaniu u gromadki. I on to pierwszy zaczął świadczyć Jagusi, odganiać od szkody Latochę, opowiadać różności, biczysko jéj wyrychtował galante i przeniósł przez wodę na drugą stronę strumyka.

Dziewczynka była temu rada. Sierota, nikt ją nie pogłaskał, nikt jéj nie pochlebiał, a przecież był to chłopiec na książce uczony. I gdy słyszała jak dzieci mówiły, że Walek świadczy malowanéj Jadze, uśmiechnęła się dumnie.

Zaprzyjaźnili się.

— Wiesz Jaguś co, jutro jarmark — odezwał się parę dni później chłopiec, gdy wieczorem wracali do wsi.

— Słyszałam—odpowiedziała—stryjna pewno przed wschodem słońca poleci. — A niech leci.

— I jabym poszedł, tylko nic mam z czém.

Zamilkł, dziewczynka nie śmiała się odezwać, lecz serce jéj zabiło smutném przeczuciem.

— A muszę być — mówił daléj wzruszony.

— Musisz — powtórzyła bez myśli.

— Muszę!—zawołał—i pójdę jeżeli ty mi pomożesz Jaguś i tego talarka coś go dostała od panicza pożyczysz.

— Waluś—szepnęła—to całe moje bogactwo.

— A cóż to! zabiorę ci, okradnę cię. Niech mnie Bóg ciężko skarze jeżeli ci za dwie niedziele nie oddam.

— Cicho, cicho — uspokajała go. — Nie mam się to bać....

— Nie masz, bo niech się w ziemię zapadnę.....

— Waluś! — zawołała.

— Dasz?

— A cóż mam robić, choć mi się serce z żalu ściska.

— Niech się ino nie ściska, bo nie ma z czego — rzekł z mocą przygniatającą dziewczynkę.

Szli daléj w milczeniu. Bose ich nogi zapadały się w piasku. Waluś się bał, aby mu w ostatniéj chwili nie odmówiła—dziewczyna się bała Walka.

Słońce zaszło za chmurę, szaro się zrobiło, tylko pod czarnym lasem paliło się niebo purpurą. Parno było i ciężko, że tchu brakowało. Objedzona Latocha i jéj towarzyszki stawały; Jaguś je ciągnęła za powróz ocierając zapaską pot z czoła. Zamyślony chłopiec szedł z pochyloną głową.

Mijali na wzgórzu figurę otoczoną topolami. Stały jakby zaczarowane, ani jeden listek na nich się nie poruszał. Błyskawica otworzyła niebo. Jaguś się przeżegnała. Za wzgórzem ciągnęła się twarda droga wysadzona wierzbami. Raźniéj im było iść; Latocha sama rwała się do domu.

Niedaleko chaty stryjny Walek stanął, przytrzymując Jagusię za rękę.

— Czekać będę pod figurą choćby do północy — odezwał się drżącym głosem—ale pamiętaj, jeżeli nie przyniesiesz.

Dziewczyna milczała.

— Przyniesiesz—nalegał; w głosie jego czuć było groźbę.

— Przyniosę — szepnęła — i poszła za Latochą i jéj towarzyszkami, które już wpadły w opłotki.

Wieczorem po wydojeniu krów, kiedy czerwony ogień świecił przez szyby okien, dziewczynka usiadła na ławce, wyjęła z zanadrza dekturę, w któréj był schowany obrazek, odwiązała nitkę i patrzała ciekawie. Święta Panienka uśmiechała się do niéj, lecz jakoś smutno. Odwinęła ukrytego w gałgankach talarka. Świecił się i migotał, przeczuwała że go traci, lecz nie śmiała nie dać.

Walek był dla niéj dobry, serdeczny, zaprzysięgał się i czeka i chociaż noc taka ciemna, a błyskawice jedna za drugą przelatują.

Zerwała się, westchnęła ciężko i opłotkami dopadła do drogi. Walek czekał pod figurą.

— Masz?—spytał się przyciszonym ze wzruszenia głosem.

Dziewczynka roztworzyła rękę, srebro zaświeciło w ciemnościach—chłopiec pochwycił je szybko.

— Waluś, przysiągłeś! — szepnęła.

— A niech mnie....

— Cicho—przerwała mu—odwróciła się i z pełnemi łez oczami poszła drogą powoli do chaty.

Chłopiec patrzał za dziewczynką póki mu w ciemnościach nie zniknęła. Sumienie zaczęło go gryźć i powtarzać mu: sierota, sierota.

— Abo jéj to nie oddam czy co — zawołał, ścisnął w ręku srebrny pieniądz i bojąc się sam, nie wiedziéć czego, biegł ścieżkami do domu. Błyskawice oświecały mu drogę. W świetle ich zdawało mu się, że widzi płaczącą Jagusię. Wrony siedzące na wysokich olszach zbudzone światłem błyskawic krakały za nim: „Sierota, sierota."

Uciekał ile mu sił tylko starczyło i dopiero gdy zobaczył światła w oknach chat zwolnił kroku, ciężko oddychał i śmiał się z siebie.

III.

Minął tydzień i drugi, Walek przestał świadczyć Jagusi, unikał jéj i nie rad zaglądał na błonia. Dziewczynka nie śmiała go zaczepiać, wstydziła się za niego i gdy się spotkali milczała, smutnie patrząc na niego.

— I czegóż tak na mnie swe duże ślepia wytrzeszczasz! — zawołał nie mogąc znieść jéj wzroku. — Cóżto nie oddam ci głupiego talara?

Jagusia odwracała się od niego i nie odpowiadała. Chłopak zły i chmurny odchodził, przysięgając sobie, że jak kiedy zdobędzie guldena, to go jéj w twarz rzuci.

Słońce chyliło się na dół, z niém uciekało i lato. Przez żółte liście i białą pajęczynę zaglądała jesień. Zimne ranki perlące się szronem na łąkach, ciemne, wlokące się z północy chmury i wiatr szumiący w olszynie zasmucały dzieci. Starsi mówili o zimie. Stryjna rzuciła Jagusi płachtę aby się czém przykryć miała. Lecz cóż płachta przy bosych nogach i krótkiéj spódniczce pomoże?

— Widzisz—mówił Kuba do Jagusi — źle ci radziłem, żeby do papierka co ci panicz dał dołożyć i buty kupić.

— A to przecież stryjna!.. Nie pasałam jéj bez całe lato trzech sztuk? — odpowiadała.

— Doczekasz ty się, nim ci ona za złamany grosz co kupi.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, westchnęła za straconym talarkiem, pomyślała o szkole, o elementarzu i pognała bydło na paszę.

Deszcze się spuściły, wiatr dął z zachodu; ciemne chmury leciały ciskając na świat strugi zimnéj wody. Nożyny Jagusi już nie czerwone, lecz granatowe się stały. Odziana płachtą stała na wałku trzęsąc się z zimna. Nie skarżyła się na nikogo, bo taka już jéj dola, ani na stryjnę, ani na Walka. Czasem wspomniała sobie o Świętéj Panience, lecz czyż jéj kupi buty na jarmarku? Tego przecież od niéj żądać nie może.

W nocy stłukło ją zimno, potém ogień rozpalił. Nad ranem zaledwo mogła nogi wlec za sobą. Deszcz ustał, słonko zaglądało z poza chmur, tylko wiatr jęczał szarpiąc strzechy chat i drzewa w olszynie.

Bała się skarżyć stryjnie, powiedziała tylko Kubie i ten dał jéj starą derkę żeby sobie miała czém nogi obwinąć.

Na południe stała się raźniejsza i weselsza, zjadła troszkę żuru kwaśnego—smakował jéj. Lecz gdy bydło w pole wygnała, pod wieczór zimno znów zaczęło ją trząść. Otuliła się płachtą, pookręcała nogi derką i ułożyła się na wałku. Z początku słyszała jęki wiatru i szum wody w strumyku. Wkrótce szumy i jęki zlały się w jedną całość; przycichły zwolna — zasnęła.

Zbudziły ją dalekie wołania, zdawało się jéj że słyszy głos stryjny. Otworzyła oczy, gwiazdy wyglądały z poza ciemnych chmur, Latocha żałośnie ryczała. Zerwała się. W myśli jéj stanęła stryjna z pięścią podniesioną w górę, głos jéj przeciskał się przez fale wiatru.

Dreszcz ją przeszedł po ciele; pobiegła do Latochy. Zaplątana w sznur leżała zziębnięta na ziemi, tuż przy niéj stała jéj towarzyszka. Cielęcia nie było.

Drżącemi rękami z przestrachu uwolniła z pętów Latochę i trzymając ją za rogi nawoływała cielę — napróżno! Wiatr zagłuszył jéj krzyk, tylko głos stryjny wydobywał się wśród szumu i wycia. Nie było rady, trza było krowy popędzić do drogi; stryjna je odbierze, a ona sama pójdzie szukać zguby. Latocha zziębnięta rwała się, puszczona przez dziewczynkę pędziła do domu wraz z towarzyszką, za niemi biegła wystraszona Jagusia. Szumiało jéj w głowie, serce biło, tchu brakło w piersiach. Przeczuwała wielkość nieszczęścia, lecz sprawy sobie zdać z niego nie mogła.

— Moja dola — szepnęła, westchnęła ciężko; dreszcz strachu zatrząsł nią całą i biegła daléj za Latochą i jéj towarzyszką.

Głos stryjny syczący i chrapliwy, drżący przekleństwami rozlegał się. Latocha z towarzyszką poskoczyły za głosem. Jagusia stanęła jakby jéj nogi wrosły w ziemię.

Odgłos kopyt biegnących krów przycichał, głos brzmiący przekleństwami oddalał się. Dziewczynka odetchnęła, obejrzała się dokoła, spojrzała w górę. Chmury leciały po niebie daleko, na koniec świata, gwiazdy świeciły i gasły. Słuchała — wiatr jęczał żałośnie. Wśród tych jęków zdawało się dziewczynce, że słyszy bek cielęcia. Nadzieja zakołatała do jéj serca. Pociągnęła płachtę na ramiona i pobiegła za głosem na błonia, z błonia na wałek i znowu słuchała. Wiatr jęczał żałośnie targając gałązkami leszczyny, lecz po za temi jękami wydobywał się zdaleka żałośnie ryk cielęcia. Skoczyła.... zatrzymał ją stromy brzeg strumyka. Wsunęła nogę do wody—była zimna i głęboka. Nie miała jednak czasu do obaw i namysłów. Zdjęła z siebie płachtę i przerzuciła na drugą stronę, odwiązała spódniczkę, zwinęła ją i za płachtą rzuciła. Zanurzyła się, zimno nią wstrząsało, woda podrywała, że ledwo uchwyciła się pręci wikliny rosnącéj na drugiéj stronie.

Sierp księżyca wynurzył się na wschodzie, płynąc szybko po bladém niebie. Promienie jego srebrzyły chmury i wodę rozlaną po błoniach.

Dziewczynina drżąca od zimna, zawiązała spódniczkę płachtą się okryła, przykucnęła i oglądała się dokoła.

Daleko wśród krzaków rozrzuconéj choiny coś się poruszyło, pobiegła siekąc z ziębniętemi stopami wodę świecącą, zapadając się w trzęsawiska czarnego torfu. Dopadła do krzaków i zobaczyła ostrężynę wyginającą się od wiatru, tulącą się do osamotnionéj sosenki. Rozglądała się coraz daléj— i znów między krzakami majaczały jakieś cienie. Pogoniła za niemi, cienie nikły, wiatr zrywał się i przycichał, księżyc świecił i gasł wśród chmur, mknąc po szarém niebie. Dziewczynina biegła coraz daléj i daléj.

Skończyły się moczary torfu, świecące szerokiemi płatami wody z pomiędzy rozsianych po niéj krzaków. Zaczęły się grunta orne i twarde błonia. Zdaleka widać było kościół i szare dachy chat. Na wzgórku stał krzyż wznosząc krótkie swe ramiona. Zmęczona oparła się oń, lecz ustać nie mogła; nogi jéj drżały, a były ciężkie, jakby z ołowiu. Zsunęła się na ziemię i choć jéj w głowie huczało, słuchała i rozglądała się, wytężając wzrok — zajęta myślą odnalezienia cielęcia.

Choćby się miała zapaść w ziemię, bez cielęcia nie wróci do chaty — przysięgała sobie. Zaledwo dosłyszane szczekanie psów i dalekie odgłosy rogów nocnych stróżów wstrząsnęły nią. Zerwała się, przeszła w poprzek drogę i szukając oczami łąk lub błoń, biegła

gorączkowo. Myśl jéj zwracała się od cielęcia do chaty stryjny, doli jéj i Świętéj Panienki. Nie skarżyła się na nikogo lecz była zgnębiona. Wobec wielkiego nieszczęścia Święta Panienka nie przychodziła jéj na pomoc, a gdyby przecie chciała, naprowadziłaby ją na zgubę.

Im dłużéj szła, tém więcéj przyśpieszała kroku. Chwilami stawała, nasłuchiwała i znowu biegła. Zimno jéj było choć pot kroplami spływał jéj po twarzy.

Księżyc zaszedł, wiatr przycichł, mgła zaległa ziemię. Na wielkiéj przestrzeni otulona białemi jéj zwojami, wśród nieznanych pól, jak atom rzucony na dno morza, dziewczynina uczuła się opuszczoną przez Boga i ludzi. Ręce załamała i cicho płacząc wołała matusi

— Pójdź! pójdź! — rozległ się krzyk sowy tak blisko, że słyszała szum jéj ciężkich skrzydeł. W krzyku tym zrozumiała dla siebie wyrok.

— To pójdę — odpowiedziała — pójdę, powtórzyła z siłą niezłomnego postanowienia.

Matusia zapracowana cały dzień, ani ją pieściła, ani głaskała, ale było jéj u niéj dobrze—cicho. Przypomniała sobie chwile dzieciństwa swego, tęskniła za niemi i radaby wrócić do nich. Żal ciężki, przybijający do ziemi opanował ją; mgła coraz gęstsza i coraz ciemniejsza obejmowała sierotę. Nie widziała gwiazd na niebie, ani żadnego drzewka na ziemi. Strach ją przejął.

— Pójdź! pójdź!—rozległ się krzyk nocnego ptaka.

— Cicho, cicho już idę—szepnęła żałośnie i pobiegła naprzód. Aby ino jak najdaléj od stryjny, aby prędko jaką głęboką wodę znaleźć — powtarzała — gdyż czuła że ją siły opuszczają. Nogi pod nią drżały, ogień palił, a zimno przechodziło po całém ciele.

Uczuła że schodzi po spadzistości, mgła robiła się bielsza, lecz gęstsza. Pochyliła się i usłyszała plusk rozkołysanéj wiatrem wody.

— To już tu — zawołała. — Czy mnie matusia czy sowa tu zawiodła.

Ręce załamała — żal jéj było tracić swą istotę i rozstawać się z nią na całą wieczność.

Z załamanemi rękami stała parę chwil, ból serce ściskał, w oczach jéj się mroczyło—czuła że upadnie.

I żeby ludzie nie znaleźli jéj na brzegu i do stryjny nie zaprowadzili, zrzuciła na ziemię płachtę, gorset i spódniczkę — zatrzęsła się od zimna i strachu.

— Pójdź, pójdź — usłyszała. Krzyk sowy wzięła za wołanie matki.

— Matusiu! — jęknęła żałośnie i skoczyła.

Woda była zimna, lecz nie głęboka. Ledwo się w niéj zanurzyła, znalazła grunt pod nogami, stanęła—tchu złapać nie mogła, raz jeszcze rzuciła się na dno, lecz ją woda wypchnęła; wyskoczyła na brzeg, okryła się płachtą, i choć dygotała od zimna, uczuła się rzeźwiejszą.

— Woda mnie przyjąć nie chciała—mówiła dzwoniąc zębami. Trzeba uciekać, daleko—daleko, dopaść do lasu, położyć się w gęstwinie i nie wstać.

Ubrała się, okryła płachtą i poszła brzegiem wody, aby jak najdaléj na koniec świata. Święta Panienka ją opuściła.

Mgła wznosiła się w górę, wiatr się budził i rozpędzał ją, na wschodzie czerwona łuna rozlała się krwawo.

— Świta—szepnęła i ze strachu aby ją nie dogoniono przyśpieszyła kroku. W głowie jéj huczało, powieki ciężyły ołowiem, oddech miała ciężki, nogi choć bose ledwo dźwignąć mogła.

— Już nie zajdę do lasu, nie mam sił—mówiła, a bała się spotkać z ludźmi. Żal i strach szarpały jéj serce.

Doszła do żelaznéj drogi. Słyszała o wielkim wozie co jeździ po tych szynach buchając ogniem i dymem. Myśl i wzrok przykuły ją do miejsca, nie mogła oczu oderwać.

Zahuczało zdaleka, spojrzała, białe kłęby dymu wznosiły się w górę. Jakiś czarny potwór zbliżał się. Dziewczynce ugięły się kolana, same prawie, bez jéj wiedzy, opierając się o szyny. Zimny pot oblał jéj czoło, rękami zasłoniła oczy i już nic więcéj nie słyszała....

Zbudziła ją ręka konduktora; przed nią stał maszynista, panowie zaczęli wysiadać z wagonów. Przerażona, zalęknięta, nie mogła słowa przemówić. Na zapytania nie odpowiadała. Dopiero gdy jeden z panów pociągnął ją na stronę, pochylił się nad nią i zaczął rozpytywać, opowiedziała mu o stryjnie i swém nieszczęściu.

Pan powtórzył państwu, zaczęto zbierać składkę dla biednéj sieroty; zebrane pieniądze zawiązano jéj w róg płachty, konduktor wsadził ją do pustego wagonu; wóz zaświstał, zahuczał, szarpnął raz, drugi i poleciał.

Dziewczynina nie mogła się oswoić w nowém a tak niespodziewaném dla siebie otoczeniu, patrzała przez szyby wagonu, serce jéj biło — zawinięte pieniądze w płachtę ściskała.

Gdzie jedzie, dokąd, co z nią zrobią?—myśli w głowinie dziewczynki plątały się bezładnie.

I znowu wóz świsnął, pociąg zwalniał, szarpnął się i stanął. Konduktor otworzył drzwi, wziął ją na ręce i stawiając na ziemi,

prowadził do brodatego pana w czerwonéj czapce. Ludzie wsiadali i wysiadali, brodaty pan ujął ją za rękę — pociąg ruszył i za chwilę zniknął w przydrożnym lesie. Na stacyi było paru gospodarzy i gospodyń, a wśród nich niewielki człowiek w białéj płótniance.

Brodaty pan opowiadał jak Jagusia uciekła od stryjny, chciała sobie życie odebrać, ale maszynista zobaczył i pociąg zatrzymał.

Jedni się dziwili, drugich litość brała dla sieroty — pogwarzyli i poszli.

Dziewczynka usiadła na schodach przed budynkiem; pani jéj przyniosła mleka i chleba kawałek. Mleko wypiła, lecz chleba jeść nie mogła — nie miała sił. Pan w czerwonéj czapce pogłaskał ją; radził wracać do chaty, oddać stryjnie pieniądze za cielę i cicho siedzieć.

— I będzie zgoda—kończył. — Idź, idź moje dziecko, rozpytuj się ludzi, to ci drogę pokażą.

Jagusia wstała, poszła, chociaż ledwo iść mogła.

Na drodze stał niewielki człowieczek w białéj płótniance. Niepokaźny, troszkę utykał na nogę, twarz miał podziubaną od ospy, lecz jakoś mu dobrze z oczu patrzało, włosy białe wyglądały z poza zielonéj czapki. Gdy się z nim Jagusia zrównała — poszedł z nią. Z początku milczeli oboje, nareszcie niewielki człowieczek przystanął — stanęła i dziewczynka.

— I cóż se poczniesz? — odezwał się.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Do stryjny nie wrócisz?

— Nie, nie wrócę — nigdy.

— Jakże ci na imię?

— Jaga.

— Słuchajno Jaguś.

— Mówcie.

— A żebyś ty się do mnie przeniosła.

— Do was?

— Do mnie, mam ciepłą chatę, drzewa podostatkiem i morgę gruntu. Lasu pańskiego pilnuję, to i paść mi w nim wolno. Sam jestem jak palec, matusia mi zmarła na wiosnę. Przygarnę cię bez zimę, to mi w lecie odrobisz. Nie ma komu krowy wydoić, ziemniaków uskrobać, strawy uważyć. Jakoś raźniéj i weseléj się zrobi w izbie.

— A nie będziecie mnie bić, bo ja jeszcze wszystkiemu nie podolę, jakby jaka gospodyni.

— Nikogo jeszcze nie uderzyłem a ciebie miałbym bić — sierotę? Abo to będziesz zła?

— Dobra będę — odpowiedziała — a jak ino podrosnę to zobaczycie.

— A ileż masz?

— Na czternasty, mówili stryk.

— To niedługo czekać. No cóż Jaguś pójdziesz?

— Pójdę — szepnęła.

— A no to chodźmy.

— Tylko że mnie nogi bolą i jeżeli daleko, to nie zajdę.

— Boś się zmizerowała bez całą noc i tyle strachu najadła. Ujął ją za rękę.

Gwarzyli, lecz Jaguś słabła, w oczach się jéj mroczyło i nóg już nie mogła uciągnąć za sobą. Leśny zdjął z niéj płachtę, rozłożył na ziemi, posadził dziewczynkę, ukląkł, pochwycił końce do rąk i dźwignął, prostując się.

— Ej Jaguś, Jaguś ważysz ty nie więcéj nad pół korca żyta.

— Bom zmizerowana, dawniéj trzy ćwierci przeważyłam — szepnęła.

W jednym z rogów płachty namacał pieniądze.

— Cóżto masz zawiązane w węzełku?

— Ej to państwo mi dali, za zgubione ciele.

Uśmiechnął się leśny.

— To i lepiéj że z próżnemi nie przychodzisz do chaty rękami.

— Lepiéj — odpowiedziała cicho.

Milczeli, droga stawała się coraz cięższa, nogi grzęzły w piasku, leśny ciężko oddychał, a ciemny las powoli jakoś zbliżał się do nich.

— Jaguś nie poszłabyś choć odrobinę sama.

— Może i pójdę — odpowiedziała.

Otulił ją płachtą, wziął za rękę—poszli. Dziewczynina się słaniała, odpoczywała. Nie było rady—wziął ją na ręce.

— Aby ino dobić do lasu — powtarzał — to sobie poradzimy; prawda Jaguś?

— Prawda — szepnęła.

Koło południa drzewa po nad nimi zaszumiały. Leśny zwrócił się na ścieżkę, zatrzymując się na niewielkiéj polance.

— Jaguś zaczekasz tu na mnie, a ja niezadługo wózkiem przyjadę po ciebie.

Nagarnął liści dębowych, ułożył dziewczynkę, przykrył ją płachtą, zdjął z siebie płótniankę i otulił.

— A wracajcie jakeście dobrzy, cnie mi się za izbą, coś mnie tak rozbiera, pić się chce.

— Zdrzem się ino, nie uleci godzina jak wrócę.

Pogłaskał ją po twarzy. Dziewczynka chciała go pocałować w rękę, lecz nie pozwolił na to.

Poszedł—Jagusia zasnęła. Śniła jéj się wielka woda, która ją przyjąć do siebie nie chciała, wóz ziejący ogniem co stanął przed nią i w białéj płótniance gospodarz. Niósł ją przez pola i lasy daleko, gdzie słońce świeciło i radość była.

— Jaguś przespałaś się, zbudził ją głos małego człowieczka.

Dziewczynka oczy otworzyła, lecz nic nie odpowiedziała. Przed nią stał niewielki wózek z przyprzężoną do niego krową.

Podajcie mi ręce.

Chciała powstać lecz nie mogła. Zaniósł ją na wóz, zagrzebał w słomę, okrył starym kożuchem, wdział płótniankę i ruszyli w drogę.

Jechali wolno. Na twardéj drodze krowa ciągnęła sama, lecz gdzie było ciężéj głęboki piasek—leśny przyprzęgał się do wozu i albo go pchał, albo idąc przy krowie ciągnął za powróz.

I tak dobili do chaty na kraju lasu stojącéj. Tuż za nią drzemała nie wielka stodoła i przylepiona do niéj na jedną krowę stajenka...

Dziewczynina siedząc na łóżku rozglądała się po dużéj izbie, chociaż mało co widziała. Ciemne płatki latały jéj przed oczyma, a w głowie szumiało, jak w młynie.

Gospodarz usłał jéj pod ścianą ze świeżego siana legowisko, obciągając go płachtą, poduszkę dał własną, ułożył dziewczynkę, okrył kocem, na nogi położył stary kożuch.

Słońce zaszło, ciemność zaległa w izbie, lecz za to ogień jasny, sypiący iskrami buchnął na kominie.

— No jakże ci Jaguś spytał leśny siadając obok dziewczynki.

— Matusia mi was zesłała, odpowiedziała cicho. Woda mnie nie wzięła, ognisty wóz nie stratował, bo wyście na mnie czekali.

— Bylebyś ino była zdrowa. Ugotuję ci kwaśnego żuru i Bóg da jutro wstaniesz.

— Wstanę, szepnęła wzdychając.

Nie doczekała się żuru,—rozpalona jak ogień zasnęła.

IV.

Nie wiedziała jak długo spała gdy otworzyła oczy, podniosła rękę do czoła, lecz ledwo ją dźwignąć mogła. Chciała wstać, a głowy od poduszki oderwać nie miała sił. Patrzała zdziwionemi oczami po izbie i nie wiedziała gdzie jest. Nie była to izba stryjny,— i stryjna by ją do izby nie przyjęła. Zaczęła sobie przypominać wodę wielką i zimną, wóz ognisty i nareszcie uśmiechnęła się. Do

uszu jéj doleciał szum drzew z pobliskiego lasu, z chaosu jéj myśli wyłaniał się niewielki człowieczek w białéj płótniance. On ją tu przywiózł. Uśmiechnęła się szczerzéj i serdeczniéj. Była daleko, daleko od stryjny.

Wieczorem zaskrzypiały drzwi, do chaty wszedł ten sam człowieczek w kożuchu i czapce zielonéj z dubeltówką w ręku—podszedł do dziewczynki, popatrzał na nią i uśmiechnął się serdecznie.

— Wiesz Jaguś najadłem się strachu o ciebie. Bez dwie niedziele leżałaś jak rozpalona kłoda, ledwoś się dwa razy wody po odrobinie napiła. Myślałem że już skapiejesz na piękne. No ale przecie oczy rozwarłaś.

— Rozwarłam, odpowiedziała wesoło. Chciała dziękować ale jakoś nie śmiała i nareszcie nie miała sił.

Leśny usiadł przy niéj.

— Cóżbyś zjadła, do czego sobie lubujesz, jutro pójdę do miasta to ci przyniosę. Przecie masz swoje pieniądze.

— Weźcie je, prosiła, weźcie, co mnie po pieniądzach, na mleko mam ino smak.

Wypiła mleka i cicho leżąc patrzała na wesoły ogień, parę obrazów świętych zawieszonych na ścianie, wsłuchując się w szumy drzew z przyległego lasu.

— A wiesz Jaguś, że mi cię żal było i cnęło się. Ciągiem ino sam od śmierci matusi, tyś się zjawiła, ledwoś zagadała i spałaś jakby do skonania.

Nalał żuru do miski, w drugą wysypał z garnka ziemniaki, postawił na stole, wyjął blaszaną łyżkę i jeść zaczął.

Dziewczynka się patrzała rada, uśmiechnięta, szczęśliwa. Zapach żuru rozbudził w niéj apetyt. Wypiła go garnuszek, krople potu wystąpiły na jéj twarz, sen ją zmorzył i zasnęła.

Już był dzień gdy otworzyła oczy, spojrzała w okno, białe płaty śniegu leżały na zielonych gałęziach sosen, przy łóżku ustawione czekały na nią garnuszki, jeden z mlekiem drugi z żurem.

— Już zima, pomyślała, a ja bez butów, zmarniałabym u stryjny. Spojrzała na garnuszki, skosztowała żuru, wypiła mleko i radowała się swém szczęściem. Ciepło było w izbie, cicho, żywego ducha, że słyszała bicie rozradowanego serca.

Dziewczynka lubując się w téj ciszy i samotności dziękowała matusi.

— Święta Panienka nie zlitowała się nademną i nie obroniła mnie. A może to ona zrobiła że mnie woda przyjąć nie chciała. Może ona zatrzymała i zesłała dobrego człowieka.

Wieczorem przyszedł leśny z jarmarku, kupił jéj kukiełkę i buty, a za resztę młodziutką jałówkę dla niéj, bo to jéj pieniądze,— wychowa ją sobie na krowę.

Jagusia chciała zobaczyć jałówkę, przyprowadzoną głaskała, chociaż ledwo rękę podnieść mogła. Zwierzątko było wesołe i ładne.

Uradzono aby ją zostawić w izbie,—posłać w kącie odedrzwi słomy i uwiązać, będzie weseléj.

Minął tydzień i drugi Jagusia nie wstawała. Miała i nowe buty i stary kożuch leśnego, radaby wylecieć na Boży świat, lecz nie mogła, nie miała sił podnieść się. Czula że jest ciężarem dla biednego człowieka i tém się gryzła.

Posmutniała i swe obawy i żale powiedziała leśnemu.

— A choćbyś bez całą zimę leżała i bez rok i bez dwa, to ci marnego słowa nie powiem. Wiesz Jaguś co, mówił daléj zmięszany spuszczając oczy, jak wydobrzejesz i urośniesz na śmyśną dziewuchę, nauczę cię co potrzeba, pójdziemy do jegomościa na pacierze, dam na zapowiedzie i zostaniesz moją kobietą. Wydasz się za mnie?

Jaguś się zarumieniła jak wiśnia.

— A jakże wam szepnęła.

— Marcin.

— Mój Marcyś rzekła cicho, dobrzy jesteście, przytuliliście sierotę, a la czegobym się nie miała za was wydać. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po twarzy. Niechno ino ja się zwlokę, mówiła daléj wesoło, zobaczycie jak się wezmę do pracy, krowę wydoję, nawóz z pod niéj wyrzucę, opatrzę jałówkę, izbę skropię wodą i zamiotę, rozpalę ogień, garnki nastawię, ziemniaków naskrobię i sama się ogarnę... Gdyby było prosię, to i jemu dałabym radę. Nie będziecie na mnie narzekać. W lecie to i gałązek z lasu przyniosę, jagód uzbieram, w żniwa na zarobek pójdę. Nie zmarnuję wam grosza,— stroić się nie lubię ani łakoma nie jestem.

— I naśmiewać się ze mnie nie będziesz jak inne dziewuchy.

— A z czegóż? że utykacie na nogę, abo że macie twarz podziubaną, to Bóg tak dał,—odpowiedziała swobodnie.

Naiwna odpowiedź dziewczynki chwyciła za serce Marcina Bóg tak dał i zacóż ludzie mają śmiać się z niego, a młode dziewczyny pogardzać nim. Jagusia jak wydobrzeje i urośnie będzie ładna, zostanie jego kobietą, będzie dobrą, pracowitą... Nie śmiał po-

myśléć, że kochać będzie, nie umiał określić tego uczucia, choć go przeczuwał.

Onieśmielony milczał, milczała i Jagusia. Radość rozsadzała jéj serce. Marzyła jak zostanie gospodynią, czuła się już w połowie panią w chacie.

— Późniéj Jaguś, to i dziewkę przyjmiemy,—odezwał się Marcin.

— Późniéj, pochwyciła Jagusia. Pókim młoda to dam se przecie radę.

Zamilkli oboje. Leśny myślał jaką to będzie miał kobietę, Jagusia rozważała jak sobie musi w gospodarstwie radzić. Szczęście dodawało jéj śmiałości. I znowu wyciągnęła chudą rękę i pogłaskała twarz Marcina.

— Mój Marcyś wyście dobrzy, bardzo dobrzy, bierzecie sierotę co wam żadnego wiana nie wniesie...

— A jałówka, przerwał Marcin. Nim się wydasz, to już dobrze będzie krową.

Dziewczynka pokiwała głową.

— Ej Jaguś abyś była ino dobrą, to powiem że mi cię Pan Bóg zesłał.

— Matusia,—dodała dziewczynka, i święta Panienka dodała w myśli.

Ciche dnie radości szybko płynęły. Marcin wieczorem siadywał na posłaniu Jagusi, dziewczynka głaskała chudą ręką dziobatą jego twarz, gwarzyli o przyszłém gospodarstwie.

Mijał tydzień po tygodniu, dziewczynka nie mogła się podźwignąć, chociaż twarzyczkę miała uśmiechniętą i czuła się szczęśliwa...

Całemi dniami leżała w pustéj izbie. Jałówka przychodziła do niéj skubiąc siano z pod jéj posłania, głaskała ją, rozgrzewając skostniałe swe ręce ciepłem jéj oddechu. Dobrze jéj było w tém otoczeniu i chociaż ją nieraz w krzyżach łamało, nie skarżyła się.

Ręce jéj schły, twarz chudła, oczy zapadały w dół. Widział to Marcin, czasem westchnął cicho, po nocach nie sypiał, lecz słowem się nie zdradził.

— Mój Marcyś mówiła, może ja się już nie dźwignę i nie będziesz miał swojéj baby. Pójdę za Matusią i nie zobaczę ani twéj krowy ani stodółki, ani naszego pola, bo ono przecie i moje by było. Nie pochwalisz się swoją babą w kościele. Taka już moja dola, ale się nie skarżę, bo mi tu dobrze z tobą. Żeby ino tak w niebie było.

Chłop wybiegł z izby, dopadł do stajenki i dopiero tam wybuchł serdecznym płaczem, że się uciszyć nie mógł.

Obłaskawiła króliki i dużo miała uciechy gdy po posłaniu skakały, jedząc z jéj ręki liście kapusty. Dziękowała w duchu Matusi, że ciele stryjny się urwało, a ją przez trzęsawiska i wody aż tu zaprowadziła. Święta Panienka nie chciała ją uzdrowić, miała żal do niéj.

Zawsze gdy się drzwi otwierały i Marcin wchodził uśmiechała się do niego serdecznie, a jeżeli wieczorem usiadł na jéj posłaniu i bajki opowiadać zaczął, radość była wielka. Słuchała wpatrzonemi w niego oczami.

Gdy mrozy nastały nawiedziła ją myszka, skradając się powoli. Dostała okruszynę chleba i nazajutrz przyprowadziła drugą. Zwierzątka ucieszyły Jagusię i odtąd żyła z niemi w przyjaźni.

Oddech jéj stawał się krótszy, świecące oczy co raz więcéj zapadały w głąb, twarz jéj ciemniała, głos przycichł, serce jéj drżało niepokojem i ciężkim smutkiem.

Przed wieczorem wrócił z lasu Marcin, chociaż śnieg przykrył ziemię i mróz skrzypiał pod nogami, słonko świeciło.

— Moj Marcyś coś mnie tak ciągnie, aby zobaczyć wasze gospodarstwo. Już ja teraz nie taka ciężka, jak wtedy gdyś mnie niósł w płachcie, pamiętasz? Odziejże mnie kożuchem i wynieś na Boży świat, do twéj stajenki, do stodoły i choć ręką pokaż twoje pole.

Nie śmiał jéj prośbie odmówić. Zawdział na nią swój nowy kożuch, wziął na ręce, serce mu zabiło ze strachu—tak była leciutka.

Pogłaskała krowę, popatrzyla na stodołę, uśmiechnęła się do słonka, spojrzała w stronę w któréj leżało pole Marcina,—cieszyły ją wielkie dęby i smukłe sosny szumiące nad jéj głową... Zimno ją przeszlo, głowa zaciężyła, że wsparła ją na ramieniu leśnego i dla tego wrócili do izby.

Późno już wieczorem przywołała go do siebie ujęła za rękę i przyciskając ją do ust, zapłakała cicho. Płakał i Marcin, tylko łez jego nie widziała.

— Mój Marcyś dziekuję ci za wszystko. Pocałuj że mnie szepnęła·

Pocałował ją,—uczula łzy jego na swéj twarzy.

— Toś ty przecie polubił swoję babę i będzie ci trochę się cnić za nią—dodała. Marcin nie mógl ani jednego słowa przemówić.

— Pamiętajże o jałówce, o królikach, nie odpędzaj dwóch myszek co mnie nawiedzały. Zostawiłam im okruszyn chleba, posyp im i ty, żeby głodu nie cierpiały. Dziękuję Matusi i Bogu żem i ja przecie zaznała odrobiny szczęścia i nie skarżę się na swoją dolę. Idź mój Marcysiu, legnij se i zaśnij, późno już.

Usłuchał Marcin sieroty, chociaż serce nim szarpało i spać nie mógł. Zrywał się podchodził do dziewczynki, nachylał się nad nią i słuchał. Oddychała leciutko, że ledwo uchem oddech jéj ułowił. Poszedł na posłanie lecz za chwilę wrócił i słuchał, odchodził i znowu powracał. Nad ranem zdawało mu się że słyszy płacz żałośny. Zerwał się, stanął,—w izbie było cicho. Podszedł do Jagusi, słuchał nie mógł już ułowić jéj oddechu. Zapalił łuczywo i z płonącem zbliżył się do posłania dziewczynki. Była blada jak wosk świec kościelnych, oczy miała zamknięte i uśmiech na ustach jak wtedy, gdy mówiła: „dobrze mi z Tobą, żeby ino tak w niebie było."

Łzy zasłoniły mu oczy, rzucił szczypę w komin i usiadł na ławie. Nie skarżył się, nie przeklinał, lecz sposępniał i zdrętwiał jak gdyby mu serce wydarto.

Zimno mu było i pusto. Zerwał się na świtaniu i wybiegł w las. Powrócił koło południa dźwigając dwie deski.

Jałówka stała nad dziewczynką, ogrzewając twarz jéj swym oddechem jak gdyby ją zbudzić chciała, króliki myły się na jéj posłaniu,—okruszyn chleba już nie było.

Nie śmiał rąbać i zbijać desek w izbie, założył warsztat w stodółce. Pracował gwałtownie, nerwowo, śpieszył się—pot spływał mu po twarzy, ręce drżały. Nie odpoczął póki nie zbił trumny. Wymalował na niéj białém wapnem krzyż—i wtedy dopiero wyjął z zanadrza kawałek chleba, zjadł go,—a był mu gorzki jak serce i myśli jego.

Wrócił do izby, wystrugał krzyżyk i włożył go w ręce dziewczyny, pocałował ją, obtarł rękawem ostatnie wysączone z pod serca krople łez, otulił ją płachtą w któréj przyszła do niego, wdział jéj na nogi nowe buty i zaniósł do trumny. Wiórów podłożył pod głowę i wieko przybił kołkami.

I znowu zaprzągł się z krową do wózka i pociągnął w las wioząc trumnę.

— Jaguś będziesz bliżéj mnie, powtarzał w myśli. Nikt cię nie widział kiedyś przyszła i nikt cię nie widzi gdy odchodzisz. Wszędzie ziemia święta—a tu zaraz sądy, doktory, nie daliby ci pokoju.

Na wzgórku po za wieńcem smukłych modrzewi i brzóz wykopał dół i na powrozie spuszczał trumienkę powoli, żeby dziewczynce co złego nie zrobić.

Przy pierwszych odgłosach spadającego piasku na wieko trumny, rozpłakał się głośno.

Leśny i krowa ciągnąc próżny wóz wracali do domu. Milczeli, słychać było skrzyp kół toczących się po zmarzniętym śniegu.

W izbie było zimno i pusto—ponuro. Serce mu pękało z boleści i żalu,—pochwycił dubeltówkę i uciekł na całą noc w las.

Sewer.

NIEBOSKA I IRYDYON.

ZARYS ROZWOJU DUCHOWEGO POETY

W PIERWSZYM OKRESIE TWÓRCZOŚCI POETYCKIÉJ

(1830—1835).

III.

Rozpatrując bliżéj przebieg duchowego procesu poety dostrzegamy w nim nieustanny ciąg wzniesień i opadań, wybuchów gromadzonéj energii i odrętwień po jéj wyczerpaniu. Linia prosta ani jako biegnąca poziomo ani jako wznosząca się pod pewnym kątem do poziomu, nie może być nigdy graficznym wyrazem procesu życia. U niemowląt i najniżéj rozwiniętych duchowo jednostek już występuje choć słabo to wzbieranie i opadanie załamujące linią życia w szereg fal. Wzmagająca się wraz z wyższemi stopniami rozwoju umysłowego wrażliwość potęguje siłę tego falowania. Odradzająca się energia wybucha za coraz to słabszą podnietą, sprowadzając depresyą tym więcéj przygniatającą im wyżéj jednostka wzniosła się przed chwilą. Rzecz naturalna, iż takie częste przechodzenie z jednego stanu w drugi pociąga za sobą ciągłe a nieuchronne zmiany w naszych uczuciach i poglądach. Inaczéj się nam wydaje świat cały i życie, gdy porwani falą wezbranéj energii ujrzymy się na wysokościach panujących szerokim obszarom, gdy uczucie własnéj wyższości i potęgi, pełnia zdobytéj wiedzy i osiągniętéj harmonii upoi nas, i napełni optymistyczną otuchą—inaczéj znowu oceniamy nasz byt i nasze otoczenie gdy znajdziemy się bezsilni, zwątpiali na dnie otchłani śród piętrzących się dokoła fal, gdy obok siebie ujrzymy szczątki strzaskanych planów i nadziei a zgóry doleci nas tryumfalna pieśń nieprzyjaciół lub rywali. Choć tracimy zaufanie do łodzi, która nas doprowadziła do rozbicia i flagi, którą poszarpały tak łatwo wichry, mimoto, odzyskawszy siły, z nowym zapałem puszczamy się na innym statku, pod inną flagą by podobnego doznać losu. Nie każdy wprawdzie podąża z wiarą Kolumba ku nie-

znanym światom, nie każdy ma dość energii i odwagi by pomimo niepowodzeń ponawiać próby. Jedni po pierwszéj przygodzie zostają rozbitkami na całe życie inni znowu, ostrożniejsi i bojaźliwsi, wolą wędrować po bitych drogach lub pływać wzdłuż brzegów jedynie.

Rzecz naturalna iż ci ostatni mogą często do śmierci zachować zasób raz wytworzonych pojęć i ten sam nastrój uczuć. Burze nie pozrywają im ani nie rozstroją strun serca, które automatycznie powtarzać będzie wiecznie tę samę piosenkę, pojęcia nie poddawane próbom żywotności i wytrzymałości przez zetknięcie i połączenie z nowo przyswojonemi, pozostaną również niezmienne, zasuszone jak bukiet pamiątkowy. Czyż możemy jednak oddawać cześć takiéj wytrwałości przy raz nabytych pojęciach i uczuciach a potępiać śmiałych, walczących i cierpiących torowników nowych dróg za częste i nieuchronne sprzeczności w ich przekonaniach, za liczne dysonanse w ich uczuciach? Czyż pod tymi wzajemnie się wyłączającymi poglądami nie czujemy zawsze nienasyconego pragnienia i niezmordowanego dążenia do prawdy, a dysonanse owe nie są tylko przygotowaniem i zapowiedzią wyższéj doskonalszéj harmonii godzącego je akordu? Wielkość nie na tém polega by nie błądzić i nie upadać lecz na tém by się z błędnych dróg w porę zwracać a z upadku podnosić się szybko i ciągle postępować naprzód.

Niepodobna obserwatorowi, nawet u siebie samego, pochwycić wszystkich momentów procesu duchowego gdy ten zachodzi w organizmie uległym chronicznéj niemal gorączce, wywoływanéj przez drażliwość nadmiernie czułych nerwów i nierozłączne z tą wrażliwością zaburzenia w obiegu krwi. W stanie takim uczucia i pojęcia jak fale na morzu nieustannie wzbierają, biegną, łączą się, ścierają i rozpływają. Zaledwie że możemy śledzić za kilku wydatniejszemi które dobiegłszy brzegu samego, granic rzeczywistości, zaznaczyły swą bytność pozostawieniem po sobie garstki błyszczących kamyków. Taką drobną pozostałością upamiętniła swój byt jedna z silniejszych fal jaką rozbudzone uczucie wytworzyło w duszy Krasińskiego. Falę tę wywołała miłość która ponownie zawładnęła nim już nie w formie gorączkowego szału podniecenych zmysłów ale jako tęsknota cierpiącéj i zawiedzionéj duszy dążącéj ku zespoleniu z pokrewną cierpieniem i uczuciami istotą. W końcu 1833 r. czy na początku 1834 r., ale już po napisaniu „Nieboskiéj“ (1) spoty-

(1) W całym tym utworze niema śladu nawet uczuć miłosnych a przeciwnie częste oznaki rozczarowania i goryczy jak np. w rysie dezercyi kobiet z obrazu arystokratycznego do ludowego dla dogodzenia zmysłom. „Anioły nasze“ powiada z ironią „Mąż“

ka Krasiński Maryą* a w niéj swój ideał kobiecy. Jedna fala poruszonego uczucia pociąga za sobą powstanie innych. Razem z miłością wzmaga się wiara w urzeczywistnienie ambitnych marzeń, pragnienie sławy, gorączka wielkości i poświęcenia się dla własnego społeczeństwa. Potrzeba roztoczenia przed kochającą go kobietą całego bogactwa własnéj duszy wskrzesiła i roznieciła na nowo wszystko co w niéj zasnęło i przygasło.

Cóż z tego jednak że dawne powróciły ideały i dawne uczucia z nową rozbudziły się siłą, kiedy w drodze ku ich ziszczeniu trzeba było przechodzić całe piekło walk i cierpień i w końcu napotkać mur nieprzebytych przeszkód. Kobieta, którą pokochał i któréj wzajemność pozyskał, miała męża i dzieci a w swém szlachetném i wyegzaltowaném sercu poczucie obowiązku. Nie tylko więc że stosunek z nią ograniczać się musiał na rzadkich dorywczych spotkaniach, u wód zwykle—ale i rozkosz tych krótkich chwil szczęścia zatruwały zarówno: konieczność ukrywania przed światem tego co powinno było stanowić ich chwałę i radość jak i budzący się ciągle wyrzut sumienia z powodu zdeptania świętych dla kobiety obowiązków (1).

W miłości téj, jak często trafia się w życiu, najwyższe szczęście zespoliło się z najwyższą boleścią. Ciągła wewnętrzna walka przerywana tylko przez momenta odrętwienia i wyczerpania, nieustanne, jednostronne skierowanie myśli i uczuć ku jednym przedmiotom i celom, oddziaływało najszkodliwiéj na zdrowie Krasińskiego. Męcząca bezsenność częste uderzenia krwi na mózg pozbawiające przytomności, dolegliwe cierpienia oczu były wynikiem tego stanu duszy. „Wciąż słaby jestem na duchu, pisze z Rzymu (29 listop. 1834 roku) roją mi się fantasmata w sercu i mózgu, nieskończone żądze, niewymowne pragnienia którym nigdy nie stanie się zadość jako nigdy się nie stało. Są chwile w których upadam na łóżko i leżę jak martwy ale są i takie w których myśli mojéj duszy wytężam gdyby ramion tysiąc w które objąć chce świat cały... Chorobą fizyczną zniszczała lepsza połowa ducha mego (List z 3 lutego 1835 roku). Téj sprężystości już niemam którą dawniéj gibki byłem czy w mówieniu czy w pisaniu, czy w działaniu choćby głupstw nawet.. Namiętności którymi żyć lubiłem nie dopełniły przeznaczenia swe-

---

gdy mu oprowadzający go Przechrzta wskazuje na księżniczki i hrabiny tańcujące z lokajami.

(1) Niewielką ilość znanych dotąd szczegółów tego pokrytego tajemnicą stosunku, zebrał i zestawił p. Chmielowski w pracy: „Kobiety Mickiewicza, Słowackiego Krasińskiego" w rozdziale „Jak Krasiński pojmował miłość."

go we mnie; w ich płomieniach umiałbym śpiewać a kiedy miną rozstrajam się i milczę. Nędzne to życie, które potrzebuje ciągłych podbechtań by nie zgasło, które prócz gorączki nic nie miłuje, które wciąż z nieba w piekło zapada.“

Nieustannem źródłem udręczeń dla cierpiącej duszy było także położenie kraju w którym smutne skutki wypadków 1831 r. występowały coraz dotykalniej, przedstawiając się nieobecnemu w jaskrawszych daleko barwach i nasuwając ciągle myśl o niespełnionej powinności, nieziszczonych zamiarach.

Na nieszczęście, ówczesne stosunki i indywidualne warunki poety nie pozwalały mu ani na jasne sformułowanie celu i planu tej działalności ani też na wynalezienie środków i widowni odpowiedniej. Jedynem polem możliwem była własna wyobraźnia, jedynymi zaś środkami zasób obrazów, uczuć, idei. Autor „Nieboskiej“ pragnął władzy, ale gardził tymi od których mógł ją otrzymać i których współdziałanie było niezbędnym jej trwałości warunkiem, nie chciał dochodzić tej władzy ani „podłą pracą“ ani „podstępami lub przemysłem,“ pragnął, by drogą cudu nań spadła „nagle, znienacka“ i otoczywszy go płomiennym płaszczem nadziemskiej potęgi uczyniła panem serc i umysłów. Rozkoszując się tem marzeniem, widział w sobie nie poetę, twórcę „mamczynych piosenek“ ale piastuna dojrzewającego w duszy czynu, przyszłego wybawcę narodu. Marzenie to przyjmowało w miarę przekształceń zachodzących w umyśle i sercu poety postać odpowiednią nastrojowi uczuć i kierunkowi pojęć.

Obok tych dwóch nieszczęśliwych miłości i w ścisłym z nimi związku, dręczyła cierpiącą duszę ciągle powracająca i w coraz nowej formie występująca zagadka życia, którą spragniony prawdy i pewności umysł daremnie usiłował rozwiązać za pomocą filozofii niemieckiej. Nie łatwo było zaspokoić jego pragnienia bo sięgały szeroko i daleko, obejmowały cały zakres indywidualnych, społecznych i historyozoficznych pytań, ogarniały zarówno przeszłość jak i przyszłość własnego społeczeństwa i ludzkości; wymagania umysłu i serca zarazem. Sama spekulacya filozoficzna nie nęciła go, zostawiał on to mozolne budowanie drabiny pojęciowej, Danielewiczowi i Cieszkowskiemu, sam zaś żądał od filozofii gotowych, niewzruszonych rezultatów na których-by mógł oprzéć swą upragnioną działalność, swą poezyą czynu. Panteizm heglowsko-szelingowskiej filozofii, który panował wówczas wszechwładnie w życiu umysłowem całej młodej generacyi, był jedynem źródłem u którego poeta mógł zaspokoić swe pragnienia. Nie znalazł tu jednak tego pokrzepienia i uspokojenia jakiego szukał. Ilekroć przy pochodni

panteistycznéj filozofii spojrzał w bezmiary nieskończoności, w otchłań „absolutu“ spostrzegał tam tylko ciemności, ciszę i nicość rozpaczliwą. „Bóg zjednoczony ze światem“ wydawał mu się jakby „nieskończone zwierzę bez granic, zwierzę instynktowe, fatalne, w którem wszystkie indywidualności giną a które indywidualnościami się objawia“... „Panteizm jest to rozpacz wyrozumowana, pisze do Gaszyńskiego, panteizm zatruł mi wiele wiar i dla tego proszę cię nie ufaj jemu, czekaj lepiéj w niepewności zgonu niż żebyś miał uwierzyć w tak okropną i suchą pewność.“

Któż jeżeli tylko pragnął i poszukiwał prawdy kiedykolwiek w życiu, jeżeli z całym zapałem i gorliwością podejmował i usiłował rozwiązać zagadkę własnego bytu, niedoznawał cierpień, jakie sprowadza konieczność rozstawania się z dawniejszymi wierzeniami i pojęciami a przyjmowania nowych, burzących dotychczasowe ideały naszego serca i wyobraźni? Któż nie współczuje z dwudziestotrzyletnim myślicielem poetą gdy woła rozpaczliwie: „Przekleństwo tym Niemcom panteistom i filozofom... przeklęci, oni mnie pozbawili na czas długi uczucia piękności. Jeżeli to prawda żeśmy błaznami dni kilku a potém prochem, gazem, infuzyorami idącemi się zrosnąć w jakie inne błazeństwo organiczne?.. Ah powiedz mi gdzie piękność gdzie poezya? Bo poezyi niema bez nieśmiertelności duszy; bo poezya to losy dusz naszych w przeszłości i przyszłości w porównaniu ze stanem naszym obecnym... Bez tego już mi i oczy méj kochanki, już mi i promienie słońca niemiłe“ (List XXVIII). Już jednak w następnym liście zamiast protestu spotykamy pesymistyczną rezygnacyą... Jakże zimne jest to życie, jak ono nas splotami zimnymi obwiało... Szczęście bez granic i zmiany jest marzeniem tu i tam. A zatém ile wieczności nam stanie tyle i bólu a niechcesz tego to obieraj nicość. Ból albo nicość niema trzeciego stanu!“ (1).

Cierpienie stanowi jeden z najdzielniejszych bodźców twórczości. Chcąc znieść dręczący go ból człowiek szuka instynktowo znieczulających środków. Szczęśliwy, komu bogate zasoby ducha pozwalają stworzyć świat imaginacyjny i w nim szukać zapomnienia o nędzach rzeczywistości. Szczęśliwszy jeszcze wielekroć kto ma dość siły i talentu, by nadać swemu marzeniu trwałe realne formy, w których ono może przez długie wieki spełniać względem cierpiących przysługę jaką oddawało samemu twórcy. Zostawić w swych utwo-

---

(1) Jakkolwiek powyższe ustępy są wyjęte z listów pisanych już po ukończeniu „Irydyona,“ jednak przy półrocznéj przerwie w korespondencyi (drugie półrocze 1835 r.) mogą te wyznania zgodne zresztą z rozsypanymi po utworze, dostarczyć nam wskazówek do zrozumienia stanu duszy poety w chwili poczęcia i w czasie wykonania pomysłu.

rach niewyczerpane źródło pociechy i pokrzepienia, odsłonić śród ponuréj opony atmosfery ziemskiéj okno, przez które znużony pracownik może wyjrzéć na świat inny, szerszy, jaśniejszy, lepszy, jest-to niezawodnie jedna z największych przysług, jaką można oddać cierpiącéj ludzkości.

Szukając, w artystyczném realizowaniu swych ideałów, ulgi na cierpienia moralne, pociechy na zawody swéj ambicyi i swych miłości, nie przypuszczał Krasiński, że wypełnia swe powołanie, że służy społeczeństwu w sposób najodpowiedniejszy własnym zdolnościom i jego ówczesnym potrzebom, że jest wiernym tłómaczem jego cierpień i pragnień. Nieprzestawał on w utworach swych dopatrywać tylko tymczasowych środków, przygotowawczych odezw, poprzedzających upragnioną chwilę czynu, realizacyą głoszonych uczuć, obowiązków, poświęceń.

Nie otrzymawszy od filozofii odpowiedzi na dręczące go pytania i podstawy dla swych planów, zwrócił się do dziejowéj przeszłości i w jéj obszarach, dostarczających imaginacyi—nieprzebrane bogactwo obrazów, a myśli—całe grupy faktów, przedstawiających pod pozorami chaosu harmonią i prawidłowość—znalazł chwilowe uspokojenie i pożądane formy dla wcielenia swéj ukochanéj myśli.

Świat grecko-rzymski przemawiał do duszy młodego wędrowca tém w czém najtrwaléj i najplastyczniéj uzewnętrzniło się jego życie: pomnikami architektury i rzeźby. Na ruinach Rzymu i wykopaliskach Pompei studyował Krasiński przeszłość dziejową i artystyczne życie Italii. Jako poeta-artysta rozkoszował się tą harmonią treści z formą, nieznaną, niemożliwą w epoce nowożytnéj; jako myśliciel rozważał wspaniałą lekcyą filozofii dziejów głoszoną przez zabytki Rzymu. „Tu masz wszystkie idee tego świata, pisał do Gaszyńskiego, rozciągnione na ziemi i zdeptane: patrycyat w sarkofagu Scypiona, w grobie Metelli; zwierzchnictwo ludu w cyrku gladyatorów, w pałacach Cezarów, bo Cezar był najwyższy trybun, Cezar był niegdyś reprezentantem ludu.“ Z téj wielkiéj przeszłości, z tego Rzymu „co był otchłanią pożerającą wszystkie narodowości świata“ zostały „ruiny pokryte bluszczem .. rozkosz zielona jaszczurek,“ zostały groby „pomięszane, powikłane, leżące w pustyni.“ Po nad tém wszystkiem „krzyż panuje, katolicyzm stanął na wszystkich wzgórzach.“ Cała małość ludzkiéj wielkości, cała bezsilność ambitnych dążeń, odsłaniała się dumającemu na stopniach Kolizeum młodzieńcowi. Schylając z rezygnacyą czoło przed krzyżem, rozstawał się ze swemi marzeniami o sławie i wielkości i szukał po ich utracie pociechy w zwróceniu serca i myśli ku zaświatowym sferom. Sceptyk i panteista stawał się wierzącym katolikiem.

Był to jeden tylko z ciągle zmieniających się stanów duszy, co nie przestawała być „nierządnicą“ coraz to nowych wrażeń i uczuć. Przed tą nieustanną zmiennością, jedyną ucieczką było zwracanie myśli ku imaginacyjnym widowniom, stworzenie w braku obowiązkowéj pracy i trosk o chleb powszedni, wymarzonych celów i zajęć i utrwalenie swych marzeń przez nadanie im formy realnéj. Arystokratyczne i estetyczne zarówno upodobania poety skłaniały go do zastąpienia jedynéj właściwéj widowni działania, na któréj spotkać by musiał nieprzezwyciężone przeszkody i wstrętne mu warunki—przez inną, realną bo historyczną, lecz czyniącą zadość i ambicyi, przez swe ogólne dziejowe znaczenie, i estetycznym upodobaniom, przez zdobiące ją pomniki wielkiéj sztuki i tło rozkosznéj przyrody. Tém wcieleniem najdroższego marzenia poety w najmilsze mu formy był Irydyon.

V.

Poznawszy główne rysy nastroju duchowego, w którym powstała przewodnia myśl autora, łatwo odnajdziemy w nim odbicie warunków i stosunków życia poety i odgadniemy znaczenie charakterystycznych postaci i scen tego dramatu. Sam poeta w liście z 22 maja 1836 r. kreśli nam jaskrawy obraz moralnych i fizycznych tortur swego pobytu w Rzymie. „Szczegóły życia mego! Błądzić po ulicach, nie sypiać po nocach, ledwo słyszeć co do mnie mówią; cierpieć wiecznie w głębi ducha, książkę do ócz zbolałych przyłożyć i odrzucić ją ze wstrętem; tysiącom myśli jak kartuzy powtarzać *memento mori*, płonąć gorączką od nagłego gwałtownego śmiechu i zapaść w próżnią bezdenną, w milczenie kilkogodzinne....“

Obraz jednéj z tych bezsennych nocy spotykamy w „Irydyonie.“ Trapiony gorączką ciała i ducha, z okna swego pokoju wpatruje się Krasiński w osrebrzone światłem księżyca ruiny amfiteatru Flawiana. Daremnie szuka ulgi w tym widoku. „Chłodny powiew spieki mym licom przydaje. Spokojność arkad przełamanych w te długie cienie dolega mi, sam nie wiem czemu.... Duszo niewolnico czemu się buntujesz przeciw panu swemu!“ Skargę tę kładzie poeta w usta Lucyana Tuberona jednéj z podrzędnych postaci utworu, któréj téż dostał się do wygłoszenia drobny ustęp tylko z całego monodramatu jaki rozdzielił między wszystkie niemal figury „Irydyona.“ Cóż dziwnego że cierpi i buntuje się dusza zmuszona powtarzać *memento mori* swym najdroższym pragnieniom, a nieznajdująca nigdzie nadziei nawet jakiéjś pociechy, wyzwolenia. „Jaka pustynia milczenia i spoczynku; jeden ją zalegam nieuśpioną myślą—

woła poeta przez usta Irydyona.—Noc mi wieniec z gorączek i trosk na czole złożyła. Dzięki wam za taką purpurę, bogi piekielne.... Męczarnio co żyjesz w głębi łona tego wynijdź, kto ty jesteś niech ujrzę, niech się raz dowiem.... (zdejmuje sztylet z nad tarczy). Powiedz mi modra klingo, czy ty zdołasz mię wyssać z piersi moich? — ale słyszysz, nazawsze!... (rzuca sztylet). Kłamco coś uwiódł tyle dusz cierpiących marną obietnicą nicości — ja urągam się tobie— ja czy tu, czy tam, niewolnik! ja nie spocznę nigdzie.... Nieznośnie temu, który zaginąć nie zdoła, który kona wiecznie a nie skona nigdy!“

Jeżeli monolog ten odniesiemy do wygłaszającéj go postaci, będzie on fałszem psychologicznym, anachronizmem. Ani koleje życia Irydyona opowiedziane przez poetę, ani warunki w jakich się znajduje podczas wypowiadania słów świadczących o najwyższém stopniu rozpaczy i rozstroju moralnego, nie usprawiedliwiają i nie objaśniają takiego stanu duszy. Przejęty jednym wielkim zamiarem zniszczenia Rzymu, owładnięty jednym tylko uczuciem—zemsty, Irydyon, któremu nic dotąd nie stanęło na drodze w przeprowadzeniu szeroko obmyślanego planu, niema powodu poddawać się takiéj rozpaczy. Kto żyje wielką myślą i coraz bliższym się czuje jéj urzeczywistnienia, ten nie nazwie swego życia „wieczném konaniem.“ Że takie gorączkowe oczekiwanie i niepewność powodzenia mogą znużyć najdzielniejszego ducha, że w chwili wyczerpania energii mógł Irydyon zawołać: „Czy kiedy zdejmę tu, czy na jakiéj gwiaździe ciężką zbroję moję? Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez niebezpieczeństwa, wolny, kochający, ukochany, szczęśliwy?“ temu można uwierzyć, ale rozpaczliwy pesymizm nie mógł gościć w piersi męża dającego na każdym kroku dowody zapału, niezłomnéj energii i wiary w tryumf swych zamiarów, Jeżeli jednak monolog ten odniesiemy do samego poety, jeżeli go zestawimy z ustępami jego własnych listów, uznać w nim musimy wierne odbicie jednego z momentów depresyi ducha. Choć sam dobrze znał i rozumiał życie świata grecko-rzymskiego, choć wiedział iż rozdwojenie wewnętrzne i walki duchowe jako główne czynniki utworów artystycznych są cechą nowéj poezyi („Wirgiliusz plunąłby na Fausta“), że starożytni w sztuce swéj odtwarzali jedność, symetryą i harmonią jaką w sobie nosili i czuli, jednak potrzebując wcielić treść swego ducha w postaci świata starożytnego, nie mógł być posłusznym wymaganiom objektywności. Chąc rozumieć i odczuć piękność „Irydyona“, trzeba w nim zawsze widzieć wcielenie nowożytnego ducha poety-polaka w postać grecko-rzymską. Mimo to, należy przyznać, iż w porównaniu z „Nieboską“ uczynił teraz po-

eta znaczny postęp w uwzględnianiu wymagań prawdy artystycznéj. Pogarda dla rzeczywistości, dla materyi krępującéj porywy ducha, widoczna zarówno w czynach jak w całém otoczeniu i widowni działania „Męża“, ustąpiła przed głębszém pojęciem warunków dziejowego i jednostkowego bytu.

„Dużo ja przez te czasy myślałem nad życiem ludzkiém—pisze w liście z 10 lipca 1834 r.— i odkryłem wielką prawdę, że moc nad sobą samym jest poezyą dojrzałości.... U człowieka prawdziwie i poetycznie pojętego są chwile uniesienia i opadnienia, to się życiem zwie, to jest ruch, to śledzić i poznać należy.... By dobrze pisać, trzeba żyć wprzódy. Materya nie jest tak podłą rzeczą jak sądziłem dotąd .. niema ducha bez materyi, jak niema myśli bez słowa... Są rozkosze i jest poezya materyalna. Tę należy harmonijnie pomięszać z poezyą ducha, a wtedy stanie na nogi człowiek upoetyzowany... Inaczéj byłoby to stworzenie nieorganiczne na ziemi... marne, niezrozumiałe. Tak więc się zmodyfikowałem i z chmur zstąpiłem i chmury mam odtąd za baldachim nad głową, nie za pobyt i mieszkanie.“

Wypowiedziane tu zasady wiernie zastosował poeta w „Irydyonie“, utworzonym prawdopodobnie w ciągu zimy z 1834 na 1835 r. (1). Zamiast fantazyjnego tła, występuje tu jasno oznaczona i artystycznie odtworzona widownia rzeczywista, wystudyowana; w rysunku postaci znać starania poety o nadanie prawdziwego ciała ideom jakie miały reprezentować. Bohater sam, który w „Nieboskiéj“ rozprawia tylko i rozwodzi skargi, tu działa bezustannie. Nie czekając aż mu „nagle“ spadnie z nieba siła i władza, korzysta z wszelkich środków by zyskiwać stronników i wpływy, z pomocą których mógłby swój zamiar uskutecznić. Znikł tu ów idealny wstręt ku „podłéj pracy i przemysłowi,“ jako drogom zdobycia władzy; wyzyskiwanie uczuć i namiętności ludzkich, przekupstwo, wiarołomstwo, obłuda, nie mają nic ohydnego dla dziedzica cnót „stu pokoleń.“ Irydyon nie jest już jak „Mąż“ przywódcą pewnéj partyi, przedstawicielem pewnéj warstwy narodu, on uosabia w sobie sprawę całego społeczeństwa, ideę drogą całéj ludzkości i dla tego bez wahania skupia pod swe przewodnictwo wszystkie siły, gromadzi wszelkie czynniki jakimi może się posługiwać dla swych wielkich celów. Zamiast zastępu praojców połączonych z nim bezpośrednio związkami krwi, występuje tu już cała dziejowa przeszłość wielkiego narodu w którym życie ludzkości znalazło swój najwyż-

(1) Pobyt w Kissingen w lipcu 1834 dostarczył poecie pomysłu i obrazów do tego starogermańskiego tła, występującego w prologu utworu.

szy wyraz. „Hellada moja była niegdyś duszą narodów, pieśni jéj były paniami świata. Barbarzyńców zuchwałych co przyszli od wschodu odpędziła szczękiem szabel i dźwiękiem strun swoich... Nie zdobyli jéj bronią, ale rozdzielili jadem pochlebstwa, upoili nektarem obietnic.“

Jeżeli mocarzom wolno posługiwać się takimi środkami, dla czegóżby mieli niemi gardzić słabi w swéj obronie — rozumował sobie Irydyon — poeta i całéj swéj wiedzy historycznéj i znajomości życia użył na idealne zrealizowanie wielkiego zamiaru. Tworząc plan całéj akcyi śród wędrówek po ruinach wiecznego miasta, wywołując po drodze w swéj wyobraźni postacie, które zaludniały pałace Cezarów, areny cyrków, Forum i katakumby, mógł ze ścisłością historyka i niemal naocznego świadka, przedstawić wykonanie tego planu, w szeregu jeśli nie prawdziwych, to prawdopodobnych scen i obrazów życia Rzymu za Heliogobala. Dla cierpiącéj duszy takie upajanie się tworami własnéj wyobraźni, wzlatywanie w światy przeszłości lub przyszłości było konieczną potrzebą, niezbędnym wyzwoleniem się z tortur obecnéj chwili, jedyném możliwém zadośćuczynieniem niewykonalnym pragnieniom ducha.

Z jakim téż to zapałem odgrywa poeta rolę Irydyona, jaką rozkosz mu sprawia przywdzianie greckiéj tuniki, pozyskanie swobody starożytnego ducha, idącego śmiało i prosto za głosem własnych pragnień, otoczenie się hufcem ślepo posłusznych niewolników, władanie namiętnościami zniedołężniałego Cezara, uczuciami nienawiści jaką dla Rzymu pałają uciśnieni chrześcianie i barbarzyńcy, a wreszcie pozyskanie owego symbolicznego pierścienia, talizmanu, na którym polegać miała cała potęga państwa! Choć we wstępie powiada: „ze świata co się zżyma i kona, wycisnę myśl jedną jeszcze—w niéj będzie miłość moja“, on jednak w istocie wciela swą myśl ukochaną w ten świat konający. Wierzymy za to zupełnie gdy woła: „Naprzód w szał, naprzód w tan bogi i ludzie wokoło myśli mojéj,— bądźcie muzyką co przyśpiewuje jéj marzeniom, burzą pośród któréj ona się przedziera jak błyskawica, bo imię jéj nadam, postać nadam, i choć poczęta w Rzymie, dzień w którym Rzym zginie, nie będzie jéj ostatnim“, bo w obrazie tym odmalował stan swéj duszy, zamęt pojęć i uczuć wirujących koło jednéj myśli, jednego pragnienia, przerzynającego jak błyskawica wewnętrzne ciemności i panującego wszechwładnie w sercu poety, pomimo iż refleksya ukazuje w téj myśli „córę szaleństwa i zwiastunkę zguby.“

Choć estetycznym upodobaniom poety dogadzało to przybranie „kształtów greckiego posągu“ z mieczem w dłoni, tuniką białą na piersi i w czarnych koturnach odbijających od marmurowéj biało-

ści nogi, jednak duszy jego było zaciasno w tém marmurowem ciele, w tym szczupłym zakresie pojęć i uczuć starożytnego świata, to też co chwila wyrywa się ona z jego ram, by wygłosić swe istotne uczucia.

W pierwszéj zaraz scenie, gdy Irydyon wyprawia siostrę do pałacu Cezarów i przez nią osiągnąć ma stanowisko, które pozwoli mu pchnąć na zatratę nawę nienawistnego mu państwa, gdy więc— pomimo strasznéj ofiary jaką czyni poświęcając siostrę ukochaną— zbliża się szybkim krokiem do upragnionego celu, zamiast słów jeśli nie radości to zapału, gorączki jaką musiała w nim budzić nadchodząca chwila stanowczéj akcyi, rozwodzi on niczém nieusprawiedliwione skargi: „Droga moja wytknięta pośród ciemności; gdziekolwiek wytężę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo, ruchome jak węże i wśród nich czołgam się bez bytu, bez życia!“

Jest-to prawda gdy odniesiemy te słowa do stanu moralnego poety, fałsz jeżeli mają malować jego bohatera. Irydyon również nigdy nie mógł pragnąć by siostra jego była „przedostatnią ofiarą wydaną na pastwę Rzymowi,“ a on „z tylu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stronach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych po mękach i zgonie“— był „ostatnim.“ Zamierzając obalić potęgę Rzymu, wydać temu państwu śmiertelny bój na czele zespolonych nienawiścią wszystkich jego wrogów, musiał wierzyć i wierzył Irydyon w zwycięstwo, w osiągnięcie celu. Śmierć jego udaremniłaby te zamiary, a zgon po zwycięstwie nie byłby znowu ani potrzebnym ani też pożądanym o tyle, by miał się o to modlić zawczasu. Jest-to jedno z ulubionych pragnień poety samego, występujące zwykle w chwilach depresyi duchowéj, kiedy „zapory twarde jak żelazo i ruchome jak węże“ niedozwalały mu wprowadzić w czyn marzeń, których ziszczenie powierza bohaterom swych utworów, a on sam zgnębiony fizycznie i moralnie, „czołgał się bez bytu i bez życia.“ W chwilach takich przechodził w drugą ostateczność: nie mogąc być bohaterem, władcą rozporządzającym losami społeczeństwa, pragnął stać się ofiarą, ostatnim, zapomnianym męczennikiem drogiéj mu sprawy. Odbiciem tych marzeń jest „Ostatni“ (1).

Gdy Masynissa pocieszając skarżącego się Irydyona powiada mu: „W nędzach i miernościach ludzkich niechaj będzie twoja nadzieja

---

(1) W tém marzeniu, w tém ideale ofiary tkwi powód uwielbienia Krasińskiego dla Anhellego, w którym znalazł odbicie jednego ze swych najulubieńszych pragnień: oddania się na „cichą ofiarę.“ Wyrazem tego pragnienia jest także posłannictwo dane Irydyonowi pod krzyżem Kolizeum.

i wiara, bo los postawił cię u bram walącego się miasta; otoczył cię wiekiem przesilenia i zgrzybiałości, którego sam częścią nie jesteś"; to w słowach jego mamy ulubione poecie historyozoficzne uzasadnienie nadziei lepszéj przyszłości, którą pocieszał się gdy go boleścią przejmowały „Te dni naszych wciąż tak podłe dzieje." Wierzył on że gwałtowny kataklizm, czy to społeczny (jak w „Nieboskiéj"), czy téż polityczny i społeczny zarazem (jak w „Irydyonie") położy koniec współczesnemu porządkowi i utoruje drogę dla nowéj ery ludzkości. Być narzędziem kary na podłych i pysznych, niszczycielem świata pełnego ucisku i zepsucia, a jednocześnie posiąść nieograniczoną władzę i upoić się choć na kilka dni jéj potęgą—to marzenie, długo bardzo nieodstępujące poetę i przebijające się w licznych ustępach zarówno „Nieboskiéj" jak „Irydyona." Gdy stojąc u szczytu potęgi, Irydyon woła z zapałem, pochwyciwszy za rękę Heliogobala: „Wznieć silną wolę w sobie—ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju. Stań się czém kilku było na ziemi: Niszczycielem,—a te gmachy pijane życiem tysiąców, te wille rozigrane w promieniach słońca, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi oddamy w puściźnie skorpionom i wężom"—czujemy, że słowa te wypłynęły wprost z duszy poety, że na chwilę rozbudził się w niéj instynkt niszczycielski, towarzyszący zwykle ambitnym pragnieniom (1).

Jak w życiu ówczesném poety, miłość dla Maryi stanowiła jedyną jaśniejszą nić w pasmie cierpień fizycznych i duchowych, tak i w szeregu scen „Irydyona", odsłaniających nam coraz to inne strony ducha poety, przepełnionego sprzecznemi z sobą uczuciami, wypierającymi się nawzajem pojęciami, przesuwa się przed nami mały, łagodną melancholią tchnący obrazek, mający — jakby „On i Ona" Siemiradzkiego — za tło ustroń w ogrodzie Cezarów zdobną posągiem Dyany, a za ożywiające ją postacie: Irydyona i Elsinoe, a właściwie poetę i Maryą w czasie jednego z tych ukrywanych przed oczami ludzi spotkań (2). Osłonięci gęstwiną zieloności, stoją

---

(1) To samo powtarza w rozmowie z Kornelią: „We krwi broczyć będę, trawa nie porośnie gdzie koń mój przeleci." „Mąż" również z zapałem woła w „Nieboskiéj": „będę wrogów mordował i palił."

(2) Z wszelkim prawdopodobieństwem mogę dokładniéj oznaczyć miejsce téj schadzki: było to w ogrodzie willi Mills, na Palatynie, śród ruin pałacu Cezarów, ulubioném miejscu przechadzek Krasińskiego (jak o tém świadczą szczegóły stosunków Kras. ze Słowackim w czasie pobytu tegoż w Rzymie, podane przez Małeckiego). Dziejowa przeszłość tych ruin, dawnéj siedziby władców imperyum rzymskiego, wspaniały i rozległy widok na miasto i okolice dostarczały poecie bogatego zasobu wrażeń, a może i pomysłu Irydyona. Dziś willa ta zamienioną została na klasztor Franciszkanek.

oboje pod statuą bogini, oblani czerwonym blaskiem zachodzącego słońca, smutni, bo nadeszła chwila rozłączenia się. „Dalej iść nie sposób, za długo by mi wracać było—powiada Elsinoe-Marya—lecz ty nie opuszczaj mnie jeszcze.“ — „Śpieszno mi także — odpowiada Irydyon—nim wrócę do siebie, muszę zamiejskich pretoryanów odwiedzić.“ Ona przecie prosi go o „chwilkę tylko“, bo serce jéj wezbrało smutkiem i pragnie śród ciszy wieczoru podzielić się z ukochanym swymi cierpieniami. „Spojrzyj na twarz niepokalanéj—powiada wskazując na posąg Dyany—o jabym mogła była kochać jak ona, kiedy śród cichéj nocy oparta na łuku złotym spuszczała się przez fale błękitu, by marzyć nad sennym Endymionem! a teraz pójdź, zapytaj się ludzi na co wyszła siostra twoja?—Między Poppeą a Messaliną— odpowiedzą ci —postawiono jéj ołtarze“ (1). Skarga ta, to echo potwarzy i plotek, jakie prześladowały zakochanych i zatruwały im rzadkie chwile wspólnego pobytu. Jeden z prawdziwych a bolesnych dla szlachetnego serca nieszczęśliwéj szczegółów jéj życia, opowiada daléj poeta ustami Elsinoi: „Znasz Aleksandra, wiesz jak go wychowała Mammea — mówi do Irydyona — wczoraj w przysionku Dejaniry napotkałam go. Zatrzymał się i spojrzał. Pierwszy wzrok był niepewny, drżący,—drugi już mocniejszy, wyrazistszy, wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy.“

Pocieszając cierpiącą, użył poeta niezawodnie tych samych argumentów, jakimi posługuje się Irydyon: „Kto się poświęcił dla dobra ludzi, powinien o ich sądzie zapomnieć. Czy wiesz kto jest Bogiem Nazaarenów? Ten co dla zbawienia braci sam przystał na hańbę krzyża!—O Elsinoe i nam podobne dostały się losy!“

Poświęcając „Irydyona“ Maryi * (dedykacya ta opuszczoną została w następnych wydaniach z woli autora—List *C* 1846 r.), zaznaczył już poeta pewną łączność utworu tego z uczuciami jakie dla niéj żywił. Cóż naturalniejszego jak to powszechne w zakochanych pragnienie odtwarzania i utrwalania bądź pewnych drogich chwil ze stosunku z ukochaną, bądź jéj wizerunku tylko w przekształceniu, które pozwala mu podzielić się z ogółem własnemi uczuciami i wspomnieniami niedopuszczając przecie wyjawienia i profanacyi tajemnic, znanych tylko dwom żyjącym dla siebie duszom. Jak późniéj Delfina P. w „Przedświcie“, tak i Marya * w „Irydyonie“ jest tylko „siostrą“ wspólniczką wielkich planów, złączoną z bohaterem-poetą

---

(1) Tę samą myśl spotykamy w wierszu napisanym w 1838 r., w którym poeta w jéj imieniu mówi:

„Patrz! ja być mogłam taka czysta święta,
A teraz będę na wieki przeklęta“ i t. d.

tylko jednością podniosłych dążeń i uczuć. Że „Elsinoe“ nie jest wizerunkiem Maryi, ale odbiciem ideału jaki w niéj dopatrywał w swéj wyobraźni poeta, tego nie potrzeba dowodzić. Nie mogąc wyłączyć ze swych marzeń istoty, która była tak drogą sercu podówczas, nadał jéj w tych marzeniach rolę odpowiednią téj jaką sam sobie wyznaczał.

Czy wszystkie rysy postaci Kornelii i jéj stosunku do Irydyona można przenieść także na Maryą **, tego trudno stanowczo udowodnić, bez poznania szczegółów trzymanych dotąd w tajemnicy. Że kobiety kochane przez Krasińskiego ulegały czarowi, jaki jego głęboki umysł i potężna wyobraźnia na nie wywierały, że z czasem przejmowały się tak silnie jego uczuciami, tak wiernie przyswajały jego pojęcia i punkt widzenia, że stawały się niemal echem swego kochanka—o tém świadczy Delfina. Takim echem Irydyona okazuje się nam pod wpływem szalonéj miłości Kornelia. Opisując w liście do Sołtana (z 1835 r.) swe rozłączenie z Maryą ** podaje Krasiński między innymi następny szczegół: „Już teraz po kilka razy na dzień mdleje, blada jak trup lub rozgorączkowana jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka.“ Te kilka rysów charakteryzują egzaltowaną, nerwową istotę skłonną do ekstaz i halucynacyi, wskutek cierpień fizycznych i moralnych jednocześnie. Poznawszy Krasińskiego, prawdopodobnie podczas jednego z tych częstych u niego momentów pesymizmu i przygnębienia moralnego, zamierzyła z właściwą egzaltowanym kobietom czułością i żarliwością uleczyć młodą a tak cierpiącą duszę. „Ty się nie odejmiesz méj potędze — mówi Kornelia do Irydyona — łaska uwiośni twą duszę. Ja wiem żem się urodziła aby cię zbawić!“ Na to jej odpowiada Irydyon: „Ani ty, ani nikt na ziemi nie wydrze z piersi moich pragnienia, które je pożera... Ja dzieckiem tylko przy tobie być zdołam na chwilę znikomą, jak fala co nie wróci nigdy. Za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę, trawa nie porośnie gdzie koń mój przeleci.... Pij kroplami ze mnie gorycz, która mnie pożera....“

Egzaltacya wyobraźni poety harmonizuje tu — jak widzimy — z egzaltacyą uczucia kochającéj go kobiety. Gorączka nerwowa i usposobienie do halucynacyi przebija się w słowach walczącéj ze swém sercem Kornelii-Maryi. „Czy nie widzisz jak ciemno — powiada pomięszana tuląc się do sarkofagu męczennika—czy nie czujesz zimna; tak jak gdyby wszyscy umarli, a nas dwoje tylko zostało—potępionych dwoje.... Coś rozprzęgło się w méj duszy, coś mi w głowie się usuwa, coś w sercu pęka.“ Na walkę tę i cierpienia patrzył sam poeta niewątpliwie i słowa te same może słyszał

z ust Maryi * i sam wtedy wyrzekł to, co kładzie w usta Irydyonowi: „Jeżeli się nie poczuwasz do mocy, odejdź odemnie. Tu rozdzielą się drogi nasze, będziesz spokojna jak wprzódy, obaczym się kiedyś nie na ziemi“ (1). To zwrócenie myśli ku przyszłemu życiu sprowadza u Kornelii podniecenie uczucia religijnego, uśmierzonego pocałunkiem i omdleniem, z którego budzi się w gorączce i stanie halucynacyi. Rzecz naturalna, że wrażliwa, wątła kobieta nie mogła znieść wzruszeń i wysiłków woli jakich wymagał udział w wielkim dziele ukochanego. Wysiłki te i wstrząśnienie gwałtowne sprowadziły obłęd i wyczerpanie sił, z którego umiera. We wspomnieniach bezładnie przesuwających się w jéj obłąkanym umyśle, spotykamy często powtarzane w myśli i zawsze mile jéj brzmiące słowa Irydyona-poety: „Chwała moja twoją będzie.“ Choć dla kontrastu z „jasnowłosą Elsinoe“ daje poeta Kornelii „oko czarne jak węgiel, błyszczące jak żary“, jednak energia i żywość właściwa temperamentowi brunetki i rzymianki do tego, występuje jedynie w stanie ekstazy. W innych momentach, nawet w obłąkaniu, jest ona słabą i słodką jak cierpiąca Elsinoe lub obłąkana z miłości Ofelia.

VI.

Przypatrzmy się teraz poecie-Irydyonowi na saméj widowni upragnionego działania, abyśmy mogli osądzić czy istotnie należy żałować, że okoliczności nie dozwoliły Krasińskiemu urzeczywistnić ambitnych pragnień i odegrać politycznéj roli (2). W chwili tworzenia Irydyona skończył on dopiero dwudziesty drugi rok życia, jest więc nieco za młody na męża stanu, przywódcę stronnictwa, ale przy niezmiernie szybkiém i wczesném rozwinięciu umysłu, zdolności statysty i organizatora, gdyby takowe posiadał, wystąpiłyby już niezawodnie i wycisnęły swe piętno na marzeniach młodzieńca. W planie Irydyona, który zamierza zniszczyć Rzym ogniem i mieczem, i w środkach, jakimi ten plan stara się urzeczywistnić, widzi-

---

(1) W słowach tych można widzieć odbicie naturalnego zresztą zniechęcenia poety ku kobiecie kochającéj go, ale zamęczającéj swymi skargami, cierpieniami, chorobliwą egzaltacyą i słabością. Nie miała ona ani dość siły by spełnić to, co uważała za obowiązek, ani téż dość odwagi i energii by spalić za sobą mosty i oddać się człowiekowi, dla którego pragnęła się poświęcić.

(2) Komuby to utożsamienie poety z jego bohaterem wydawało się niedość uzasadnioném, tego odsyłam do listu, w którym Krasiński wyjaśnia znaczenie téj postaci (List XXIX z 1837 r.).

my silną wiarę w świętość celu, zapał, odwagę, potęgę wyobraźni— wszystko co tworzy śmiałego przywódcę ulicznéj manifestacyi, żarliwego agitatora spisku, co wystarcza do rozbudzenia chwilowego rewolucyjnych namiętności śród niezadowolonych z istniejącego porządku rzeczy, ale poza tém nic prócz pesymizmu i sceptycyzmu walczących zaciekle z pragnieniem wiary i pewności. Jakkolwiek z zamiarem swoim nosi się Irydyon od lat wielu, jednak dla wprowadzenia go w czyn nic nie robi aż do chwili, w któréj przypadkowe spotkanie Heliogobala z jego siostrą i wprowadzenie jéj na dwór Cezara w charakterze kochanki, otwiera mu niespodzianie drogę do osiągnięcia pożądanego wpływu na sprawy publiczne i pokierowania nimi na korzyść swego zamiaru. Pod tym względem Irydyon okazuje się bez porównania niższym od Wallenroda, który przez życie całe świadomie i wytrwale dąży do osiągnięcia stanowiska, jakie mu w danéj chwili pozwoli z wszelkim prawdopodobieństwem powodzenia wykonać wielki zamiar. Bohater Krasińskiego zaledwie, dzięki przypadkowi, zdołał zająć wpływowe stanowisko przy boku Cezara, z gorączkową niecierpliwością przystępuje do dzieła, nie obliczywszy się z siłami, i z młodzieńczą lekkomyślnością poświęca cześć i życie siostry i setki pociągniętych przezeń uczestników dla wywołania niedołężnego rozruchu, który nie przetrwał dwudziestu czterech godzin. Całe przygotowanie i wprowadzenie w czyn tego wielkiego zuchwalstwem swém jedynie planu, przypomina te liczne poronione wybuchy rewolucyjne jakich tyle przykładów dostarczają dzieje Europy między 1815 a 1850 r. W dusznéj atmosferze reakcyi i ucisku łatwo zapalić wyobraźnie i rozbudzić namiętności o tyle, by wywołać manifestacyą a nawet donioślejszy rozruch, lecz zwykle w samym wybuchu zużywa się cała energia uczestników, złudzenia rozgorączkowanéj wyobraźni nikną w zetknięciu się z rzeczywistością, zapaleńcy padają ofiarą, ostrożniejsi wracają spiesznie do swych siedzib, a ciężar reakcyi czuć się daje jeszcze silniéj. Ruch wywołany przez Irydyona nie nosi nawet zwykłych cech poważniejszego sprzysiężenia, nie przedstawia żadnéj organizacyi a jest tylko rozruchem zaimprowizowanym przez zapaleńca, który ognistymi przemowami pociągnął za sobą gorętsze dusze lub niemających nic do stracenia biedaków.

Główną rolę w zamierzonéj akcyi rewolucyjnéj przeznaczył Irydyon chrześcianom, którzy mieli roznieść pożogę po całém mieście. „Na nich oparta cała moja potęga.... jeżeli mnie zdradzili, zginąłem“—powiada wyczekując daremnie łuny pożaru; tymczasem cała rachuba na ich udział opiera się na wpływie jednéj ognistéj przemowy, jaką wygłosił w katakumbach. Przemowę tę można

uważać za pierwowzór gwałtownych odezw rewolucyjnych, podbudzających masy przez ogłaszanie fałszywych lub przesadzonych wieści o wypadkach, mających zapewnić stanowcze powodzenie ruchowi. Autorowie tych przemów nie kłamali, oni tak samo wierzyli w te cudowne wypadki, w te nadzwyczajne a przyjazne zbiegi okoliczności jak i rozgorączkowani słuchacze. „Słuchajcie mnie— woła Irydyon — miasto rozdzieliło się téj nocy, syn wszeteczeństwa zachwiał się na tronie, pretoryanie odwrócili serca od niego.... widome ciemności gromadzą się nad stolicą, która morduje proroków i świętych. W całéj Azyi powstają legiony; Cezar i Aleksander zabierają się do ostatniéj rozprawy“ Gdy pobudzony tą przemową jeden z chrześcian, Symeon zabiera głos, w jego natchnionéj improwizacyi czuć odbicie się „Ksiąg pielgrzymstwa.“ Cała siła Irydyona-poety polega na potędze uczucia i zdolności wypowiedzenia go w słowie, to téż najpiękniejszą, jedyną chwilą tryumfu w podjętéj walce, jest wygłoszenie piorunującego aktu oskarżenia przeciw Rzymowi wobec Ulpiana, przedstawiciela idei, instytucyi i przeszłości dziejowéj wiecznego grodu. To moralne poniżenie wroga stanowi całą realizacyą wielkiego planu zemsty. Choć Irydyon woła z rozpaczą: „Zemsto! ty mi krople tylko sączysz, kiedy ja cię o morze krwi prosiłem“; chociaż zdaje mu się że jest „Tytanem“ i „wre całą mocą życia“, w istocie jednak jest on wodzem-marzycielem, który zamiast komenderować, zamiast prowadzić do boju swoich podkomendnych, moralizuje i przekonywa ich ciągłymi przemowami. Sam poeta, dzięki potędze własnéj refleksyi, umiał jasno ocenić słabe strony swego bohatera. Chciał on w nim uosobić ludzi, którzy „żyli, a częścią znikli na ziemi, których głowa pałała jedném dzikiem marzeniem, u których serce cierpiało i żądało i wszystko poświęciło, i wreszcie pęknąć musiało... nic nie wyprosiwszy u losów, nic nie zdziaławszy u braci.“ Choć więc „zstąpili do grobu pozorną hańbą okryci, choć wielu ludzi ich przeklęło, oni święci byli uczuciem, wielcy męstwem; błędem ich tylko to było, że nie wymiarkowali czasu, sił zasobów, słowem całego mechanizmu i matematyki życia. Tacy ludzie należą duszą i ciałem do poezyi.“ Twierdzenie ostatnie jest słusznem o tyle, o ile odnosi się do samego poety i podobnych mu bohaterów-marzycieli, którzy nie próbowali swych marzeń w czyn wprowadzić. Irydyon i jego naśladowcy nie mogą domagać się tego wyłączenia i nierozłącznéj z nim absolucyi.

Choć sześć lat dzieli zaledwie „Irydyona“ od „Konrada Wallenroda“, jednak w tych sześciu latach mieści się rok 1831, który

zmienił tak głęboko warunki bytu, układ pojęć i nastrój uczuć w społeczeństwie polskiém. Świat wyobraźni i przeszłość pozostały teraz jedynemi sferami, w których myśl i uczucie mogły swobodnie się rozpościerać. Wierzące w swe siły i czujące grunt pod nogami pokolenie wydało męża czynu — „Konrada“, z chwilą przecie gdy ciężka porażka zniweczyła poprzednią ufność, wysunęła z pod nóg podstawę realną, zaczęło ono szukać zapomnienia o swéj doli w rojeniach wyobraźni, a ilekroć chciało je w czyn wprowadzać, brało się do tego z tą marzycielską niepraktycznością, gorączką i naiwną wiarą w siebie jakie cechują akcyą Irydyona. Podczas gdy Wallenrod delegatom trybunału tajemnego przychodzącym ogłosić mu wyrok śmierci, z dumą tryumfatora kreśli obraz dokonanego przez się dzieła, wskazuje na szczątki wielkiéj armii ginące z głodu i zimna śród puszcz litewskich, urąga bezsilności spóźnionéj na nim zemsty i wznosi sobie wspaniały grobowiec z ruin obalonego własną ręką gmachu, to Irydyon poprzestaje na symboliczném zniszczeniu Rzymu, przez rzucenie w ogień tajemniczego pierścienia Cezarów, na przygnieceniu przeciwnika ciężarem rzuconych nań przekleństw i oskarżeń, na ukazaniu wrogowi obrazu jego przyszłego upadku i upodlenia.

Konrad umiera ze spokojem bohatera, który spełnił wielkie zadanie swego życia. Irydyon nie może z orężem w ręku zginąć wraz z garstką tych, których poprowadził na bezowocną śmierć, bo zgon jego miałby wtedy charakter kary na szaleńca gubiącego się przez lekkomyślną porywczość wraz z wielkim zamiarem, którego nie umiał przeprowadzić. Mimo całéj sympatyi dla szlachetnéj duszy bohatera-marzyciela, czytelnik zamykałby książkę z uczuciem zniechęcenia do życia i niewiary w tryumf prawdy i sprawiedliwości. Podzielał on w tym razie pesymizm jaki dręczył duszę samego poety, pogrążoną w gorączkowém szamotaniu się z zagadką życia. Myśl „żeśmy błaznami dni kilku“ przejmowała go niewypowiedzianą goryczą. Po cóż w duszy naszéj budzą się wielkie pragnienia, bezgraniczne uczucia, myśli obejmujące ludzkość, nieskończoność,— jeżeli nie możemy ich nigdy urzeczywistnić, jeżeli nie możemy się nigdy doczekać wcielenia naszych ideałów, spełnienia wielkich zamiarów, pochwycenia słowa zagadki życia, jeżeli ze śmiercią musimy zrywać nazawsze z têm co nam było drogiem? Czemuż zarówno nicość pośmiertna jak nieskończoność dalszego rozwoju równie nas przerażają? Gdyby tak można było stworzyć stan pośredni między życiem a śmiercią, gdyby człowiek mógł się wyzwolić z więzów życia nie zrywając związku ze swą ziemską kolebką, gdyby mógł odczuwać, stopniowe realizowanie w życiu ludzkości własnych

ideałów i zbudzić się z chwilą zupełnego ich urzeczywistnienia? Letargiczny sen w jakim Krasiński każe Irydyonowi wyczekiwać spełnienia jego pragnień, jest wyrazem własnych uczuć i myśli poety, który znękany życiem chciał „lekko, bez boleści, rozsnuć do świata wiążące go nicie“, ale śmierć zwykła budziła w nim wstręt i przestrach zapewne. „Jabym już chciał, Konstanty — pisze do Gaszyńskiego—zakończyć tę marną grę kilku myśli i kilku żywych popędów i kilku chorób, która zowie się życiem mojem; jabym rad gdzie *zasnął na wieki: czy u progu jakiego kościoła, czy na jakiéj ruinie*, byle nie w łóżku.“

W jednéj z wycieczek odbywanych w okolice Rzymu upatrzył poeta miejsce, które czyniło zadość jego marzeniom. Grota po nad brzegiem jeziora, śród gór Albańskich, osłonięta bluszczem i winną latoroślą, z widokiem na pałace i kościoły rozciągającego się w oddali Rzymu; cóż pożądańszego na miejsce takiego spoczynku. „Ni zorzy, ni gwiazd tu niema, ni głosów, ni bólu, ni marzeń“—powiada Massynissa wskazując ten grobowiec Irydyonowi. Tam on będzie spoczywał, aż z całéj wielkiéj przeszłości Rzymu zostaną tylko ruiny, aż Kampania stanie się milczącą pustynią.

Odpowiedź na krytykę Ulrycha (List XXIX) daje nam wyjaśnienie myśli z jaką poeta wprowadził do utworu postać, która choć ciągłą swą obecnością i nadprzyrodzoną potęgą robi na czytelniku wrażenie doniosłego czynnika, w rozgrywającéj się akcyi, jest w istocie — jak to trafnie zauważył ten najpierwszy krytyk Irydyona — zbyteczną zupełnie i nie wywiera żadnego prawie wpływu na wypadki. Krasiński gniewa się o to na Ulrycha. „Co to znaczy powiedzieć: niepotrzebny? Jak tylko podobało się poecie wprowadzić postać, ona jest i żyje. Chyba że jéj nie dokonał, nie postawił na nogi, nie uczynił częścią żyjącą całości organicznéj.“

Poeta miałby słuszność gdyby istotnie jego postać stała na swoich nogach i żyła własném życiem, gdyby albo posiadała i utrzymała do końca dzikie, tajemnicze, ale ludzkie oblicze syna pustyni i wroga Rzymu, albo też swą nadprzyrodzoną potęgę uwydatniała nietylko płomieniami w jakich się ukazuje niekiedy, nietylko rządami nad chórem duchów podziemnych, ale rzeczywistym wpływem na bieg sprawy, którą się tak gorliwie zajmuje. „Massynisa — powiada poeta — jest-to pierwiastek wszechzłego, który ciągle przemienia się koniecznością samego stworzenia na dobre.... jest-to, *to nic*, *to zero* niepojęte, okropne, straszne, szatańskie, dopóki go nie znamy, dopóki ono nas otacza tajemnicą nieskończoności, a które co chwila przetwarza się na *coś*; jak tylko coś powstaje robi się światło, dźwięk, harmonia. Jest-to słowem szatan wszystkich wie-

ków i społeczeństw, wiecznie walczący, wiecznie pobity, w mgłę się rozchodzący, mający jednak chwile swoje, piekielne, zbrodnicze, złośliwe.“

Objaśnienie to skreślone w dwa lata po napisaniu „Irydyona“ świadczy, że wtedy poeta inaczéj pojął i scharakteryzował rolę jaką powinien był Massynisa odegrać w jego utworze, niż mu się przedstawiała w czasie pracy. Pierwotną myślą było niezawodnie wprowadzenie do dramatu charakterystycznéj, tajemniczéj nieco postaci starego władcy koczowniczych plemion Afryki, przejętego nienawiścią dla Rzymu i żarliwie czuwającego nad przeprowadzeniem myśli, która zespoliła węzłem przyjaźni ludzi tak różnych pochodzeniem i pojęciami. Miał on uosabiać niszczycielski fanatyzm i instynktową nienawiść swobodnych synów pustyni w przeciwstawieniu do Irydyona, nienawidzącego Rzymu całą potęgą idealnych pragnień Greka, całą miłością swobody i piękna zdeptanych przez rzymski państwowy porządek i rzymską kulturę. Wiek podeszły usprawiedliwiałby w takim razie bezczynność Massynisy, poprzestającego na udzielaniu Irydyonowi rad i przyglądającego się zdala wykonywaniu wielkiego zamiaru, stanowiącego jedyny, najdroższy cel jego życia. Pojęty jako „szatan wszystkich wieków i społeczeństw“, grzeszy Massynisa zbytkiem człowieczeństwa a brakiem koniecznych rysów, jakich wyobraźnia nasza wymaga od przedstawiciela a nawet władcy świata piekielnego. Lekkie zaznaczenie związku jaki Massynisę-człowieka łączył ze światem duchów, nadanie mu roli narzędzia tych duchów, spotęgowało by urok tajemniczości, jakim chciał otoczyć tę postać poeta, nie odbierając jéj cech człowieczeństwa wybitnie zaakcentowanych w rysie długoletniéj przyjaźni łączącéj starego przywódcę plemion Numidyi z Amfilochem i Irydyonem, w ojcowskich uczuciach, jakie ten stary przyjaciel ojca żywi dla samego bohatera. Potężny władca piekieł nie potrzebowałby przecie odgrywać tak długo komedyi i dla osiągnięcia swych zamiarów czepiać się ludzi mających ograniczone środki działania. Posiadając wiedzę przyszłości i choć nie wszechpotęgę, to w każdym razie dość mocy, by swemu pupilowi wyprawić świetną ucztę zemsty, pozwala na to, by długoletnie jego pragnienia i usilowania skończyły się mizernym porywem, który ani sprawie piekieł, ani ideom Irydyona żadnéj nie przyniesie korzyści. Mefistofel pod tym względem okazuje się gorliwszym i potężniejszym od swego pana.

Gorączkowa zmienność stanów ducha poety, nieustająca czynność refleksyi, nie pozwalały mu zatrzymać się przy pierwotnym pomyśle i przeprowadzić go do końca. Wprowadzony z czysto este-

tycznych pobudek do utworu, jako przeciwstawienie młodzieńczemu Irydyonowi, a może i echo wrażenia wywołanego przez figurę Wajdeloty czuwającego nad Konradem, przekształcał się Massynisa w ciągu pracy, pod wpływem udręczeń ducha walczącego daremnie z zagadką nieskończoności, na uosobienie téj ciemnéj, negatywnéj postaci, w jakiéj nieskończoność przedstawia się znękanemu własną bezsilnością umysłowi, w chwilach moralnéj apatyi. Ideały nasze wtedy wydają się piekielnymi ułudami zsyłanemi na udręczenie i zgubę naszą. Massynisa jest tylko nową, szerszą formą myśli uosobionéj w „Dziewicy.“

Ta dwoistość głównych figur, sprzeczna tak z prawdą życiową i estetyczną, osłabia wrażenie jakie wywoływać powinien bohater i jego opiekun. Cierpienia i skargi Irydyona nie budzą w nas bezpośredniego współczucia, bo nie są uzasadnione i objaśnione przez koleje i warunki jego życia. Massynisa znowu nie wywołuje odpowiedniego wrażenia, bowiem za wiele ma potęgi cudotwórczéj na człowieka, a za mało siły i wiedzy na szatana. Dopiero poznawszy bliżéj stosunek poety do obu postaci, czując jego serce drgające z bólu w piersiach Irydyona dla „cierpiącéj Hellady,“ dopatrzywszy porywy jego myśli zuchwale uderzającéj o niebiosa i ziemską ich reprezentacyą w rozpaczliwych wyzwaniach Massynisy, godzimy się nie tyle z samemi postaciami ile z ich twórcą i podzielamy smutek z jakim o sobie mówi w „Ostatnim“:

Darmo z natchnieniem czyn pogodzić chciałem,
Ciało w myśl natchnąć i myśl stworzyć ciałem;
O nie czas jeszcze z lotnéj marzeń wstęgi,
Snuć węzły życia i wieńce potęgi.

VII.

Epilog „Irydyona“ zasługuje na bliższe rozpatrzenie. Obok ciekawego odbicia wrażeń poety z nocnéj przechadzki po Rzymie, odsłania on nam mechanizm procesu tworzenia i związane z nim cechy charakterystyczne formy, w którą odtąd Krasiński przyobleka swe pomysły. Forma ta zostaje w ścisłym związku tak z życiem duchowém poety, a mianowicie z jego panteistycznym na świat poglądem jak i z chorobliwą wrażliwością jego nerwowego temperamentu. Powstała ona z oddziaływania idei panteistycznéj na wyobraźnią, któréj pod wpływem téj idei życie całe i przeszłość świata przedstawiały się jako wynurzanie i znikanie kolejne jednostek i całych grup ludzkich, form państwowych i cywilizacyi w bezmiarach

nieskończoności, tudzież z usposobienia do gorączkowych hallucynacyi jako następstwa bezsenności, uderzeń do głowy, cierpienia oczu. Pojęcie nieskończoności tak utrwaliło się w umyśle i wyobraźni poety, że wszystkie postacie i obrazy mógł widzieć tylko na tle bezgranicznego obszaru. Jak latarka magiczna rzuca powiększone odbicie, wstawionego w nią rysunku na rozwieszone płótno, tak dusza Krasińskiego przekształcała tkwiące w niéj kształty i ukazywała w dowolném powiększeniu na widnokręgu bezgranicznym. Rzecz naturalna iż odbite w ten sposób obrazy o ile zyskują na rozmiarach o tyle tracą na wyrazistości i stoją się w istocie olbrzymimi cieniami. Poeta zaś bierze na siebie rolę objaśniacza ruchów i czynów tych cieni za które sam zawsze przemawia. Ten sposób tworzenia odpowiadał wybornie gorączkowéj wrażliwości imaginacyi, niezdolnéj powstrzymać swego lotu w obszarach nieskończonych i téj szlacheckiéj *fantazyi* przeniesionéj w zakres życia duchowego, a polegającéj na dogadzaniu własnym upodobaniom i potrzebom uznanym za najwyższe prawo. Pod tym względem Krasiński przedstawia się jako najbardziéj egotyczny z wielkich poetów ostatniéj epoki. Wprawdzie upodobania jego ducha są na wskróś przeniknięte miłością piękna, a potrzeby i pragnienia utrzymują się w podniosłéj sferze prawdy i dobra, ale z tym wszystkiem żyje on tylko śród świata swéj wyobraźni i w utworach swych coraz więcéj oddala się od rzeczywistego społeczeństwa do jakiego przemawia jeszcze w „Nieboskiéj“ a otacza się idealném, jedynie mu drogiem społeczeństwem, nad którego przeszłością unosi się aureola „nadeuropejskiéj cnoty“ a przyszłość jaśnieje tęczą wniebowzięcia. Życie współczesne istotnego społeczeństwa choć nieobojętne mu jako człowiekowi, nie budzi w jego duszy chęci zespolenia, porozumienia się z braćmi i tego serdecznego oddźwięku, który u Mickiewicza i Słowackiego chwyta za serce czytelnika. Arystokratyczna dusza Krasińskiego stworzyła sobie odrębną ojczyznę i ku niéj całą swą miłość zwróciła. Wyobraźnia jego potrzebowała postaci i obrazów jakich rzeczywista ojczyzna nie mogła dostarczyć, form klasycznie pięknych w przyrodzie i życiu których daremnie by w niéj szukał. Prozaiczny mundur Kordyana budził wstręt w duszy która czuła się dopiero swobodną w tunice Irydyona.

Ulubioném tłem jego utworów jest bezgraniczna, tajemnicza, widownia: albo ciemne, nieokreślonych rozmiarów podziemia, wnętrza gmachów, ciągnące się bez końca krużganki, ulice albo obszary pustyni, przestwory powietrzne. Widownie te przypominają swą nieokreślonością obrazy sennych marzeń.

Takim jest początkowy krajobraz epilogu „Irydyona.“ Występuje tu Kampania rzymska, w chwili gdy zachodzące słońce rzuca ostatnie krwawe połyski na nieskończone szeregi pieniących się fal dalekiego morza. „Piołuny piasków, sitowia bagnisk, samotne sosny wzgórz, cyprysy dolin długie rzucają za siebie cienie.“ Na tym tle w jaskrawém blasku zachodu, ukazuje się na morzu olbrzymia postać a raczéj olbrzymi cień oblany „mgłą która się stacza z jego ramion.“ Jest-to Massynisa a raczéj jego zolbrzymione odbicie śród błękitnawéj opony wieczoru. Stąpa on, jak się wyraża poeta, a właściwiéj sunie się po falach i po piasku pustyni, z szybkością przesuwającéj go wyobraźni, przebywa góry Samnickie i zatrzymuje się nad brzegiem jeziora przy jaskini osłaniającéj sen Irydyona.

Jak chwilę przebudzenia się ze zwykłego snu poprzedza zwykle peryod marzeń tak i u Irydyona przed ocknieniem przesuwają się w nieskończonéj panoramie kilkunastowiekowe dzieje Rzymu, w téj saméj nieokreślonéj, mglistéj formie w jakiéj odbywa się na jawie odtwarzana przez poetę akcya. Nareszcie daje się słyszéć z głębin ziemi głos „o synu,“ uderza „piorun życia“ i uśpiony bohater „tak piękny i młody jak przed laty“ powstaje i wziąwszy za rękę swego opiekuna puszcza się w drogę ku Rzymowi. Jak w sennėm marzeniu zmienia się on, dla harmonii ze swym cieniem przewodnikiem, z pięknego młodziana w ponure widmo. „Po czarnych wąwozach jak dwie czarne chmury żeglują ich postacie,“ powiada poeta, nie uważając za potrzebne zaznaczyć bliżéj téj metamorfozy, którą umożliwia czarodziejsko-senny charakter całéj sceny.

Przywiódłszy Irydyona do Rzymu (i to w 1834 r.) oprowadza go poeta po milczących ulicach uśpionego miasta i realnemi, bo z własnych wrażeń czerpanymi, rysami kreśli szereg obrazów tchnących prawdą, nacechowanych pięknością plastyczną. Skoro tylko Krasiński gasi swą latarkę czarodziejską i zwija płótno bezmiaru, staje się prawdziwym artystą-malarzem.

Noc cicha i pogodna „blada twarz Cyntyi unosi się nad szczytami gór Latyńskich..... gwiazdy migają jak tysiąc złotych wspomnień.“ Jasność nocy południowych zachwyca syna mazowieckich równin. „Coś słonecznego w twych blaskach jaśnieje“ woła zdumiony czarodziejskim oświetleniem, które „nad każdą ruiną zasłonę cieniów rozdziera.“ Przebywając wielokrotnie i to przez całe zimy w Rzymie, Krasiński mieszkał zwykle na *Piazza de Spagna* lub *Via della Croce* w pobliżu *Corso* i całego obszaru rozlicznych willi i ogrodów. Przybywając od północy, wjeżdżał przez *Porta del Popolo* a tym sposobem przy pierwszém poznaniu miasta odbierał wrażenia w odwrotnym porządku od tego w jakim je przedstawia w wę-

drówce Irydyona, którego wprowadza z przeciwnego południowo-wschodniego krańca, przez historyczną *Via Appia.*

Po obu stronach téj drogi, przedstawiającéj najciekawszą z wycieczek po za obrębem Rzymu, sterczą szczątki niezliczonych grobowców starożytnych, w dali widać „czarne wodociągi które idąc ku miastu i nieznachodząc miasta stanęły—opadłe z nich głazy leżą pogrzebnymi stosy“. W téj stronie mieszczą się téż katakumby z których wyszli obecni władzcy Romy. „Ulicą grobów starożytnych“ wiedzie poeta Irydyona. „Strząsa on proch i perzynę stóp swoich“ na ruinach cyrku Karakalli i przy wspaniałym grobowcu Cecylii Metelli. Daléj już w mieście, po za bramą ś-go Sebastyana ciasna droga wije się śród „samotnych kaplic“... „Księżyc szyderstwa promieniem wytyka nędzne domy i nędznych rzadkich mieszkańców“ dzielnic otaczających Palatyn (1).

W samém sercu Rzymu, u stóp Palatynu, w pobliżu Kapitolu wznosi się wspaniała Bazylika Konstantyna, urągając potęgą swych murów ruinom pałacu Cezarów i szkieletowi Kolizeum. Z dachu jéj otwiera się rozległy widok na przyległe historyczne wzgórza, i na cały obszar Kampanii zamknięty błękitnawą opaską gór albańskich i sabińskich. Poeta niejednokrotnie zapewne napawał się tym widokiem. Pozwalając sobie fikcyi, tym bardziéj usprawiedliwionéj iż osłania ją przemilczenie nazwy gmachu, przenosi ową Bazylikę na miejsce kościoła *s-ta Maria in Ara coeli* na Kapitol i bierze za dekoracyą charakterystycznego obrazka z życia papiezkiego Rzymu. Scenę tę widział sam poeta w czasie jednéj ze swych wieczornych przechadzek. „Dwaj starcy w purpurowych płaszczach“ opuszczają krużganek bazyliki, żegnani przez odprowadzających ich zakonników sąsiedniego klasztoru... na twarzach tych książąt kościoła „wyryte ubóstwo myśli—wsiedli do powozu, czarne, schorzałe konie ich ciągną, z tyłu sługa z latarnią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającym z głodu, i na ramach u okien i na listwach u dołu, ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe głowy wychylone zniknęły. „To następcy Cezarów, to rydwan kapitolińskiéj fortuny“ powiada przewodnik do rozradowanego Irydyona.“ Usunąwszy niepotrzebnie wtrącony rys „umierającego z głodu dziecka“ pozostanie pełen prawdy obrazek któregoby nie zaparł się żaden współczesny impresyonista. Od *Ara Coeli* „stromą pochyłością, sadzonymi schody“ wstąpili na szczupły plac Kapitolu (Piazza di Campidaglio) który w milczeniu nocy mógł się wydać poecie „pustym dziedzińcem.“ W środku placu stoi posąg Aureliusza „Cezar bez poddanych—Try-

---

(1) Ta sama okolica stanowi widownię początkowéj scyny „Legendy.“

umfator bez pieśni, a z tyłu czarne tło murów Kapitolu.“ Śród ciszy rozlegał się tylko odgłos kroków wędrowca „z nad szczytów zamku odparł (echem) żałosny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa błądzącego po innych ruinach.“ Z Kapitolu przez *via sacra* „drogą zwycięstw, stopniami ze żwiru i błota zeszli ku Forum. Łuk Septyma Sewera aż po piersi i świątyń ostatnie kolumny aż po szyję zakopane w ziemię wystają jak głowy potępieńców.“ W tém ognisku życia dziejowego Rzymu pustka i milczenie śmierci. „Pod resztą portyku dwóch nędzarzy śpi pod łachmanami płaszcza jednego, w księżycowéj bladości twarze ich jak dwa głazy grobowe—jaszczurki ślizgają wśród ich ramion splecionych a teraz jak liście jesienne przed wiatrem uciekły przed tobą.“ Z Forum ulica „drzew zgrzybiałych“, u stóp Palatynu którego „cień leżał na ziemi“, wiodła wędrowców śród ruin, przez łuk Tytusa, na „jasne miejsca puste i stroskane“ gdzie wznosił się najwspanialszy pomnik z ruin dawnego Rzymu—Kolizeum.

W oświetleniu księżycowém wyobraźnia przybyszów mogła uledz łatwo złudzeniu że ono „dotąd stoi cało.“ Dopiero gdy dostali się do wnętrza i ujrzeli „na milczącéj arenie, na piasku srebrnym wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami u wierzchołków... krzyż czarny, drewniany, cichy“ przywidzenie uleciało a Irydyon poeta zamiast czuć się uszczęśliwionym ze ziszczenia swych marzeń popada w głęboką zadumę. Pogrążony w myślach ani spostrzegł że „miesiąc zapadł niżéj amfiteatru, a do zorzy blizko już było“ bo świat rzeczywisty zniknął z przed jego oczów, a natomiast wyobraźnia na tle zarumienionych porannym brzaskiem niebios, rozpościerała dantejski prawdziwie obraz. W górze nad areną cyrku brzmi muzyka niewidzialnego chóru, na błękicie niebios srebrzy się tysiące skrzydeł tworząc tęczowe półkole, na dole „wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na piersi“ dopomina się ginąca noc—Massynisa o swe prawa, a tłumy duchów piekielnych wspierają jego żądanie. W duszy Irydyona poety „nadzieja boska wszczęła się i zemdlała i znowu się obudziła jak iskra i zagasła i stało się czarno—pusto—głucho jak w nicości, boleśno gorzko—nieznośnie jak w rozpaczy, i słabo—nikczemnie jak w hańbie.“ To nie „piękny i gibki Grek, z tuniką czarną i koturnem argijskim“ przechodzi tę całą skalę cierpienia i zwątpienia które nie mogło się zagnieździć w téj świeżéj, wypoczętéj w długim śnie duszy; to poeta sam,—zapomniawszy o swéj roli, podległ przychodzącéj nań często śród nocy bezsennych depresyi moralnéj, i toczącéj się w duszy walce, między ambitnymi dążeniami a pragnieniem oddania się na cichą ofiarę, za wzorem tego co śmiercią krzyżową ludzkość

zbawił,—nadał postać boju potęg niebiańskich z piekielnymi o duszę Irydyona.

Brzask wschodzącego słońca rozproszył oponę ciemności na której poeta odtwarzał rozterkę swego ducha. „W mgle zarannéj coraz posępniéj mdleją kształty“ szatana, głos jego już teraz „jak szum wód dalekich.“ Otrzeźwiony ze swego gorączkowego marzenia; przechodzi poeta z szybkoscią właściwą nerwowym temperamentom, ze stanu przygnębienia w ekstazę zapału. On będzie zbawiony bo kocha Grecyą i modli się zań Kornelia. „Idź na północ, woła sam do siebie, do ziemi mogił i krzyżów. Idź i czyń choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich—choć zwątpisz o braci twojéj, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać.“

Stwierdzając senny charakter powyższéj sceny powiada w końcu. „I weszło słońce nad ostatkami Romy, i nie było komu powiedziéć gdzie się podziały ślady myśli mojéj—ale ja wiem że ona trwa i że ona żyje.“ W liście do Gaszyńskiego (XXIX) przyznaje Krasiński że „w sercu bardziéj jest pogańskiéj części zwolennikiem“ niż chrześcijańskiego epilogu, „wolałby dzień jeden taki choć z przegraną niż nadzieję dalekiéj przyszłości“ bowiem „myśl główna, przewodnia była marzeniem jego młodości.“ Czuł on się w prawie myśl tę wcielić w poetyczny utwór, bo „mógłby wywołać cienie zmarłych i łzy żyjących,“ mógłby niejednego zapytać: „czyś ty nie czuł nie marzył tak?“ A niejeden odparłby „Tak jest“—„nietylko nie jeden ale naród cały.“

Jakby świadom iż zamyka tu pierwszy peryod swéj działalności poetyckiéj, zagrzebuje Krasiński pod krzyżem Kolizeum ukochaną myśl swéj młodości, by—rozstawszy się z pierwszymi ideałami i marzeniami, szukać innych sfer i innych środków realizacyi dążeń które w coraz podnioślejszéj występują postaci. Na kilku kartkach epilogu streszcza on charakterystyczne cechy talentu, zarówno z peryodu jaki zamykał jak i z noworozpoczynającéj się okrytéj ciemnościami doby życia i twórczości. W zakończeniu tém jak i w calym utworze jest on prawdziwym artystą, malarzem i rzeźbiarzem zarazem, wtedy gdy odtwarza z rzeczywistości szczegóły w których dostrzegł odbicie własnéj myśli. Rozmiłowany w świecie grecko-rzymskim, a właściwie w jego plastyczném zidealizowaniu w pomnikach sztuki, nadaje postaciom Irydyona posągowe postawy na tle architektoniczném. Gdyby przyszło kiedykolwiek do przedstawienia na scenie tego dramatu idei, to przedewszystkiem należałoby, uwydatnić w postawach i ugrupowaniu postaci tę posągowość w jakiéj ukazywały się one wyobraźni poety. Gra artystów musiałaby się ograniczyć na saméj intonacyi głosu, przy zredukowaniu gestów, ruchów

i mimiki do niezbędnego minimum. Sceny katakumbowe tylko wymagałaby odrębnego traktowania, odpowiedniego gorączkowemu polotowi wyobraźni i gorączkowym wybuchom uczucia poety.

Stan na pół sennego marzenia w jakim się przedstawia w epilogu, będzie na nieszczęście zwykłym a nawet wyłącznym stanem w jakim poeta odtąd do nas przemawia. Czyż mógł obserwować i malować rzeczywistość współczesną lub dziejową ten co czekał na jéj zagładę, co w téj zagładzie widział swe wyzwolenie i początek ziszczenia własnych marzeń o nowéj dobie życia ludzkości? On tylko wzrok swój zatapiał w bezmiarach nieskończoności, wyczekując pojawienia się znaków upragnionéj katastrofy i błysków nowéj zorzy. Nieskrępowana żadnymi wzorami ni ramami, podniecana gorączką cierpienia i oczekiwania wyobraźnia poety, snuje teraz kontury przedłużające się i tonące gdzieś w dali; nakłada barwy mieniące się ciągle i zlewające w jedną, nieokreśloną. Nie mając gruntu pod nogami, pozbawione krwi i muskułów postacie jego nie chodzą lecz płyną w przestworze, pojawiają się niewiadomo zkąd i znikają niewiedzieć gdzie. Sen Cezary, Legenda, Pokusa, Noc letnia, Sen z Niedokończonego Poematu, są takimi fantasmagoryami odtwarzającymi wiernie wewnętrzne życie poety, ciągłą zmienność stanów jego ducha, niezdolnego zapanować nad hallucynacyami rozgorączkowanéj wyobraźni i lubującego się w tym stanie upojenia, wyzwalającego z warunków rzeczywistości. Drażni on i męczy czytelnika, niepozwalając jego wyobraźni ani odtworzyć rysów zaciekawiającéj go postaci, ani podążać za jéj śladami, nie dając nigdy usłyszeć głosu tych cieniów za które sam przemawia i własne im podkłada uczucia. Śród fantazyjnego i żadném stałem prawem nie uwarunkowanego ruchu cieni, jakie obiera za przedstawicieli swych idei, często bardzo idee te giną dla nas, w toni ciemnych bezmiarów z którymi nie łatwo się oswaja oko nienawykłe do takiego otoczenia.

Bohaterzy utworów Krasińskiego, niewyłączając nawet najplastyczniejszych postaci Nieboskiéj i Irydyona, nie przejdą do galeryi nieśmiertelnych typów na jaką składają się wielcy mistrze, malarze życia narodowego i wszechludzkiego. Sam poeta przyznaje że w Irydonie „więcéj idee, się ruszają niżeli ludzie“ (List XXXII). Zostaną po nim tylko idee których był natchnionym apostołem, idee równie nieśmiertelne, bo czerpane z głębi ducha ogarniającego całą ludzkość w jéj przeszłości i przyszłości i sięgającego śmiało w nieskończoność, by rozwiązać dręczące go zagadnienie losów własnego społeczeństwa, które, śród ciężkich i ciemnych chwil dziejowych, krzepił apoteozą przeszłości i pobudzał do wiary w siebie niedoścignionym ideałem promiennéj przyszłości.

Bronisław Chlebowski.

Finanse Rosyi w XIX wieku.

XXIX.

Okres od 1875 do 1881 roku, ze względu na rezultaty, jakie po sobie pozostawił, stanowi bez zaprzeczenia najważniejszą epokę w dziejach skarbowości rosyjskiéj i przedstawia téż nader bogaty materyał dla przyszłego historyka, który będzie mógł — nie krępowany żadnemi względami—wypowiedziéć chłodny sąd o działaczach współczesnych.

Obecnie jesteśmy zbyt blizcy tych wypadków, abyśmy mogli zająć względem nich stanowisko krytyczne:—i świeżość wypadków i stosunki osobiste i okoliczności w jakich żyjemy, pozwalają nam tylko regestrować fakta, objaśniając je tam jedynie, gdzie zajdzie konieczna tego potrzeba.

Pod względem finansowym rok 1875 był wyjątkowo pomyślnym. Budżet przewidywał przewyżkę dochodów nad wydatkami w ilości 3,2 mil. rub. — Rzeczywistość jednak o wiele pomyślniejszy miała przynieść rezultat: w roku tym bowiem okazała się przewyżka dochodów nad wydatkami, wynosząca 33,2 mil. rub.

Gospodarstwo społeczne w r. 1875 a bardziéj jeszcze w 1876, przedstawia całkiem odmienny obraz. W tym czasie bowiem zaczęły się ujawniać ujemne rezultaty, zbyt pośpiesznie prowadzonéj budowy dróg żelaznych, wśród tylu braków objawiających się w produkcyi krajowéj, przy papierowym obiegu i różnych trudnościach natury politycznéj — rezultaty oddziaływające nader niekorzystnie na rozwój interesów prywatnych i stan skarbu.

Pomimo tak pomyślnego— zdałoby się — zamknięcia obrotów budżetowych, w r. 1875 zawisło nad państwem ciężkie ekonomiczno-finansowe przesilenie; ludzie, dotykający się tego życia, czuli stan nienormalny, ucisk, przełom....

Budżety państwowe nie stosowały się wcale do zasobności społeczeństwa i nie dawały téż bynajmniéj miary jego dobrobytu. Miejsce deficytów zajęły przewyżki, ale tylko na papierze; w rzeczywistości zaś musiano się uciekać do emisyj biletów kredytowych, nie ubezpieczając ich niczém, i mimo to obieg chromał: skup doszedł do niepamiętnéj wysokości, a kurs wekslowy upadł. I powszechny dotąd optymizm ustąpił miejsca krańcowemu pesymizmowi.

Badania odsłaniają, że budowa 20,000 wiorst dróg żelaznych, która pochłonęła 1 $\frac{1}{2}$ miliarda rubli, dokonaną została przeważnie za pieniądze zapożyczone od kapitalistów zagranicznych, którym musiano zapewnić minimum dochodu w walucie metalicznéj, w postaci poręczenia przez rząd akcyj i obligacyj.

Ogół tego rodzaju zobowiązań, jakie rząd przyjął na siebie w ciągu 10 lat 1866—76, wyniósł 374 miliony rubli. Nie na tém koniec. Oprócz poręczenia dochodów, rząd wspomagał jeszcze towarzystwa kolejowe, wydając im pożyczki, już to na samę budowę nowych dróg, już na powiększenie taboru lub inne udogodnienia, mogące wpłynąć na powiększenie ruchu i dochodów na drogach oddanych już do użytku.

Różne tego rodzaju zapomogi rządu, stanowiące dług dróg żelaznych względem Skarbu, z końcem 1875 roku wynosiły 239,5 mil. rubli (1).

Ale, oczywiście, wpływ dróg żelaznych nie ogranicza się tylko do tego. Na budowę kolei wydano w tym przeciągu czasu 1,103 mil. rubli i sprowadzono z zagranicy rozmaitych materyałów i artykułów potrzebnych do budowy, na sumę 337,2 mil. rubli. Z pozostających 765,8 mil. rubli wpłynęło od kapitalistów zagranicznych 258,5 milionów, które obrócono w latach 1866—1875 na wynagrodzenie robotników i konstruktorów i zakup potrzebnych narzędzi; reszta pozostała zagranicą na pokrycie czynionych tamże wydatków.

Przy tak znacznym przypływie monety brzęczącéj, bilans handlowy, pieniężny—powinien był się okazać korzystnym dla Rosyi i kurs wekslowy powinien był się podnieść ponad poziom, na jakim rzeczywiście się trzymał. Tak przynajmniéj wnosić nakazywałaby teorya, a nawet i praktyka. Tymczasem, tym razem, wpływu tego nie odczuto. Przyczyna tego nader prosta.

Na zasadzie powołanego przez nas w właściwém miejscu, postanowienia Komitetu finansowego z dnia 2 (14) lipca 1867 r. Bank Państwa sam wystąpił, jako nabywca monety brzęczącéj.

---

(1) W ciągu sześciu lat 1869—1874 skarb państwa wypłacił na skutek poręczenia rządowego 145,7 mil. rubli, czyli 48,6% sumy poręczonéj; w r. 1875 tylko 42,2%.

Wzamian za nabyte złoto, puszczono w obieg bilety kredytowe.—Operacya ta bardzo silny wpływ wywarła na obieg pieniężny w Rosyi. Jak wiadomo, wszelkie powiększenie obiegu znaków pieniężnych, a szczególniéj téż pieniędzy papierowych (ponieważ przewyżka zbywająca od potrzeb nie może być wysłaną za granicę), powoduje przez czas jakiś powiększenie spożycia, i tym sposobem wpływa pośrednio na ożywienie handlu i przemysłu. Miało to właśnie miejsce i tym razem, i to w wyższym niż kiedykolwiek stopniu, gdyż jednocześnie z powiększeniem obiegu znaków monetarnych i wartości realizowanych na budowę dróg żelaznych, we wszystkich główniejszych ogniskach organizowano banki handlowe i banki kredytu ziemskiego, działalność tych instytucyj bardziéj jeszcze powiększała i przyśpieszała obieg pieniężny w granicach Państwa: a ponieważ zadośćuczynienie danemu popytowi na pieniądze zależy zarówno od ich ilości, jak i od szybkości obiegu: zatém udoskonalenie obrotów na skutek wprowadzonych przez banki przekazów, jako téż przesyłka pieniędzy koleją zamiast pocztą, powodując szybszy ich obieg, oddziaływały zupełnie tak samo, jak gdyby powiększono ilość pieniędzy w obiegu: spożycie znacznie wzrosło i to nietylko spożycie wytworów krajowych ale i zagranicznych, co naturalnie odbiło się niekorzystnie na bilansie handlowym państwa.

Obok tego, do powiększenia spożycia przyczynił się téż w znacznéj mierze, z jednéj strony wzrost dobrobytu mas, jako następstwo reformy włościańskiéj i powiększenia się zarobków wskutek budowy dróg żelaznych i prowadzonego na nich ruchu, z drugiéj znów idący za tém przyrost ludności.

Wśród prostego ludu powiększył się popyt na przedmioty, niewymagające ani lepszego smaku, ani wytworniejszego wykończenia i dlatego-to przedmiotów tych dostarczał mu przemysł krajowy, wyrabiając je z materyałów surowych, w części tylko z zagranicy sprowadzonych; ale wyższe sfery społeczne—klasy zamożniejsze, zaspakajały potrzeby swoje przeważnie wytworami zagranicznemi. Przez zbudowanie dróg żelaznych, wiele materyałów i wyrobów, które dotychczas nieznaczną posiadały wartość, podskoczyły bardzo w cenie i posiadacze ich odnieśli ze sprzedaży znaczne zyski; inni znowu—a i takich także było niemało—wzbogacali się na saméj budowie i istnieniu dróg żelaznych. Ci i tym podobni gustowali tylko w przedmiotach wykwintnego smaku, służących do wygody, zbytku albo zadawalniających kaprys i szczególne upodobanie; ponieważ zaś większa część przedmiotów zbytku sprowadza się z zagranicy, więc przywóz tych przedmiotów znacznie się powiększył.

Obok wyłuszczonych przyczyn wzrostu nieprodukcyjnego spożycia, wrogo też zaważyło na bilansie handlowym, wprawdzie chwilowe tylko, ale znaczne powiększenie przywozu z zagranicy materyałów, służących do budowy fabryk i zakładów przemysłowych. Powiększony bowiem popyt na różne przedmioty ożywił przemysł krajowy, podniósł ceny, powiększył zyski fabrykantów, a to znowu pobudzało do rozszerzenia i powiększenia wytwórczości— wywołując wznoszenie nowych fabryk i zakładów, których budowa i urządzenie wymagały sprowadzenia z zagranicy, wielu niezbędnych materyałów i maszyn. Prócz tego z rozszerzeniem sieci dróg żelaznych, za którém poszło, częściowe chociaż usunięcie przeszkód administracyjnych do wyjazdu z Rosyi i przebywania zagranicą, liczba wyjeżdżających zagranicę, jak również liczba poddanych rosyjskich, mieszkających po zagranicami państwa, znakomicie wzrastać zaczęła: w roku 1866 wyjechało zagranicę wszystkiego 62,761 osób, w 1875 roku zaś 328,856. Z popytu na weksle zagraniczne wnosić należy, że ci podróżni wyprowadzili z kraju, w tym okresie, bardzo znaczne kapitały.

W takich-to skomplikowanych warunkach ekonomicznych znajdowało się państwo z początkiem 1875 roku, który odznaczył się bardziéj jeszcze anormalnemi zjawiskami niż lata poprzednie.

W budowie znajdowało się wtedy 2,610 wiorst dróg żelaznych; dopominały się one dla wykończenia swego sum bardzo znacznych. Co ważniejsza, przekonano się dowodnie, że mocarstwa sąsiednie, rozszerzywszy znakomicie sieć swoich dróg, otrzymały możność wprowadzenia w razie wojny armii swoich w granice państwa Rosyjskiego, w ciągu 10 do 15 dni po ich zmobilizowaniu. Biorąc też to pod uwagę, ministeryum wojny zażądało dokonania wielu robót dopełniających w celach strategicznych.

W widokach tych robót, za konieczne uznanych, rząd sprzyjał wypuszczeniu obligacyj przez towarzystwa dróg żelaznych, a niepoprzestając na tém, sam pozakupywał w tym czasie, obligacye następujących dróg: Uralskiéj—na sumę 18,7 mil. rubli, Rostowsko-Władykaukazkiéj—na sumę 23,6 mil. rubli oraz wszystkie obligacye drogi żelaznéj Donieckiéj.

Tymczasem zarząd skarbu, usiłując podnieść kredyt i zarazem uwolnić się z pod jarzma zagranicznych bankierów, a przedsiebiorąc nową, piątą emisyą obligacyj konsolidowanych, obniżył od nich procent z 5 do 4½% i nie całą emisyą, lecz tylko pewną część obligacyj poruczył do umieszczenia Rothschildom, na resztę zaś otworzył zapisy w Banku państwa.

Takie obniżenie stopy procentu nie mogło, naturalnie, być dobrze przez giełdy przyjęte, tembardziéj, że Rothschildowie niezadowoleni, że chciano uwolnić się od ich pośrednictwa, nie popierali rzeczywiście téj emisyi tak, jakby byli mogli. Do tego wszystkiego przyłączyły się jeszcze obawy ewentualnéj wojny pomiędzy Niemcami i Francyą, wywołane oświadczeniem posła niemieckiego w Paryżu z okazyi nadzwyczajnych uzbrojeń, jakie Francya dokonywała. Zarząd więc skarbu rosyjskiego, wobec tylu szkopułów, na jakie ta emisya była wystawiona, widział się zmuszonym zatrzymać znaczną część obligacyj w swych ręku. Tym sposobem napływ kapitałów zagranicznych, przeznaczonych na budowę dróg żelaznych w Rosyi, ustał raptownie.

Wprawdzie na dniu 1 stycznia 1875 roku skarb posiadał jeszcze z funduszu dróg żelaznych 57,6 mil. rubli; suma ta jednak nie mogła wystarczyć na zadośćuczynienie wszystkim zobowiązaniom, jakie przyjęto na siebie, względem budujących się dróg oraz na opłatę procentów od puszczonych w obieg papierów państwowych i kolejowych.

A tu na domiar złego, do wszystkich tych kłopotów i trudności przybył nieurodzaj w żyzniejszych guberniach Rosyi i w prowincyach naddnieprowych, nieurodzaj w następstwie którego przemysł cukrowniczy, ciężkie przejść musiał przesilenie. Wczesne zaskoczenie zimy, która wstrzymała żeglugę na rzekach już w jesieni 1875 r., obok zupełnego zastoju w popycie na zboże rosyjskie zagranicą, gdzie urodzaje wypadły lepsze niż w Rosyi, obniżyło znacznie ceny zboża, co naturalnie, musiało wrogo się odbić na ogólném położeniu.

Dodać przytém winniśmy, że wogóle popyt na wszelkie płody surowe rosyjskie, wskutek strasznego przesilenia, jakie po ożywionym ruchu, w latach 1871—1873 nastało w Anglii, Niemczech, Austryi, a po części nawet i we Francyi, niepomiernie się zmiejszył, gdy tymczasem przywóz nietylko się nie zmniejszał, lecz przeciwnie, ciągle wzrastał. Wzrost ten przywozu powodowały z jednéj strony, wspomniane już przez nas okoliczności, powiększające spożycie, z drugiéj znowu wzrost podaży, przy znacznéj obniżce cen towarów zagranicznych, — konieczne następstwo przesilenia, przez jakie rynki zagraniczne przechodziły. Już w listopadzie r. 1875 dała się dostrzedz silna tendencya zniżkowa w kursach wekslowych.

Przytém powstanie Hercegowiny, już wówczas zaczęło alarmować trzeźwiejsze umysły i wzbudzać obawy komplikacyj politycznych, które *datis dandis* mogły a nawet musiały skłonić Rosyą do przyjęcia czynnego udziału w rozstrzygnięciu budzącéj się znowu kwestyi wschodniéj.

Obawy te, przy pesymistycznym nastroju, jaki naówczas panował, powiększają jeszcze popyt na monetę brzęczącą, gdyż wielu handlujących rosyjskich, przy dość łatwym kredycie w kraju, wolało dokonywać wypłat natychmiast, niżeli wystawiać weksle terminowe, które nieprzedstawiały bynajmniéj korzystnych widoków na przyszłość.

XXX.

W takim stanie rzeczy rozpoczyna się téż ponowna operacya podtrzymywania kursu wekslowego. Naruszenie utworzonego w znany nam sposób funduszu metalicznego mogło być usprawiedliwioném jedynie obawą wojny, którąby wymagała znacznéj ilości pieniędzy. Ale, niestety, tego rodzaju obawy naówczas jeszcze nie istniały w kołach administracyjnych, a przedsiębranie środków ostrożności na wypadek wojny, w którejby Rosya czynny udział przyjąć musiała, uważano za rzecz zbyteczną.

Dzięki przemówieniu cesarza Aleksandra II-go, przy spotkaniu się z cesarzem Wilhelmem w Berlinie dia 10 maja 1875 r., wszelkie obawy wojny pomiędzy Francyą a Niemcami ustały i dyplomaci rosyjscy napewno twierdzili, że pokój Rosyi nadługo jest zapewniony. W kilka tygodni późniéj wybuchły z początku nic nie znaczące płomienie wojenne na Półwyspie Bałkańskim, a umysły daléj widzące słusznie obawiać się zaczęły téj „odrobinki hercegowińskiéj“ Bismarcka, widząc w niéj trwałe niebezpieczeństwo nowéj wojny wschodniéj.

W tak niepewném zamąconém położeniu zarząd skarbu postanawia użyć nagromadzonego funduszu metalicznego na zadośćuczynienie niezbędnym—zdaniem jego—potrzebom kraju, wynikającym z przeróżnych zobowiązań międzynarodowych. W tym celu zaczęto odstępować część funduszu metalicznego po kursie, który w porównaniu z ceną kosztu złota, zapewniał kasie państwa dość znaczne zyski. Przez operacyą tę powstrzymywano kurs wekslowy od niechybnego, znacznego upadku.

Po zaliczeniu do funduszu rezerwowego (złożonego z monety metalicznéj) 201 milionów rubli złotem i 28,3 milionów rubli srebrem, zgodnie z przedstawieniem sekretarza stanu Reuterna zatwierdzoném w d. 26 stycznia 1876 roku i zapisanem do protokółu komitetu przy ministeryum skarbu, pozwolono Bankowi czerpać z funduszu rezerwowego złoto i srebro i sprzedawać na giełdzie petersburskiéj albo zagranicą, z warunkiem, aby wymieniane w ten spo-

sób bilety kredytowe były natychmiast wycofane z obiegu i niszczone (1).

Zaraz w początkach téj operacyi wymiany fundusz metaliczny zaczął się szybko zmniejszać; w d. 1 listopada 1876 r. wynosił tylko 76 milionów rubli, za które otrzymano 95 milionów w papierach. W miarę zmniejszania się funduszu wymiany—jakkolwiek niezupełnie odpowiednio temu, zmniejszała się też ilość biletów kredytowych będących w obiegu.

Na dniu 1 stycznia 1876 znajdowało się w obiegu biletów kredytowych 751,2 mil. rubli, z d. zaś 1 sierpnia tegoż roku, pozostawało 697,2 mil. rubli.

Sądząc z ilości złota, zaczerpniętéj w początkach téj operacyi, do lutego 1875 r. wnosićby należało, że żądania nie przewyższały rzeczywistych potrzeb kruszczu dla zaspokojenia zagranicznych zobowiązań kraju. Niebawem jednak popyt na złoto powiększył się; ale i wówczas niepodobna było odgadnąć odrazu: czy powiększenie to powodowała spekulacya, czy tylko przezorność handlujących, którzy pragnęli zabezpieczyć sobie korzystniejszy kurs, dla prawdziwie handlowych swoich operacyj.

Bądź jak bądź niezwykłe czerpanie biletów kredytowych z Banku Państwa, zaraz w jesieni 1875 r., to jest w samych początkach operacyi podtrzymywania kursu, musi być poczytane za zjawisko anormalne; a anormalność ta wzrastała ciągle i w lutym 1876 roku dosięgła swego *maximum*; żądanie monety metalicznéj wyniosło w tym miesiącu 200 mil. rubli, spadło w kwietniu do 185,2 mil., ale w maju podniosło się znowu do 188,5 milionów.

Przyczyną tak wielkiego żądania pożyczek z Banku Państwa, przy ogólnym zastoju w handlu, było prawdopodobnie z jednéj strony nabywanie za te pieniądze złota od tegoż banku, z drugiéj zaś—brak zaufania do banków prywatnych, wywołany niewypłacalnością moskiewskiego Banku Handlowego i Pożyczkowego.

Nadużycia wykryte w banku moskiewskim i smutne ich następstwa dla wielu znaczniejszych firm moskiewskich. obok niepokoju. jaki naówczas panował w sferach handlowych i politycznych, uszczupliły znacznie kredyt, który też w takich okolicznościach przy zachwianiu się ogólnego zaufania spadł do najniższych możliwych granic, skutkiem czego, pomimo faktycznego zmniejszenia się obrotów, większa jednakże ilość pieniędzy okazała się potrzebną w tranzakcyach. A tu na dobitkę w kwietniu 1876 r. stosunki polityczne coraz bardziéj zaczęły się zajątrzać, popyt więc na złoto tak się powięk-

(1) W myśl tego zniszczono biletów kredytowych na sumę 73 mil. rubli.

szył, że zarząd skarbu poważnie zaalarmowany został horoskopem następstw przedsięwziętéj operacyi. Teraz wszyscy już przyszli do przekonania, że losy operacyi zawisły od roli, jaką Rosya odegra w kwestyi wschodniéj; ale kwestya ta z każdym dniem wikłała się coraz bardziéj. Tylko w sferach politycznych rosyjskich wciąż jeszcze optymistyczne przeważały poglądy.

Książę Gorczakow, po widzeniu się z ks. Bismarkiem na wiosnę 1876 roku w Berlinie, zapytany przez zarząd skarbu, oświadczył, że usunięcie wszelkich politycznych trudności jest kwestyą bardzo niedaleką — sprawą tygodni....

W oczekiwaniu zatém ostatecznego zakończenia téj sprawy, które mogło przywrócić zachwiane zaufanie, przeciągano daléj operacyą podtrzymywania kursu i w ciągu kwietnia i maja 1876 roku wydano złota przeszło na 27 mil. rubli.

Tymczasem bezowocność berlińskiego memorandum, jak również wroga postawa Rządu Angielskiego względem Rosyi, skłaniają spekulacyą, działającą dotąd skrycie, do zwrócenia wszystkich swych środków dla nabycia, wzamian za bilety kredytowe, jaknajwiększéj ilości weksli od Banku Państwa i zmuszenia rządu do wstrzymania sprzedaży złota.

A przypomnijmy téż, że nastrój społeczeństwa rosyjskiego, jak również i giełd zagranicznych, pod wpływem przeróżnych pogłosek i nader nieprzyjaznych dla Rosyi artykułów dziennikarskich, pojawiających się w ciągu ostatniego półrocza, sprzyjał jaknajlepiéj zamierzonym przez spekulacyą obrotom.

Po wydaniu tak wielkich sum na budowę dróg żelaznych i inne przedsięwzięcia, które w razie wojny, przez długi czas nie przynosiłyby żadnego dochodu; przy tak olbrzymiem zadłużeniu się państwa zagranicą i wreszcie, wobec tak pesymistycznych poglądów na trwałość rosyjskiego kredytu ziemskiego, uzyskanie nowéj pożyczki zagranicą, na zaspokojenie ciężaru długu i prowadzenie wojny, która musiałaby się toczyć po zagranicami państwa, zdało się kompletną niemożliwością, zatém i przeciąganie rozpoczętéj operacyi, aż do zupełnego wyczerpania funduszu metalicznego byłoby wprost nierozsądnem.

Na skutek nieustannie podnoszących się głosów nieprzyjaznych, przedstawiających w najgorszém świetle bilans handlowy Rosyi, krytykujących niedorzeczność i wadliwość rosyjskiego systematu opodatkowania,—przyczem olbrzymi rozmiar dochodu z akcyzy od trunków służył za dowód bezprzykładnego upowszechnienia się pijaństwa—stało się w Rosyi powszechném mniemanie, iż wojna pociągnie za sobą zupełny rozstrój finansów.

Niektórzy publicyści rosyjscy wyraźnie dowodzili, że jeżeli kwestya wschodnia wywoła wojnę europejską, należy się obawiać — przynajmniéj do czasu powrotu normalnych stosunków — o wypłacalność Rosyi, szczególniéj w zakresie zobowiązań do wypłat w walucie metalicznéj, i to tak dobrze ze strony rządu, jak i osób prywatnych.

Obawy te, rozumie się, bardzo niekorzystnie oddziałały na kurs papierów rosyjskich, a ten stan rzeczy pogorszył się jeszcze bardziéj, gdy gabinet londyński przybrał wrogą względem Rosyi postawę, wskutek czego angielscy posiadacze rosyjskich papierów spiesznie zbywać je zaczęli, nie znajdując zaś na nie nabywców w saméj Anglii, powysyłali je do Rosyi.

I tego faktu nie mógł zarząd skarbu przyjąć obojętnie; musiał dołożyć wszelkich starań, aby choć jako tako podtrzymać kredyt państwa: występuje więc w tym celu jako nabywca papierów rosyjskich i do dnia 1 grudnia 1876 r. nabywa takich wartości na rzecz funduszu wymiany, zawartego w papierach procentowych, na sumę 31,5 milionów rubli.

Ogromna podaż papierów rosyjskich, przy takiéj chwiejności ich kursu, a stałości kursu wekslowego (wskutek podtrzymywania go przez rząd) ożywiły znowu spekulacyą, rozbudzając w niéj ostatecznie przekonanie, że w podobnych warunkach sprzedaż złota w krótkim czasie ustać musi. Dla przeciwdziałania spekulacyi, ówczesny minister skarbu uznał za najracyonalniejszy ze wszystkich środków, jakie dyktowała polityka skarbowa, chwycenie się represyi, przyczém miano nadal dotychczasowym sposobem podtrzymywać sztucznie kurs wekslowy.

Objaśnić téż może wypada i nader prosty sposób postępowania spekulacyi, która za granicą miała charakter prawidłowo uorganizowanego syndykatu. Syndykat zastawiał swoje papiery, a za otrzymane na nie bilety kredytowe nabywał od Banku państwa weksle na zagraniczne rynki. Otrzymaną w ten sposób monetę brzęczącą obracał syndykat na udzielanie pożyczek pod zastaw papierów rosyjskich, które znowu wysyłał do Rosyi, tam je zastawiał i t. d. Rzecz prosta, iż operacya wymagająca takiego tylko kapitału. jaki okazuje się potrzebnym dla pokrycia różnicy między cenami zastawowemi, mogła się ciągnąć bardzo długo i spowodować zupełne wyczerpanie funduszu metalicznego. Bank państwa przeto, wystąpiwszy raz do walki, usiłuje utrudnić tę operacyą, odejmując jéj korzyści z różnicy téj pochodzące i podwyższa skup weksli i procent od pożyczek udzielanych pod zastaw papierów z 6½% i 7½% w kwietniu i maju, do 8½% i 9½% w czerwcu i lipcu. Skoro jednak

i ten środek okazał się bezskutecznym, zażądał Bank państwa od osób, które najwięcéj złota otrzymały, aby wykupiły zastawione papiery, i zaczął takie robić trudności przy zastawie, że wywołał ogólny popłoch, niezadowolenie, szemranie.

Banki i bankierzy podejrzani o współudział z syndykatem, zmuszeni byli zwrócić Bankowi państwa zapożyczone sumy, co ich postawiło w nader krytycznem położeniu. Nie zostawiono im żadnego innego wyjścia: musieli żądać znowu od swoich klientów zwrotu pożyczek i w ogóle wszelkiemi środkami zdobywać gotowiznę, albo ogłaszać upadłość. Klienci takich banków i bankierów, nie przygotowani zupełnie do wypłat, daremnie szukali kredytu w innych bankach; nigdzie nie chciano wchodzić w nowe zobowiązania i ogólny przestrach przybierał coraz groźniejsze rozmiary.

Wobec takiéj surowości Banku państwa, w stosunku do bankierów, niektórzy z nich, unikając przymusowéj sprzedaży zastawionych papierów, a chcąc przytem wywiązać się ze swych zobowiązań, zmuszeni byli wyrzec się spodziewanych zysków i odprzedawali Bankowi weksle na zagranicę, na krótko przedtem od niego nabyte.... brak bowiem gotowizny na giełdzie wstrzymał zupełnie popyt na weksle. W ten sposób dopiero udało się Bankowi państwa zniweczyć działanie spekulacyi i fundusz metaliczny zaczął powoli wzrastać: ze 172 mil. rub. doszedł w październiku do 179,3 mil. rubli, a w listopadzie do 180,5 mil. rubli.

Rozumie się samo przez się, że takie wstrząśnienie kredytem musiało dotkliwie odbić się na przemyśle i handlu, krępowanych niepamiętnym brakiem pieniędzy i ogólnym postrachem aż do października, kiedy coraz groźniéj rysujące się stosunki polityczne wywołały zaprzestanie operacyi podtrzymywania kursów.

Prostem następstwem opisanéj operacyi z funduszem metalicznym oraz spekulacyi, jaką czynność ta wyrodziła, była, naturalnie, ogromna chwiejność kursów wekslowych. Wartość rubla kredytowego od stycznia do czerwca nieznacznym tylko uległa zmianom (80,8—81,4). W czerwcu, lipcu i sierpniu, kiedy spekulacya toczyła walkę z Bankiem państwa, kurs utrzymywał się stale na 81,2 kop. met.; ale w październiku, skoro tylko zaniechano ostatecznie podtrzymywania kursu, strącono go natychmiast do 78,7 kop. met.; po ogłoszeniu zaś mobilizacyi wartość rubla jeszcze bardziéj się obniżyła i w listopadzie spadła do 75 kop. met. W grudniu nadzieja, wywołana konferencyą konstantynopolitańską, podnosi wprawdzie tę wartość do 75,5 kop. met., ale nie na długo. Nadzieja rozchwiała się niebawem: wobec nastroju, jaki podówczas panował w sferach rządowych, wojna Rosyi z Turcyą stawała się coraz bardziéj nieuniknioną.

XXXI.

Dzisiaj, nie ulega już wątpliwości, że ostatnia wojna wschodnia w znacznéj części ukartowaną została w Berlinie. Wypowiedzenie, wojny wystawiano tam, jako jedyny punkt wyjścia z honorem. Odzyskanie części Besarabii, którą Rosya utraciła z mocy Traktatu Paryzkiego, uważano i przedstawiano za obowiązek konieczny, za sprawę że tak powiemy, osobistą cesarza Aleksandra II-go. Generał Schweinitz, poseł niemiecki na dworze petersburskim i generał Werder, agent wojenny, bezustannie torowali drogę tego rodzaju poglądom. Misya generała Manteufla do Warszawy, z własnoręcznym listem cesarza niemieckiego; przybycie na jesieni 1876 roku, generała Schweinitza do Liwadyi z oznajmieniem, że dzięki rokowaniom między Berlinem i Bukaresztem, nic już nie stoi na przeszkodzie przejściu wojsk rosyjskich przez terytoryum rumuńskie i że Rumunia skłonną jest nawet zawrzéć z Rosyą sojusz przeciw Turcyi; wreszcie, deputacya Moskiewska nadciągająca do Liwadyi z oświadczeniem gotowości zebrania potrzebnych na prowadzenie wojny funduszów—wszystkie te okoliczności, razem wzięte, rozstrzygnęły ostatecznie i kwestyą środków na prowadzenie wojny niezbędnych...

Ówczesny minister Skarbu, M. Ch. Reitern, wezwany do Liwadyi, oświadczył, że Rosya znajduje się w smutném położeniu finansowem i stanowczo nie posiada środków na prowadzenie wojny. Ale cesarz Aleksander, opierając się na oświadczeniach deputacyi moskiewskiéj, twierdził, że fundusze niezbędne na to, dadzą się osięgnąć drogą pożyczki. Minister Skarbu jednak przeczył możności zaciągnięcia pożyczki, motywując to słusznie, powszechną trwożliwością giełd europejskich, wywołaną właśnie wojennemi przygotowaniami Rosyi, przyczém dodał, że gdyby nawet pożyczka mogła przyjść do skutku, to warunki jéj byłyby bardzo ciężkie i rujnujące. Daléj, zwracał téż uwagę p. Reitern i na to, że samo nawet przewidywanie wojny przyniosło już Rosyi wielkie straty, przez obniżenie wartości papierów i kursu wekslowego, z taką trudnością przez zarząd skarbu podtrzymywanego. W końcu, widząc płonność swoich uwag, minister poprosił o uwolnienie go z zajmowanego stanowiska i żądanie to tém poparł, że stojąc przez lat dwadzieścia na czele ministeryum skarbu w czasach pokojowych, nie był już zdolnym do przekształcenia się, jak tego okoliczności wymagają na godnego ministra czasów wojennych. Jednocześnie przedstawił téż Reitern cesarzowi szczegółowy memoryał o stanie ekonomicznym państwa.

W przekonaniu Reiterna stan ekonomiczny Rosyi w 1876 r. zniewalał do jak najstaranniejszego unikania wojny. Dzięki pow-

staniu nowych instytucyi kredytowych i uprzystępnieniu kredytu w ogóle, własność nieruchoma w Rosyi nabyła charakteru wartości ruchomych, ale te nie miały jeszcze takiéj elastyczności i nie zdobyły sobie jeszcze takiego zaufania, jakiém odznaczają się papiery wartościowe Europy Zachodniéj. Wobec tego, wojna musiałaby obniżyć kurs wszystkich tych wartości do minimum i temsamém przyczynić znaczne straty całemu zastępowi właścicieli, posiadaczy papierów wartościowych, — niejednego rujnując,—a między nimi i same nawet banki, co odjęłoby wszelkie środki niezbędne do prowadzenia gospodarstwa rolnego, handlu i przemysłu. Olbrzymie kapitały, jakie Rosya zapożyczyła zagranicą w walucie metalicznéj, użyte zostały na budowę wielkiéj sieci dróg żelaznych: zwrot tych kapitałów i opłata procentów od nich może się dokonywać jedynie w razie utrzymania pokoju przez dłuższy przeciąg czasu. Wypowiadając wojnę, Rosya byłaby zmuszoną zaciągać pożyczki na bardzo uciążliwych warunkach,—a wpływ z tych pożyczek musiałby iść, nietylko na wydatki wojny, ale także i na pokrycie ciężaru długu (procenty i umorzenie) i tym sposobem, skarb musiałby długo dźwigać ciężkie brzemię, nie odniosłszy żadnego ztąd pożytku. Wojna—zdaniem p. Reiterna—nietylko zniweczyłaby skutki 20-o letnich reform, lecz nadto, potrzebaby nowych 20-u lat, zanimby Rosya wróciła do stanu, w jakim się w 1876 roku znajduje.

Dodać tu jeszcze należy—o czém w memoryale ministra skarbu nie było już mowy—że nawet przy najprzyjaźniejszém dla Rosyi ukończeniu wojny z Turcyą, nie rokowała ona przecież żadnéj nadziei przywrócenia pokoju, gdyż musiała wnieść w stosunki polityczne wschodu groźny zaczyn nowéj niejako, *ad feliciora tempora* odłożonéj, wojny.

Wreszcie,—zdaniem ministra skarbu—ciężkie położenie, jakie wojna wytworzy, zastój w handlu i przemyśle, a za nim i powszechna bieda—te zwykłe następstwa wojen mogłyby wybornie posłużyć za grunt dla propagandy rewolucyjnéj, która już wówczas zaczęła się zdradzać...

Oto treść memoryału Reiterna.

Cesarz Aleksander musiał oddać sprawiedliwość długoletniemu, wiernemu słudze tronu, z tém wszystkiém jednak, uważał już wówczas wojnę z Turcyą za swój święty obowiązek. Zrazu więc polecono Reiternowi poszukać człowieka, któryby go mógł należycie zastąpić; następnie jednak, wskutek usilnych próśb i nalegań, zdecydował się on sam pozostać na zajmowaném stanowisku do czasu ukończenia wojny.

Zabrano się zatém do postawienia Skarbu Państwa w możności zadośćczynienia różnym żądaniom ku niemu zwróconym, stosownie do potrzeb chwili.

Zanim jednak przejdziemy do szczegółowego zbadania tych środków, musimy wpierw rozejrzéć się w sprawozdaniach skarbowych za lata 1876 do 1879, aby poznać wpływ, jaki wojna z Turcyą wywarła na budżet rosyjski. Dopiero z pomocą tych danych będziemy w stanie ocenić należycie środki, jakich się chwycono, celem pokrycia olbrzymich deficytów, które nanowo stały się nieodłączną częścią tego budżetu.

Wpływ wszystkich przedstawionych powyżéj okoliczności odbił się już w nadzwyczaj dotkliwy sposób na budżecie 1876 roku, w którym, pomimo wszelkich wysileń, przewyżka dochodów nad rozchodami mogła być ustanowioną zaledwie na 86,170 rubli.

Ale stan trwogi, w jakiém zostawało życie ekonomiczne przez cały rok 1876—zwłaszcza po postawieniu Porcie Ottomańskiéj *ultimatum* w sprawie serbskiéj; wreszcie przygotowania do wojny i uruchomienie wojska, gromadzonego od jesieni w Bessarabii—odbiły się bardzo niepomyślnie na rzeczywistém wykonaniu budżetu 1876 r. i istotne stosunki daleko pozostawiły za sobą nadzieje i przewidywania ujmowane w liczby. Nie tylko nie osiągnięto nawet owych 86,000 rubli przewyżki, ale deficyt w dziale dochodów i wydatków zwyczajnych wyniósł w r. 1876 13,8 milionów a wraz z wydatkami nadzwyczajnemi, które same na siebie pochłonęły ogromną sumę 50,9 mil. rubli—wzrósł do wysokości 64,8 milionów rubli. Olbrzymi ten deficyt pokryto z nadzwyczajnym mozołem przez wypuszczenie 5% pożyczki wewnętrznéj na 100 milionów rubli.

Tak nadszedł krwawy rok 1877.

Protokuł Londyński z d. 19 (31) marca tegoż roku był rezultatem naprężonych stosunków dyplomatycznych 1876 roku, oraz usilnych pragnień rozstrzygnięcia na drodze pokojowéj, groźnych zawikłań politycznych, których teatrem był Konstantynopol i cały półwysep Bałkański. Gdy jednak Turcya nie zgodzila się na warunki protokułu i wniosła protest co do legalności tego aktu, wszelka nadzieja utrzymania pokoju ostatecznie znikła.

W takim stanie rzeczy na dniu 12 (24) kwietnia 1877 r. podpisany zostaje Najwyższy manifest, obwieszczający wojnę z Turcyą.

Ale nie sama tylko wojna i wyjątkowe stosunki polityczne rok ten upamiętniły: jest on równie pamiętnym i przez ekonomiczne swoje stosunki.

Zastój w przemyśle, który już od 1873 r. gnębił Europę i Amerykę, doszedł w tym roku do niesłychanych rozmiarów. Wywołał

go ogólny bieg spraw ekonomicznych na całéj kuli ziemskiéj i wpływy jego oddziaływały na gospodarstwo wewnętrzne Rosyi, niezależnie nawet od wypadków na półwyspie Bałkańskim. Powstanie w Hercegowinie, wojna serbska i czarnogórska, wyczekiwanie wielkich kolizyj międzynarodowych, jakie kwestya wschodnia zdawała się sprowadzać, w końcu wojna Rosyi z Turcyą i wszystko to stanowiło tylko jedną więcéj przyczynę, w rzędzie przyczyn ogólnych, które spowodowały upadek handlu i przemysłu na obu półkulach. Zastój ekonomiczny, wyraźny w ciągu ostatnich trzech lat, był nieuniknioną reakcyą chorobliwie wybujałéj spekulacyi (zwłaszcza w Niemczech i Austryi) i przewrotu finansowego, wywołanego kontrybucyą francuzką, która spowodowała gwałtowną wędrówkę kapitałów i wszelkiego rodzaju wartości. Prócz tego były jeszcze i inne przyczyny oddziaływające na przemysł Europy środkowéj i przyspieszające wzmiankowane przesilenie.

Duch przedsiębierczości ekonomicznéj spadł w tym roku tak nizko, jak nigdy.

Przemysł rosyjski nie mógł się ostać wpływom ogólnego zastoju, tembardziéj, że działały tu jeszcze inne nieprzychylne, miejscowe okoliczności. Pomimo to jednak, zastój w przemyśle w 1877 r. mniéj dał się uczuć w Rosyi, niż w innych krajach Europy, a to z następujących przyczyn: przedewszystkiém wywóz towarów rosyjskich zagranicę wzrósł niesłychanie—było to następstwem obfitego tutaj urodzaju, silnego popytu na zboże zagranicą, oraz upadku wartości papierów rosyjskich; powtóre, wojna wprawiła handel i przemysł w ruch gorączkowy; fakt to powszechnie znany, żadnéj nie ulegający wątpliwości. Rzeczą jest niezawodną, że wyczerpanie sił finansowych, jakie wojna za sobą pociąga, ujawnia się dopiero późniéj. Tymczasem przedstawiciele niektórych gałęzi handlu i spekulacyi, z dumą rozprawiali o wyjątkowém ożywieniu ówczesnego przemysłu, zapominając o tém, że ożywienie to, w znacznéj części spowodowaném było forsowną emisyą pieniędzy papierowych, która w 1877 r. dosięgnęła 300 milj. rubli.

Oczywiście, wszystkie te okoliczności jak najniekorzystniéj wpłynąć musiały na wykonanie budżetu 1877 r., w którym przewidywano tylko 8.5 milionów rubli deficytu, kiedy tymczasem istotny deficyt tego roku wzrósł do olbrzymiéj wysokości 465,5 rubli metalicznych!

Ponieważ jednak wydatki nadzwyczajne miały oddzielny swój rachunek, więc sprawozdania Kontroli Państwa oddzielają je od zwyczajnego budżetu i tym sposobem, w bilansie zestawionym przez Kontrolę Państwa wykazano tylko deficyt wynikający z porówna-

nia samych zwyczajnych dochodów i wydatków 1877 r. mianowicie w sumie 36,213,980 r.

Same tylko wydatki nadzwyczajne, wywołane potrzebami wojny, pochłonęły w tym roku 429,3 mil, rub. Dodawszy zaś do tego wydatki nadzwyczajne poprzedniego okresu budżetowego w ilości 50,9 mil. rub. również na cele wojenne, otrzymamy na ogół wydatków wojennych aż do dnia 31 grudnia 1877 r. 480 milionów rubli.

W następnym roku wydatki nadzwyczajne bynajmniéj się nie zmniejszyły. W ogóle biorąc rok 1878 był jednym z najcięższych, jakie kiedykolwiek Rosya przeżyła. Zbiegło się w nim mnóstwo okoliczności, rzucających przykry cień, zarówno na życie zewnętrzne, jak i wewnętrzne, i bardziéj kraj upokarzały i trapiły, niż sam przelew krwi w poprzednim roku. Pomimo wstrzymania działań wojennych i zawartéj z Turcyą na dniu 3 marca 1878 r. umowy w San-Stefano, aż do 13 lipca tegoż roku, to jest do Traktatu Berlińskiego, pozostawała Rosya w niepokojącém oczekiwaniu i niepewności, względem dalszego ułożenia się stosunków politycznych i nie mogła była wstąpić w zwykłą kolej normalnego życia. Traktat znowu berliński, wprawdzie usunął obawy starcia z państwami europejskiemi, spokój jednak nie wrócił, bo go zakłócały wypadki nurtujące Państwo na wewnątrz — wypadki, świadczące dowodnie o chorobliwym stanie społecznego ustroju. Gwałty i zamachy polityczne, kradzieże, jawne wyzyskiwanie stanowisk—wszystkie te smutne objawy, czarną wycisnęły w Rosyi pieczęć na 1878 r.

Okoliczności podobne musiały odbić się na gospodarstwie państwowem, więc téż wykonanie budżetu 1878 r. daleko odbiegło od przewidywanych zamierzeń. Budżet tego roku przewidywał deficyt w wysokości 27,5 mil. rubli. Rzeczywistość całkiem odmienny dała rezultat. Zakończenie wojny i puszczenie w obieg takiego mnóstwa biletów kredytowych, z kursem przymusowym, ożywiło handel i przemysł i sprawiło, że rzeczywisty wpływ dochodów, znacznie przewyższył przewidzenia budżetu.

Spustoszenia, jakie sprowadziła wojna w kapitałach i siłach roboczych, nie mogły się jeszcze dać odczuć. Przeciwnie, zapanował gorączkowy ruch, wywołany wielką ilością obiegających pieniędzy papierowych, które niejeden brał nawet za istotne bogactwo, twierdząc naiwnie, że wojna wzbogaciła Rosyą!...

Bądź jak bądź, ta obfitość pieniędzy papierowych ułatwiła i wzmogła pobor dochodów państwowych, tak, że w 1878 roku, rzeczywisty wpływ przewyższył o 67 mil. rubli przewidzenie budżetowe i dochody tego roku dosięgły 625 rubli.

Ale nawzajem podniosły się i wydatki ponad przewidywanie, i to w daleko wyższym jeszcze stopniu: gdy bowiem oznaczono je w przewidywaniu tylko na 579,7 milionów, w rzeczywistości ogólna suma rozchodów państwa w r. 1878 wyniosła *jeden miliard, ośm milionów rubli.* W sumie téj mieściło się 408,1 mil. zużytych na wydatki nadzwyczajne. Z zestawienia zwyczajnych rozchodów z takiemi samemi dochodami r. 1878 wynika, że budżet zwyczajny dał w wykonaniu rzeczywistém przewyżkę w dochodach na 27,9 mil. rubli. Wprowadzając tę przewyżkę do ostatecznego rachunku otrzymuję na sumę wszystkich wydatków wojennych w latach 1876-8—888,4 milionów rubli.

Jakkolwiek rezultaty finansowe 1878 roku wymownie świadczyły o smutném położeniu państwa, jednakże wielka obfitość pieniędzy... papierowych, znajdujących się w obiegu, potrafiła obałamucić wielu „patryotów“ rosyjskich, którym ówczesne położenie wydało się świetném, nie pozostawiającém nic do życzenia, a należało je—ich zdaniem—zawdzięczać wojnie właśnie! Te naiwnie błędne mniemania ludzi, którzy sztuczne ożywienie handlu i przemysłu wzięli za rzeczywisty zwrot ku lepszemu, znalazły nawet oddźwięk w prasie i publiczności. Rzeczywistość jednak rozwiała pseudo-patryotyczne widziadła i przekonała, że stan finansowy Państwa poważnie jest zagrożony i z gruntu leczonym być musi.

Następca Reiterna, nowy minister Skarbu, S. A. Greyg, przedstawiając cesarzowi budżet na rok 1879, wyznaje bez ogródek, że ówczesne ożywienie handlu i przemysłu jest „chwilowe“ i „sztuczne“; że tylko szczególny zbieg okoliczności dał możność kasie państwa jakiego takiego wykręcenia się z trudności; że jestto jednak tylko gorączkowe ożywienie, w części rezultat szczęśliwego zbiegu okoliczności—nic więcéj.

Rzeczywiście, wielki napływ pieniędzy papierowych i dobry urodzaj w tym roku, powiększyły wpływy z niektórych dochodów niestałych, a wydatki skarbu dokonywane w granicach państwa pieniędzmi papierowemi, nie zdołały jeszcze powiększyć się odpowiednio do upadku wartości tych znaków. Wszelako stan taki nie mógł trwać długo, a tembardziéj téż nie mógł powtórzyć się w następnym okresie budżetowym.

O zmniejszeniu wydatków mowy być nie mogło, i trzeba było nadto likwidować wydatki z czasów wojny, rynek zaś pieniężny czuł ciężkie brzemię. Słowem, spuścizna pozostawiona na rok 1879 nie mogła bynajmniéj budzić zazdrości.

W przewidywaniu zatém ciężkich opałów ministeryum Skarbu usiłuje powiększyć źródła niektórych podatków. Powiększenie to

miało przynieść ogółem około 18 milj. rub., a uległy mu następujące podatki:

Podatek od ubezpieczeń od ognia miał przysporzyć skarbowi 2¼ milj. rub. dochodu (d. 26 grudnia 1878 r.).

Z dniem 1 lutego t. r. nowy podatek od transportu podróżnych i towarów kolejami żelaznemi w pociągach pospiesznych. Z tego źródła miało wpłynąć około 6½ milj. rubli (d. 8 lutego 1879 r.).

Daléj, podniesiono opłaty stemplowe i wprowadzono do Królestwa Polskiego ogólne blankiety wekslowe. Powiększenie dochodu z tego tytułu miało przynieść do 3 milj. rubli.

W końcu ukaz z dnia 18 stycznia 1879 r. podniósł akcyzę od wódki, wina i napojów wyrabianych z owoców, co powinno było powiększyć ten dochód o 3 i pół milj. rubli.

Niezależnie od tego powiększenia opłat w 1879 roku podniesiono znowu akcyzę i ustanowiono cło od bawełny i innych przedmiotów handlu.

Ale nietylko stan budżetu troskał rząd po 1879 roku.

W okresie trzech lat, poczynając od roku 1876, życie państwowe całkiem zakłócone zostało: w 1876 roku dręczył naród ciągły niepokój—obawa o przyszłość; w 1877 r. nastąpił rozlew krwi, w 1878 wreszcie, wycieńczenie.

Ale rok 1879 nie znalazł jeszcze pożądanego spokoju: trapiły go dżuma z jednéj zamachy rewolucyjne z drugiéj strony.

Dla przeciwdziałania tym zamachom prawodawstwo przybrało charakter czysto-administracyjny; stworzono najróżnorodniejsze, wyższe i niższe instancye, z charakterem policyjnym. Niezadowolenie z jednéj, represya z drugiéj strony, wzrastały z każdą chwilą i każdy dzień, coraz-to bardziéj wikłał sytuacyą.

Położenie takie musiało się znowu odbić na budżecie. Na r. 1879 przewidywano 380 tysięcy rubli przewyżki dodatniéj; tymczasem przy wykonaniu budżetu z tego roku osiągnięto następujące rezultaty:

Dochodów zwyczajnych wpłynęło 661,954,191 rubli, czyli o 44.856,249 rubli więcéj, niż przewidywano. Był to wpływ przewyższający o 14,8% dochody 1875 roku.

Wydatków zwyczajnych budżet przewidywał 610,7 mil. rub. ale rzeczywiście wydano 776 mil. téj z sumy wydatki zwyczajne pochłonęły 643,8 mil. r. nadzwyczajne zaś z tytułu wojny 132,1.

W ogóle wydatki zwyczajne 1879 roku okazały się o 18½% wyższemi w porównaniu z wydatkami 1875 roku.

Zestawiając zaś dochody zwyczajne z takiemiż wydatkami, okazuje się, że przy wykonaniu budżetu 1879 r. dochody przewyższyły wydatki o 20 milionów.

Jeżeli teraz przebiegniemy sprawozdania Kontrolera Państwa za cztery lata od 1876, do 1879, t. j. za okres, w ciągu którego Skarb Państwa zmuszony był z tytułu wojny, wyszukiwać specyalne źródła na pokrycie nadzwyczajnych wydatków, to otrzymamy 2 miliardy 433 miliony rub. dochodów zwyczajnych, już po włączeniu pozostałości ze służby lat poprzednich.

W tym samym okresie czasu użyto na wydatki zwyczajne 2 miljardy 383 milj. r. Z zestawienia zatem dochodów zwyczajnych z takiemiż wydatkami, okazuje się przewyżka po stronie dochodów, wynosi 49,6 milj. rub.

Ale jednocześnie budżet nadzwyczajny na wydatki wojenne rósł ciągle; z 888 mil. w końcu r. 1878 przez rok 1879 doszedł do niesłychanéj wysokości 1.020 mil., tak iż owa przewyżka pozostała tylko wartością rachunkową. Miliard kontrybucyi, opłaconéj w ten sposób przez Rosyą za prowadzenie ostatniéj wojny, nie występował nigdy w budżetach zwyczajnych i miał swój odrębny rachunek.

XXXII.

Rozejrzyjmy się teraz w źródłach, z których pokryto nadzwyczajne wydatki okresu 1876—1879 rok.

W 1876 roku, kiedy wojna z Turcyą była już rzeczą zdecydowaną, w przewidywaniu wydatków, jakie rozpoczęcie działań wojennych będzie musiało za sobą sprowadzić, została zatwierdzoną na dniu 25 października decyzya Komitetu ministrów,—polecająca ministrowi Skarbu wypuścić w obieg—w razie gdyby mobilizacya wojsk przyszła do skutku—100 milj. rub. w 5%-owych biletach Banku Państwa. Jednocześnie upoważniono Bank Państwa do czerpania z funduszu zapasowego biletów kredytowych dla udzielania zaliczek Skarbowi i wydawania pożyczek osobom prywatnym, aby ułatwić pomieszczenie się wypuszczanym biletom.

Ale pomimo zapewnień deputacyi moskiewskiéj, że naród, żądny wojny i „oswobodzenia braci-słowian,“ dostarczy z łatwością i chętnie, środków na ten cel niezbędnych, emisya stumiljonowéj pożyczki w 5%-owych biletach napotkała na taką niechęć, że zapisy całkiem się nie udały; przepowiednie Reiterna ziściły się: zapewnienia deputacyi były istotnie „czczemi słówkami“; ani Moskwa, ani prowincya nie wzięły udziału w zapisach.

Pożyczkę tę ulokowano dopiero późniéj, gdy Bank Państwa ponakłaniał do niéj banki prywatne, udzielając im pożyczki na bardzo dogodnych warunkach, pod zastaw puszczających się w obieg

biletów, czerpiąc na to z funduszu zapasowego biletów kredytowych. Tym sposobem osiągnięto z téj 100 milionowéj pożyczki w 1877 roku 91,7 mil.

Otrzymawszy tak wymowny dowód, jak trudno byłoby w danych warunkach, w jakich państwo się znajdowało, zebrać fundusz potrzebny na prowadzenie wojny, ówczesny minister skarbu M. Ch. Reitern, usiłował wszelkiemi sposobami odwieść stronnictwo wojny od jéj wypowiedzenia, aż w końcu oświadczył wyraźnie, iż skarb państwa nie posiada żadnych środków na pokrycie nadzwyczajnych wydatków wojennych. Ponieważ jednak wielu kwestyonowało zdanie p. Reiterna, był on zmuszony w chwili wypowiedzenia wojny— w kwietniu 1877 roku wyjednać najwyższe zezwolenie na przedstawienie komitetowi finansowemu wniosków, uzasadniających jego twierdzenie, że funduszów potrzebnych na prowadzenie wojny nie dostarczą żadne inne źródła, tylko wyłącznie jedno owo oddawna już znane, a nieszczęsne: wypuszczenie wielkiéj ilości biletów kredytowych. Komitet finansowy podzielił w zupełności zapatrywanie ministra skarbu i oświadczył przytém jednozgodnie, iż nowe emisye biletów kredytowych muszą sprowadzić daleko smutniejsze następstwa, niżeli podczas wojny krymskiéj, gdyż w owe czasy — w 1853 kurs ich nie był jeszcze tak poderwanym jak w r. 1877 — wypłaty dokonywane biletami kredytowemi uskuteczniane były przeważnie w granicach państwa, gdy tym razem wypadnie je dokonywać za granicą. Przy téj okazyi komitet finansowy roztrząsał téż różne inne środki, proponowane przez osoby prywatne, zajmujące się sprawami finansowemi. Zaproszenie tych osób do udziału w obradach komitetu nastąpiło z inicyatywy obecnie panującego cesarza.

Kiedy jeszcze w jesieni 1876 r. minister skarbu, wezwany do Liwadyi, wyjawił otwarcie pogląd swój na następstwa, jakie wojna dla Rosyi pod względem ekonomicznym za sobą sprowadzi, na oświadczenie tegoż ministra, iż nie widzi sposobów powiększenia funduszów skarbu o tyle, aby znieść ciężar procentów i umorzenia pożyczek, jakieby na prowadzenie wojny zaciągnąć należało, jak również wszelkich ciężarów, jakiemi wojna skarb państwa obarczy, postanowiono zaprosić do narady innych finansistów, mianowicie pp. Bunge i Babsta; następnie, na wniosek ministra skarbu, powołano jeszcze do tych obrad sekretarza stanu Zabłockiego-Diesiatowskiego, członka rady państwa Niebolsina, D. A. Oboleńskiego i A. A. Abazę.

Reasumując zdania sześciu wymienionych specyalistów, widzimy, że proponowane przez nich sposoby pokrycia spodziewanych wydatków nadzwyczajnych redukują się do dwóch następujących:

1. Wprowadzenia ogólnego podatku od dochodu, z którego wpływ przeznaczał się wyłącznie na potrzeby i wydatki nadzwyczajne.

2. Powiększenia istniejących i wprowadzenia nowych podatków, a mianowicie:

a) powiększenie o 25% podatku od nieruchomości, który podług etatu na rok 1877 miał przynieść 53,017,572 rub.

b) powiększenia podatku za prawo handlu od 4 do 5%; powiększenie to przyniosłoby 1,694750 rub.

c) powiększenia akcyzy od 2 do 5%, co dałoby około 4,426,620 r.

d) podwyższenia podatku stemplowego do 5%, co mogło przynieść 480,000 rub.

e) podwyższenie opłat od aktów urzędowych, tudzież opłat sądowych i kancelaryjnych (oblaty) o 5%, co powiększyłoby dochód w tym tytule o 380,000 rub.

f) wprowadzenia podatku klasycznego czyli podatku od dochodów.

g) wprowadzenie podatku od mieszkań.

h) wprowadzenia opłat procentowych od dywidendy z przedsiębierstw akcyjnych.

i) ustanowienia cła od surowéj bawełny, węgla kamiennego, oraz kruszczów i wyrobów z kruszczu, niepodlegających dotąd opłacie cła.

Ponieważ jednak wszystkie zaprojektowane środki mogły były powiększyć dochody dopiero w przyszłości, a potrzeby nagłe były: przeto rząd, party koniecznością, nie mógł do żadnego z nich się uciec, lecz widział się zmuszonym chwycić środków doraźnych, w rzędzie których pierwsze miejsce — jak zazwyczaj—zajęły nowe emisye biletów kredytowych. W ciągu 1877 roku puszczono ich w obieg na sumę 300 mil. rubli.

Niezależnie od emisyi biletów kredytowych w ciągu 1877 r., wypuszczono jeszcze na 36 mil. rub. biletów skarbu państwa i zaciągnięto 5%-ową pożyczkę wewnętrzną na sumę 200 mil. r. pod nazwą *pożyczki wschodniéj z 1877 roku.* Postanowienie polecające zaciągnięcie wspomnianéj pożyczki upoważniało Bank państwa podobnie jak przy emisyi 5% biletów tegoż Banku na sumę 100 mil. rub.—o któréj poprzednio wzmiankowaliśmy—posiłkować się, w razie potrzeby, funduszem zapasowym biletów kredytowych, dla umożliwienia natychmiastowego skupu weksli i udzielania pożyczek pod zastaw papierów procentowych, jak również zaspakajania wydatków państwa, gdyby wpływy z pożyczki okazały się niewystar-

czającemi. Ale i te środki nie wystarczały i ministeryum skarbu nie mogło było na nich poprzestać. Wszystkie wspomniane pożyczki powiększyły tylko ilość biletów kredytowych, gdy tymczasem na potrzeby armii czynnéj, w razie dłuższego przeciągnięcia się wojny, jak również na wypłaty zagraniczne z tytuły ciężaru długów państwa niezbędną była moneta brzęcząca. Czyniąc więc zadość téj potrzebie, minister skarbu zawiera umowę z innemi bankami, mocą któréj otrzymuje od wspomnianych kapitalistów 90 milionów marek, tytułem zaliczenia na rachunek pożyczki zewnętrznéj, zatwierdzonéj ukazem z d. 26 maja 1877 roku na sumę 307,500,000 marek pruskich.

Pożyczka ta — można powiedziéć — zawartą była w sekrecie i świadczy téż doskonale, w jak smutném położeniu znajdowało się naówczas ministeryum skarbu. Warunki pożyczki były tak uciążliwe, a w części nawet i uwłaczające godności tak wielkiego jak Rosya mocarstwa, że kiedy minister skarbu przedstawił komitetowi finansowemu umowę o zawarcie téj pożyczki, żądając jéj ratyfikacyi, ogólnie przeciw niéj zaprotestowano i śmiało rzec można, że ratyfikowano ją ostatecznie, jedynie tylko, dzięki poważaniu z jakiém wszyscy byli dla p. Reiterna, którego nie chciano postawić w fałszywém położeniu....

Chcąc wyjaśnić pobudki, które skłoniły ministra skarbu do przyjęcia tak uciążliwych warunków pożyczki, musimy przedewszystkiem poznać bliżéj wpływ, jaki wojna wywarła na kurs papierów rosyjskich i rozejrzeć się w środkach przedsięwziętych celem pokrycia wydatków wojennych, dokonywanych monetą brzęczącą, po za granicami państwa.

Skutkiem nieuchronnym wstrzymania operacyi, dokonanych z funduszem wymiany oraz spekulacyi, wywołanéj temi operacyami, o których wspominaliśmy już, jako o ostatnim epizodzie historyi skarbowości rosyjskiéj przed mobilizacyą armii—był upadek kursu, z 81,465 kop. met. we wrześniu do 78,735 kop. met. w październiku. Z ogłoszeniem mobilizacyi kurs zeszedł niżéj jeszcze — do 75,071 kop. met. w Listopadzie. W grudniu, dzięki chwilowéj nadziei, jaką budziła konferencya konstantynopolitańska, podniósł się wprawdzie, lecz nie o wiele, i dosięgnął 75,7 kop. met.

Znaczny téż — jakkolwiek także chwilowy tylko — wpływ na kurs wywarło rozporządzenie rządu w przedmiocie pobierania opłat celnych, poczynając od d. 1 stycznia 1877 roku w złocie, po cenie nominalnéj. Rozporządzenie to musiało wywrzéć silne w publiczności wrażenie, gdyż nakazywało przyjmować ruble srebrne

tylko przy opłatach nie przenoszących 5 rub. 15 kop., a bilety kredytowe tylko w wyjątkowych wypadkach, licząc 50 kop. met. za rubla papierowego i to tylko do końca 1878 roku. Skutkiem tego rozporządzenie rzeczone uważano za pierwszy krok do ograniczenia przymusowego kursu biletów kredytowych i wprowadzenia waluty złotéj w miejsce dotychczasowéj srebrnéj. Największy jednak wpływ wywierała okoliczność, że postanowienie ściągania opłat celnych, poczynając od dnia 1 stycznia 1877 r. w monecie brzęczącéj— przy ówczesnym kursie — równało się podwyższeniu taryfy celnéj o 33%! Okoliczność ta spowodowała, że kupcy i spekulanci starali się sprowadzić przed tym terminem jak największą ilość towarów, opłacających wysokie cło, żeby tym sposobem obrócić na swą korzyść konieczne podwyższenie cen tych towarów po 1 stycznia 1877 r. Operacyą tę nadto znacznie ułatwiało pozostawienie w swéj mocy przepisu zezwalającego na wykup biletami kredytowemi i po dniu 1 stycznia 1877 r. zastawów, składanych na rękojmię mającego się uiścić cła.

W rezultacie téż, przeglądając wykazy handlu zagranicznego, a nadewszystko przywozu cenniejszych towarów, przekonywamy się, że w listopadzie i grudniu 1876 roku przywieziono ich do Rosyi na 30 milionów rubli więcéj, niż w ciągu tych samych miesięcy roku poprzedniego.

Taki wzrost przywozu musiał powiększyć popyt na weksle zagraniczne, potęgując ciężar przepisu pobierania cła w monecie brzęczącéj — które-to postanowienie zaskoczyło wszystkich najniespodziewaniéj i uważane było za zupełną nowość, chociaż istotnie bynajmniéj nowością w Rosyi nie było.

Rzeczywistych a dorzecznych przyczyn nagłego wprowadzenia téj reformy w listopadzie 1876 r. kiedy postanowiona mobilizacya armii zapowiadała blizką wojnę trudno odgadnąć.

Ciężar, nałożony przez przepis obowiązkowy płacenia cła w monecie brzęczącéj, padł przeważnie na artykuły na wpół przygotowane do użytku, cło zaś od materyałów surowych powiększyło się w nieznacznym stosunku. Okoliczność ta musiała, naturalnie, sprowadzić podrożenie wyrobów zagranicznych w stosunku prostym do podniesienia się ceny monety brzęczącéj, którą płacono za towary i musiano cło uiszczać. Podobnie musiały podskoczyć i ceny wyrobów krajowych; raz dla tego, że podrożały materyały służące do wyrobu, a sprowadzane z zagranicy, powtóre, że wyroby te oswobodzone zostały tém samém od zagranicznego współzawodnictwa. Ponieważ zaś przemysł rosyjski—z bardzo małym wyjątkiem niektórych tylko gałęzi—nie może jeszcze zaspokoić wszelkich

potrzeb, fabrykanci przeto i przemysłowcy rosyjscy otrzymali możność podniesienia cen swoich wyrobów, nie czyniąc bynajmniéj większych na nie nakładów, i tym sposobem powiększyły się znacznie ich zyski.

Taki stan rzeczy o tyle był smutniejszym, że w przewidywaniu większych wydatków państwa, przy nadchodzącéj wojnie, większa część ludności zmuszoną była opłacać powiększone podatki. Jeżeli zaś do ciężaru podatków dodamy ciężary pośrednie, spowodowane sztucznem podwyższeniem cen artykułów spożywczych, niezbędnych, przyjdziemy do przekonania, iż brzemię było nad siły, szczególniéj dla ludzi mających dochody ograniczone, stałe, a témbardziéj téż dla klasy robotniczéj, gdyż cena pracy, któréj głównym regulatorem jest zazwyczaj prawo popytu i podaży, przez długi przeciąg czasu nie zmienia się, i tylko bardzo wolno i nieznacznie się podnosi pomimo podrożenia artykułów żywności, wywołanego obniżeniem wartości monety.

Ale jednocześnie z wprowadzeniem opłat celnych w złocie inne jeszcze czynniki oddziałały na kurs wekslowy. Operacya sztucznego podtrzymywania kursów, którą przedsięwzięto pod koniec 1875 r. i prowadzono do października roku 1876, zatrzymała w kraju towary, które w razie znaczniejszego spadku wartości rubla byłyby posłużyły do zaspokojenia międzynarodowych zobowiązań Rosyi. Obok tego inne okoliczności lat 1877 i 1878 złożyły się nader pomyślnie dla gospodarstwa krajowego Rosyi. I tak, nieurodzaj za granicą wywołał podskoczenie cen zboża, głównego—jak wiadomo—artykułu rosyjskiego wywozu, jak również i cen wielu innych towarów. Przy powiększonym zatém wywozie towarów rosyjskich, sprzedawanych na zagranicznych rynkach, po wyższych cenach, a zmniejszonym jednocześnie przywozie towarów zagranicznych i zmniejszonéj liczbie podróżnych, wyjeżdżających zagranicę, wobec nieznacznego obdłużenia handlu rosyjskiego zagranicą, po zlikwidowaniu większéj części zobowiązań w czasie operacyi podtrzymywania kursów, — musiała nastać wielka podaż weksli. Z okoliczności téj nie omieszkał téż skorzystać minister skarbu i zarządził skup weksli terminowych na giełdzie petersburskiéj za pośrednictwem petersburskiego Banku Pożyczkowo-Dyskontowego. W 1877 i 1878 roku takich weksli skupiono na sumę 104,800,000 rubli metal., za które zapłacono 161.200,000 rub. kredyt. Z tego-to przeważnie źródła pokrywano wydatki armii czynnych na Półwyspie Bałkańskim i na Kaukazie. Nadmienimy przytém, że wydatki armii bałkańskiéj wynosiły 82 miliony w monecie brzęczącéj, a kaukazkiéj 1,730,000 rub. met. Ponieważ jednak rozporządzalne środki pań-

stwa nie wystarczały na pokrycie nadzwyczajnych wydatków, przedsięwzięto więc jeszcze następujące operacye finansowe.

Najpierw, uwzględniając wielką ilość biletów kredytowych, znajdujących się w obiegu, ukaz z dnia 10 lutego 1878 r. polecił wypuszczenie krótkoterminowych obligów skarbu państwa. Obligów tych znalazło się w obiegu, w ciągu 1878 roku, na sumę 150 mil. rub.; termin był sześciomiesięczny.

Następnie, z mocy ukazu z dnia 11 sierpnia 1878 r. zaciągnięto drugą pożyczkę wschodnią na sumę 300 mil. rub. Jak przy zapisach na pierwszą, tak i przy zaciąganiu téj drugiéj, Bank państwa korzystając z prawa emisyi biletów kredytowych, wspomagał wypożyczających kapitalistów, udzielając im pożyczki na dogodnych warunkach.

Ogółem, po dzień 1 listopada 1878 r., Bank państwa na pokrycie wydatków państwowych puścił w obieg 500 milionów rubli w biletach kredytowych. Ale ponieważ wszystkiego tego nie wystarczyło, a gotowizna, pomimo zaciągniętych poprzednio pożyczek, dość jeszcze była obfitą, więc z początkiem 1879 r. puszczono znowu w obieg na 50 mil. rub. obligacyi skarbu państwa, z terminem sześciomiesięcznym. Wszystkie wzmiankowane pożyczki zrealizowano, nie wywoławszy wstrząśnienia, dzięki nader zręcznym i umiejętnym operacyom ówczesnego dyrektora banku państwa, p. E. J. Łamańskiego.

Niezależnie od wydatków wojennych, które podówczas dosięgły już 948 milionów rubli, musiał rząd zaliczyć jeszcze znaczne sumy towarzystwom dróg żelaznych na rachunek funduszu kolejowego; skutkiem bowiem wielkiéj ilości obligacyj dróg żelaznych, nie sposób było znaleść dla nich korzystnego pomieszczenia i na ichto rachunek zaliczył rząd 158 mil. rub. Tym sposobem ogół wydatków nadzwyczajnych dosięgnął niesłychanéj wysokości 1,104 mil. rubli!

Na pokrycie zarówno wzmiankowanych wydatków, jak i innych, nie odnoszących się do rachunku zwyczajnych dochodów, użyto następujących funduszów:

A.	Z realizacyi pożyczek:		
	5%-wych biletów bankowych 4-éj emisyi	91,7	mil. rubli
	Pierwszéj pożyczki Wschodniéj . . .	177,5	„ „
	Drugiéj pożyczki Wschodniéj	272,7	„ „
	Obligów skarbu państwa 3-go rzędu . .	50	„ „
B.	Z pożyczki zagranicznéj.	73,7	„ „
C.	Zapożyczono z Banku państwa	465,6	„ „

(*dokończ. nast.*) *Jan Bloch.*

Poselstwo hr. de Broglie w Polsce.

Hrabia de Broglie na sejmie Grodzieńskim.

Domyślać mnie godzi się, iż w ręku większéj liczby mych czytelników kartki niniejsze wyprzedzone zostały udzieloną częściowo już w r. 1869 czytelnikom *Revue des deux Mondes*, wydaną w uzupełniających ją dwóch tomach przed czterema laty i wielkim rozgłosem u nas otoczoną książkę księcia de Broglie p. t. *Le secret du Roi*. To z czém się obecnie zgłaszam, jest rezultatem własnych moich poszukiwań w tym samym kierunku i na własną rękę podjętego krytycznego przeglądu, któremu poddałem wyczerpane przez znakomitego francuskiego pisarza źródła. Do podjęcia tego zadania przywiedziony zostałem zresztą okolicznościowym tylko i ubocznym sposobem. Wywiązawszy się mianowicie w tutejszém paryskiém Archiwum spraw zagranicznych z przekazanego mi przez Akademią krakowską mandatu, opracowaniem pięćdziesięciu i kilku tomów korespondencyi dyplomatycznéj, odnoszącéj się do panowania Jana III (1), nie rozstałem się przeto z tém archiwum, z którém mi bliższą przy téj sposobności znajomość zabrać przyszło. Oprócz wyobrażenia powziętego o niezrównaném bogactwie téj historycznéj kopalni, oprócz naturalnego przywiązania także do mozolnéj ale wywdzięczającéj się hojnie pracy, skłonił mnie jeszcze do takowéj wytrwałości wzgląd inny. Nie chciałbym być złym prorokiem dla kraju w którym się wychowałem i dla którego, choćby z tego tytułu tylko, wdzięczne i sympatyczne zachować mi godzi się uczucie. Niepodobna mi jednak zapomnieć o tém, iż przypadek tylko ocalił w r. 1871 wspaniały gmach, sąsiadujący na Quai d'Orsay ze znisz-

(1) Trzy tomy téj korespondencyi, obejmujące epokę od 1674 r. po rok 1683, wyszły już obecnie nakładem Akademii.

czoną pożarem Izbę obrachunkową od wspólnego z nią losu. Jedna z ostatnich potyczek zwycięskiéj armii Wersalskiéj, z wojującymi chętniéj jeszcze ogniem niż mieczem przeciwnikami, rozegrała się tu właśnie. A w téj samej chwili, w dotkniętéj zbrodniczą ręką podpalaczy bibliotece Luwru, dogorywały szczątki stupięćdziesięciu kartonów zawierających papiery ministra d'Argensona!

Wyznać jestem zresztą gotów, że w czasach w których żyjemy, wynalezienie, po za pałacami paryskiemi, jakiegokolwiek zupełne bezpieczeństwo powierzonym mu skarbom zapewniającego schronienia przedstawiać może niejaką trudność. Znam przecież jedno. Gdyby nie opatrznościowym instynktem natchnięta przezorność, która, na kilka lat przed wspomnianemi dopiero co katastrofami, kazała ówczesnemu rządowi francuskiemu podjąć wielkim nakładem całkowite, w ośmiu ogromnych tomach, wydanie papierów ministra Colberta, przechowywanych w byłym gmachu ministeryum finansów, nic by dziś nie pozostało z téj cennéj puścizny historycznéj po jednym z największych mężów Francyi. Ostatniego wydrukowanego ale nie wypuszczonego jeszcze w świat tomu nakład nawet cały w 1200 egzemplarzach, legł razem z oryginałami w niepowrotnym popiołów grobie; została jednak zachowana szczęśliwym trafem przez wydawcę, pana Clément, we własném prywatném mieszkaniu i oszczędzona tym sposobem, korekta zniszczonego pożarem druku i posłużyła do uskutecznionego natychmiast przedrukowania.

Podobnego więc środka ocalenia dostarczyć zapragnąłem jak największéj liczbie drogocennych pomników naszéj historyi, narażonych mimo wspaniałéj siedziby, któréj im obca ziemia użycza, na zbyt niebezpieczne hazardy. Byle mnie łaskawéj czytającéj i kupującéj książki publiczności wspólnictwo nie zawiodło, znajdą sobie te pomniki, skoro się raz za pośrednictwem druku bodaj do kilkuset rąk dostaną, nierównie bezpieczniejszą gościnę pod niższemi stropami naszych polskich domów.

Powodując się maksymą, która biedz każe do najpilniejszego, wybrałem dla innych moich poszukiwań i badań tę epokę przeszłości, w któréj stosunki nasze z Francyą zajmować się zdają najwięcéj miejsca i z któréj obiecywać sobie mogłem, iż wyniosę plon najobfitszy. Wzgląd drugi, ten mianowicie, iż w téj saméj epoce przygotowywuje się i rozstrzyga stanowczy kryzys, zawiązuje się i rozgrywa bolesny dramat dziejów naszych, nie był téż obcym memu wyborowi. Rozpoczętéj z rokiem 1740, to jest z chwilą pierwszego wyraźniejszego zarysowania się dramatycznéj osnowy i wystąpienia na scenę wchodzących w jéj rozegranie żywiołów, posu-

niętéj już do połowy zakreślonego zawodu pracy mojéj przeznaczyłem na teraz jako kres rok 1771. O kształcie ani o rozmiarach dzieła, które z téj pracy wyjdzie, nic obecnie powiedziéć jeszcze nie mogę; o terminie jego wykończenia nic zaś wnioskować nie wolno, wobec ogromu materyału, z którym rachować mi się przychodzi. Wystarczy w tym względzie ta wskazówka, że niezależnie od postronnych źródeł, które wyczerpać zechcę, od nieobojętnych przyczynków ze zbiorów Londyńskich, Wiedeńskich, Drezdeńskich i Berlińskich, które już sobie zapewniłem, sam zbiór tutejszy zgłasza się do mojéj uwagi z masą trzystu kilkudziesięciu tomów w domyślném minimalném obliczeniu. Tém skłonniejszym natomiast czuję się do uprzedzenia w pewnéj przynajmniéj mierze, przy nastręczającéj się po temu sposobności, ostatecznych dość w każdym razie odległych rezultatów podjętego przedsięwzięcia. Sięgający już roku 1758 ciąg badań moich naprowadził mnie naturalnym trybem na tę seryą korespondencyj dyplomatycznych, z któréj ks. de Broglie zaczerpnął treść swojéj książki. Owóż nie zdało mi się, aby odbyta już przezeń w tę stronę archiwalnego labiryntu wycieczka i osiągnięte zdobycze uwalniały mnie od osobistych, w ślad za nim posuniętych usiłowań. Przypuściłem łatwe do usprawiedliwienia opuszczenie wielu szczegółów, względnie obojętnych, z tego punktu widzenia rzeczy, który przystoi francuskiemu historykowi, ale odzyskujących niepoślednią wartość wobec historyka polskiego. Domyślałem się nawet pewnych omyłek, wynikających z niedostatecznéj znajomości naszych stosunków. Rezultat nietylko nie dostarczył mi zawodu w tym względzie, ale przeszedł o wiele moje przypuszczenia i domysły. Zastrzegłem się z góry przeciwko wszelkiéj intencyi krytycznéj względem wstrzemięźliwości francuskiego autora i narzuconego mu przez charakter spożytkowanych materyałów eklektyzmu. Jeżeli wspominając o „jednym czy dwóch najwięcéj panach polskich wielce wpływowych lub używających téj reputacyi z protegowanych oddawna przez Francyą, po za których osobą ukrywać się ma, gwoli otrzymanéj przezeń instrukcyi, działalność nowego francuskiego posła“ (str. 36), zaniedbuje ks. de Broglie wymienić ich po imieniu i nazwisku, niemam zamiaru czynić mu z tego wyrzutu, aczkolwiek dla czytelnika polskiego pożądaną być może wiadomość jacy to byli panowie i dokładniejsza oryentacya w ówczesnym rozkładzie stronnictw politycznych. Nie posunę się nawet do nadto surowego potępienia kategorycznéj omyłki, którą nieco daléj (str. 58) popełnia historyk francuski, przypisując Czartoryskim zerwanie sejmu grodzieńskiego z r. 1752, aczkolwiek tego małoznaczącego zapewne, w jego pojęciu rozminięcia się z prawdą histo-

ryczną oszczędzić mu mogły bynajmniéj nie dwuznaczne i z naciskiem kilkakrotnie powtórzone wskazówki samego posła francuskiego. Trudno mi jednak powstrzymać się od zaznaczenia niejakiéj wielkopańskiéj lekkości, ujawniającéj się dość ogólnie ze strony księcia-autora w traktowaniu materyału historycznego, a połączonéj z pewnemi, niezawsze w dość ścisłych karbach trzymanemi zaprzątnieniami artystycznemi. Ks. de Broglie pisze historyą *en grand seigneur* i *en virtuose.* Charakterystyczny ten rys jego niezaprzeczonego talentu uwidocznia się w sposób drastyczny przy opisie wystąpienia Mokronowskiego wobec posejmowéj agitacyi, podejmującéj projekt prowadzącego do konfederacyi manifestu, którą to, udramatyzowaną *con amore* scenę, sprawozdania, dość chętnie przecież dramatycznym efektom hołdującego posła, w nieco mniéj teatralném przedstawiają świetle.

Jest wszelako w udzielonêm nam przez ks. de Broglie przedstawieniu zużytkowanych przezeń świadectw archiwalnych inne jeszcze, nierównie donioślejsze źródło błędu, prowadzące już prostą drogą do prawdziwego sfałszowania prawdy dziejowéj. Pisarz francuski uległ od samego początku pcdwójnéj pokusie, skłaniającéj go z jednéj strony do osłonięcia pewnym nimbem rzeczywistéj roli odegranéj przez Francyą w osnuwającym się w téj epoce zawiązku fatalnéj tragedyi naszych losów, z drugiéj zaś strony do wyegzaltowania i wyidealizowania roli odegranéj przez własnego dyplomatycznego antenata. Uczucia patryoty i przywiązanego do tradycyi rodowéj magnata przyćmiły jawnie i niezaprzeczenie trzeźwość i sumienność badacza historycznego. Jakiegokolwiek zaś uszanowania z jednéj a pobłażliwości z drugiéj strony godnym być może określony w ten sposób pierwiastek fałszu, fałsz sam ustrzedz się nie powinien przed wynikającém z samego sprawdzenia potępieniem.

Dla tych wszystkich względów mniemam, iż chętne u polskich czytelników przyjęcie znajdzie nieco dokładniéj, z uwzględnieniem narzucających się polskiemu historykowi postulatów, i nieco wierniéj także, z odłożeniem na bok tendencyjnych natchnień, skreślony obraz dyplomatycznéj działalności świeżym odbłyskiem sławy otoczonego posła francuskiego. Ograniczając na teraz ten obraz do pierwszego występu hrabiego de Broglie na przeznaczonéj mu scenie politycznéj i do pierwszego pola popisu nastręczonego mu przez sejm Grodzieński z 1752 roku, nie zastrzegam się, byle mi ciekawość czytelników towarzyszyła w téj wędrówce, przed zamiarem posunięcia się daléj w tropy jego długiego i historycznéj treści pełnego zawodu.

I.

Przedstawiona, w dość wyczerpujący i dokładny na pozór sposób przez księcia de Broglie, osnowa instrukcyj otrzymanych przez jego imiennika na wyjeździe do Polski, dostarcza nam natychmiastowego przykładu charakteryzującego jego sposób obchodzenia się z materyałem historycznym, a także i z historyczną prawdą. Widzimy przed sobą w kunsztowném i efektowném ustawieniu dwie instrukcye, jedną urzędową, podpisaną przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych, hr. de St. Contest, drugą sekretną, doręczoną hrabiemu de Broglie za plecami ministra, ale w imieniu króla, przez księcia de Conti. Pisarz Francuzki stara się uwydatnić ich sprzeczność i wynikającą z téj sprzeczności drażliwość i delikatność powierzonego, początkującemu w zawodzie dyplomatycznym, posłowi mandatu. Przytacza nawet dosłownie niektóre ustępy tak urzędowego jak i nieurzędowego dokumentu, podaje ich datę w przypisku z odpowiednim odsyłaczem do oryginału archiwalnego; nie przypuszcza zaś oczywiście, wspominając o wyjeździe „pod koniec lata“ opatrzonego temi dokumentami posła, aby wskazana przezeń epoka oryginalnéj tychże dokumentów redakcyi mogła nasunąć jakąkolwiek wątpliwość nie zaprzątającemu się zwykle przypiskami i odsyłaczami czytelnikowi. Zapewne, znajdując nieco późniéj, pod datą *17 września* 1752 r. ślad z Polski już przez przybyłego na miejsce posła wysyłanéj korespondencyi, wprawioną by mogła być w kłopot domyślność tego czytelnika, gdyby data owéj *doręczonéj* jakoby nowemu posłowi przez księcia de Conti i *zabranéj* przezeń w drogę instrukcyi—data 26 września tegoż roku!—była mu jeszcze przytomną. Wniosek to jednak mało prawdopodobny, przynajmniéj względem większości czytelników i *artyzm* francuzkiego pisarza uwolnionym być może od wszelkiéj z tego tytułu nagany. Inaczéj jego *sumienność*, w obec należącego się rzeczywistości historycznéj, nawet w drobnych szczegółach, uszanowania. Nie chciałbym zaiste przesadzać i przywoływać gromów na głowę artysty za proste przestawienie dat. Grzech popełniony tutaj polega wszelako mniéj na tém przestawieniu, jak na wyzyskaniu wywołanego w ten sposób efektu na rzecz tendencyjnego i niezgodnego z prawdą przedstawienia faktów.

W rzeczywistości, instrukcya *urzędowa*, udzielona hr. de Broglie pod datą *14 lipca* 1752 r. jest jedyną, któréj ślad przekazały nam zabytki archiwalne. Względem treści zaś tajnych poleceń, zakomunikowanych jednocześnie odjeżdżającemu ambasadorowi, zniewoleni

jesteśmy *historycznie* do prostych domysłów. Pisanego ich świadectwa nie znaleziono dotąd i wątpliwą nawet jest rzeczą, aby ono znalezionem być mogło; według wszelkiego bowiem prawdopodobieństwa otrzymane one zostały przez hr.-go de Broglie ustnie, w myśl rozkazu królewskiego powtórzonego w wydaniu Boutaric'a (1): „*Hr. de Broglie da wiarę wszystkiemu temu co mu powie ks. de Conti i nie powtórzy tego co usłyszy żywéj duszy. Ludwik.*“ Utrzymujący się, tytułem tradycyi, w gabinecie spraw zagranicznych, zwyczaj pisanych instrukcyj, udzielanych odjeżdżającym posłom, mógł, jak to przypuścić łatwo, nie obowiązywać prywatnéj kancelaryi księcia de Canti. Dokument, na którego treść powołuje się książę de Broglie i którego datę przytacza, jest prostym listem, pisanym do bawiącego już w Polsce posła i bynajmniéj nie trzymającym naczelnego miejsca w stałéj korespondencyi między dwoma powiernikami „tajemnicy“ królewskiéj. Nakoniec „tajemnica“ ta, o ile nam wszystkie będące pod ręką świadectwa i sama rzekoma instrukcya z d. 27 września powołana przez ks. de Broglie, odsłonić ją mogą, nie przedstawia, w chwili odjazdu h-go de Broglie do Polski i w pierwszym perjodzie jego dyplomatycznego tamtejszego zawodu, żadnéj kategorycznéj sprzeczności z urzędową w ministeryalnéj instrukcyi i późniejszych gabinetowych depeszach ujawniającą się polityką. Kandydatura księcia de Conti, w obec sięgających w daleką jeszcze przyszłość widoków elekcyjnych, i przysposobienie zawczasu w Polsce przyjaznego dla téj kandydatury gruntu, oto w téj epoce cała treść powierzanéj już pierwéj rozmaitym rękom i w ręce pana de Broglie teraz oddanéj tajemnéj intrygi. Czy właściwe urzędowéj polityce francuzkiéj instancye, odnośnie do sukcesyi tronu polskiego, posuwają się już teraz, w udzielonych panu de Broglie ministeryalnych zleceniach, do stanowczego z zamysłami księcia de Conti antagonizmu? Bynajmniéj. Historyk francuzki kładzie nacisk na niewyraźność tych intencyj.

Gabinet francuzki nie miał w téj chwili żadnego powodu do przewidywania blizkiéj śmierci panującego w Polsce króla i nie przywidywał jéj. Ogólnikowe oświadczenia, w których hr. de Broglie ma sobie poleconém zamykać się w obec wysuwających się naprzód elekcyjnych zaprzątnień, oświadczenia powołujące się na tradycyjne uszanowanie francuzkiego króla dla przysługującéj Polakom swobody wyboru, nie mogły oczywiście tamować absolutnie drogi zgłaszającemu się za pośrednictwem tajnéj h-go de Broglie

(1) Boutaric. Correspondence secrete de Louis XV.

misyi i także do swobody wyboru odwołującemu się kandydatowi.

Co się tyczy ogólnego *systematu politycznego*, że użyję upodobanego przez ówczesnych polityków francuzkich wyrażenia, ten, o ile zakreślonym się mógł znaleść, w tak samo lub więcéj jeszcze ogólnikowych w tym względzie terminach ministeryalnéj instrukcyi, był mniéj jeszcze w stanie dostarczyć h-mu de Broglie oczywistego kłopotu w spełnianiu podjętego podwójnego zadania. Systemat ten, wierny wiekowéj już w sprawach polskich oryentacyi gabinetu francuskiego, polegał na uzyskaniu największego możebnie wpływu na sprawy polskie za najmniejszą możebnie cenę i na utrzymaniu w całości miejscowego organizmu politycznego z wszystkiemi jego właściwościami, jako najodpowiedniejszego w saméj rzeczy do osiągnięcia pożądanego rezultatu. Ludwik XV jest stałym i niewzruszonym przyjacielem i protektorem „swobód polskich.“ Ludwik XIV był nim tak samo. Rządzący despotycznie u siebie monarchowie francuzcy rozkoszują się w Polsce wolną republikańską konstytucyą. Widzimy coś podobnego za naszych czasów między Paryżem a Berlinem, książę Bismarck jest także zwolennikiem a może w danym razie i gotowym obrońcą republikańskiéj formy—we Francyi.

Nie wchodząca już w grę europejskich interesów jako czynnik pierwszorzędny, nie dorównywająca roli prawdziwéj aljantki, nawet takiéj drugorzędnéj *aljantki* jak Szwecya, Polska XVIII-go i Polska XVII wieku stanowi jeszcze pożądany *posiłkowy* i *dywersyjny* żywioł. Otwarte jéj granice i na przechodzie sąsiadujących z nią potęg orężnych roztwierające się płaszczyzny odpowiadają wybornie temu przeznaczeniu. Tu wskazano wspieranym przeciwko domowi Austryackiemu powstańcom węgierskim miejsce schronienia, reorganizacyi, zaopatrzenia się w broń i ludzi. Tędy droga czy to sprzymierzonym zastępom króla Pruskiego na Szląsk, czy na odwrót do Prus posiłkowéj armii Apraksyna! Ale ta wygoda, jakkolwiek pożądana, nie powinna kosztować zbyt drogo. Alians monarchicznéj Szwecyi, dla samego Elektora Saskiego, jako takiego, okupuje się kilkumilionowemi subsydyami; dla pozyskania *przyjaźni* Rzeczpospolitéj Polskiéj parę tysięcy dukatów rozrzuconych między zelantów wolności republikańskiéj wystarczyć mogą. I dla tego wypada aby Rzeczpospolita pozostała Rzeczpospolitą. I dla tego Ludwik XIV, monarcha z Bożéj łaski i pan absolutny odrzuca niechętnie insynuacye Sobieskiego wysuwające się, jakże nieśmiało!—naprzód ze skierowanemi do zmiany konstytucyi i do dziedziczności tronu zamysłami. I dla tego w r. 1752 Ludwik XV jest przyjacielem swobód polskich! Konstytucya republikańska Polski, polskie swobody, anarchia

polska mają już w XVII wieku swoich rezolutnych protektorów i *gwarantów*, którzy i teraz, w XVIII wieku, pozostają wiernymi swemu programowi. Tekst późniejszych deklaracyj narzucających ze strony trzech podziałowych mocarstw gwarancyą panującego *status quo*, gwarancyą niemocy i politycznéj konsumpcyi, wypisanym się zda z półtorawiecznych pomników francuzkiéj interwencyi dyplomatycznéj w sprawach polskich. Od przekazanéj nam w tych pomnikach tradycyi politycznéj nie odstąpiła dyplomacya francuzka ani na jednę chwilę, i ani na jednę jotę, wierną jéj pozostając czy to w normalnym swoim urzędowym zawodzie, czy w anormalnych, bocznemi ścieżkami zakulisowéj intrygi posługujących się zapędach. Dopatrzenie się w téj kolosalnéj, w stosunku do ówczesnych fantazyj królewskich, ale niekonsekwentnéj w stosunku do ówczesnego królewskiego genjuszu, fantazyi dyplomatycznéj, noszącéj w historyi miano „tajemnicy królewskiéj," jakiegoś rehabilitującego politykę francuzką pierwiastka, może być tylko rezultatem omyłki, o któréj trudno przypuścić, aby ze strony księcia de Broglie nie była w pewnéj przynajmniéj mierze dobrowolną. Urywkami tylko tajnéj korespondencyi rozporządzający *Boutaric* mógł uledz złudzeniu napotkanych stereotypowych, sympatyą dla „wolności polskiéj" brzękających frazesów. Inaczéj historyk mający w ręku całość historycznych świadectw w téj materyi. „Wolność polska" ta „wolność," któréj tajna kancelarya królewska podejmuje obronę, nawet przeciwko urzędowej kancelaryi królewskiéj, to, dopóki ks. Conti stoi na czele téj kancelaryi, wolność frymarczenia koroną polską na rzecz kandydata francuzkiego, to późniéj i do końca wolność wyłącznéj francuzkiéj gospodarki w sprawach polskich bez podziału z dopuszczonemi do konkurencyi przez urzędową politykę ościennemi wpływami. Odpierając, w poufnym liście pisanym do francuzkiego ministra spraw zagranicznych, księdza de Bernis, skierowane przeciwko niemu zarzuty, może pierwszy minister Augusta III-go zapewniać sprawiedliwie, iż żaden z posłów rosyjskich nie pokusił się dotąd o połowę tego w wewnętrznych sprawach Rzpltéj udziału, do jakiego ks. de Broglie rości pretensyą (1). Udział zaś ten służył już samemu ks. de Broglie, posłusznemu w tym względzie wskazówkom tak dobrze nieurzędowéj jak i urzędowéj polityki francuzkiéj, do zrywania sejmów w porozumieniu z chwilowym aljantem króla arcychrześcijańskiego, Fryderykiem II-im! Będzie zaiste chwila, w któréj ten sam ks. de Broglie, rozstając się ze swoim stałym

---

(1) Brühl do ks. de Bernis; Warszawa, 27 stycznia 1758 r. Archiwum spraw zagranicznych korespondencya urzędowa.

programem, ze stałemi polskimi sprzymierzeńcami swéj polityki i ze stereotypowym ideałem wolności polskiéj, podejmie, ulegając zapewne jakowemuś z przeciwnego obozu dolatującemu podszeptowi, myśl reformy konstytucyjnéj, monarchii dziedzicznéj i zniesienia liberum veto; ale w chwili téj, w ciągu roku 1758, ks. de Broglie jest już pozbawionym stałego pod nogami gruntu, sięgającym na prawo i na lewo za jakowąś deskę ocalenia i tonącym mimo rozpaczliwych usiłowań politycznym rozbitkiem.

W r. 1752, w chwili rozpoczęcia swego zawodu dyplomatycznego, podsunięty wyborowi urzędowéj kancelaryi przez kancelaryą tajną, oglądającą się we własnym wyborze mniéj na talent i doświadczenie jak na sposobność do przyjęcia udziału w tajemnéj intrydze, ks. de Broglie jest przedewszystkiém nowicyuszem dyplomatycznym. Zarówno urzędowe jak i nieurzędowe instrukcye odsyłają go do pana Castera i do przypisywanéj temu kilkoletniemu już zawiadowcy francuzkich urzędowych i nieurzędowych interesów w Polsce, bliższéj znajomości tamecznych stosunków i dyplomatycznego rzemiosła. Pamiętać wypada że p. de Brogli jest młodym, trzydziestodwuletnim człowiekiem, oddanym zawodowi wojskowemu, w którym się już stopnia brygadyera dosłużył, on sam przypisuje sobie osobliwe w tym kierunku uzdolnienie. Przy nastręczającéj mu się późniéj sposobności, widzimy go po dwakroć w Dreznie na wstępie kampanii 1756 roku i w Wiedniu w dalszym ciągu téj kampanii, chwytającego śmiałą ręką tę pożądaną buławę naczelnego dowództwa, do któréj wzdychać będzie napróżno we Francyi do końca życia. W każdym razie także jedyną kwalifikacyą improwizowanego w r. 1752 posła do narzuconych mu dyplomatycznych usług i jedynym wybór księcia de Conti tłómaczącym względem, zdaje się być stanowisko dotychczasowe hr-go de Broglie w najbliższém otoczeniu młodego Delfina i w rodzinie obsypanéj dobrodziejstwami przez tegoż Delfina i jego małżonkę, córkę Augusta III, stanowisko nie pozwalające domyślać się udziału przeznaczonego młodemu dyplomacie w skierowanéj przeciwko domowi saskiemu intrydze. Nie wiem czy francuzki historyk zwrócił dostateczną uwagę na ten szczegół, dostarczający przecież charakterystycznego rysu do moralnego portretu obranego przezeń bohatera.

Urzędowa instrukcya nowego ambasadora ułatwiała mu zresztą poniekąd jego zadanie, ograniczając je na teraz, w pewnéj mierze, do jednego, ściśle określonego przedmiotu. Zbliżający się sejm grodzieński sprowadzał znowu z sobą groźbę oddawna już przez gabinet wersalski przewidywanéj ewentualności, mianowicie przystąpienia Rzpltéj do austryacko-rosyjskiego przymierza z r. 1746.

Instrukcya urzędowa stawia jako pewnik to, iż Czartoryscy, zechcą przeprowadzić tę kombinacyą na sejmie; silni zaś poparciem dworu przeprowadzą ją, jeśli tylko sejm się utrzyma. Narzucająca się ztąd konkluzya nie przestrasza oswojonego z praktyką zrywania sejmów gabinetu. Oświadcza on jednak swoje upodobania dla metody mniéj radykalnéj, polegającéj na przeciągnięciu obrad aż do ich *normalnego* (!), po upłynionym legalnym terminie, rozejścia się. Gwałtowny akt zerwania powinien być tylko wskazanym przez ostateczność środkiem; użycie wszelako tego środka zalecone ma sobie młody poseł, w razie potrzeby, kategorycznie. Nie mniéj zaleconém ma sobie zachowanie jak najściśléj przestrzeganéj tajemnicy i otoczenia skrytych swych działań jak największym sekretem, król Polski otrzymać odeń powinien, po spełnioném zerwaniu sejmu, wyrazy najżywszego ubolewania i współczucia. Nawet posła pruskiego, pana Malzahn, nie chce gabinet wersalski widzieć przypuszczonego do konfidencyi, jakkolwiek domyśla się, iż chwalić on sobie będzie dokonane dzieło a nawet prawdopodobnie dołoży doń rękę.

Co się tyczy polskich przyjaciół polityki francuzkiéj, dwóch tylko między nimi wolno hr-mu de Broglie zaszczycić odmawianem Fryderykowemu posłowi zaufaniem. Jednym jest Potocki, wojew. Bełzki, drugim Sapieha, wojew. Smoleński, charakterystyka dwóch tych osobistości nie może znaleźć tutaj odpowiedniego miejsca. Spotka ją czytelnik kiedyś w tłumnéj galeryi spółczesnych portretów, nad któréj uzupełnieniem pracuję obecnie. Samo udzielone im miejsce w tak ścisłemi granicami zakreślonéj konfidencyi nowego posła i przeznaczona im rola wystarczyć może na teraz.

Dwaj wojewodowie są obecnie w pewnéj mierze współzawodnikami do naczelnego stanowiska w występującym przeciwko Czartoryskim obozie. Hetman w. k. Branicki, nie dorósł jeszcze do przypadającéj mu późniéj roli, a raczéj nie pokusił się o nią. Trzyma się na boku, w niewyraźnie oznaczonéj pozycyi, którą świeże małżeństwo z córką kasztelana krakowskiego czyni jeszcze dwuznaczniejszą. Polityka francuzka, podług któréj orjentuje się wrogie wpływowi rosyjskiemu i *familijnéj* hegemonii stronnictwo nie mając innego wyboru, polityka ta reprezentowana dotąd przez takich drugorzędnych figurantów dyplomatycznych jak Castera, podtrzymywana chudą strawą lichych intryg i mizernych jurgieltów nie była zdolną znęcić Białostockiego magnata. Plany polityczne Castery i szafowane przezeń skąpą ręką zasiłki pieniężne, dobrymi być mogły dla takiego z własnego przemysłu i hazardownych przedsięwzięć żyjącego, polityczno-finansowego spekulanta jak wojew. Bełzki, lub takiego nie wybrednego kondotjera politycznego jak wo-

jewoda Smoleński, gotowego niebawem odstąpić od swego sztandaru za lada skrawek ziemi wydzielony w rozdrapanéj ordynacyi Ostrogskiéj.

O innych pozyskanych już lub będących do pozyskania sprzymierzeńcach, pośród gotującéj się już w drogę do Grodna ciżby szlacheckiéj, dowiedzieć się ma hr. de Broglie od Castery. Ks. de Conti rachuje także w tym względzie na wtajemniczonego rezydenta. Niespodziewana wszelako okoliczność zawodzi te rachuby, rzucając pozbawionego najniezbędniejszych wskazówek posła w zamęt obcych mu całkiem spraw i kombinacyj politycznych. Okoliczność to, na którą nowa z niedostatecznéj ścisłości w traktowaniu materyału historycznego wynikająca omyłka, nie pozwoliła historykowi francuzkiemu zwrócić uwagi. Odnosząc się, w ciągu swego opowiadania, do późniejszych o dwa lata wypadków, wspomina on, dramatyzując po swojemu otaczające ten wypadek szczegóły, o śmierci rezydenta francuzkiego w Warszawie,—tego samego, jak o tém czyni wzmiankę, którego przedstawił na wstępie czytelnikom w charakterze jednego z pierwszych powierników „tajemnicy" królewskiéj. Owóż o śmierci Castery, któremu znakomity pisarz umierać każe tym sposobem w kwietniu 1754 roku, mamy już wiadomość pod datą 3 września, 1752 roku (1) w pierwszéj z Drezna pod adresem hr. de St. Contest wyprawionéj przez hr. de Broglie depeszy. Historyk francuzki pomięszał osobę tego rezydenta z osobą jego następcy pana *de la Fayardie*, który dwoma laty późniéj padł w saméj rzeczy ofiarą podobnego na obcéj ziemi losu. Owóż, jeszcze spotykająca nowego posła na wstępie zawodu, żałobna katastrofa, zdała się jemu samemu tak pełną doniosłości że pod tąż samą datą 3 września zapytuje on kategorycznie księcia de Conti czy intrygę tajemną, któréj zmarły rezydent był duszą uważać należy jeszcze za istniejącą (2). Jednocześnie zaś składa charakterystyczne świadectwo swojéj nieświadomości stosunków polskich, powtarzając zakomunikowany mu jakoby przez posła Szwedzkiego, pana *Dopken* domysł o udziale Czartoryskich w nagłéj śmierci ajenta francuzkiego, a w szczególności *„jakiejś pani Poniatowskiéj"* (une M-me Poniatowska) którą tenże p. Dopken uważa za „zdolną do wszystkiego."

Odpowiedź księcia de Conti oświadcza, ma się rozumieć, stałe postanowienie wytrwania w dotychczasowych zamysłach i tę to odpowiedź właśnie, datowaną z d. 26 września 1752 r. podobało się hi-

---

(1) Archiwum spraw zagranicznych. Dział korespondencyi urzędowéj Saskiéj Vol. 42.

(2) Tamże. Dział korespondencyi polskiéj sekretnéj. Vol. 226.

storykowi francuskiemu udać za otrzymaną przez hr. de Broglie przed swoim wyjazdem z Francyi instrukcyą. Ks. de Conti wchodzi tu z konieczności w szczegóły, które inaczéj zostawiłby wytrawnéj znajomości rzeczy przypisywanéj panu Castera. „Postępowanie nasze—pisze—nie powinno uledz żadnéj zmianie. Te same powtarzać należy usiłowania, te same obietnice i te same szafunki pieniędzy, ten sam ton perswazyi i względności wobec Potockich i innych naszych przyjaciół a grzeczności wobec Czartoryskich.“ Wskazuje też nierozstający się ze swojemi nadziejami kandydat kilka osobistości, dopomódz mogących do ich urzeczywistnienia i w pierwszym rzędzie znowu dwóch wojewodów: Bełzkiego, „człowieka czynnego i wpływowego, którego wypada wybadać, wysłuchać i popchnąć do czynu“ i Smoleńskiego, „męża prawego i statecznego, a przywiązanego do Francyi, którego przyjaźń należy zachować, nie dopuszczając go jednak do znajomości pewnych szczegółów.“ Marszałek w. k. (Bieliński) jest człowiekiem większego rozsądku niż przedsiębierczości; zasługuje na to, aby zasięgać jego rady. Małachowski i Mokronowski są ludźmi przemyślnego umysłu i dobréj woli. Wojewodę Rawskiego (Jabłonowskiego) można zużytkować w sprawach podrzędnych. Znana bliżéj czytelnikom ze świeżo wydanych jéj listów pani Kossakowska wchodzi także w rachubę. Zapał jéj i zmysł intrygi mogą być użytecznemi przy zachowaniu w tajemnicy właściwego celu, do którego skierowanemi będą. Na koniec występują na scenę Jakubowski, powiernik hetmana w. k., używany i przez posłów a rezydentów francuskich do rozmaitych usług, i Guinstard więcéj wyłącznie w służbie francuskiéj dyplomacyi zostający, „dwa instrumenta głuche i dwaj dobrzy komisyonerowie.“

Do chwili otrzymania tych informacyj i poleceń, cała tajemna strona jego misyi pozostawać musi dla hr. de Broglie martwą literą, a i one jeszcze nie usuwają główné] przeszkody, która nie pozwala mu posuwać się swobodnie w tym kierunku i sprawia że jego depesze z téj epoki, pod adresem księcia de Conti zwłaszcza, nie mają nic z téj pewności siebie, którą im francuski historyk przypisuje. W instrukcyach swoich z d. 26 września ks. de Conti pomija jeden szczegół, pierwszorzędnego przecież znaczenia, w przedmiocie którego dziwić by się można, iż depesza z d. 3 września uwiadamiającego o śmierci Castery posła, nie zawiera kategorycznéj prośby o informacyą, gdyby brak dostatecznego oswojenia z dyplomatyczném rzemiosłem nie tłómaczył w pewnéj mierze téj z jego strony omyłki, wraz z powstałem w jego umyśle nieco naiwném przypuszczeniem, iż strata głównego „tajemnicy“ królewskiéj powiernika położy koniec osłoniętym tą tajemnicą zamysłom. Pod datą 26 paź-

dziernika, to jest już po dopełnionym przez zerwanie sejmu grodzieńskiego i zniweczenie konfederacyjnych planów przeciwnego stronnictwa, pierwszym etapie swojego zawodu, hr. de Broglie nie wie jeszcze, którzy z pomiędzy otaczających go przyjaciół polskich „należą do sekretu“ (1). Wojewoda bełzki zapewnia go, że ani Mokronowski ani Sapieha nie mają w nim udziału. Ten ostatni zdaje się potwierdzać ten wniosek swojém zachowaniem, gdy przeciwnie rzucane przez Mokronowskiego półsłówka dają panu de Broglie do myślenia. W rzeczywistości jeden i drugi liczą się do wtajemniczonych, ale, nie wiedząc sami, czy nowy ambasador do nich zaliczonym został, obchodzą go ostrożnie, starają się wymacać i wyciągnąć na słowa i wywiązuje się ztąd prawdziwe *imbroglio*, najkomiczniejszych dostarczające efektów scenicznych, ale nie mogące oczywiście nastręczyć pola do poważnéj dyplomatycznéj akcyi. Zastępująca ją gra w chowanego przeciąga się aż po koniec listopada w którym to czasie dochodzi nareszcie p. de Broglie do przeświadczenia, iż pięć osób łącznie z Mokronowskim, to jest woj. Bełzki, marszałek w. k., Jakubowski i Spinek, podrzędna figura, zażywana przez Casterę i przez Potockich do wszelakiego rodzaju robót, dzielą z nim ciężar wielkiéj tajemnicy (2). Nie umie wszelako jeszcze pogodzić tego przeświadczenia ze znalezionemi w doręczanych mu przy wyjeździe do Polski papierach wskazówkami, pozwalającemi domyślać się udziału wojewody Smoleńskiego w tajemnéj intrydze.

W ten sposób, wobec sparaliżowanéj w tym kierunku działalności nowego posła, akcya jego ograniczyć się musiała w téj pierwszéj dobie jego zawodu, któréj historyą podjęliśmy tutaj, do drugiéj urzędowéj połowy otrzymanego przezeń mandatu. Nie ulega zaś wątpliwości, iż jeżeli nie ks. de Conti i tajna kancelarya Ludwika XV-go, to hr. de St. Contest i jego koledzy z urzędowéj kancelaryi mieli, sądząc z pozorów, pod dostatkiem powodów do winszowania sobie osiągniętych w téj dobie rezultatów. Sejm zerwany i to bez cienia nawet podejrzenia rzuconego na interwencyą w tym względzie wpływów francuskich; przystąpienie Rzplitéj do cesarskiego przymierza usunięte z porządku dziennego; zamach konfederacyjny hołdującego rosyjsko-austryackim wpływom stronnictwa rozbity, stronnictwo przeciwne dźwigające się z dotychczasowego

(1) Hr. de Broglie do ks. Conti; Grodno, 28-go października. Korespondecya sekretna. Dział polski. V. 236.

(1) Hr. de Broglie do ks. Conti; Warszawa, 19 listopada. Korespondencya urzędowa. Dział polski. Vol. 236.

upadku i dźwigające się pod sztandarem francuskim, — oto bilans, wspaniały zaiste— zawsze z pozoru! — z którym po dwóch niespełna miesiącach, zgłosić się mógł hr. de Broglie do swego gabinetu.

Czy olśnił on ten gabinet w tym stopniu, w którym dzisiejszy historyk francuski pragnąć się zdaje, aby olśniewał umysły swych czytelników? Minuty depesz otrzymanych przez tryumfującego posła w odpowiedzi na przesłane przezeń zwycięzkie buletyny nie dopuszczają tego wniosku. Zniewolonym się téż widzi, ulegający panegirycznym tendencyom pisarz, do przypuszczenia w samychże doniesieniach i sprawozdaniach hr. de Broglie jakowejś tendencyi do uszczuplenia prawdziwéj doniosłości tych rezultatów, a zwłaszcza swojego w osiągnięciu ich udziału, a to z obawy zaniepokojenia nieśmiałych swych mocodawców samemi rozmiarami zwycięztwa i szerokością otwartych przez nie widnokręgów.

Ostrożność ta, iście dyplomatyczna, zdaje mi się być nowym, przez księcia de Broglie tytułem prostéj darowizny dodanym, przyczynkiem do charakterystyki i historyi dyplomatycznéj jego imiennika. Skłaniam się do przypuszczenia, iż młody poseł mówił szczerze, wyrażając pod datą 24 października (1) swoje przekonanie o domyślnéj tożsamości sejmowych wypadków i ich ostatecznego obrotu „nawet gdyby Jego arcy-chrześcijańska Mość nie była miała wcale posła na sejmie“; przedstawiając zaś uzyskane korzyści „pod skromną i zastrzeżeniami otoczoną formą“ (2), mówił prawdę. W rzeczywistości i prawdzie historyczéj nie podobna, na podstawie własnych jego czy to urzędowych czy pół-urzędowych zeznań, przypisać hr. de Broglie chociażby najskromniejszego udziału w pożądaném zkądinąd dla polityki francuskiéj dziele zerwania sejmu grodzieńskiego. W rzeczywistości nic w dostarczanych nam przez niego samego świadectwach nie usprawiedliwia czysto arbitralnych ze strony historyka francuskiego domysłów względem czynnéj roli odegranéj jakoby przez młodego posła, w rozbiciu domniemanego konfederacyjnego zamachu stanu. W rzeczywistości nakoniec tak dobrze hr. de St. Contest jak i księciu Conti wystarczyć mogła treść otrzymywanych z Grodna depesz poselskich dla nabycia przeświadczenia, iż rola polityki francuskiéj i jéj reprezentanta, w saméj rzekoméj reorganizacyi stronnictwa pseudo-francuskiego, polegała jedynie na udzieleniu rozprzężonym żywiołom konserwatywno-rodowéj przeciwko Czartoryskim opozycyi pożądanego dla nich punktu

---

(1) Hr. de Broglie do hr. de St. Contest. Korespondencya urzędowa. Dział polski. Vol. 238.

(1) Le secret du Roi, str. 62.

koncentracyi i oparcia, dostarczającego sztandaru i hasła, dostarczającego niezbędnéj wobec rosyjskich wpływów powagi i uroku, dostarczającego nie mniéj niezbędnych, choć skąpo wymierzonych zasiłków pieniężnych, ale nie dostarczającego kierunku!

Hr. de Broglie przybywa do Grodna d. 29 września. W Warszawie akcya jego dyplomatyczna ograniczyła się do udzielenia, po długim targu, 1000 dukatów wojew. Bełzkiemu, który żądał 1500 i nie chciał inaczéj jechać na sejm (1). W Białymstoku, gdzie zatrzymał się przejazdem dni kilka, razem z Brühlem, rosyjskim posłem Gross'em i angielskim Williams'em, poprzestać mu także wypadło na wysłuchaniu ze strony Brühla „wielkiéj liczby kłamstw wypowiedzianych z pozorami największéj jaką wyobrazić sobie można szczerości", ze strony zaś hetmana w. k. równéj liczby niemniéj szczerych z pozoru ale co najmniéj wątpliwych oświadczeń. Przeciwko przystąpieniu Rzplitéj do cesarskiego przymierza oświadczył się mianowicie hetman stanowczo, po za tym zaś, jedynie przez się uwzględnianym punktem, wyraził zupełną obojętność odnośnie do wypadku obrad sejmowych i ewetualnego ich zerwania lub dojścia do skutku, przewidując, iż propozycye przezeń przygotowane a w szczególności aukcya wojska, nie znajdą żadnych widoków powodzenia. Jednocześnie atoli czynił hetman posła francuskiego świadkiem grzeczności nie szczędzonych przez się Williamsowi i Grossowi, zwierzającym się przed nim, podług doniesień Mokronowskiego, nie tylko z planu wciągnięcia Rzplitéj w przymierze z dwoma cesarstwami, ale i ze skojarzonemi z tym planem kombinacyami odnośnie do następstwa tronu polskiego. Opuszczał zaś poseł francuski Białostocką gościnę zostawiając hetmana w objęciach nasadzonego nań, a datkiem 50,000 tynfów pozyskanego jakoby przez familią kanclerza w. k. (Małachowskiego), starego swego przyjaciela i, przybywającego na pół godziny przed odjazdem hr. de Broglie, a tym samym projektom zjednanego Mniszcha, marszałka nadwornego (2).

Dnia 5 października zdaje poseł francuski sprawę ze sporu wszczętego między nim a swoim jargieltnikiem wojew. Bełzkim. Wojewoda przemawia za natychmiastowém zerwaniem sejmu, dla oszczędzenia sobie — jak domyśla się ambasador — trudu i uciążliwych kosztów grodzieńskiéj rezydencyi. Hr. de Brogie obstaje przy swych instrukcyach, widząc nadto w ścisłém ich dopilnowaniu się

(1) Hr. de Broglie do hr. de St. Contest. Grodno, 29 września. Korespondencya urzędowa. Dział polski. V. 237.

(2) Tamże.

pożądaną sposobność bliższego, przy dłuższym pobycie w Grodnie, zapoznania się z żywiołami politycznemi Rzplitéj. Mokronowski utwierdza go w tém postanowieniu, upewniając, iż ostrzeże go o nadejściu chwili w któréj czynna jego interwencya stanie się konieczną (1).

Od dnia 5 po dzień 17 października, wobec mizernych sporów i intryg wypełniających zwykłym trybem porządek dzienny sejmowych obrad, obojętną w swéj czczéj drobiazgowości i ckliwą treść depesz hr. de Broglie przerywa jedynie mieszczący się pod datą 14-o października opis „małéj sceny", któréj teatrem stała się dniem wcześniéj izba poselska. Znajdując się tego dnia w towarzystwie królowéj i królewiczów w przeznaczonéj dla ich królewskich mości a na salę posiedzeń widok mającéj loży, rosyjski poseł Gross, dostrzeżony został przez jednego z posłów, Czernego, w chwili, gdy zbyteczną powodowany ciekawością, wysunął on nietylko głowę ale i połowę ciała za krawędź loży. Uczyniona natychmiast przez tegoż posła głośna uwaga, zakończona odwołaniem się do marszałka, aby przestrzegając należytego porządku, nie dopuszczał ministrów obcych do niedozwolonéj im dawnemi prawami obecności na posiedzeniach, wywołała ogólne szemranie i rodzaj obelżywéj dla rosyjskiego posła protestacyi („une espèce de huée"). Opisując jednak to zajście ze zdradzającém się dość widocznie zadowoleniem, zapewnia poseł francuski, iż nie miał w wywołaniu go najmniejszego udziału (2).

Tymczasem zaś wojew. Bełzki niecierpliwi się coraz bardziéj, a hr. de Broglie znajdując coraz większą trudność w utrzymaniu go na wodzy, dopatruje nowych niecierpliwość tę tłómaczących pobudek. Domyśla się mianowicie tajemnego porozumienia między wojewodą z podskarbim w. k. Siedlnickim, od którego sejm żąda rachunków i „który dla téj przyczyny lęka się, więcéj jeszcze niż hr. de Broglie, aby sejm nie doszedł" (3). Wzgląd ten, powtarza z naciskiem poseł francuski, stanowi, mimo rzekomych konfederacyjnych zamysłów przypisywanych Czartoryskim, i innych podobnych straszydeł, z którémi Potoccy się noszą, jedyną rzeczywistą pobudkę skłaniającą ich do zerwania sejmu. Nie myśli on przeto spuszczać się na nich względem wykonania poruczonego mu man-

(1) Hr. de Broglie do hr. de St. Contest. Grodno 5 października. Korespondencya urzędowa. Dział polski. V. 238.

(2) Hr. de Broglie do hr. de St Contest. Grodno, 14 października. Ibid. Vol. 237.

(3) Hr. de Broglie do ks. Conti. Grodno, 18 października. Korespondencya sekretna. V. 236.

datu. Przypisana mu w tym względzie przez księcia de Broglie, z wytrawnéj rachuby wynikająca ufność i trafnie, wobec przewidzianego przebiegu wypadków sejmowych, zachowana obojętność a bezczynność nie polegają na żadnéj danéj historycznéj. Dnia 17 października przychodzi do formalnéj rady wojennéj, złożonéj w mieszkaniu ambasadora, w któréj obok niego biorą udział wojew. Bełzki, Mokronowski i poseł pruski Malzahn. Ten ostatni oświadcza się razem ze swoim francuskim kolegą za przeciągnięciem obrad sejmowych ale razem z nim uznaje konieczność położenia im w razie potrzeby gwałtownego końca, z tém wspólnie także dodaném zastrzeżeniem, aby wybraną została do osiągnięcia tego celu jakaś niepodrzędna kwestya („un sujet éclatant“). Nadto przewidziana w ten sposób potrzeba zdaje się hr. de Broglie dość blizką a nawet naglącą, proponuje on bowiem, z własnego natchnienia, pozyskanie którego posła z przeciwnego obozu, aby wniósł w izbie poselskiéj projekt przymierza z Rosyą i nastręczył przez to jednemu z patryotów pożądaną do wystąpienia okazyą. I na tém więc staje. Przygotowanie tego *coup de théatre* bierze na siebie wojew. Bełzki, o którym hr. de Broglie zapewnia, iż nie był mu dotąd zgoła użytecznym, ale któremu jednak, oprócz udzielonego poprzednio tysiąca dukatów, uczynił obietnicę rocznéj pensyi w kwocie 20,000 fr. z dodatkiem 50,000 fr. jednorazowego wynagrodzenia po zakończonym *pomyślnie* sejmie. Tym sposobem wraz z wytargowaną od rezydenta pruskiego sumą otrzyma wojewoda ogółem 100,000 fr.

Nadmienić tu godzi się, że rozwinięta względem tego sprzymierzeńca hojność stanowi, w etacie przeznaczonych na sprawy polskie funduszów, pozycyą najpoważniejszą; wspominając zaś, i to z iście książęcem lekceważeniem, o skromnéj sumie 800,000 fr. wyłożonéj jakoby z prywatnéj szkatuły królewskiéj i przekazanéj hr. de Broglie na koszta tajemnéj jego kampanii dyplomatycznéj, historyk francuski grzeszy znowu niedokładnością a może i trochę brakiem bliższego oswojenia się z tradycyą gabinetu wersalskiego, stale przestrzeganą w tym dziale jego dyplomatycznych ze sprawami polskiemi stosunków. Hr. de Broglie i każdy z jego poprzedników czy następców byłby ściągnął na siebie nieuniknione posądzenie o pomięszanie zmysłów, gdyby mu było przyszło do głowy zażądać na rzecz interesów francuskich w Polsce, chociażby tylko połowę téj *skromnéj* sumy, którą ks. de Broglie oddaje niedbale w ręce swojemu imiennikowi. Wspaniałość i rozrzutność samego Ludwika XIV nie posunęła się nigdy, nawet pod naciskiem najwięcéj naglącéj potrzeby zapewnienia wpływom francuskim na sprawy Rzlitéj pożądanego tryumfu, do wydatku przenoszącego rocznie 200,000 fr.

Gdzieindziéj zaiste i w saméj Polsce nawet, ale na rzecz innych celów, umie gabinet wersalski być hojniejszym. Kiedy w r. 1756 dwór saski znajdzie się pozbawionym swéj rezydencyi drezdeńskiéj i dochodów z zajętego przez Fryderyka elektoratu, prywatna szkatuła króla francuskiego stanie szeroko otworem i, przez cały czas swojego wygnania z elektorskiéj ojcowizny, królowa Polska pobierać będzie sto tysięcy franków *miesięcznego* zasiłku, tytułem dobrowolnéj usługi świadczonéj przez ojca Delfina matce Delfinowéj francuskiéj! Ale polityka francuska w Polsce obchodzić się musiała tańszym kosztem. Być może zresztą, że podszepty artystycznéj optyki skłoniły akademickiego pisarza do przyłożenia jednego zera podanéj przez się cyfrze. Ośmdziesiąt (sic) tysięcy franków oto wszystko na co zdobyła się tajna dyplomacya najzasobniejszego z europejskich monarchów, sięgającego po koronę polską dla swego książęcego krewniaka. Trzeba zaś było całéj właściwéj temperamentowi nowego ambasadora natarczywości, aby zniewolić urzędową dyplomacyą do przekroczenia pierwotnego programu, ograniczającego się pod względem finansowym na dwóch lub trzech dziesięciotysięcznych pensyach, wypłacanych mniéj lub więcéj regularnie (raczéj mniéj niż więcéj), najwierniejszym sojusznikom polityki francuskiéj. Pięćdziesiąt tysięcy talarów rocznie do uzyskania z téj strony, „co w połączeniu z funduszami sekretnemi czyniłoby trochę więcéj niż 200,000 franków," oto marzenie, z którego zwierza się hr. de Broglie księciu Conti pod datą 23 grudnia (1).

Nadsztukowana jednakże pruskiemi talarami szczodrobliwość, któréj wojew. Bełzki stał się wyjątkowym przedmiotem, kazała posłowi francuskiemu spodziewać się po nim rzetelnych usług. Zgoła atoli nieprzewidziany przezeń, podług własnych jego zeznań, aczkolwiek pożądany skądinąd obrót rzeczy zawodzi i tę rachubę, jedyną jakiéj dostrzedz z jego strony pozwalają nam świadectwa archiwalne. Dnia 24 października donosi on księciu de Conti o zerwaniu sejmu, zapewniając, iż aczkolwiek wypadek ten urzeczywistniony został w sposób całkiem od własnych jego projektów odmienny, nie przynosi on wszelako żadnéj krzywdy interesom francuskim (2). Kto więc zerwał sejm? — Czartoryscy, odpowiada historyk francuski. Na podstawie jakiego świadectwa, zgadnąć trudno. Inicyatywę opozycyi czynność sejmową tamującéj, a powołującéj się na pogwałcenie paktów-konwentów przez przypuszczających cudzoziemców do udziału rozdawnictwa wakansów, podej-

(1) Korespondencya sekretna. Vol. 236.
(2) Tamże.

mują Świdziński i Chojecki, posłowie bracławscy, do których przyłączają się późniéj inny Świdziński, poseł rawski i Morski, poseł Sochaczewski. Ostateczny zaś, los sejmu rozstrzygający, manifest podpisuje po wycofaniu się trzech swych wspólników, Morski zrzekając się, dla stwierdzenia swéj bezinteresowności, rocznego utrzymania jakie ma od dworu. Mieni się wszelako hr. de Broglie pewnym, iż ofiara ta wynagrodzoną mu zostanie w dwójnasób. Przez kogo? (2) Przez Czartoryskich?— Bynajmniéj. Przez podskarbiego w. k., którego Morski jest kreaturą i narzędziem, a któremu poseł francuski przypisuje wskazany wyżéj interes w przerwaniu sejmu. Czy przynajmniéj wytknięty palcem w ten sposób przez samego ambasadora podskarbi należy do jednego z Czartoryskimi obozu? Bynajmniéj znowu. Wszystkie zarówno polityczne jak i rodzinne związki zbliżają go raczéj do Potockich, i do patryotycznego czy pseudo-patryotycznego stronnictwa. O udziale Czartoryskich w redakcyi tamującego czynność sejmową manifestu, o podszepniętéj jakoby przez nich umyślnéj gwałtowości tego dokumentu, przeznaczonéj do usprawiedliwienia energicznego w obronie króla występu, niema jednego słowa bądź w urzędowéj bądź w tajnéj korespondencyi hr. de Broglie, stanowiącéj jedyne autentyczne źródło, na które powołać się jest w stanie historyk francuski, a któremu trudno przypuścić aby—on zwłaszcza! — chciał przeciwstawiać świadectwo Rulhiéra! Rulhière uczynił się echem pogłoski rozpuszczonéj niewątpliwie przez samych politycznych przyjaciół hr. de Broglie, któréj jednak ten ostatni nie uznał za stosowne przejąć na własny rachunek. Wyzyskanie nowego wybryku swawoli szlacheckiéj, objawionego w samym fakcie zerwania sejmu i w towarzyszących mu okolicznościach, na rzecz podjętego bezzwłocznie w duchu reakcyjnym kontr-manewru, weszło prawdopodobnie do planu familii. Po raz pierwszy pretekstem do zatamowania obrad sejmowych stawał się atak wymierzony przeciwko jedynéj podobno szanowanéj dotąd z pomiędzy prerogatyw królewskich. Okazya do energicznego w obronie tychże prerogatyw występu nastręczała się więc ponętnie. Czy wszedł do jéj przygotowania przemyślny machiawelizm uprzedzający w wywołaniu sejmowego skandalu spontaneiczną przeciwnych żywiołów akcyą? Nie mamy żadnego dowodu na poparcie podobnego domysłu. Niezaprzeczenie zaś domysł ten pozostał obcym posłowi francuskiemu. Wystąpienie Czartoryskich, stanowiące epilog tragi-komedyi grodzieńskiéj, przedstawia on od początku do

(1) Hr. de Broglie do hr. de St. Contest. Grodno, 24 października. Korespondencya urzędowa. Dział polski. Vol. 238.

końca jako osiągniętemu przez zerwanie sejmu tryumfowi nad przeciwném stronnictwem zgotowany przez to stronnictwo odwet i epilog ten staje się dlań zupełną niespodzianką. Pod datą 24 października nie posiada on jeszcze żadnéj w tym względzie wskazówki; dnia 28 zaś października opisuje spełnione już wypadki (1).

W opisie tym, wśród wielkiéj obfitości szczegółów, żałować nam przychodzi jednego dotkliwego a niczem nieusprawiedliwionego braku. Szukamy napróżno tekstu samego, czy chociażby tylko treści kontr-manifestu autentycznie tym razem zredagowanego przez Familią, czy pod jéj natchnieniem i stanowiącego jéj odpowiedź na manifest Sohaczewskiego posła. Brakiem tym gotowibyśmy tłómaczyć nową omyłkę popełnioną przez historyka francuzkiego w przypisaniu temu dokumentowi charakteru aktu konfederacyjnego. I téj wszelako oszczędzić mu mogły udzielone przez hr. de Broglie, w zastępstwie tekstu, a dostatecznie w tym przynajmniéj względzie pouczające i kategoryczne informacye. Kontr-manifest Czartoryskich nie jest aktem konfederacyjnym. Osoby najwiarogodniejsze, których zdania hr. de Broglie zasięga, *post factum* dopatrują w nim niezawodnego zawiązku konfederacyi, a także prawdopodobnego wstępu do przymierza z Rosyą, za sprawą nowéj przyśpieszonéj i pod węzłem konfederacyjnym ewentualnie dokonanéj konwokacyi sejmowéj; ale aktualny tekst nie mieści nawet imienia: „konfederacyi“ w całym swym ciągu.

Szczegół to poniekąd drugorzędny; nie zupełnie obojętny przecież, on jeden bowiem tłómaczy łatwe przystąpienie Branickiego oraz politycznych jego przyjaciół do dzieła, którego charakter prawdziwy i doniosłość musiały pozostać dla nich ukrytemi, a także równie łatwy a nagły zwrot w pojęciach i postanowieniach hetmana, wywołany wystąpieniem Mokronowskiego. Branicki stający, chociażby na chwilę tylko pod sztandarem jawnéj konfederacyi wywieszonym przez Czartoryskich, stanowi zagadkę, z którą dziwić się można iż, przed autorem „sekretu królewskiego,“ Rulhière potrafił pogodzić zmysł krytyczny polskich nawet historyków (2). Szczegółowa wszelako relacya poselska z d. 28 października, którą dzisiejszy historyk francuzki miał pod ręką, obronić go była powinna od téj mistyfikacyi, a zarazem ustrzedz od dalszego w tym kierunku rozstania się z historyczną prawdą. Tu jednak właśnie, w opisie wypadków w téj depeszy streszczonych, nie pilnujący się ściśle wytkniętéj przez archiwalne świadectwa kolei, ale równolegle z nią

(1) Do hr. de St. Contest. Tamże.
(2) Ob. Szujski. Dzieje Polski. T. IV, s. 339.

przecież dotąd biegnący, partykularny gościniec znakomitego pisarza odbiega tak daleko, że zostanie miejsce dla jednego tylko wniosku. Książę de Broglie miał pod ręką depeszę z d. 28 października, ale nie miał jéj nigdy przed oczami. Zadowolnił się tekstem Rulhièr'a, przepisując go tylko po swojemu, z właściwém mu, odpowiadającém jego artystycznym instynktom i historycznym tendencyom, ugrupowaniem pojedyńczych rysów. A najpierwsze tejże saméj depeszy wiersze byłyby mu dostarczyły kategorycznego argumentu przeciwko rzekomemu udziałowi Czartoryskich w zerwaniu sejmu; (1) następne zaś byłyby chyba powstrzymały jego pióro w zapędzie efektownego zaiste i partykularnym zaprzątnieniom odpowiadającego, ale zgoła już z rzeczywistością rozmijającego się obrazowania. Pod piórem tém, całe szerokie pole koncentrującéj się w Grodnie obecnie walki politycznéj zamienia się w szachownicę, na któréj powolne palcom posła francuzkiego piony posuwają się ze zdumiewającą precyzyą. W danéj chwili jeden z posłusznych pionów, Mokronowski, występuje, mistrzowskim palcem dyplomatycznego gracza popchnięty, na scenę i daje mata konfederacyjnemu planowi Familii. Owóż cały ten w podobny sposób przedstawiony epizod zająć może w romantycznéj powieściowéj literaturze miejsce odpowiadające akademickiéj sławie autora, ale w historyi, zwłaszcza w opierającéj się na archiwalnych pomnikach historyi, niemasz dlań żadnego miejsca.

Podług własnego zeznania h-go de Broglie, pierwszą o przygotowanym przez Czartoryskich zamachu wiadomość zasięga on od Mokronowskiego, przybywającego z wydartym już z rąk podpisujących go senatorów i posłów manifestem. Inicyatywę śmiałego swojego wystąpienia podejmuje Mokronowski z własnego natchnienia, nie odebrawszy nie tylko rozkazu, ale nawet żadnéj w tym względzie wskazówki od posła francuzkiego, którego, jak zobaczymy zaraz, nie wie gdzie szukać w stanowczéj chwili. Projekt manifestu roztrząśnięty zostaje i przyjęty na tajemném u jednego z Czartoryskich posiedzeniu, do którego przypuszczono kanclerza w. k. Małachowskiego i Mniszcha. Zredagowany i przedstawiony królowi i Brühlowi tekst zyskuje aprobatę obu, król sam bierze na siebie zjednanie dwóch hetmanów wielkich i w tym celu podpisuje przywilej

---

(1) „Czartoryscy—pisze ambasador, rozjątrzeni niepowodzeniem podjętych przez się usiłowań w celu doprowadzenia sejmu do pomyślnego zakończenia i zakłopotani zapewne w obec króla, któremu odpowiadali podobno za niezawodny tych usiłowań skutek, umyślili powetować doznaną porażkę za pomocą manifestu, mającego prawdziwą donisłość konfederacyjnego aktu, etc."

na miecznikostwo w. l. dla proszącego o nie młodego Radziwiłła, syna, hetmana w. l.—przyszłego księcia Panie Kochanku. Dla Branickiego nastręczyło się w porę wakujące intratne,—100,000 liwrów podług posła francuzkiego przynoszące starostwo. Cena może się zdać hojnie naznaczoną za podpis na manifeście—jednym więcéj w téj epoce manifestów! chodzi przecież tylko na pozór przynajmniéj o pomszczenie znieważonego zuchwalstwem sejmowych gwałcicieli królewskiego majestatu, o replikę na manifest posła Sohaczewskiego. Prawdziwa intencya manifestu i ukrywające się w nim zamiary—jeżeli nam ich koniecznie domyślać się trzeba musialy być dobrze ukrytemi w saméj rzeczy, skoro do ostatniego momentu nie wywołują one żadnéj obawy czy protestacyi. Ujęty łaskawością królewską, Branicki ofiarował własny dom dla zebrania podpisów senatorów i szlachty i w jego obliczu, zgłaszający się tłumnie biskupi wojewodowie i kasztelani kładą imie swoje u spodu zdradzieckiego dokumentu. Pociągnięcie do podpisu posłów wziął na siebie wojew. Płocki zwykłe, jak nadmienia hr. de Broglie narzędzie Familii, imponujący tłumowi szlacheckiemu wspaniałością i powagą postawy. Nie dają czekać na siebie i posłowie. Dom popularnego hetmana pociąga i ubezpiecza najlękliwszych. Dwanaście już podpisów zebrał wojew. Płocki gdy zjawia się Mokronowski. Mokronowski nie wie dotąd o niczém, a raczéj i prawdopodobniéj nie domyśla się o co chodzi. W epoce kryzysów sejmowych zwłaszcza podpisywane manifestów jest rzeczą tak powszednią! Czy znalazł się ktoś dla zwrócenia uwagi powiernika hetmańskiego na właściwe znaczenie dokonywającéj się roboty? Być może. W każdym razie nie francuzki poseł. Na razie nie myśli nawet Mokronowski o swoim dyplomatycznym sprzymierzeńcu. Biegnie do hetmana; ostrzega go; przedstawia, iż straci w jednéj chwil owoc długoletnich trudów i poświęceń, urok i dobrą sławę zdobytą w ciągu długoletniego zawodu. Branicki okazuje wielkie zakłopotanie; nie umie zorjentować się, ani zdobyć się na krok stanowczy; a tymczasem nadbiega Małachowski, oznajmiając iż dzieło gotowe czeka tylko przyłożenia ręki hetmańskiéj, i ciągnie wahającego się przyjaciela do sali w któréj wojew. Płocki gromadzi coraz liczniejszych adherentów. Wtedy, nie mając czasu zasięgać niczyjéj rady, radząc się tylko swojego natchnienia i animuszu, wyprzedza Mokronowski obu senatorów, zgłasza się do wojewod. Płockiego, jako posłannik hetmana, i w jego imieniu żąda zakomunikowania fatalnego dukumentu, jakoby dla uzupełnienia go nowym natchnionym hetmanowi przyczynkiem. Podstęp udaje się; wojewoda nie przypuszcza zdrady; manifest przechodzi w ręce Mokronowskiego.

Czy w téj chwili wypada nam przedstawić sobie odważnego wolności obrońcę w dramatycznéj postawie w któréj za Rulhierem ukazuje nam go książę de Broglie, przysięgającego przed całém zgromadzeniem, iż zginie prędzéj niż da sobie wydrzéć zdobyte przez się narzędzie zbrodniczego zamachu i pozwoli na jego dokonanie. Opis przesłany gabinetowi wersalskiemu zawiera ten szczegół. Dodać przecież wolno, iż zachodzi niejaka trudność w zestawieniu go bądź z poprzedzającemi bądź z późniejszemi rysami tego samego sprawozdania. Wiemy, iż na odwadze i animuszu nie zbywało rycerskiemu chorążemu patryotycznego sztandaru i nie zbrakło mu ich nigdy w późniejszych, równie co najmniéj dramatycznych okolicznościach długiéj i burzliwéj karyery politycznéj. Skądinąd i na gotowych poplecznikach braknąć mu nie mogło w zjednanym, ale przecież pewną nieuniknioną liczbę ukrytych jeżeli nie głośnych oponentów mieszczącym szlacheckim tłumie, zapełniającym teraz komnaty hetmańskie. Wiemy z samejże relacyi posła francuzkiego o takich oponentach, w liczbie których znajdujemy niespodziewanego na tem miejscu, ale determinowanego podobno a zuchwałego i na wszystko gotowego niezawodnie, choć do podjęcia inicyatywy niezdolnego antagonistę, w osobie nowego miecznika w. litewskiego. Dowiadujemy się o nieszczędzonych przez hetmana w. l. ale daremnych usiłowaniach, w celu skłonienia nie zjednanego snać łaską królewską i krnąbrnego syna do naśladowania własnego przykładu. Nawiasem mówiąc dowiadujemy się jednocześnie i o zdziwieniu posła francuzkiego, wywołaném tym dowodem przezorności i energii złożonym przez bynajmniéj nie kwalifikującego się w jego oczach do składania podobnych dowodów młodzieńca. Czy tenże obecnym był przy wystąpieniu Mokronowskiego? Nie umiemy powiedziéć. W każdym razie ani jemu ani żadnemu z równomyślących nie dał ten ostatni czasu do podjęcia wywieszonéj chorągwi opozycyjnéj. Zaledwie bowiem mieliśmy czas, w ślad za dyplomatycznym naszym przewodnikiem, oddać należny hołd męzkiéj determinacyi śmiało w ten sposób głowę podnoszącego oponenta, widzimy go dopadającego „tylnych drzwi“ i uchodzącego ze swoją zdobyczą nietylko z komnaty, będącéj teatrem téj sceny ale i z hetmańskiego domu. Owóż, zręczne to zapewne, ale bynajmniéj nie bohaterskie rozwiązanie sytuacyi jest, jak mniemam, wstanie nastręczyć niejakie wątpliwości względem owéj poprzedzać je mającéj i opaczne między dwoma użytemi wybiegami trzymającéj miejsce, heroicznéj demonstracyi. Cel takowéj demonstracyi, ze strony uciekającego się do fortelów partyzanta zda mi się dość trudnym do oznaczenia. Boć między przytomnymi i będącymi snać w większości zawsze,

stronnikami manifestu, w obec których odwrót *tylnemi drzwiami* zdał się naszemu bohaterowi koniecznym, znaleść się mogło łatwo podostatkiem pięści do odzyskania na zuchwałym przeciwniku, nawet bez odebrania mu jednocześnie życia, podchwyconego przezeń podstępnie dokumentu.

Jakkolwiek bądź zdobycz i zdobywca uszli cało. I teraz dopiero pomyślał Mokronowski o pośle francuzkim. Ale tego ostatniego niemasz w domu. Pojechał do swojego pruskiego kolegi, Mokronowski biegnie tam. Zaznajomieni na prędce z położeniem dyplomaci obstają za wezwaniem wojewodów Bełzkiego i Smoleńskiego,—wojewoda Smoleński jeden daje się znaleść. Po namyśle bierze on na siebie zgłoszenie się do hetmana i wytrzymanie spodziewanego gniewu. Mokronowski czeka w sąsiedniéj izbie na wypadek burzliwéj ze swym protektorem konferencyi. Hetman wszelako okazuje się nadspodziewanie przystępnym. Przyznaje niebawem, że został oszukanym. Wtedy przyzywa Sapieha Mokronowskiego, który składa w ręce hetmańskie instrument, na dwoje rozdarty, ukartowanego jakoby przez Familią ujarzmienia republikańskiéj wolności. Hetman rzuca się na szyję domyślnemu swemu zbawcy. Przekazany nienawiści patryotów manifest ginie w płomieniach.

Oto, w wiernėm streszczeniu, opis wypadków z d. 27 października, tak jak nam je przedstawia urzędowa i szczegółowa relacya hr. de Broglie, do którėj tenże poseł odwołuje się zresztą w krótkim pod adresem księcia Conti wyprawionym jednocześnie bileciku. Jak dalece odbija to przedstawienie od fantastycznego obrazu przed którym historyk francuzki stawia swego czytelnika, tego wykazywać nie potrzebuję. Nie mogę przecież powstrzymać się od położenia nacisku na stopień wiarogodności należący się w ogóle pisarzowi, który odsyłając nas na każdéj niemal stronie do archiwalnych źródeł z których czerpie na pozór treść swego opowiadania, pomija je w rzeczywistości, napuszczając swój pędzel zapożyczonemi od Rulhièra lub własnéj fantazyi farbami. Samo z siebie wynika, że i sprawozdanie posła francuzkiego, jakkolwiek urzędowe i szczegółowe nie inaczéj przyjętém być może, w charakterze historycznego świadectwa, jak *cum grano salis* i z dodatkiem pewnych zastrzeżeń. W pierwszym rzędzie przywiedziona, i ową dotkliwą dla nas nieobecność pożądanego tekstu, tłómacząca okoliczność natychmiastowego zniszczenia, któremu uległ jakoby oryginał pseudo-konfederacyjnego manifestu, nasuwać już musi pewne wątpliwości. Dla czego ten pośpiech, w obec będącego w bezpiecznych rękach i tém samem bynajmniéj nie groźnego a w dodatku rozdartego na dwoje dokumentu?

Dla czego zmuszeni jesteśmy, jak zmuszonym był ze swojéj strony gabinet wersalski polegać na świadectwie wiarogodnych owych osób, upewniających hr. de Broglie o niebezpiecznym tego dokumentu charakterze, skoro tak łatwo było posłowi francuskiemu stwierdzić swoje w tym względzie wnioski załączeniem zdjętéj na prędce kopii i skoro ani przedtém ani potém nie zwykł on zaniedbywać téj formalności, względem daleko mniejszą doniosłość przedstawiających a stale do swéj korespondencyi w odpisie lub przekładzie załączonych aktów.

Nie podejrzywamy młodego dyplomatę o dobrowolne w tym przypadku rozminięcie się z prawdą; cała bowiem jego relacya nosi, zwłaszcza w dotyczących go osobiście szczegółach, tak widoczne znamię rzetelności i prostoty. Czy nie usprawiedliwionym natomiast zda się domysł poniewolnéj omyłki i narzuconéj może nie nadto wytrawnemu umysłowi przesady w ocenie całego tego tak wielkie rozmiary przybierającego zajścia. Tém bardziéj, iż wynalezienie w tém przypuszczeniu naturalnych takiéj przypuszczalnéj mistyfikacyi narzędzi nie przedstawia żadnéj trudności. Zauważyć należy, iż od początku do końca ambasador nie bierze w całym tym epizodzie żadnego osobistego udziału. Głównym aktorem, informatorem i instygatorem jest Mokronowski. Jemu téż, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przypadła rola tłómacza względem oskarżonego przez się o zbrodnicze zamiary aktu, którego redakcya, nawet gdybyśmy ją łacińską mieć chcieli w naszych domysłach, musiała pozostawać niedostępną dla przybywającego z obozu brygadyera wojsk Jego arcy-chrześcijańskiéj Mości. Że tym sposobem improwizowany nasz dyplomata mógł a nawet musiał zobaczyć w przedstawionym mu dokumencie to, co mu pokazać w nim chciał Mokronowski, tego wykazywać dłużéj niema potrzeby. Że zaś ten ostatni mógł uledz pokusie popuszczenia w tym względzie cugli swojéj wyobraźni, ten tytułem prostego przypuszczenia zaryzykowany domysł obejść się musi bez dowodu, ale nie bez niejakich, pewnego stopnia prawdopodobieństwa udzielających mu wskazówek. Idźmy bowiem daléj w ślad za sprawozdaniem posła francuskiego. Z tak wielkim trzaskiem i z tak wielkiém wysileniem podjęte przez Czartoryskich dzieło konfederacyi zostało zniweczone — zniweczone przez interwencyą Mokronowskiego i odstępstwo jednego hetmana. Król otworzył napróżno rękę dobrodziejstw pełną; nie oszczędzana zapewne także szkatuła familii wyrzuciła w błoto część tak skrzętnie zbieranych skarbów; sędziwy wojewoda Płocki, sam kanclerz w. k., skompromitowali swoję powagę w zwichniętym nie chwalebnie, nieco nawet śmiesznie, zamachu—i cóż tedy? Czy ci wszyscy, dając za wy-

graną, poddadzą się potulnie swojemu losowi? Czy nie pomyślą o odwecie? o obejściu się bez hetmańskiego przyzwolenia? Przypuśćmy nawet to; przypuśćmy trzeźwe liczenie się z nadwerężonemi widokami powodzenia prowadzące do natychmiastowego złożenia broni, z odłożeniem zniweczonych planów do późniejszego czasu i pomyślniejszéj pory. Względem obu braci Czartoryskich i ich najbliższych przyjaciół, względem całego nawet w karby surowéj dyscypliny ujętego ich stronnictwa przypuszczenie to nie przedstawia nic nieprawdopodobnego. — Ale, jeśli mamy polegać na poddanych obecnie krytyce świadectwach, nie jedni adherenci familii byli tu w robocie, nie oni jedni cisnęli się w otwarte podwoje domu hetmańskiego. Czegoż spodziewać się nam godzi po tym podżegniętym, sfanatyzowanym zapewne tłumie? Czy tego że się rozejdzie spokojnie do domów, na wezwanie zwijającego nagle rozwieszony sztandar hetmana? Łatwiéj nam zaiste domyślać się jakowychś burzliwych protestacyj, odnowionych, aczkolwiek daremnych usiłowań w celu podjęcia skompromitowanego nieprzewidzianém odstępstwem przedsiewzięcia, długo przeciągającego się zamięszania.... W każdym atoli razie domysły nasze nie spotkają się w tym wypadku ze sprawozdaniem posła francuskiego. Nie tylko, jeśli godzi się nam dać wiarę podanym przez nie informacyom, a nie mamy żadnego powodu do podejrzywania w tym przynajmniéj względzie ich akuratności, nie tylko nikt nie protestuje, ale nikt, już pod datą 28 października, nazajutrz po dopiero co opisanych scenach, nie mówi nawet o całkiem pogrzebanéj jakoby sprawie. Czartoryscy udają zupełną obojętność i narzucają tę samę przybraną przez się maskę wszystkim wspólnikom nieudanego zamachu. Owóż jakkolwiek wielką miarę politycznego wpływu przypisać zechcemy, potężnym przywódcom dalekiego jeszcze w téj epoce od późniejszéj wszechwładzy stronnictwa, nie sprosta on chyba jeszcze przekazanéj mu w ten sposób roli i zmuszeni będziemy uciec się do postawionego na wstępie wniosku. Jeżeli dnia 28 października nie mówiono już wcale o wypadkach dniem pierwéj zaszłych, tedy chyba sam hr. de Broglie powiedział o nich zawiele.

W jednym natomiast jeszcze względzie zarówno obecne sprawozdanie jak i wcześniejsze relacye młodego posła zasługiwać się zdają na zupełną wiarę, a mianowicie w tém co dotyczy roli jaką przypisują jemu samemu w tych i innych wypadkach własne jego zeznania. Rola ta musiała, jak nam domyślać się wolno, dostarczyć niejakiego materyału do żartów skłonnemu do uszczypliwości podobno a cynizmu umysłowi wojewody Bełzkiego. Podziwiać zaś wypadałoby, gdyby nie chodziło o historyą, przemyślność arty-

styczną, która znaleźć w niéj potrafiła materyał do panegiryku. Dołączając przyrzeczone i wypłacone punktualnie 50,000 fr. do otrzymanych poprzednio 30,000 przebiegły wojewoda rzuca kamień węgielny politycznego systematu, którego przez cały ciąg poselstwa hr. de Broglie trzymać się będą zaciągnięci rzekomo pod sztandar francuski partyzanci, a którego ostatniem słowem jest eksploatowanie niedoświadczonemu a do porywów i uniesień skłonnemu umysłowi powierzonego mandatu na rzecz własnych, a osobistemi często interesami natchnionych widoków. Do chwili, na któréj stanęliśmy, nowy ambasador nie wychodzi prawie jeszcze z czysto obserwacyjnego stanowiska, narzuconego mu, prześcigającym jego oryentującą się dopiero dyplomacyą, szybkim biegiem zdarzeń. W późniejszych swych zaprzątnieniach szeroko zakreślonych planach i daleko sięgających pomysłach staje się on w rzeczywistości potulném narzędziem tylko i wiernym rzecznikiem stronnictwa, któremu niby przewodzi. Historyą polskiéj ambasady hr. de Broglie nazwać można historyą agentury sprawowanéj przez francuskiego dyplomatę na rzecz politycznych antagonistów *Familii*.

R. Waliszewski.

Z DZIEJÓW MALARSTWA POLSKIEGO

XVI wieku.

Zamierzamy wydobyć na jaw szereg pomników malarstwa polskiego z pierwszych lat XVI wieku, z téj ciekawéj wielce epoki w któréj sztuka odrodzenia przyniesiona do nas z Włoch rozwielmożnia się mocno ze szkodą ostrołuku, kształtującego w XV stuleciu organizm estetyczny o cechach narodowych. W tym celu udajemy się do bibliotek krakowskich, gdzie znajdujemy kilkadziesiąt rękopismów z malowanemi na pargaminie obrazami i winietkami zaciekawiającemi siłą interesu artystycznego. Zanim się jednak zbliżymy do tych utworów sztuki polskiéj, rzucamy pierwéj okiem na malarstwo cechowe krakowskie zostające z niemi w pewném pokrewieństwie duchowém. Zboczenie takie z prostéj drogi ułatwi nam oznaczenie właściwego stanowiska miniaturowego malarstwa w dziejach sztuki naszego narodu.

Podlegając bezpośrednim wpływom cywilizacyi południowo-zachodniéj Europy, tém samém przyjęliśmy od niéj i szkołę bizantyjską w malarstwie. Ale kiedy Włosi i Niemcy stosunkowo wcześnie otrząsają się z bizantynizmu, to my jeszcze w XVII wieku kierujemy wzrok na jego motywa (1) na co wpływają mocno nasze stosunki z Rusią i ze wschodem, gdzie tradycye estetyczne wypielęgnowane na kościele św. Zofii w Kostantynopolu cieszą się prawem obywatelstwa (2). Wskutek takiego biegu malarstwa polskiego widzimy np. że tak w obrazie wotywnym *Rafała z Tarnowa*, pocho-

---

(1) Władysław Łuszczkiewicz. Malarstwo cechowe krakowskie XV i XVI wieku Kraków 1874.

(2) Edward Pawłowicz. Rzut oka na stanowisko malarstwa polskiego wobec sztuki u obcych. Lwów 1882.

dzącym z 1409 roku a znajdującym się w Przeworsku, jak i w podobnym dziele w Ruszczy z 1420 roku jak wreszcie i w *stacyach* Męki Pańskiéj w kościele św. Idziego w Krakowie reminiscencye bizantynizmu są mocne i znaczące.

Ale i w tych utworach cechowych pomimo tradycyi bizantyńskiéj widnieje już realizm właściwy szkołom niemieckim. Tak wskazane dopiero obrazy jak i *Pojmanie Chrystusa* w kościele św. Katarzyny w Krakowie lub sceny rozwinięte w *tryptyku św. Trójcy* w kaplicy świętokrzyskiéj na Wawelu, obok tradycyi bizantyńskiéj przemawiają pierwiastkami swojskiemi zrodzonemi na gruncie krakowskim. W akcyi, w charakterystyce twarzy, ruchach i układzie fałdów sukni znać już wyswabadzanie się naszego malarstwa z pod wpływu starych tradycyj, znać samodzielne zacięcie. Jedynie stosunek głównéj postaci obrazu do otoczenia i tło złocone przypominają bizantynizm reszta jest już nową zdobyczą.

Lecz malarstwo nasze cechowe XV i XVI wieku nie potrafi jeszcze przemawiać indywidualną a silną charakterystyką twarzy. Życie wewnętrzne, ideje wypowiada ono głównie ruchami ciała i charakterystycznemi właściwościami odzieży. Co więcéj cechowe malarstwo, mimo pojawów wcale silnych rodzimych, zdradza wiele powinowactwa z utworami starych szkół niemieckich. Na zasadzie właśnie tych okoliczności przychodzimy do przekonania, że nasze malarstwo XV i XVI wieku zostaje jeszcze pod wpływem zachodniéj Europy obok reminiscencyj bizantynizmu, kołatających się w nim od wieków kilku. Bez zaprzeczenia przedstawia nam ono zawiązek odrodzenia się w sztuce, zapowiedź samodzielnego głosu, ale zapowiedź to jeszcze słaba, niewyraźnie przemawiająca do uczuć i przekonań polskich.

Nie mieliśmy tradycyi greckiéj i rzymskiéj sztuki a bizantynizm nie mógł nam dostarczyć żywotnych pierwiastków, mimo to jednak zwróciliśmy malarstwo wyłącznie w kierunku duchowym na oddanie którego potrzeba było wielkiéj samodzielności i życia estetycznego. Ten właśnie kierunek zdaje mi się był głównym powodem, iż malarstwo nasze tak powolnie stąpało w dziejowym pochodzie. Sądzę, że zwrot do życia zewnętrznego do dziejów i stosunków codziennych byłby korzystniéj wpłynął na wyrobienie się wyłącznie polskiego malarstwa. Geniusz narodu przeczuwał tę drogę jak to widzimy w realistycznie traktowanych religijnych naszych obrazach z XV i XVI wieku, lecz nie miał on siły odpowiedniéj do urzeczywistnienia przeczuć swoich. Wyłącznie religijny charakter malarstwa, bez tradycyj klasycznych jak we Włoszech i bez oparcia się na tematach historycznych, społecznych i domowych był główną

przyczyną naszego zastoju. Owe znów zawiązki samodzielności cechowego malarstwa wykazane przez Łuszczkiewicza w XVI wieku, zostały złamane przez wszechwładny wpływ renesansu.

Po tych uwagach kilku rzucających światło na drogi jakiemi postępowało malarstwo polskie cechowe, przystąpmy do właściwego założenia, tj. do rozpatrzenia szeregu pomników miniaturowego malarstwa naszego XVI wieku. Uwagi i spostrzeżenia powyższe pomogą nam wielce do ocenienia owych pomników sztuki polskiéj.

Przepisy stowarzyszeń zakonnych wymagały, aby członkowie klasztoru razem zebrani sprawowali w pewnych godzinach w chórze na ten cel przeznaczonym chwałę Pańską. Modlitwy téż takie i chóry odbywane wedle pewnych reguł i form, wywołały potrzebę odpowiednich ksiąg, któreby wsparte na pulpitach w pośród grona mnichów służyły ku owemu celowi religijnemu i praktykom nabożnym, tak mocno upowszechnionym nietylko w średnich wiekach ale nawet i w epoce reformacyi. Z tych przeto względów powstały wielkie pergaminowe księgi, zdobne tysiącznemi malowaniami, znane nam pod nazwiskiem: *antyfonałów*, *chorałów*, *graduałów* itp. Księgi takie w rozmiarach swoich dochodzą niekiedy do olbrzymiéj względnie wielkości; nierzadko bowiem napotkać *antyfonał* lub *graduał* mający 30 cali wiedeńskich długości a 22 szerokości. Zwykła zaś wielkość graduałów jest od 20 do 30 cali wied. długości a od 16 do 22 szerokości; gdy tu jeszcze dodamy, iż księga taka składa się zwykle z 100 do 230 i więcéj pergaminowych kart, wtedy nabierzemy dostatecznego o jéj rozmiarach pojęcia. Pergamin do nich użyty, pod względem wyprawy bywa nader różnéj wartości; powszechnie jednak ten, jaki znajdujemy w miniaturowych rękopismach pierwszych lat XVI stulecia jest cienki i przejrzysty, z czasów znowu późniejszych, już tak po roku 1520 o wiele grubszym, nie mówiąc nic o pergaminie XVII wieku, co prawie pod żadnym względem nie może iść z niemi w porównanie.

Musimy tu jeszcze nadmienić do uzupełnienia zewnętrznego obrazu średniowiecznych kościelnych rękopisów, o saméj ich oprawie, którą, zwyczajem owych czasów składają grube dębowe deski, oklejone papierem, pergaminem lub skórą czarną, a okute grubemi bronzowemi narożnikami i tegoż rodzaju klamrami. Okucia takie zwykle były kute wedle zasad ostrołuku, nic téż na nich więcéj nad harmonijne łuki i wielką proporcyonalność w ich częściach nie spostrzegamy; za to narożniki i klamry zrobione w duchu renesansu z końca XVI wieku, odznaczają się oprócz pięknego rysunku wyso-

kiem artystycznćm wykończeniem. Ozdoby tu zwykłe to linie arabesk, co gęsto opinają owe narożniki i klamry sposobem cyzelowania wykonane. A jeżeli w ramach takiego narożnika rozpiera się jednogłowy biały orzeł, wtedy na tło pod niego barwę narodową amarant poddano. Na zewnętrznéj znowu środkowéj części okładki przypinano bronzową gotycką gwiazdę lub postać świętego, udrapowaną falisto a miękko z całą znajomością linii i poczuciem ducha odrodzenia. Nadmieniamy wreszcie, że nierzadko napotkać można pięknie wytłaczane, w kształcie płaskorzeźby popiersia znakomitych mężów bądź w kościele, bądź na polu nauki ujęte w ramy podobne otoczone arabeskami bogato, na skórze opinającéj samę deskę okładki. Podobne oprawy i zdobienia powszechnie dają się widzieć na księgach XV i XVI-go stulecia. Tyle więc co do zewnętrznéj strony krakowskich miniaturowych rękopisów XVI-go wieku.

Nasuwa się teraz pytanie, jakim sposobem a raczéj czyim kosztem były fundowane owe foljały, skoro zważymy cenę samego pergaminu, objętość ksiąg, wielką ich liczbę i bądź co bądź bogatą oprawę. Odpowiedź na to nietrudna, jeżeli przeniesiemy się w owe czasy głębokiego ascetyzmu, które religijną ofiarnością pojedyńczych członków społeczeństwa, sposobem składek, wznoszą ołtarz niezrównanéj artystycznéj wartości w kościele Panny Maryi w Krakowie; z datków więc a pracy mnicha powstawały i owe piękne księgi. Na poparcie zaś naszego twierdzenia przytaczamy napis, znajdujący się na jednéj z kart antyfonału biblioteki Bernardynów krakowskich, pochodzącego z 1570 roku. Jest on następującéj osnowy „*Jezus Nazarenus Rex Judeorum* Roku Pańskiego tysiącznego pyęczsetnego siethm dzyesiątnego dzyęwiątego: xzyęzycza maya dnya dziesyątego ku chwale Boży te kxzięgi są dokonane y sprawyone Czasu Panny Mathki Justyny Wołuczky za pylnym stharanym Panny Vicary, Dorothy kąnsky. Na które I. M. kxzyącz Sygmunt Doctor dał styrzy złote, Pany Barbara Petrowa złotniczka dała dwadzyesczia złotych. Panna Lucia trzy złote ofiarowała Prosczie Pana Boga za nie i thy Panny, która osthatka dołożyła, przed Panem Bogiem nye zapominayczie.“ Karty znów rękopismów XVI wieku bywają zwykle liniowane czarną, czerwoną a niekiedy jak u Bernardynów krakowskich, zieloną farbą. Linie zaś takie starannie z pewną elegancyą prowadzone służą pod znaki toniczne, kwadratowe czarne rzadko zaś czerwone. Najwięcéj spotyka się antyfonałów, w których po cztery linie kładziono pod tony, a zwyczajna ich odległość od siebie wynosi od $^1/_3$ do $^3/_4$ cali wiedeńskich. W miejscach zaś pomiędzy wierszami linij i znaków tonicznych czyli w tak

zwanych interliniach, szerokich od 1$^{3}/_{4}$ do 2$^{1}/_{2}$ cali wiedeńskich, znajdują się wiersze pisma gotyckiego, łacińskiego co zawierają tekst modlitwy lub pieśni, podany pod właściwe tony.

Pismo takie zajmuje wysokości od $^{1}/_{2}$ do 1$^{3}/_{4}$ cali wiedeńskich; a gdy zwrócimy uwagę na jego czerwone, czarne i niekiedy złote barwy, na jego lekkość i ostre gotyckie krawędzie, wreszcie na proporcyonalne jego rozstawienie, wtedy szereg owych wierszy, razem wzięty ze znakami tonicznemi, przedstawi się nam nader wzorzysto, a co więcéj doleci nas wyraz głębokiéj powagi z tych dla oka martwych, pożółkłych pergaminów. Nie możemy tu wreszcie pominąć obfitości *inicyałów* (są to litery duże, bogato zdobne, zwykle po kropce lub od początku wiersza malowane) bo od 3 do 25 zwykle robionych na jednéj stronnicy. Częstokroć sam inicyał stanowi wielką ozdobę księgi: zacząwszy bowiem od świetności barwy, aż do lekkich harmonijnych linij, do fantastycznych średniowiecznych postaci, jak smoków, gryfów, djabełków itp. wszystko tu bogato występuje w celu upiększenia litery,—artysta przedstawił w nich pojęcia religijne, udowodniał siłę pracy, cierpliwości oraz głębokie poczucie piękna. Nie spotkać w nich dysharmonii kolorów, nie uderzy cię brak propocyi, ale wszędzie panuje znajomość rysunku i lekkie zlewanie się barw. Szczególniéj zasługują na uwagę w tym względzie inicyały pierwszych 20 lat XVI wieku w rękopisach krakowskich; postępując zaś daléj ku połowie a zwłaszcza ku schyłkowi tego stulecia, harmonia rysunku zaczyna się rozstrajać, barwy zaczynają się kłócić a poczucie piękna i cierpliwość w pracy bledniejа. Co więcéj owa przejrzystość kolorów, co tak wdzięcznie do nas przemawiała w początkach XVI wieku, przybiera na siebie szaty chropowatości, przykro świadczące o znacznym upadku techniki miniaturowego malarstwa. To téż jeżeli przyjdzie napotkać inicyał z końca Zygmuntowskich czasów, prędzéj byśmy go zaliczyli do XVII stulecia, znamionującego upadek sztuki, niźli do epoki, kiedy zaledwie osychają gipsy na Wawelu, na najpiękniejszym pomniku renesansu na północy Europy,—Kaplicy Zygmuntów. Data jedynie położona na pergaminie wstrzymuje nas od tego. W ogóle mówiąc, jeżeli na początku XVI wieku, w inicyałach rękopisów krakowskich widać pewną samodzielność, pewien właściwy sobie, skończony charakter, tak pod względem kompozycyi, jak i wykonania—to w końcu owego stulecia uderza manierowanie i niedołężne naśladownictwo wzorów wcześniejszych.

Po téj charakterystyce ogólnéj wypada nam rozpatrzyć się w szczegółach. Uczynimy to z całą przyjemnością tembardziéj, że sam przedmiot zasługuje na to w zupełności. Żeby jednakże

przyjść do pewnego wniosku o wartości artystycznéj pomników miniaturowego malarstwa polskiego, przyjrzymy się całemu szeregowi utworów. Uważamy, że przegląd taki da nam podstawę do uzasadnionych twierdzeń i wyprowadzenia stosunku owych dzieł malarskich do całego obrazu sztuki polskiéj. W przeprowadzeniu zaś rzeczy uwzględnimy miniatury klasztorne i świeckie, ponieważ zostają one z sobą w bezpośrednim związku.

Przystąpmy tedy do szczegółów, jakie zapowiedzieliśmy przed chwilą (1). Ktokolwiek zwiedzał bibliotekę Jagielońską w Krakowie—pewno zwrócił uwagę na rękopism pergaminowy, obecnie pięknie oprawny, upiększony miniaturami przez Baltazara Bema, pisarza (Cancellarius) rady miejskiéj krakowskiéj r. 1505, a więc za czasów panowania Aleksandra. Zawiera on zbiór ustaw i przywilejów nadanych różnemi czasy przez panujących Polski rzemieślnikom krakowskim, oraz opisanie cechów i warstatów, jakie się znajdywały w Wawelskim grodzie za pierwszych Jagiellonów. Wprawdzie księga niniejsza treścią swoją nie należy do tych, jakieśmy w wyżéj podanym szkicu nakreślili, zastanawiamy się przecież nad nią dla bogactwa miniatur, jakie się w niéj znajdują, a które dla nas mają tém większą wartość, że zostały w Krakowie wykonane. Pomijamy téż treść szczegółową rękopismu i jego wartość co do historyi prawodawstwa polskiego; a przystępujemy do samych miniatur (2).

---

(1) Uważam za konieczne wytłómaczyć się ze sposobu jaki stosowałem w przeglądzie pomników miniaturowego malarstwa. Ze względu na warunki artystyczne saméj pracy, należałoby przegląd owych pomników sztuki czynić sposobem chronologicznym,—tym bowiem trybem postępując zyskalibyśmy na jasności wykładu, przez co i myśl przewodnia uwydatniłaby się wyraźniéj. Z uwagi jednak że miniatury naszych klasztorów, pomimo wspólnych rysów mają odrębny swój charakter artystyczny, uważaliśmy za stosowne przeglądać każdą grupę z osobna, aby na podstawie spostrzeżeń tą drogą zebranych wyprowadzić następnie wnioski ogólniejszéj natury o stanowisku tych pomników malarstwa w sztuce polskiéj. Chronologiczne traktowanie rzeczy zatarłoby poczęści odrębne właściwości każdéj grupy, które powstają w różnych perjodach XVI wieku Zresztą nie piszemy monografii miniaturowego malarstwa XVI wieku, co nawet niemożebne z powodu braku materyałów, ale wydobywamy na jaw szereg utworów nieznanych i wielkiéj wartości artystycznéj. Jeżeli znów przyjdzie nam czasem dotknąć miniatur znanych, jak np. z *pontyfikału Erazma Ciołka*, czynimy to celem uwydatnienia wzajemnego pokrewieństwa owych zabytków malarstwa polskiego.

(2) Rękopis pisany na liniowanych kartach gotyckiemi drobnemi literami, farbami czarną i czerwoną. Szczegółowo pisali o nim: Essenwein Bratrauch, Hejzman, Łepkowski i Dudick, do ich prac tedy odsyłamy czytelników, pragnących się zaznajomić bliżéj z owym kodeksem.

Z pośród wielkiéj liczby znajdujących się w nim inicyałów, rzadko który robiony wzorzysto, przeważnie zaś nakładane jednostajnie farbami lub złotem; a od pojedyńczych małych głosek wybiegają często małe cugi, podobnie jak widzimy na rękopisach XII, XIII, XIV i XV wieku. Niekiedy cug taki, bogato barwiony, przez połowę karty przebiega lub wije się po niéj, między wierszami w przeróżnym kierunku. Nie możemy tu również pominąć bogatych wzorów, obiegających często marginesy stronic, a noszących na sobie wybitne cechy gotyckich arabesk, rzucanych na tło obrazu lub rzeźby. Odznaczają się one lekkością rysunku; harmonią i żywością barw obok wysoko posuniętéj techniki malarskiéj, która jednakże niżéj stoi od wykończenia miniatur kodeksu Baltazara Bema, znajdujących się w liczbie dwudziestu siedmiu w owéj szacownéj ze wszechmiar księdze.

Pierwsza z nich na drugiéj karcie umieszczona przedstawia herb miasta Krakowa czasów Jagiellońskich, podtrzymywany przez dwa duże lwy na których karkach opiera się królewska korona. Miniatura ta jak i ostatnia naszego rękopisu wyobrażająca Chrystusa Pana na krzyżu, pod krzyżem stoją Matka Boska i święty Jan Chrzciciel, należy tak rysunkiem jak i wykończeniem artystycznem do drugorzędnych miniatur. Lwy bowiem pierwszéj i drugiéj malatury uderzają nieproporcyonalnością rysunku oraz dość słabą techniką malarską. Farby np. nakładane tu grubo a w ogóle brak im owéj lekkości i przejrzystości, jaka znamionuje miniaturowe malarstwo XVI stulecia. W twarzy Chrystusa nie widzimy wyrazu Bożego. Toż samo dałoby się powiedzieć o figurach, stojących pod krzyżem, niezbyt falisto a lekko udrapowanych. Widocznie artysta nie był głęboko religijnym malarzem swego czasu. Postanowił on sobie jedynie odtworzyć w miniaturach obraz warstatów ze wszystkiemi ich właściwościami charakterystycznemi, stąd téż sceny rzemieślniczego zajęcia z 1505 r. stanowią właściwą treść malowideł Bema. Zastanawiając się nad ich oddaniem, nad ugrupowaniem figur, powołaniem do życia w celu nadania tém większego znaczenia obrazowi, wszystkich sprzętów i narzędzi domu i warstatu, uznać w nim musimy mimo nawet niektórych usterek, niępospolitą zdolność malarską.

W szeregu owych miniatur przedstawieni są krakowscy kupcy, kramarze, futernicy, piekarze, krawcy, rzemieniarze czyli skórnicy, złotnicy, procarze, kapelusznicy, kołodzieje, malarze, garncarze, garbarze, dzwoniarze, kosztornicy, szewcy, grabarze, siodlarze, miecznicy, iglarze, łucznicy, kowale i konowały, mydlarze, rękawicznicy, bednarze i wreszcie chirurgi. Są tam nieocenione skarby dla badaczy historyi sztuki w Polsce, zwyczajów, historyi rzemiosł, do-

mowego pożycia, strojów i rozwoju ojczystéj cywilizacyi. A wierzyć można owym miniaturom, ponieważ malarz patrzał na przedmioty jakie w nich zamieszczał, nie tworzył ich w swojéj wyobraźni, gdyż tego zresztą dowodzi znajomość stosunków warsztatowego życia i obyczajów samém ich przedstawieniem. Wziąwszy choćby wnętrze pracowni krawieckiéj, niedość że spostrzegamy w niéj stoły zarzucone materyą i narzędziami, niedość że mamy wyobrażenie o sposobie urządzenia izby za czasów Aleksandra, ale widzimy krawców i czeladź przy zajęciu; samego zaś pana majstra w chwili, kiedy bierze miarę na suknią jakiejś młodéj, falisto i lekko udrapowanéj damie, występującéj tutaj z całą kokieteryą. Daléj, procarze, zduny, dzwoniarze i t. p. Wszystko to pała werwą życia i pewną swobodą osładzającą ich ciężką pracę, — a każda z tych figur przybrana całą siłą wzorzystéj materyi ze wszystkiemi własnościami wieku, wywołuje w nas uczucie bogactwa i spokoju, jakie panowało w kraju za naszych Jagiellonów. Zresztą gdybyśmy nawet nie wierzyli w zupełności Bemowi, pod względem przedstawienia życia, zajęć i sprzętów pierwszych lat XVI stulecia, to stwierdzają je zkądinąd znane nam współczesne źródła.

Porównywając miniatury naszego rękopisu z arabeskami i jego inicyałami na pierwszy rzut oka znajdujemy pomiędzy niemi wielką różnicę. Jeżeli bowiem pierwsze uderzają przejrzystością farb i lekkością linii, drugie uderzają ciężkością barw i mniejszą śmiałością w liniach. W samych nawet paru miniaturach spostrzegać się daje na pierwszy rzut oka podobna różnica; po bliższém dopiero wpatrzeniu się w szczegóły, dostrzedz można jednę i tęż samę rękę, co malowała wszystkie inicyały, arabeski i miniatury rękopisu. Pokazuje to najwyraźniéj pewien indywidualny *modus* w traktowaniu ozdób i linij, właściwy całéj księdze.

O ile znowu niektóre z miniatur mają wyrobienie artystyczne, pod względem techniki malarskiéj, wykończenie, o tyle niemal wszystkie ich figury odznaczają się proporcyonalnością rysunku i dobrém uchwyceniem charakterów twarzy. Każda postać mówi tu co innego, świadczy sama o sobie. Nie możemy tu również przemilczéć jeszcze jednéj a ważnéj zalety malarza: jest nią właśnie zręczne uchwycenie i oddanie perspektywicznych oddaleń wnętrza domów, posunięte niekiedy do takiéj doskonałości, że przez uchylone okno lub drzwi komnaty a raczéj pracowni, widzisz rysujący się na lazurowem tle nieba daleki i bogaty przyrodą krajobraz, albo téż poważną i pełną rozmaitości ulicę Krakowa, domy, przechodniów i naładowane ciężarem wozy ze wszystkiemi znamionami pierwszych lat XVI wieku.

Rękopism ten mający wybitny charakter swojego czasu, da się porównać z *pontyfikałem Erazma Ciołka*, pochodzącym z roku 1501 a poczęści nawet z antyfonałami i graduałami katedry oraz Bernardynów krakowskich. Ponieważ chodzi nam głównie o wydobycie na jaw nieznanych dotąd naukowemu światu pomników miniaturowego malarstwa, więc pontyfikałowi Ciołka, opisywanemu już niejednokrotnie (1), zaledwo kilka uwag poświęcamy. Jakoż szczególny nacisk kładziemy na jego część trzecią, która przedstawia kilka scen z naszego życia domowego i publicznego. Wzory sztuki średniowiecznéj podały parę z tych miniatur w chromolitografii Fajansa, że tu wymienimy takie jak: koronacya króla, król na majestacie, hołd oddany królowi, zakładanie kościoła, święcone, poświęcenie kaplicy, poświęcenie dzwonów i t. d. A o ile z nich sądzić możemy, musimy przyznać, że sposobem traktowania rzeczy są wielce zbliżone do miniatur Bema. Wprawdzie uderza w nich wielka liczba wprowadzonych osób do jednego obrazu. Wypada to przecież z saméj ich treści. Podobne bowiem sceny uroczyste jak koronacya króla, hołd składany królowi lub święcone albo poświęcenie kaplicy—niewątpliwie więcéj zgromadzały w sobie osób niż zajęcie Bemowskich procarzy, krawców lub wreszcie prostego zduna. Chociaż pomiędzy charakterem figur, proporcyonalnością ich rysunku, układem draperyj i ogólnym wyrazem miniatur pontyfikału Ciołka, a pomiędzy miniaturami kodeksu Bema zachodzi wielkie powinowactwo, rzeklibyśmy widnieje nawet jedna i taż sama ręka w obydwu rękopisach, nie możemy go przecież przyznać Bemowi. Są w nim bowiem pierwiastki, odkrywające się dopiero po bliższém wpatrzeniu w szczegóły, które stanowczo pokazują różnicę pomiędzy kodeksem Bema a pontyfikałem Ciołka.

Zupełnie inny rodzaj miniaturowego krakowskiego malarstwa z XVI wieku zawierają antyfonały kościelne. Gdy bowiem treścią w dwóch pierwszych rękopismach było przedstawienie scen domowego i publicznego życia Polski, to w tych występują rzeczy święte, nacechowane głębokiém, religijném namaszczeniem, a oddane z również znamienitym artystycznym wdziękiem. Sceny codziennéj pracy, chwile narodowéj chwały i majestatu — ustępują obrazom wy-

---

(1) O pontyfikale Erazma Ciołka pisali: ks. biskup Łętowski—Katalog biskupów. T. II, str. 140; Janicki—Specimen Codic. Mss. bibl. Zalusc. n. XXVI, str. 5—17; Edward Bar. Rastawiecki—Wzory sztuki średniowiecznéj. Ser. II; M. Sobieszczański—Wiadomości o sztukach pięknych w dawnéj Polsce. T. II. Do wskazanych przeto dzieł odsyłamy czytelnika, ciekawego bliższych szczegółów o tym ze wszech miar cennym rękopiśmie.

sokiego ascetyzmu i nadziemskim niekiedy fantastycznym postaciom. Pierwsze też miniatury, gdyby nam wolno było, nazwalibyśmy realistycznemi, odpowiadającemi pojęciom naszego wieku; drugim zaś przyznalibyśmy pewien majestatyczny Dawidowski urok, choćby nawet z tytułu, że treść ich po największéj części Psalmy Dawida i pieśni kościelne stanowią.

Z wartości artystycznéj przedmiotów stawiamy najpierwéj rękopisy kościelne Bernardynów, zaczynające się w pierwszych latach XVI stulecia, do których należą antyfonały miniaturowe przez *brata Józefa cum ceteris*, jak to sam w jednéj księdze naznacza. Rękopisy owe w liczbie pięciu, pergaminowe, szerokie od 18—20, a długie od 27—29 cali wiedeńskich, zawierające od 150—200 kart stanowią pewien rodzaj szkoły w miniaturowém malarstwie Polski, a raczéj Krakowa. Cechę zaś ową wybitną nadaje technika ich malarska, zestawienie kolorów, układ winet, arabeskowych marginesów i grupowanie figur w miniaturach. Są to cechy odrębne, właściwe tylko Józefowym rękopismom; to też gdy nam się przyjdzie spotkać z podobnego rodzaju utworami tegoż klasztoru z końca XVI wieku, będą one tylko słabym odblaskiem powyższych, powstałych pomiędzy 1520 a 1528 rokiem. Wszędzie to jasno widnieje, bo czy to weźmiemy utwory malarzy Bernardynów, zapisanych w klasztornéj „księdze umarłych“ pod nazwiskiem: *Laurencius de Paczanów praedicator et scriptor eximius* lub *Teofilus scriptor egregius et cantor fundamentalis* czy którykolwiek z innych utworów naszego konwiktu z końca XVI lub pierwszéj połowy XVII wieku, zawsze uderzy nas niemal niewolnicze naśladownictwo mistrza Józefa, czasów *cinque cento.* Że on malował owe pięć, o których niżéj pomówimy, rękopismów, nie ulega żadnéj kwestyi, ponieważ sam nawet podpisał na antyfonale z r. 1526 jako *frater Joseph cum ceteris* (1).

---

(1) Żałować tylko nam przychodzi, że nie wiemy właściwego jego nazwiska Wprawdzie miejscowa „księga umarłych“ w drugiéj połowie XVI stulecia podaje nam kilku Józefów jak np. *Josephus Tarnoviensis clericus* († 1572), *Josephus de Kościesze patientissimus senex* († 1547), *Josephus de poniec custos* († 1557), jednakże stanowczo nie możemy przyznać któremu z nich epitetu tego artysty, chociaż musiał się między niemi znajdować. Jeżeliby też któremu wypadło przypisywać artyzm, to może temu co ozdabia jego imię *patientissimus senex,* choćby i z tego względu, że miniaturowe malarstwo rzeczywiście wymaga nadzwyczajnéj cierpliwości i że rok 1547 jako rok śmierci może przypadać na artystę Józefa. Ale jakich malarzy zawiera owe *cum ceteris* tego trudno odgadnąć, bo zaledwie jednego zakonnika malarza w tym czasie podaje „liber mortuorum“ Bernardynów krakowskich w osobie *Wawrzyńca de Paczanów* z epitetem: *praedicator et scriptor eximiu* szmarłego w roku 1565 w tymże konwikcie. Być tedy może, że to on pracował razem z bratem Józefem nad antyfonałami i graduałami zakonu; bądź-

Prace Józefa dadzą się podzielić na dwie części t. j. rękopismy strojne tylko winetami i rękopismy ozdobne miniaturami i winetami. Pierwszéj części trzy antyfonały wzbogaca dziewięćdziesiąt dwie winet do dwudziestu czterech cali obszernych, wyobrażających zwykle jaką inicyałową literę, przybraną nader wzorzysto a lekko. Tło zaś każdéj z nich jest bogate, urozmaicone gęsto rzucanemi lekkiemi arabeskami, wijącemi się w przeróżnych splotach a kierunkach w duchu ostrołukowéj fantazyi. To téż gdy ci przyjdzie spojrzeć na całość któréj z winet, zdaje się, że widzisz przed sobą przecudnie dzierganą arabeskową koronkę, że całe bogactwo natury wschodniéj złożyło się na przybranie owéj litery, zaczynającéj tekst modlitwy lub dawidowego uroczystego psalmu. Każdy szczegół winety uderzy cię harmonią rysunku i barw, świetnością kolorów, lekkością linij, wysoką artystyczną techniką malarską, słowem owiewa cię wysoki nastrój estetyczny dzieła, noszący na sobie właściwości sztuki średnich stuleci. Same kolory są tu przejrzyste a tak lekkie mimo ich siły, że jeno im wzlecić z owych zatęchłych foliałów pergaminowych na łono matki natury. Ale téż nie gorsze są od nich bogate arabeski, co się szeroko rozwielmożniły po marginesach kartek antyfonału, zaglądające niekiedy falisto a ciekawie pomiędzy wiersze a znaki toniczne księgi. A jeżeli w winetach dominowały lekkie sploty i kombinacye drobnych listków, a nawpół rozchylonych pączków tutaj za to owe liście nabierają formy naturalnéj wielkości, a małe pączki nierozwinięte, oddychają już całą piersią, całem życiem w pełnym rozwoju kwiecia. Doszły one widocznie całego blasku młodzieńczego wdzięku. Nie koniec jednak na tém: mistrz Józef wywołuje z zaciszów ogrodowych nasze ubarwione lub szare ptaki i każe im osiadać na świeżych splotach arabeskowych marginesów. I tu nie możemy się wstrzymać od pochwały artysty; ptaki bowiem owe, oprócz doskonałéj techniki malarskiéj odznaczają się znajomością, proporcyonalnością w rysunku i wiernem uchwyceniem ich natury; rzec téż można, że dzisiejsi artyści nie powstydziliby się ich wcale.

Zastanawiając się zaś nad każdą po szczególe winetą, dostrzegamy w nich dwie pracujące ręce; kiedy jedne bowiem celują więcéj misterném techniczném wykończeniem, w drugich, których zaledwie jest kilka, niedopatrzéć owego przymiotu; mimo to, wszystkie są jednego rysunku i jednych pod względem artystycznym

---

co-bądź imię to jest ważném dla nas, gdyż się nadaje do rękopismów tego klasztoru, pochodzących z drugiéj połowy XVI wieku. Tacy tedy zakonnicy tworzą odrębną szkołę w rękopismach miniaturowanych krakowskich klasztorów.

przymiotów. Pokazuje to właśnie, że wszystkie winety i arabeski rysował brat *Józef*, polecając niektórych tylko wykończenie owym *ceteris*.

W drugim znowu rodzaju prac Józefa są dwa antyfonały strojne tylko kilku miniaturami i kilkudziesięciu o wzorach bogatych również marginesami. Jeżelibyśmy nazwali malowania pierwszych trzech rękopismów sielankowemi, te musimy nazwać dramatycznemi, a więc o wiele stojącemi wyżéj od poprzednich; kiedy bowiem tam występuje w całéj pełni życia przyroda, tutaj ową przyrodę wzbogacają różne postacie często dość zręcznie ugrupowane. Przejrzyjmy tedy same rękopismy, a rozpatrzenie się w nich naznaczy im skalę w malarstwie i rękopiśmiennictwie miniaturowém krakowskiém XVI wieku.

Mamy więc przed sobą *graduał* szeroki 20 a długi 28 cali wiedeńskich, o 191 pergaminowych kartach, liniowany dość grubo czerwonemi i zielonemi farbami, z pismem gotyckiem, skracaném nader starannie, barwioném czarno i czerwono, z podobnego koloru i wykończenia tonicznemi kwadratowemi znakami. Z toku rzeczy nadmienić tu musimy, że każdą stronnicę graduału zdobi od 5—7 inicyałów kolorowanych, dosyć wdzięcznych, choć skromnego rysunku i gotyckiego zakroju. Najważniejszemi jednak rzeczami owego rękopismu są cztery zdobiące go miniatury. Pierwsza z nich, na karcie pierwszéj, szeroka 6½ a wysoka 6 cali wiedeńskich, przedstawia świętego Bernarda, upadającego pod krzyżem, o dużych bocznych ramionach, na którym wiszą znaki męki Chrystusa Pana, przed świętym zaś owym leży na ziemi rozwarta księga a daléj nieco roztacza się piękny majowy krajobraz w części zamknięty szczytami wyniosłych gór po nad któremi roztacza się uroczo, niby włoskie lazurowe sklepienie nieba. Cała ta miniatura odznacza się poprawnym rysunkiem i harmonijnie dobranemi kolory: jedynie tylko nogi mnicha udrapowanego suto a falisto grzeszą nieproporcyonalnością względem całości postaci, zresztą z ogółu odnosi się miłe wrażenie. Za to nieco wyżéj pod względem rysunku, choć równa poprzedniéj techniką malarską, stoi miniatura 22-éj karty tego graduału, wyobrażająca kilku mnichów, stojących przed rozłożoną na pulpicie księgą, śpiewających ku chwale Pana Wszechświata. Rysunek tych postaci wykonany z całą znajomością proporcyi a perspektywiczne oddalenia chóru nader zręcznie uchwycone.

Innego całkiem rodzaju jest miniatura karty 72: szeroka 11-cie a wysoka 12 cali wiedeńskich. — Jest-to *wniebowstąpienie Pańskie*. Cała ta scena pełna akcyi i zręcznego ugrupowania figur wyobraża apostołów i uczniów Chrystusa w strojach polskich XVI wieku z twa-

rzami znamionującemi głęboki żal za wstępującym w niebo mistrzem. Wogóle zaś w twarzach postaci naszéj miniatury przebija charakter rzeźb Wita Stwosza, a to tak dalece, że niektóre możnaby śmiało wziąć za doskonałe kopie z arcydzieła Maryackiego kościoła w Krakowie. Lecz to bynajmniéj nie uwłacza malarzowi; owszem tém więcéj jeszcze rozjaśnia nam wysokie jego i artystyczne poczucie piękna, kiedy się mógł tak blisko spokrewnić duchem z autorem grobowca Kazimierza Jagiellończyka. Byli to niezawodnie jedyni dwaj mistrze krakowscy, każdy w swoim rodzaju, co doprowadzają u nas do szczytu przeradzający się już w renesans ostrołuk, a może pierwsi zżymali się na kwiecistość a bogactwo wtedy wzrastającéj Zygmuntów kaplicy. To téż i nasz mnich zdawał się manifestować w swoich miniaturach, świetnością i przejrzystością barw, harmonią linii wobec pełnych łuków stylu odrodzenia.

Jedna tylko okoliczność sprawia dysonans w harmonii całéj miniatury; jest-to Chrystus, co osłaniając się silnemi falami obłoków ukrył się w nich, a tylko część nóg jego udrapowana bogato zawisła nad głowami apostołów i uczni. Sprawia to nader niesmaczne wrażenie, któregoby łatwo artysta mógł uniknąć, przedstawiając Chrystusa wśród fal obłoków w całéj jego postaci. Jednakże wynagradza on nam ten błąd nową kompozycyą na karcie 88. Scena *zesłania Ducha* Św. na Apostołów, pod każdym względem na wysokie zasługuje uznanie, życie bowiem i akcya o wiele więcéj w niéj spotęgowane, draperye więcéj faliste choć miękie a lekkie, układ figur, ich rysunek jak i sam koloryt nic nie przedstawiają do życzenia. Typy osób szczere, szlachetne, nacechowane głęboką powagą biblijną a strojne w szaty polskie bogato. Miniatura wreszcie karty 99-téj nieco nawet większa od poprzednich, przedstawia nam na mensie gotyckiego ołtarza, pomiędzy dwoma lichtarzami o woskowych płonących świecach monstrancyą ostrołukowego zarysu, któréj podstawa i szerokość za wielkie, stosunkowo do rozmiarów całości, sprawiają na widzu niesmaczne wrażenie, budzą pojęcie ciężkości tak dalekie sztuce XV i początku XVI stulecia. Wogóle w całéj monstrancyi brak proporcyi. Reszta za to miniatury a zwłaszcza jéj arabeskowe ozdoby nie ustępująw niczém poprzednim tego rodzaju utworom.

Porównywając arabeski marginesowe poprzednich rękopismów z takiemiż utworami niniejszego, spostrzegamy pomiędzy niemi wielką pod względem rysunku różnicę. Nie chcemy tu mówić żeby jedne lub drugie wartością artystyczną rysunku stały niżéj, owszem jak jedne tak i drugie mają wysokie znaczenie; różnica jaka zaś jest pomiędzy niemi leży tylko w zasadzie. Kiedy bowiem

pierwsze wykonane zostały wedle zasad arabesków ostrołukowych; drugie utworzono w duchu renesansu. Owe bogactwo i strzępiasta, że się tak wyrazimy, miękkość liści i kwiatów w formach wdzięcznych a pełnych, dominuje tu w całéj okazałości. To téż patrząc na nie okiem znawcy, zdaje się że widzisz przed sobą bogate rafaelowskie z sykstyńskiéj kaplicy freski, lub uroczysto strojne pilastry Zygmuntowskiéj kaplicy. Widocznie artysta nie mógł się dłużéj oprzéć duchowi czasu, odwróciwszy się więc na chwilkę od przezrocza gotyckich linij tonie duchem w kwiatowéj kaskadzie renesansu.— Wdzięcznie téż wygląda ów prawie mimowolny a krótki zwrot jego ku zasadom sztuki odrodzenia, zdaje się że chciał tu pokazać, że i w nowym kierunku myśli cywilizowanego świata jest również mistrzem. Nazwalibyśmy zwrot ten krótkim, chwilowym, i tak jest w istocie jak to zaraz spostrzeżemy w *graduale* ze 190 kart złożonym, a pod względem pisma, tonów, linij i inicyałów podobnym zupełnie do poprzedzającego.

Wineta duża uderzająca siłą kolorów a ich umiejętném dobraniem, strojna szerokiemi liściastemi arabeskami, co splatając się w przeróżne kombinacye, tu i owdzie ukazując ze swego łona na wpół rozwity pączek lub wdzięczny całą piersią oddychający kwiatek, zdobi pierwszą stronnicę naszego graduału. Przyznając zaś owéj winecie pod każdym względem znakomite wykończenie, powiedzieć musimy, że ona stanowi coś pośredniego pomiędzy gotykiem a renesansem, coś, co nam powiada, iż artysta rehabilituje się z chwilowego renesansu a wchodzi w pierwsze swoje zasady ostrołukowego stylu; to téż nie wahalibyśmy się wcale pociągnąć jéj pod znamiona *cinque cento.* Inne zato arabeski owéj księgi są już czysto gotyckie.

Graduał niniejszy najmniéj posiada miniatur pomiędzy pracami Józefa, bo dwie zaledwie, a pomiędzy niemi pierwsza na karcie 137 wyobraża Michała Archanioła, co grając na trąbie osłonił się bogatym żupanem polskim, kroju XV stulecia, któremu z ramion wystrzelające złociste skrzydła dodają boskiego uroku. A jakkolwiek sama figura nie odznacza się lekkością, owszem grzeszy pewną ciężkością przecież tło miniatury a jéj ramy bogato strojne w przeróżne wzory, ogólne zresztą jéj wykończenie aż do najdrobniejszych szczegółów wykonane z całą elegancyą i sumiennością, właściwą naszemu artyście, łagodzą ową dysharmonią wywołaną przez postać Archanioła.

Jeszcze jedna miniatura naszego artysty zasługuje na uwagę. Jest-to narodzenie Jezusa złożonego na sianie, nad którém klęcząca Matka, obok św. Józef staruszek, z siwą jak gołąbek długą brodą,

para aniołków, klęczące woły, a w oddali śpieszący z darami dla dzieciątka, pasterz, stanowią figury téj sceny. Dodać tu jeszcze musimy, że cała rzecz dzieje się pod malowniczą polską szopą, okoloną lasami i wiośnianém umajeniem przyrody. Układ zaś owéj sceny, rysunek figur i wogóle cała kompozycya przypomina nam wielce jedną z płaskorzeźb Wita Stwosza, ujętych w boczne skrzydła Maryackiego ołtarza. A jakkolwiek postaci świętych i pasterzy uderzają poprawnością rysunku, falistością i lekkością draperyi, rysunek i wykonanie zwierząt pozostawiają wiele do życzenia. Wogóle noszą one na sobie wady właściwe tego rodzaju rzeźbom naszym XV wieku, zasadzające się na nieznajomości anatomicznych względów zwierzęcych. Są to postacie sztywne i bez życia, niby manekiny postawione przed sztalugami rzeźbiarza. Jeżeli zaś weźmiemy ogólny charakter obrazu, nie uwzględniając zwierząt, spostrzegamy, że wszystko co tu żyje, bo nawet cała natura zajęły się jedną wybitną myślą t. j. narodzeniem Pańskiém. W tym téż względzie artysta stoi wysoko. Oderwana bowiem którakolwiek z postaci, mimo że artystycznie może być piękną, straci wiele na życiu. Nawet poczciwi nasi górale, co śpieszą do stajenki, niosąc barany na swoich barkach, wzięci osobno nie obudziliby tego co obecnie zajęcia. Co się zaś tyczy akcesoryów obrazu, te noszą na sobie całą znajomość sztuki; wszystko to lekkie, śmiejące a żywe, wykończone z misternością gotyku a barwy co się mocno rozlały po obrazie, przejrzyste, tchnące prawdziwą świeżością.

Na tém kończymy rzecz naszą o pracach brata Józefa; przejść nam wypada teraz do innych. Dwa graduały, o których zamierzamy mówić, nieco mniejsze od poprzednich rozmiarami, bogate nader ilością marginesowych arabesek, pisane na dosyć ładnym pergaminie, należą już do drugiéj połowy XVI wieku, a wyszły niezawodnie z pod ręki *Laurencyusza de Paczanów* zmarłego 1565 r. jako to w księgach zmarłych miejscowych zapisano. Wziąwszy pod rozwagę rysunek ich arabesków i winet, oraz ornamentykę wzorzystych liter bądź winetowych, bądź miniaturowych, spostrzegamy w nich tenże sam charakter, może tylko mniéj lekki i pewny w liniach co i u Józefa; wykończeniem zaś technicznem i harmonią barw stoją o wiele niżéj od nich. Nie spostrzedz tu owéj misterności i śmiałości, połączonéj z elegancyą, co tak uderzająco a wdzięcznie przemawiają z prac artysty z lat od 1520 do 1528 r. Przeciwnie, też same wzory, napiętnowane chropowatością, manierowanie w cieniach i kolorach, sprawiają na widzu nader niemiłe uczucie niewolniczego naśladownictwa. Zresztą naśladownictwo to, niedołężniejąc stopniowo, widnieje w rękopismach Bernardyńskich, aż po schyłek XVII stulecia,

do czasu, kiedy perganinowe rękopiśmiennictwo zupełnie zostaje wyparte drukowanemi księgami nawet i po zaciszach klasztornych. Razi przytém w owych foliantach dysharmonia kolorów, któréj nie spotkać w poprzednich utworach. A co się tyczy miniatur, to i one grzesząc wadami wyżéj wytkniętemi chromieją bardzo rysunkiem.

Ociężałość, brak proporcyi w figurach, niezręczny ich układ jak i otoczenie — oto onych znamiona. Taka np. miniatura, jak Dawid grający na arfie lub grający na szeregu dzwonków, zawieszonych sznurem nad jego głową albo wreszcie tenże sam psalmista wyobrażony w chwili, kiedy się ma spotykać z Goliatem, nie przemawiają do nas ujmująco, raczéj rażą pewném niedołęztwem i brakiem życia przy miernéj technice malarskiéj. Jedynie może szaty owych postaci zwrócą na siebie uwagę znawcy i to przecież niezręcznym artystycznym układem, ale polskością. Postać samego Dawida, przed uderzeniem na Goliata, przybrana w suknie i śpiczaste buty, podobne do tych, jakie widzimy na grobowych rzeźbach Kazimierza Wielkiego na Wawelu. Jeden tylko z owych rękopismów z r. 1579, sprowadzony może do biblioteki Bernardynów krakowskich z innego żeńskiego klasztoru, zasługuje na uwagę napisem polskim, położonym na jednéj z kartek, tłómaczącym nam środki, za pomocą których powstawały podobnego rodzaju rękopismy. Nie zatrzymujemy się tutaj jednak nad nim, ponieważ to już uczyniliśmy wyżéj przy ogólnéj charakterystyce średniowiecznych kościelnych perganinowych foliantów; tam więc odsyłamy czytelnika.

Na ostatek mamy przed sobą niewielki antyfonał, który również należy do końca XVI stulecia. Pisany on jest starranniéj od innych tego czasu, tak że z samego pisma moglibyśmy go śmiało odnieść do wieku XV; miniatury tylko, winety i arabeski jego nie pozwalają nam na to. Są one tak samo jak i poprzednie kopijami utworów Józefa, ale kopijami o wiele niższemi od poprzednich; ozdoby bowiem marginesów a winet tutaj sztywnieją, draperye figur łamią się ostro, niby papierowe, a z ogółu owych prac wieje chłód i brak poczucia piękna u artysty.

Oto i przegląd miniaturowego malarstwa Bernardynów krakowskich XVI stulecia, obecnie rzucimy okiem na trzy graduały z archiwum kapituły krakowskiéj, pochodzące z 1501 roku. Nie będziemy się tu wdawać w szczegóły ksiąg owych, gdyżby nas to zadaleko zaprowadziło względnie do założenia niniejszego szkicu.

Charakter ich zresztą, pod wielu względami podobny do rękopismów bernardyńskich a nawet w części do miniatur z pontyfikału Erazma Ciołka, wreszcie słowa ks. Łętowskiego, jakie z okazyi tych

foliantów zapisał w swojém szacowném dziele „Katedra na Wawelu,“ dokąd odsyłamy czytelnika, usprawiedliwią poczęści krótkość słów naszych. Folianty owe obszerne *Stanislaus scripsit notavitque*, a Thomas, który w inném miejscu nazwał się „Tomkiem Polakiem,“ *complevit*. Zdobi je oprócz mnóstwa arabesek, inicyałów i kilku winet, 39 miniatur, przedstawiających sceny a postacie z Pisma św. i Psalmów, pomieszczone zwykle pomiędzy wielką jedną literą miniatury, zaczynającą tekst kościelnéj modlitwy lub śpiewu. Nierzadko nawet przyjdzie napotkać dwie sceny lub odrębne postacie, ujęte w ramy jednéj miniaturowanéj litery. Pomiędzy figurami miniatur naszych wiele odznacza się dobrym gustem i lekkością chociaż nie trudno dojrzéć w nich postacie niezbyt rozwinięte, uczucie artystyczne malarza, grzeszące pewnego rodzaju ociężałością. Może to ztąd pochodzi, że często przedstawia artysta tylko popiersie osób, bądź-co-bądź zawsze mogłyby one być lżejszemi. Nie wszędzie przecież tylko ta wada uderza oko widza, są i inne, co leżą w miniaturach, do których wprowadził artysta po kilkanaście figur na jednę scenę. W miniaturach tego rodzaju często panuje pewien zamęt i ciasnota w ustawieniu i grupowaniu figur, często owe figury okazują się zbyt drobnemi wobec całości obrazu. Na szczęście jednak nie wiele mamy takich miniatur.

Biorąc zaś ogół tych malowideł w stosunku do prac Józefa lub Bema, niepoślednio i one przy nich wyglądają; jest pomiędzy niemi pewien duchowy czynnik, co je łączy z sobą, a widnieje on jasno z charakteru ozdób i tła obrazów, w cieniowaniu, liniach i kolorycie, wreszcie w jednym tu i tam ostrolukowym duchu. Nie zgodzilibyśmy się zaś na twierdzenie Łętowskiego, jakoby miniatury owych rękopismów niemal przewyższały miniatury Bema. Że duch artystyczny i zewnętrzne szaty ich są zbliżone do rękopismów Bema i Józefa, o tém nie wątpimy, ale pomiędzy oddaniem szczegółów w rysunku stoi znaczny przedział na niekorzyść *Tomasza* i *Stanisława*. Prędzéj możemy się zgodzić na to, że nasi malarze malowali i rękopism Ciołka, powstający również za czasów Aleksandra, na co nas naprowadzają wady i przymioty obydwom rękopismom wspólne. O żywości zaś barw panujących w naszych foliantach, zdaje się że nie mamy potrzeby nawet wspominać, są one właściwością szczególnie malarstwa wieków średnich.

Malarze miniaturzyści klasztoru Dominikanów krakowskich ze znaczną liczbą graduałów i antyfonałów, zaczną być przedmiotem dalszego ciągu naszéj rzeczy, a nad każdym z nich będziemy robili uwagi. wysnute z całości ich pracy, przez co nie przedłużając zbytnio roboty, możemy postawić owe prace w tém jaśniejszym

świetle. Zacznijmy tedy od najmniejszych trzech foliantów, bo nie przewyższających rozmiarami 18 długości a 14 szerokości cali wiedeńskich a pochodzących z 1508 i 1509 roku, jak to stwierdzają napisy, na nich znajdujące się. Noszą one na sobie inny zupełnie charakter zewnętrzny niż księgi Bernardynów albo nawet reszta ksiąg Dominikańskich. Pisane bowiem drobno i nader starannie na cienkim i delikatnym pergaminie, barwami czarnemi i czerwonemi, są przybrane nadzwyczaj licznemi inicyałami, dochodzącemi w liczbie na jednéj stronicy od 2 do 15. Inicyały zaś owe bywają przepysznie splatane z lekkich a śmiałych linij czerwonego i niebieskiego ubarwienia a nierzadko spotkać między niemi i takie co swoje fantastyczne i harmonijne linie rzuciły po większéj połowie stronicy, dodając jéj tym sposobem wiele malowniczego charakteru. Linie zaś owe i te co snują samę literę, cienkie i lekkie nader śmiało i zręcznie są prowadzone; malarz doszedł w nich do wysokiéj artystycznéj i technicznéj doskonałości. To téż gdy spojrzysz na taką kartę zdaje ci się, że widzisz przed sobą przecudną mozajkę, osłonioną prześlicznemi i harmonijnemi węzłami a rzutami linii, i prędzéj byś nawet przypuścił, że one pochodzą z misternie wykonanych inicyałów XIV lub XV stulecia; artysta więc śmiało może stanąć ze swojemi utworami obok najpiękniejszych tego rodzaju dzieł włoskich i nadreńskich. W Krakowie zaś tylko u Karmelitów widzieliśmy podobne inicyały, pochodzące z drugiéj połowy XIV w.

Ale nie samemi inicyałami odznaczył się nasz Dominikan; zasłynął on również w swoim konwikcie 58 winetami, co je bogato rozrzucił wśród graduałów. Są to niewielkie pod względem rozmiarów winety, wartością jednak artystyczną przewyższają wszystkie inne naszego klasztoru. Oprócz bowiem nadzwyczaj pięknego i harmonijnego rysunku ich wzorów, prawdziwie artystycznych linij uderza w nich lekkość cieniów i nader łatwe przechodzenie z jednéj w drugą barwę. Owo też spływanie kolorów przy mistrzowskim rysunku stanowi największą naszych winet zaletę. Wzory zaś same, co się bogato po nich rozlały, pomimo że są dosyć drobne, przecież wyraziste a pod względem wykończenia i ogólnéj artystycznéj wartości mają bardzo wiele podobieństwa do najpiękniejszych tego rodzaju malowań flamanckich lub francuskich. Jedynie może w nich razić tło winetowych liter zazwyczaj złocone; lecz to już właściwość sztuki XV stulecia, co świetnością barw i złota potęgowała swoje arcydzieła.

Musimy tu jeszcze nadmienić o jednéj miniaturze zdobiącéj całą stronnicę graduału z r. 1509, otoczonéj naokół bogatemi arabeskami, a wyobrażającéj Chrystusa Pana na krzyżu, pod którym

stoją płaczące Najświętsza Panna i święta Magdalena. Trzeba przyznać, że Chrystus owéj miniatury i dwie płaczące nad nim postacie są wykonane z całą znajomością sztuki i uczuciem, stanowiącem treść obrazu; twarz bowiem Zbawcy, mimo boleści pełna niebiańskiéj słodyczy, a smutek płaczących niewiast, udrapowanych lekko, głęboki. Same wreszcie wzory opinające miniaturę i znak św. Jacka, imponują bogactwem kształtów i linij, o artystycznem i techniczném znamienitem wykończeniu, więcéj noszą na sobie cechę renesansu niż zasad ostrołukowego stylu.

Szkoda tylko że nie wiemy imienia i nazwiska artysty, wprawdzie zaznaczając na jednym graduale rok 1509, położył obok niego litery *F. J. H.*, zawsze to przecież dla nas nie wystarcza, a to tém więcéj, że ani w martyrologii dominikańskiéj ani na żadnéj księdze nie mogliśmy się dopatrzéć imion coby odpowiadać mogły owemu monogramowi. Inni malarze naszego klasztoru nie byli tyle skromnymi, zaznaczając imiona na swoich utworach, mamy tu na myśli antyfonał z malowaniami *Mathei Borovicii z r. 1522*, restaurowanym *per Blasium Derey Sacerdotem S. Ordinis Praedic. Die 12 Apr. anno salutis 1665*, który, mówiąc nawiasem, nietylko że poprawił a raczéj psuł Mateusza i inne miniaturowe dominikańskie księgi XVI stulecia, ale i sam ozdobił i napisał dwa graduały o mniéj niż miernéj artystycznéj wartości, wykonywując jeden z nich na grubym szarym papierze. Antyfonał Mateusza, to duża księga, złożona z 257 grubych pergaminowych kart, pisana dosyć nawet starannie, jednak bez estetycznego wdzięku, z inicyałami kolorowanemi, o niewielkiéj technicznéj doskonałości. Całą jéj ozdobą jest pięć dużych winet i kilka arabeskowych marginesów. Jeżeli ostatnie noszą na sobie znamiona dobrego rysunku i wykończenia, pierwsze za to szczycąc się rysunkiem grzeszą i słabem wykonaniem i nadzwyczaj niezręczném zestawieniem kolorów. Tak np. barwa blado-żółta stoi tu razem z niebieską; gdyby jeszcze wpływ owych barw był łagodny, dobrze i delikatnie odcieniowany, wineta nie raziłaby tyle, ale na nieszczęście tego tutaj nie znaleść. Farby grubo nakładane, nieprzejrzyste, chropowate, jeszcze więcéj psują ogólne wrażenie malowideł. Jak powiedzieliśmy wyżéj, tylko wzorzyste marginesy odznaczają się doskonałą techniką malarską.

Znacznie zato lepiéj od Mateuszowych prezentuje nam się pięć graduałów, malowanych przez Dominikana co się na jednym z foliantów podpisał *Victorinus Gac* 1536 roku. Podobnie jak i inni miniaturzyści zdobi on swoje księgi wzorzystemi marginesami, szesnastu winetami, pomiędzy które rzucił siedmnaście dosyć obszernych miniatur, przedstawiających sceny z Pisma św., że tu wymienimy

takie jak: Chrystus Pan nauczający w kościele Jerozolimskim, święty Andrzéj, ofiara N. M. Panny, Zwiastowanie N. M. Panny, Odwiedziny św. Anny u N. M. Panny, Scena z dziecięctwa Chrystusa, Bóg Ojciec, św. Michał w stroju rycerskim XVI wieku. Gdyby nam przyszło naznaczyć skalę a raczéj artystyczny stosunek owych miniatur do miniatur i arabesków wyżéj opisanych, bez wahania postawilibyśmy je obok utworów Stanisława i Tomasza, co malowali kapitulne pergaminy. Porównywając bowiem je z sobą, spostrzegamy w nich wiele jednakich wad i przymiotów. Jeżeli np. ostatnie często grzeszą rysunkiem lub złym układem figur, to i niniejsze graduały nie są wolnemi od podobnego zarzutu. Przeglądając choćby postacie Boga Ojca i św. Andrzeja, pomimo że w twarzach ich jaśnieje wiele bozkości, przecież w rysunku całych figur razi pewna ociężałość, właściwa tylko XVII stuleciu.

Nie wszystkie jednak obrazy naszych ksiąg chromieją na względy artystyczne. Miniatura np. przedstawiająca nauczającego Chrystusa Pana w kościele Jerozolimskim, pod każdym względem może się nazwać piękną. Sam bowiem nauczyciel i postacie słuchających go oprócz znakomitego rysunku odznaczają się lekkością i charakterystycznemi nader, względnie do sceny, twarzami, a w całéj rzeczy widnieje ogólne zajęcie się nauką, zręczne ugrupowanie figur przy żywych i harmonijnych kolorach przejrzystych, o doskonałém wykończeniu techniczném. Zresztą do wielkich zalet owéj miniatury należy umiejętne a zręczne uchwycenie perspektywicznych oddaleń świątyni. Téj że saméj co i poprzednie wartości artystycznéj jest miniatura, przedstawiająca dzieciątko Jezus siedzące na stole, obok którego w różnych grupach i pozycyach znajduje się kilka postaci, rzecz zaś cała dzieje się w lekkiéj a poważnéj gotyckiéj świątyni XV wieku. Jedna tylko okoliczność psuje całość obrazu; jest to ów stół na którym siedzi przyszły Zbawca ludzkości, z ciężkiemi kręconemi nogami, mającemi więcéj podobieństwa do niesmacznych kolumn rokokko, niż do zwyczajnych podstaw stołu. Ale to mniejsza; artysta każe zapominać o tych wadach, przedstawiając nam pod każdym względem dobrego rysunku winety a wzory, które żeby nie grzeszyły dosyć nizką techniką malarską, mogłyby śmiało iść o lepsze z tego rodzaju pracami Bernardyna Józefa. Technika téż owa nietylko że im ujmuje artystycznéj wartości ale całe ozdoby, linie i cienie, robi ciężkiemi, jakby je niewprawna ręka niewolniczego naśladowcy prowadziła. Naśladownictwa przecież naszemu mistrzowi zarzucić nie możemy jest on zawsze samodzielnym, a jeżeli nie dorównywa Bemowi lub Józefowi,

zawsze stoi na równi z Tomaszem i Stanisławem, a tém samém i z pontyfikałem Ciołka.

Na równi z poprzedniemi malowaniami uważamy cztery antyfonały tegoż klasztoru, co powstając około 1515 przystroiły się 29 winetami i trzema miniaturami, nie licząc już mnóstwa arabesków bogato opinających starannie pisane stronice niniejszych foliantów. Malował je zaś *Abraam scriptor, anno dom. 1515 Pro Dom. Cracov.* Sądząc z inicyałów bogato nader zdobiących nasze księgi, ogólne wrażenie sprawiają na nas bardzo miłe owe antyfonały. Każdą niemal bowiem stronicę zdobi kilka dużych, szerokich a wzorzystych liter, które osiadłszy pomiędzy czarnym i czerwonym charakterem gotyckiego pisma wyglądają niby jaskrawe wschodnie kwiaty o fantastycznych, falisto i lekko rozrzuconych kształtach. Fantazya artysty niesforna, mimo to przyciągająca miękkością i harmonią kształtów, a gdyby jeszcze owe utwory były wykończone odpowiednio, gdyby nie grzeszyły ubogą malarską techniką, pewną niemiłą chropowatością farb, niezręcznem niekiedy zestawieniem kolorów—inicyały nasze stanowiłyby pewien gatunek, w tym rodzaju, arcydzieł. Bądź co bądź, są one zawsze charakterystycznemi ze względu oryginalnych kształtów swoich; a podobnych im rysunkiem w całém miniaturowém malarstwie krakowskiém nie spotkać.

Za to artysta wcale się nie różni w miniaturach, winetach i arabeskach, przynajmniéj co do charakteru rysunków, od innych prac tego rodzaju, innych krakowskich klasztorów. Rysunki ozdób winetowych liter, tła samych winet i ozdoby ich, tego kroju co u *Victorina* zbliżające się nieco do kształtów pięknych w pracach Józefa, niżéj jednakże o wiele stoją wykonaniem. Nie ujrzysz tu owego lekkiego przelewania się jednéj barwy w drugą, ani téj śmiałości w cieniach i lekkości w liniach, tak uderzających z prac mnicha bernardyńskiego konwiktu. Wprawdzie jest i tu lekkość cieniów i linij, harmonia rysunku, lecz te, w stosunku do powyższych są jeszcze na stopniu niezupełnego wykończenia i śmiałości. Malarz uganiając się za efektem osłabiał ducha prac swoich, a walcząc z malarską techniką wyciskał na nich niewykończenia piętno. Te same również wady i przymioty posiadają jego trzy miniatury wyobrażające Zwiastowanie N. M. Panny, św. Andrzeja; trzy Marye, przybyłe z wonnemi maściami do grobu Chrystusa.

Stajemy tedy u końca przeglądu antyfonałów i graduałów dominikańskich z XVI stulecia a tém samém u końca prawie naszéj pracy. Mówimy prawie albowiem pozostaje nam jeszcze uczynić wzmiankę o sześciu antyfonałach konwentu kanoników regularnych Krakowa, powstałych w końcu XVI wieku, około r. 1572. Z pozoru

zdawaćby się mogło, że sześć foliantów kościelnych z tak odległego czasu dostarczy nam wiele i to bogatego materyału do niniejszéj pracy; témczasem rzecz się ma zupełnie inaczéj. Księgi bowiem owe, jakkolwiek pisane starannie i czysto, przecież pod względem miniaturowego malarstwa stoją najniżéj, wśród znacznéj liczby tego rodzaju pomników krakowskich XVI wieku. Liczbą malowideł i artystyczną ich wartością naznacza się owe ubóstwo. Para zaledwie arabesków, dwie winety i trzy miniatury—to i wszystko co nas interesować może. Ale i mała ilość przedmiotów może znacznie zaważyć na szali swoją wewnętrzną wartością, na nieszczęście nasze nie mogą się tém pochlubić. Nie mówiąc już o nadzwyczaj nędznéj technice malarskiéj, we wszystkich tych pomnikach mają one bardzo nizkie znaczenie pod względem rysunku. Nieproporcyonalność figur w stosunku do kompozycyi i części ciała ludzkiego, pewna szorstkość, krzykliwość barw, bardzo mierny układ draperyi,—oto właściwości tych malowideł. Owe np. arabeski, co tak wdzięcznie przemawiały do nas z prac wyżéj przejrzanych, tutaj uderzają chropowatością i badylowemi formami, a znowu lekkie i faliste linie bogatych szat, wyradzają się tu w potworne kształty, niby łamane z papieru różnobarwnego strzępy, konwencyonalizm charakteryzuje głównie draperye tych malowideł. A jeśli obaczysz szyję, prędzejbyś ją rad przypisał łabędziowi, niż człeku. I doprawdy, gdyby nie charakter pisma zdradzający wiek XVI antyfonałów, gdyby wreszcie nie rok 1572 położony na jednéj z ksiąg owych, prędzejbyśmy odnieśli nasze malowidła na koniec XVII lub początek XVIII stulecia, niż do epoki chrześcijańskiego klasycyzmu w sztuce.

Rozpatrzywszy się w szeregu pomników miniaturowego malarstwa, nie badanego do téj pory jeszcze, stajemy wobec poważnego bardzo pytania. Mianowicie: w jakim stosunku zostaje miniaturowe, kodeksowe malarstwo nasze z XVI wieku do ogólnego obrazu i charakteru sztuki polskiéj? Niezawodnie odpowiedź stanowcza na pytanie tego rodzaju jest zbyt trudną, a w części niemożebną nawet, dopóki malarstwo miniaturowe nie zostanie należycie zbadane na całym obszarze ziem dawnéj Polski. Daleko jeszcze do takich rezultatów, więc musimy się zadowolnić tém co posiadamy. Poważna liczba rękopismów zbadana przez nas, niech stanie się początkiem spostrzeżeń i wniosków w tym zakresie twórczości geniuszu polskiego.

Jakoż zamierzając dać odpowiedź o ile można, zadawalniającą, na postawione dopiero pytanie, wypada pierwéj wyjaśnić niektóre inne okoliczności.

Mamy przed sobą pomniki malarstwa miniaturowego wyłącznie prawie z XVI wieku pochodzące, więc z czasów, w których sztuka włoska do zenitu dochodzi. Największy jéj mocarz Rafael z Urbino doprowadza wtedy do ideału piękna romantyzm średniowiecza połączony z realizmem epoki wojen religijnych, reformacyi. Romantyzm rycerski podający rękę realizmowi reformacyi w XVI wieku w krainie Danta obchodzą tryumf zupełny. Sztuka dochodzi tam swego południa. Odtąd wywrze ona wszechwładny wpływ na sztukę całéj Europy.

Wiadomo, że cywilizacya nasza zawdzięcza wiele wpływom Włochów, czy więc wpływ ten udzielił się i miniaturowemu malarstwu polskiemu? oto pytanie również ważne bardzo. Zdaje mi się jednak, że odpowiedź nietrudna będzie. Jak malarstwo cechowe nie zdradza wpływów włoskiéj sztuki, tak, zdaniem naszém, mają się rzeczy i z miniaturowem malarstwem. Gdy literatura polska urabia się na wzorach klasycznych i włoskich, gdy Wirgili i Dante i Petrarka znajdują w niéj swoje odbicie,—wtedy próżno byś szukał podobnych zjawisk w dziedzinie malarstwa miniaturowego. Klasycyzm jest mu obcym, a odrodzenie, renesans, jeszcze nie owionął go swoim tchnieniem. Jeżeli w arabeskach antyfonałów Brata Józefa ujrzysz niekiedy kształty renesansu, to one pochodzą z ogólnego zwrotu kultury czasów reformacyi, lub jako pobłysk mody wdzierającéj się do Polski. Artysta zakonnik czuje to, więc po każdém zboczeniu najmniejszém z właściwéj sobie drogi, wraca do ideałów średniowiecza z tém większą skwapliwością.

Jakoż w malarstwie miniaturowém nie widzimy wpływu włoskiego. Rozwija się ono niezależnie od jego rozkwitu. Tak przynajmniéj świadczą pomniki przez nas zbadane. Zresztą gdy malarstwo włoskie szerzy się przeważnie na tle religijnych motywów—polskie miniatury XVI wieku równorzędnie traktują sprawy wiary ze sprawami codziennego i społecznego życia. Kodeksy Bema oraz statutów wiślickich i mazowieckich z 1449—1450 (Biblioteka Czartoryskich) rozwijają się na wątku społecznym. A nawet religijnego charakteru utwory Brata Józefa bacznie uwzględniają życie ziemi polskiéj, jak to widzimy bodaj w *Narodzeniu Chrystusa* tego artysty klasztornego.

Ale nietylko pod względem idei, lecz i w rysunku nasze malarstwo miniaturowe nie zdradza wpływów sztuki włoskiéj. Rysunek i kompozycya ma tu właściwości czysto ostrołukowe, zatém téj sztuki na któréj motywach głównie wykształcili się miniaturzyści Polski i Europy do XVI wieku.

Skoro nie znajdujemy w miniaturach XVI stulecia wpływów włoskich, więc może inne widnieją?

Już sam charakter ostrołuku panujący w miniaturach naszych, zwraca nas w stronę niemieckiego malarstwa. Jak tam tak i u nas realizm średniowieczny, manifestujący się w rzeźbie i malarstwie środkowéj i zachodniéj Europy, występuje w całéj pełni. Nad idealnemi liniami ostrołuku przemaga realistyczne traktowanie rzeczy. Otoczenie życia codziennego było wątkiem, na którém urabiały się dzieła niemieckiéj sztuki plastycznéj. Stąd ideały duchowe, religijne, wyglądają z kształtów ciała żywcem kopjowanego w owéj epoce. Rzeźby Krafta i Vischara, dzieła malarskie Dürera i Holbeina, będące wyrazem tego kierunku sztuki, zostają w pokrewieństwie nader blizkiém z utworami mistrza krakowskiego Wita Stwosza, a w części nawet i z kompozycyami malarstwa cechowego krakusowego grodu. Realistyczne traktowanie plastyki na tle idei średniowiecznéj stanowi tu główną charakterystykę piękna.

Na téj podstawie przychodzimy do wniosku, iż rzeźba i malarstwo polskie z końca XV a malarstwo z XVI wieku kształtuje się na zasadzie pierwiastków właściwych sztuce ostrołukowéj. Więc jeżeli byśmy pierwiastki te uznali za wytwór geniuszu germańskiego, w takim razie musimy się zgodzić na wpływ niemiec na polską sztukę malarską. Ale wpływ ten nieprzechodzi po za granicę zasady. W malarstwie bowiem cechowém zasady niemieckiéj sztuki ukształcają się na modłę polską, jakto wykazał prof. W. Łuszczkiewicz. Ten charakter indiwidualny mają w znacznej części i rzeźby Stwosza.

Być może, iż indywidualność sztuki polskiéj wykwitła na gruncie ostrołuku i niemieckiego malarstwa a rzeźby, nie zarysowała się wyraźnie, może nie wystąpiła tak silnie i samodzielnie, jak nasze życie społeczno polityczne z doby Kazimierza Jagielończyka i Zygmuntów—w każdym razie jest ona charakterystycznem zjawiskiem. Ideały estetyczne polskie, zaczynają poraz pierwszy wyglądać ze sztuki w przed renesansowéj epoce. Jest-to rezulat ogromnéj doniosłości w świecie twórczym geniuszu naszego narodu.

Okoliczności powyższe prowadzą nas bezpośrednio do odpowiedzi na pytanie postawione przed chwilą: w jakim stosunku zostaje miniaturowe, kodeksowe malarstwo XVI wieku, do całokształtu sztuki polskiéj?

Kto czytał uważnie nasz przegląd szeregu pomników miniaturowego malarstwa, tego uderzyć musiało wiele zjawisk charakterystycznych. Nie trudno było spostrzedz ustawiczne powtarzanie zjawisk z życia domowego i społecznego czerpanych. W kodeksie Bema występuje klasa rzemieślnicza, mieszczańska, w pontyfikale Erazma Ciołka panuje dwór i stan szlachecki, w klasztornych zaś

miniaturach motywa religijne rozwijają się na tle warunków miejscowych. A chociaż w tych utworach widać ogólny prąd sztuki ostrołukowéj, to przeważa go jednak pogląd na świat i życie znamienia polskiego. Życie nasze religijne, domowe i społeczne jest tu wątkiem, na którém kształtuje się malarstwo miniaturowe.

Więc to życie brane w najróżnorodniejszych przejawach wyciska piętno swojéj istoty moralnéj na owych pomnikach sztuki, *Narodzenie Chrystusa* Brata Józefa, niezawodnie będzie najpiękniejszym pomnikiem zespolenia się idei religijnych z życiem i pojęciami miejscowych żywiołów. Patrząc na ten utwór, mimowoli zawołasz: to nasze! I rzeczywiście w wykrzykniku tém leży duch i stanowisko dzieła. Kolenda ludowa nie zachwyci cię formą swoją, ale do tejże saméj kolendy przylgnie twoje serce bo znajduje w niéj oddźwięk uderzeń swoich. Górale i lud krakowski i cała kompozycya *Narodzenia Chrystusa*, ma w sobie tyle pierwiastków rodzinnych, że pod ich wpływem zapominasz o pracach i charakterze sztuki cudzoziemskiéj. Tak przemawia duch narodu z każdego dzieła jego twórczości samodzielnej. Wit Korczewski ze swoimi dyalogami stoi tu obok Brata Józefa, tylko że nasz zakonnik, ma więcéj wyrobione uczucie piękna, jest większym artystą od owego dramaturga polskiego z XVI wieku. Tak w *narodzeniu Chrystusa* jak i w innych utworach — brat Józef stoi na gruncie religijno-polskim. To stanowi jego przymiot, i właściwość artystyczną.

W takim samym stosunku do ducha narodowego stoją miniatury kodeksu Bema i pontyfikału Ciołka, jak również i malowidła średniowieczne na parginach kapituły krakowskiéj. W jednym np. z kodeksów biblioteki katedralnéj krakowskiéj (Sobieszczański, Wiad. O sztuk. Pięk. T. I.) widzimy Kazimierza Jagielończyka na tronie, przed którym stoją grupy mężczyzn artystycznie ułożone. Jest to scena wzięta z życia, a oddana z wysokiem poczuciem charakterystyki duchowéj, indywidualnéj i uwzględnieniem strojów współczesnych. Podobnych zalet jest ś. Stanisław w otoczeniu panów, scena malowana w dziele Długosza: Żywoty arcybiskupów gnieznieńskich.

Ale już rej wodzą pod tym względem miniatury kodeksu Bema i pontyfikału Ciołka. *Strzelanie do kurka* w pierwszym, albo *król na majestacie* lub *wyświęcanie księży* w drugim będą zawsze świadectwem dobijania się samodzielnego stanowiska przez malarstwo polskie. Zacząwszy od tła obrazów aż do ich szczegółów, widzisz, że sceny w nich malowane są rodzimego charakteru z ogólném znamieniem ostrołukowych zasad.

Miniaturzyści polscy XV i XVI wieku potwierdzają w zupełności zasadę, że sztuka zawsze musi być wcieleniem idei i życia narodu a epoki, jeżeli chce być samodzielną. Bez tego przymiotu jest ona zawsze kwiatem egzotycznym pod niebem północy szczepionym. Sztuka rozwija się na tle idei, życia i klimatycznych warunków danéj miejscowości. Jest ona idealném odbiciem tych warunków.

Z tego téż stanowiska rzucając okiem na miniaturowe malarstwo polskie, przychodzimy do wniosku że ono jest na wskróś polskiém. Kiedy w cechowém malarstwie krakowskiem i w ogóle polskiem błąkają się jeszcze reminiscencye bizantyńskie obok wpływów niemieckich—tutaj pierwszych już nie spotkasz a drugie schodzą do stanowiska zasady ostrołukowéj sztuki. Miniaturzyści wychodząc z ducha, wstępują na ziemię rodzinną wplątują się w jéj życie i na téj podstawie tworzą dzieła swoje. W dziełach téż owych przegląda się duch polski, ten duch, który przez sztukę odrodzenia zostaje zgnębiony, i w niemocy téj pozostanie aż do pojawienia się Orłowskich i Suchodolskich, Grottgerów i Matejków.

Co się tyczy artystycznych zalet utworów miniaturowego malarstwa, to choć one nie dorównywują swojéj idei, zawsze blisko niéj stoją. W miniaturach XVI wieku widać jasność i przejrzystość kompozycyi. Zdolność indywidualizowania postaci jest w ogóle wyrobioną. Charakter krajobrazu i draperyi oddany ze znajomością przedmiotu. Kiedy cechowe malarstwo w oddawaniu krajobrazów i w ogóle głębin perspektywicznych i bryłowatości obrazu, nie umie sobie jeszcze radzić, jeszcze zostaje pod ciśnieniem architektury ostrołukowéj, — miniatury zapanowały już wcale szczęśliwie nad tymi warunkami. Wielkie to zwycięztwo i objaw samodzielności, stawia miniatury XV i XVI w. na czele malarstwa polskiego z doby tradycyi średniowiecza. Takiego przymiotu nie zdobyło sobie malarstwo cechowe.

Baczmy wreszcie, że obok jasności w kompozycyi i indywidualizowania twarzy uderza nas w tych utworach swoboda wielka. Artysta nie krępuje się formami archtektonicznemi i nie uwzględnia ściśle przepisów na sposób Teofila Mnicha sporządzonych, lecz patrzy na życie otwartem okiem a jego zjawiska oddaje w barwach pełnych siły i wdzięku. Ludzie ruszają się tu i działają stosownie do myśli i warunków. Ale obok tych przymiotów bez zaprzeczenia wysokich, znajdziesz i wad sidła. Często jedna figura będzie wcale udatna, zindiwidualizowana nawet pod względem duchowym, podczas gdy reszta postaci niekiedy nie zdradzi nic więcéj nad szlachetne usiłowanie i pewien właściwy epoce wdzięk leżący w formach naiwnych. Lecz wady tego rodzaju stanowią częstokroć właści-

wość i charakterystykę sztuki średniowiecza. Każdy zgodzi się na to, że Wit Stwosz genialnie włada formą, że jego apostołowie i typy mieszczańskie nie przedstawiają nic do życzenia pod względem charakterystyki duchowéj i realnéj, a przecież w dziełach tego samego mistrza widzimy zjawiska dowodzące niekiedy naiwnego poglądu na przyrodę. Krajobraz i świat zwierzęcy wychodzi bardzo słabo z pod dłuta owego artysty, który mimo téj wady nieprzestaje być jednym z największych rzeźbiarzy XV wieku. Słabo jednak rysowane zwierzęta u Stwosza i niepoprawne oddanie kompozycyi niektórych miniaturowego malarstwa, świadczą o stopniowym rozwoju formy, o jéj usiłowaniu zdobycia dla siebie tego stanowiska na jakie wzniosła się idea. Jeżeli nasze miniaturowe malarstwo XV w. nie stanęło u celu dążeń estetycznych, zawsze musimy mu przyznać, że weszło na właściwą drogę. Było ono dzieckiem swojéj epoki i jéj wyobrażeń o pięknie, a jednocześnie obok tych właściwości ogólnych wyrobiło w sobie przymiot wielkiego znaczenia, mówiący o narodowym charakterze, ujawniającym się tak silnie w malarstwie miniaturowém. Z żalem téż stwierdzamy, że renesans raptownie wkroczywszy do naszych ziem, podciął silne zawiązki architektury, rzeźby i malarstwa, co się tak wdzięcznie zaczęły rozwijać w organizm charakteru polskiego na motywach ostrołuku.

Lecz nie przemienić co minęło, nie chodzi nam na tém miejscu o wyprowadzanie wniosków z walki ostrołuku z renesansem, ale o podniesienie dużego znaczenia zjawiska, w procesie cywilizacyjnym naszego narodu. Zjawiskiem takiém jest malarstwo miniaturowe, które najmocniéj stanęło w przeszłości dalekiéj na gruncie życia narodowego. Ono samo postawiło krok samoistny w całém tego słowa znaczeniu. Malarstwo polskie bieżącego stulecia jest jakby świetnym rozkwitem tych pączków jakie wyrosły w miniaturach XVI wieku.

F. K. Martynowski.

Stowarzyszenie Kopernikańskie w Toruniu

i jego wydawnictwa.

Sprawa o narodowość Kopernika zaczęła się rzeczywiście dopiero w bieżącém stuleciu. Za życia wielkiego astronoma, polskie jego pochodzenie było rzeczą uznaną przez najwybitniejszych przedstawicieli narodu niemieckiego, jak to między innemi mamy dowód w słowach reformatora Melanchtona, który o Koperniku w liście z 1541 roku mówi: „ille *Sarmaticus* astronomus.“ To samo orzekał współczesny astronom Gemma Frisius. Pojawienie się w 1627 r. dzieła Starowolskiego „Scriptorum Polonicorum Ἑκατοντάς“, pomiędzy którymi autor umieścił i Kopernika, nie wywołało w Niemczech protestu. Ale od początku XIX stul. zaczęli Niemcy systematyczną kampanią o przywłaszczenie sobie wielkiego myśliciela polskiego. Pomieszczenie popiersia Kopernika w Walhalli pod Ratyzboną, miało przygotować naród niemiecki do rewindykacyi nowo wyszukanego ziomka.

Téj wrogiéj społeczeństwu polskiemu tendencyi zawdzięcza i swoje powstanie niemiecki t. zw. „Coppernicus-Verein“ w Toruniu. Gdyby istnienie jego nie było nic przyczyniło do skarbnicy wiedzy, a *Verein* poprzestawał tylko na stanowisku walki politycznéj, nie zajmowalibyśmy wcale czytelników polskich jego losami; ponieważ jednak rzeczywiście wiedza nasza o wielkim astronomie polskim wiele bardzo zawdzięcza stowarzyszeniu toruńskiemu i pracom uczonym członków jego, sądzimy więc, że trzymając się zasady „amicus Plato, sed magis amica veritas,“ nie będzie dla naszego ogółu rzeczą pozbawioną interesu poznać w krótkości historyą powstania i naukową działalność *Vereinu*.

Zawiązanie *Vereinu* łączy się ze sprawą wzniesienia Kopernikowi pomnika jako Niemcowi w Toruniu. W r. 1839 grono osób

złożone z profesorów gimnazyum, lekarzy, obywateli miasta ukonstytuowało się na wniosek dr. Brohm'a, nauczyciela przy gimnazyum, jako Toruńskie Stowarzyszenie Kopernikańskie, mające przedewszystkiém na celu wznieść Kopernikowi pomnik. Składki zbierane po całych Niemczech a także i w Rosyi, dały przy zapomodze rządowéj dostateczny fundusz (przeszło 10,000 tal., z których Rosya dała około 2,000 tal.). W roku 1852 pomnik był już gotów, a w dniu jego odsłonięcia (25 października 1853 r.) puszczono wobieg broszurę dr. Prowe'go p. t. „Zur Biographie Nicolaus Copernicus“ starającą się uzasadnić wzniesienie niemieckiego pomnika. Od tego czasu było dążeniem *Vereinu* kroczyć daléj po obranéj drodze zbierania danych naukowych dla poparcia tezy niemieckości Kopernika. Ale pomiędzy członkami *Vereinu* byli ludzie, którzy jakkolwiek przejęci *a priori* rozwiązaniem kwestyi, do którego zdążać mieli, poświęcili pracy nad kwestyą Kopernika wybitne nieraz zdolności i wytrwałość wielką. Wydawnictwa *Vereinu*, obok wielu rzeczy zaprawnych stronną zawziętością, zawarły w sobie prace rzeczywiście piękne i szczególniéj pod względem bogactwa nowych faktów zasługujące na uwagę. Poparcie rządu pruskiego, jakiego od samego początku doznawał *Verein*, umożliwiło niektórym członkom stowarzyszenia przedsięwziąć podróże dla zbadania w sprawie Kopernika szwedzkich archiwów i bibliotek w Upsali. Podróże te przyniosły niemały owoc.

W pierwszéj wydanéj pod egidą towarzystwa pracy, w wspomnianéj rzeczy: „Zur Biographie“ starał się autor, poczynający wtedy dopiero swe studyum Kopernikańskie, Prowe, *ad usum Vereinu*, zanegować podejrzane pod względem polskości pochodzenie rodziny Koperników z Krakowa, i wyprowadzić astronoma od stróża toruńskiego Czepernika z XIV wieku. Dzięki jednak odnalezieniu w księgach krakowskich z XV w. wzmianki o przodkach astronoma przez prof. Adr. Krzyżanowskiego upadła niedługo teza Prowego, który w ostatniéj swéj (1883 r.) pracy w zupełności sam już przyznaje krakowskie Koperników pochodzenie. Pomijamy tutaj dalsze rozpatrzenie broszur i wydawnictw *Vereinu* z czasów do 1873 r., ponieważ są one mniéj więcéj znajome i za wyłączeniem niektórych (jak np. Prowego: *Mittheilungen aus Schwedischen Archiven und Bibliotheken*) mało przynoszą nowego i doniosłego dla nauki, wszystkie zaś prawie są zabarwione stronniczością.

Dopiero 400-letnia rocznica urodzin Kopernika w 1873 r. wywołała kilka wydawnictw *Vereinu*, które zasługują na naszą bliższą uwagę. Pierwszém z nich jest przepyszne wydanie wielkiego dzieła naszego astronoma: *De revolutionibus*, które-to wydanie dla badacza

rzeczywiście stało się obecnie niezbędne. Wspaniałe pod względem typograficznym wydanie polsko-łacińskie Baranowskiego i Bartoszewicza, dalekim jest albowiem od dokładności pod względem naukowym, gdyż pomijając bardzo słabo opracowaną część historyczną, nie uwzględnili wydawcy polscy, mając pod ręką oryginalny rękopism Kopernika, mnóstwa waryantów oryginału, i przedrukowali bezkrytycznie pierwotne wydanie. Zadziwia nas to tém więcéj, że Baranowski w przedmowie (wydanie warszawskie pag. XXXI) wyraźnie zaznacza, iż „w rękopiśmie wiele znajduje się poprawek tego wielkiego męża.... w końcu są połówki, a nawet całe stronice poprzekreślane, i na brzegach *inne* myśli wypisane.“ Niestety dopiero Niemcy skorzystali z téj wiadomości. Pierwsze krytyczne wydanie dzieła *De revolutionibus* ze wszystkiemi waryantami oryginalnego rękopismu zawdzięczamy *Vereinowi*, który słusznie mógł na tytule powiedzieć: „ex auctoris *autographo* recudi curavit Societas Copernicana Thorunensis.“ Zauważymy jeszcze, że pomiędzy owemi nieuwzględnionemi przez Baranowskiego waryantami rękopismu Kopernika, znajduje się miejsce, gdzie wielki astronom przypuszcza możność eliptycznych ruchów ciał niebieskich, miasto przyjmowanych ogólnie przez siebie ruchów kołowych.

W r. 1879 *Verein* wystąpił z nowém wydawnictwem, może nie takiéj doniosłości jak poprzednie (poświęcone cesarzowi Niemieckiemu) lecz równie poważnie obmyślaném i wykonaném. Jest-to tłómaczenie dzieła Kopernika na język niemiecki przez dr. Menzzer'a dokonane p. t. „Nicolaus Coppernicus aus Thorn. Ueber die Kreisbewegungen der Weltkörper.“ Tłómaczenie wykonane sumiennie, ciekawe dla przedmowy znakomitego znawcy historyi matematyki dr. Maurycego Cantora.

Tymczasem niezależnie od tak poważnych wydawnictw, szowinizm narodowy niemiecki, mający bądź-co-bądź licznych przedstawicieli w *Vereinie*, wpłynął na śmieszne przechrzczenie w tymże czasie Kopernika (po niemiecku Co*p*ernicus) na Co*pp*ernicus przez dwa *p*, wbrew faktowi, że wielki astronom przeważnie, oraz na swém dziele przez jedno *p* się podpisywał. Ale Polacy nie podwajają spółgłosek, Kopernik był niemiec, *zatém* należy go pisać przez dwa *p*, oto dziwny syllogizm, jaki sobie utworzyli gorliwi członkowie *Vereinu* w téj kwestyi. Większością głosów przyjął *Verein* nową pisownię i używa jéj od 1878 r. w swych wydawnictwach. Żałować tylko należy, że rzeczywiście naukowi członkowie *Vereinu*, którzy jak o tém mieliśmy się możność osobiście przekonać potępiają tę dziwną zabawkę, poddali się uchwale, i w poważnych swych pracach używają tejże saméj dziwacznéj pisowni.

Od roku 1878 dotychczasowe wydawnictwa *Vereinu*, mające charakter spontaniczności ustępują już peryodycznéj mniéj więcéj corocznéj publikacyi p. t. „Mittheilungen des Coppernicus Vereins zu Thorn.“ Tych sprawozdań wyszło dotychczas 4 tomiki: znajdujemy tutaj tyle ciekawych i nawet jak niektóre, naukowo doniosłych prac, że pozwolimy sobie zakończyć nasze uwagi o *Vereinie* zapoznaniem czytelnika choć w krótkości z treścią jego ostatnich *Mittheilungen*, w których zawarte prace prawie zupełnie nie są znane polskiéj publiczności.

Pierwszy zeszyt rzeczonego wydawnictwa z r. 1878 zawiera pracę prof. Curtze z Torunia p. t. „Inedita Coppernicana.“ Jest-to zbiór nieznanych dotychczas fragmentów rękopiśmiennych Kopernika, odnalezionych przez Curtzego w bibliotekach w Berlinie, Frauenburgu, Upsali i Wiedniu. Niektóre z tych „ineditów,“ jakeśmy na to zwrócili uwagę w inném miejscu (1) mają ważne bardzo znaczenie dla historyi nauki i życia Kopernika, jak np. między innemi pokazały nam one iż Kopernik pierwszy wprowadził do trygonometryi użycie t. zw. sekant, siecznych. Inne, jak taksa na chleb w Allensteinie, posłużyły Niemcom do ukucia nowych taranów przeciwko polskości Kopernika (2). W każdym razie jest-to zbiór nadzwyczaj ciekawy.

Zeszyt wydany w r. 1880 zawiera dwie rozprawy. Pierwsza z nich jest pióra znawcy matematyki średniowiecznéj prof. Zygmunta Günthera z Ansbachu. Zajmuje się ona roztrząśnieniem dla specyalisty nadzwyczaj trudnego do oceny listu Kopernika do Wapowskiego. List ten odnaleziony przez W. A. Maciejowskiego w bibliotece Berlińskiéj, poświęcony jest rozbiorowi mało znajoméj i zapomnianéj już dzisiaj teoryi precesyi astronoma XVI wieku Wernera. Trafna, jakkolwiek niewielka praca Günthera przynosi wiele nadzwyczaj ciekawego światła w téj kwestyi. Szczególniéj dla matematyków ciekawy jest wywód Günthera, z którego wypływa, iż Kopernik przeczuwał już twierdzenie Analizy, że w blizkości minimum i maximum prędkość zmiany funkcyi (pochodna) jest zero.

„Pobyt Kopernika w Bononii“ oto tytuł drugiéj rozprawy tegoż zeszytu, pióra dr. Karola Malagoli. Wiadomą jest rzeczą, iż p. Malagola odnalazł w 1878 r. w Archiwum hr. Malwezzi Akta stowarzyszenia studentów prawa narodu niemieckiego w Bononii, wśród których znalazło się i nazwisko Kopernika zapisane pod r. 1496.

---

(1) „Mikołaj Kopernik wobec najnowszéj historyografii niemieckiéj.“ Gazeta Polska, sierpień; passim.

(2) Cfr. ibidem.

W wspomnianéj już wyżéj naszéj rozprawce staraliśmy się wykazać, iż zapisanie się Kopernika do ksiąg narodu niemieckiego tłómaczy się tém, iż wszyscy pochodzący z pruskich dyecezyi (chełmińskiéj, warmińskiéj), „antiquo more“ zapisywali się w Bononii do ksiąg niemieckich, niezależnie od tego czy byli polakami, czy niemcami; gdy odwrotnie księgi narodu niemieckiego nie zawierają w sobie ani jego Niemca, któryby pochodził z mało- lub wielkopolskich dyecezyj, pomimo że notorycznie wiadomo, iż Niemców było tam wtedy dosyć. Ogłoszone przy rozprawie Malagoli wyjątki z owych ksiąg narodu niemieckiego, zawierające wprawdzie tylko matrykuły z lat 1446—1500, w zupełności potwierdzają to przypuszczenie. Nie ulega wątpliwości, iż ogłoszenie zupełne ksiąg „narodu niemieckiego,“ które, jakeśmy się dowiedzieli prywatnie, właśnie obecnie drukują się w Berlinie—nie zaprzeczy temu. Sama rozprawa Malagoli, oprócz roztrząśnienia krytycznego owych ogłoszonych wyjątków, zawiera jeszcze szczegóły tyczące się współczesnych Kopernikowi stosunków w uniwersytecie Bonońskim, skreślone dość barwnie i zajmująco.

„Uniwersytet Padewski za czasów Kopernika“ pod tym tytułem zamieścił prof. Favaro z Padwy wyborne opracowanie w III-cim zeszycie Sprawozdań z r. 1881. Przedewszystkiem Fawaro zaznaczywszy, iż dotychczas nie udało się odszukać w archiwach Padewskiego uniwersytetu najmniejszego śladu, iżby Kopernik w Padwie miał być studentem, zajmuje się daléj obaleniem fałszywego świadectwa Papadopolego, który jakoby miał w ręku akta „narodu polskiego“ w Padwie i w takowych wyczytał nazwisko Kopernika. Prof. Favaro akcentuje, iż w końcu XV w. nie było osobnéj *natio Polona* w Padwie, która otworzyła się dopiero w 1592 r., jak świadczą dowody archiwalne. Papadopoli był, jak się to zresztą i z całego szeregu innych faktów okazuje, tylko zwykłym fałszerzem. Zauważymy tu jednakże, że jakkolwiek nikt-by dziś nie bronił autentyczności świadectwa Papadopolego, to jednak dla nas nawet fałsz ten ma doniosłe znaczenie: pokazuje on albowiem, że w Padwie około 1726 r. (gdy pisał Papadopoli), zachowała się jeszcze żywa tradycya o Koperniku i przytém o Koperniku-Polaku, w duchu któréj i skreślił swe zmyślenie Papadopoli. Zresztą, jak wiadomo, z odnalezionego świeżo (1876 r.) dyplomu doktorskiego Kopernika w Ferrarze, astronom *rzeczywiście* studyował w Padwie, tylko w innych latach niż mu to wyznaczał Papadopoli. Wiadomości o uniwersytecie Padewskim czasów Kopernika kończą opracowanie prof. Favaro.

W tymże samym zeszycie spostrzegamy, pióra burmistrza miasta Torunia Bendera: „Przyczynki archiwalne do historyi rodzinnéj Kopernika.“ Specyficznie duch antypolski wieje z rozprawki dostojnika miejskiego Torunia, ale jakże dziwnie brzmi wobec wysławionéj kultury i miłości porządku niemieckiéj sam motyw ogłoszenia pracy. W r. 1879/80 przystąpiono do przejrzenia zachowywanych od czasów niepamiętnych („seit unvordenklichen Zeiten“ p. 63) *na strychach* ratusza toruńskiego dokumentów z czasów średniowiecznych i oczyszczenia ich z „nieopisanego brudu wszelkiego rodzaju.“ Otóż kilka przyczynków wydobytych obecnie z pleśni, komunikuje nam w swéj rozprawce p. burmistrz. Tyczą się one po części rodziny matki astronoma, Watrelrodówny z domu. Między innemi dowodami, że była ona Niemką, przytacza autor to, iż we wszystkich nb. *po niemiecku* pisanych dokumentach imię jéj Katarzyna, bywa pisane w formie niemieckiéj *Kaethe*.

Ciekawe są także wywody autora, który w zapale dowodzenia (na str. 91), iż miasta polskie w r. 1417 (*sic*) były przeważnie niemieckie, jako jeden z centrów germanizmu w *ówczesnéj* Polsce przytacza Warszawę! Cały szereg dodatków, w jednym z których pan Bender polemizuje z dr. Kętrzyńskim z powodu jego pracy o mowie Kromera z 1579 roku o pruskim indygenacie, kończy tę rozprawę, która jest ciekawą pod względem faktów, lecz swym stronniczym duchem przykre robi wrażenie. Ostatni zeszyt sprawozdań jaki mamy pod ręką z 1882 r. zawiera oprócz kilku pomniejszych opracowań, jedną tylko rzecz donioślejszéj natury, a mianowicie prace znanego badacza niemieckiego na tém polu Hiplera, o poprzednikach Kopernika, głównie zaś o humaniście Celio Calcagnini, który w wydanéj w 1544 r. pracy, napisanéj zaś podług Hiplera jeszcze przed 1525 r. bronił tezy obrotu ziemi.

Oto wiązanka najwybitniejszych prac jakie badacz znajdzie w najnowszych peryodycznych wydawnictwach Stowarzyszenia Kopernikańskiego w Toruniu. Pomijając przykro nas nieraz rażący ton narodowego szowinizmu, trzeba przyznać, iż wogóle wydawnictwo prowadzone jest poważnie. Ostatnie zaś wydawnictwo Stowarzyszenia, obszerne dwu-tomowe dzieło prof. Prowe o życiu Kopernika (Berlin 1883) jest rzeczą, która pod względem bogactwa treści, niema sobie równéj w literaturze Kopernikańskiéj. W każdym więc razie jakkolwiek niemiecki „Copernicus-Verein“ w Toruniu zawdzięcza swoje powstanie waśni narodowościowéj, działalność jego jednakże wniosła i do skarbnicy wiedzy wiele nowego.

H. Merczyng.

SPIS LUDNOŚCI WARSZAWSKIÉJ.

Rezultaty spisu jednodniowego ludności miasta Warszawy 1882 roku. Część I. Ludność pod względem wieku, stanu cywilnego, wyznań, narodowości, wykształcenia, rodzaju zamieszkania, stosunków rodzinnych, miejsca urodzenia. Warszawa, 1883.

Tylko spis jednodniowy może podać nam dokładną cyfrę ludności pewnego miejsca, i taki to właśnie spis odbył się w Warszawie pierwszy raz w d. 9 lutego roku 1882. Spis podobny odbyto już w Piotrkowie dwa razy mianowicie w roku 1872 i 1 kwietnia 1883.

Stosownie do tego z jakiego stanowiska wychodzimy, rozróżniamy ludność prawną, faktyczną i zamieszkałą. Ludność prawną stanowić będą ci wszyscy, którzy w danéj miejscowości posiadają prawo obywatelstwa, a jak u nas, zapisani są do ksiąg ludności stałéj chociażby czasowo w innym miejscu mieszkali. Liczbę ludności faktycznéj otrzymamy licząc wszystkich, którzy w dzień spisu znajdowali się w danéj miejscowości, choćby przybyli nawet na czas krótki. Ludnością zamieszkałą danéj miejscowości nazywamy ludność, która w niéj mieszka stale bez względu czy posiada w téj miejscowości prawo obywatelstwa, czy téż nie; należy zatém do niéj wliczyć wszystkich czasowo nieobecnych, odliczyć zaś czasowo obecnych. Przy obliczaniu czasowo obecnych trudność zachodzi w pytaniu jaki czas przebywania w mieście uważać za czasowy pobyt. W Warszawie roztrzygnięto kwestyą w ten sposób, iż wszystkich tak zwanych przyjezdnych czyli bawiących w mieście do dnia spisu mniéj niż trzy miesiące zaliczono do téj kategoryi. Przy spisie może być liczoną albo jedna tylko kategorya ludności, albo dwie którekolwiek, albo téż wszystkie trzy. Ponieważ w Warszawie, zapisywano wszystkie osoby, znajdujące się w mieście w dzień spisu, z oznaczeniem czy są

stałymi, czy téż niestałymi mieszkańcami, a także i wszystkich czasowo nieobecnych, można więc oznaczyć wszystkie trzy, wyżéj wspomniane kategorye ludności. W Piotrkowie postąpiono zupełnie inaczéj, rozróżniając ludność stałą i niestałą, przy czem pod ludnością stałą rozumiano to, co ja nazywam ludnością zamieszkałą, resztę zaś ludności ochrzczono mianem niestałéj, zaliczając do niéj czasowo w mieście bawiących, wojskowych, mieszkających w koszarach, miejscach zbornych i na odwachach, więźniów: w więzieniu śledczym i areszcie policyjnym, chorych we wszystkich szpitalach i starców w ochronach. Wszystkie te kategorye, z wyjątkiem wojska w koszarach, zaliczono w Warszawie do stałych, niestałych lub przyjezdnych, wojsko zaś w koszarach spisano oddzielnie i nie weszło ono wcale do ogólnéj sumy ludności. Oficerowie mieszkający w osobnych lokalach, choćby nawet w domach zajętych na koszary, liczeni byli na równi z resztą ludności. Wkradły się tu jednak pewne niedokładności, przez co suma mieszkańców miasta da się dokładniéj oznaczyć dopiero po wyjściu w świat trzeciego tomu Rezultatów spisu jedniowego. Tak np. szkoła junkierska, kolejowy batalion (Leszno), park telegraficzny (Muranów) itp. wciągnięte zostały do ogólnego spisu, co wpłynęło dość znacznie na podwyższenie ogólnéj sumy ludności, bo np. batalion kolejowy na Lesznie liczy ze 120 osób, szkoła junkierska także zapewne ze dwieście i t. p.

Na str. 3 Rezultatów powiedziano: „ponieważ najniedokładniejszemi są wiadomości odnoszące się do przyjezdnych, to za podstawę do obrachunków przyjęto ludność zamieszkałą.“ Ludność zamieszkałą zawsze przyjmować należy za podstawę do obrachunków, bo ona to właśnie nadaje miastu lub krajowi taki a nie inny charakter.

Przy oznaczaniu wieku ludności, w Warszawie zapisywano miesiąc i rok urodzenia, podczas gdy w Piotrkowie ilość lat skończonych, co jest mniéj właściwém, i co w Warszawie dopuszczano tylko w takim razie, jeśli kto nie pamiętał daty urodzenia. W tablicach jednak, znajdujących się w *Rezultatach*, widzimy podział ludności jedynie według lat urodzenia, ponieważ tak duża ilość osób nie podała miesięcy, iż podział ludności urodzonéj w każdym roku według miesięcy nie miałby żadnego znaczenia, to téż dziwno, iż zachowano powyższy podział przy dzieciach, urodzonych w r. 1881. Cóż bowiem może mieć za znaczenie podział według miesięcy, jeśli na 12117 dzieci urodzonych w r. 1881, a żyjących w dzień spisu, 4280 (tj. więcéj niż 35,32%) nie ma oznaczonego miesiąca urodzenia? Toż samo odnosi się i do przejezdnych, gdzie z 24 dzieci, przy 6 nie wskazano miesiąca (tj. przy 25%).

Znajdujemy téż i rubrykę osób, które albo wcale nie podały roku swego urodzenia lub ilości lat skończonych, albo téż podały tak fałszywie, iż to się odrazu rzucało w oczy. Trafiały się np. osoby mające po 300 lat, a byli i tacy, którzy mając dopiero lat 3 lub 4 mieli już ośmioletnie wnuki. Osób takich znalazło się w Warszawie 4 na tysiąc, jest to wcale nie wiele, jeśli zważymy nowość spisu jednodniowego ludności w Warszawie, powodującą różne obawy wpośród ludności, a przytém należy wziąść na uwagę i brak doświadczenia w tym kierunku osób zajmujących się tą sprawą. W Paryżu podczas ostatniego spisu w r. 1881 osób z nieoznaczonym rokiem przypadło 1,2°°/₀₀, a przecież tam ludność jest już obyta ze spisami, a przytém biuro statystyczne posiada potrzebną wprawę. W Peszcie 8 osób na tysiąc, tj. dwa razy więcéj niż w Warszawie, nie podało wcale roku swego urodzenia, lub téż błędnie go podały. Pod tym względem Piotrków odznaczył się większą dokładnością, gdyż wcale nie ma w tablicach osób téj kategoryi, ale tam spis z r. 1882 był już drugim z rzędu, a przytém w mniejszych miastach łatwiéj o dokładność. Do téj niedokładności w Warszawie przyczynił się jeszcze i zły wybór czasu na spis, wkrótce po niepokojach w grudniu 1881. Zważywszy to wszystko, sądzę, iż przy następnym spisie osób z nieoznaczonym rokiem urodzenia wcale nie znajdziemy w tablicach, w czym za wzór może nam służyć z wielkich miast Berlin ze swym spisem z r. 1875.

Wiadomości o przyjezdnych są najniedokładniejsze, a szczególniéj w cyrkule $^2/_3$, ponieważ w niektórych hotelach, znajdujących się w cyrkule powyższym, delegowani dokonali swéj czynności bardzo niedbale. Prym pod tym względem trzymają hotele: Paryzki i Niemiecki, gdzie o wszystkich osobach bez wyjątku podano tylko imię, nazwisko i zatrudnienie, z pominięciem wszystkich innych wymaganych szczegółów.

Żałować można, że nie wypracowano osobnych tablic dla ludności chrześcijańskiéj, osobnych zaś dla żydowskiéj. Byłaby to rzecz niezmiernéj wagi, przy wszelkich bowiem rozprawach o kwestyi żydowskiéj idziemy zwykle omackiem, gadamy dużo a wszystko to na niczém nie oparte. Jakąż wielką usługę mogłaby nam oddać np. tablica wykształcenia ludności żydowskiéj. Zdaje mi się jednak, iż możnaby to jeszcze zrobić, bo przecież materyał znajduje się jeszcze w Sekcyi statystycznéj Magistratu i nie zniszczono go. W Piotrkowie opracowano osobno tablice dla żydów, u nas zaś, o ile mi wiadomo, ma to być uwzględnione tylko przy statystyce zajęć. Mnie się zdaje, że sekcya statystyczna mogłaby nawet i w drugim tomie, mającym zawierać między innemi statystykę mieszkań

także porobić osobne tablice dla mieszkań zajmowanych przez żydów, a osobne dla mieszkań chrześcijańskiéj ludności. Ważność tego każdy łatwo zrozumie.

W tablicy 6 na str. 17 *Rezultatów* przy obliczaniu jaki procent stanowi ludność w wieku 0—15, 15—60, wyżéj lat 60 i wieku nieoznaczonego, nie podano osobnych cyfr dla obu płci, co utrudnia korzystanie z nagromadzonego materyału, bo każdy, komu to potrzebne, musi dopiero sam obliczać.

Treść rozdziału drugiego *Rezultatów* stanowi podział ludności podług stanu cywilnego, przy czém bardzo słusznie brano pod uwagę tylko prawny stan cywilny, ponieważ pożycie nieślubne, nawet wtedy, gdy osoby o które chodzi, mieszkają w jednym lokalu, nie da się najczęściéj skonstatować. Rubryka stanu cywilnego ludności zamieszkałéj zapełnioną została podczas spisu dość starannie, albowiem osoby z nieoznaczonym stanem cywilnym stanowią tylko 0,1% ogółu ludności, przyczém kobiet jest prawie dwa razy więcéj niż mężczyzn. Wpośród zaś przyjezdnych, z przyczyn o których wyżéj wspominałem, osób tej kategoryi znajduje się spora ilość, bo prawie 4%. W tablicach ze spisu piotrkowskiego wcale nie ma osób, których stanu cywilnego nieoznaczono. W *Rezultatach* spotykamy tylko osoby stanu wolnego, małżeńskiego, wdowiego, a także rozwiedzionych, o seperatach wcale niema mowy, gdyż jak wiadomo, przyłączono ich do osób zostających w związkach małżeńskich, w Piotrkowie postąpiono inaczéj i osoby takie połączono w jedno z rozwiedzionymi.

Zwracając się do rozpatrzenia podziału ludności według wyznań, spostrzegamy pewną ilość osób wyznania niewiadomego, lecz tylko widzimy je w tekście, w tablicach zaś włączono je do „wyznań pozostałych." Wyznania rozróżniono następne: prawosławne, katolickie, ewangielicko-augsburskie, ewangielicko-reformowane, mojżeszowe, anglikańskie, starowierców, grecko-unickie, anabaptystów, ormiańskie, karaimów, mahometan. Prócz tego znajdujemy 81 osób „innych wyznań chrześcijańskich," lecz nie można dojść jakich to wyznań, a także 31 osób bezwyznaniowych. Co się tyczy tych ostatnich, to z ich liczby nie można wyprowadzać wniosków o religijności ludności warszawskiéj gdyż wszyscy byli tego przekanania, że przy spisie chodzi o oznaczenie prawnego wyznania jednostki. Jedno z pism, podając treść *Rezultatów* wypowiedziało, iż wszyscy bezwyznaniowi są to żydzi, otóż mogę zapewnić, iż zapisywali się do téj kategoryi nawet i tacy, których prawnym wyznaniem jest katolicyzm. W Piotrkowie rubrykę wyznań opracowano słabiéj, aniżeli w Warszawie, bo ewangielików augsburskich połączono w je-

dno z reformowanymi, a prócz tego wykazano 3 innowierców, bezwyznaniowych wcale niema w tablicy.

Do bardzo słabych stron *Rezultatów* należy podział mieszkańców Warszawy podług narodowości. Powstało pytanie: do jakiéj narodowości zaliczyć żydów? Był to niełatwy orzech do zgryzienia dla spisu warszawskiego. Wątpliwość tę rozstrzygnięto nakoniec w ten sposób, kazano delegowanym zapisywać żydów do takiéj narodowości, do jakiéj ci sami się przyłączyli. Ztąd téż żydzi podawali się za rosyan, jeśli pochodzili z Cesarstwa; polaków—jeśli byli rodem z Królestwa; niemców — gdy pochodzili z Prus lub Austryi (a nawet za prusaków i austryaków), motywowali to miejscem urodzenia. Inni zaś wyznawcy religii mojżeszowéj mięszając wyznanie z narodowością, podawali się za żydów, jedynie tylko z tego powodu. Ztąd téż powstały takie dziwolągi, jak „zapisani jako żydzi", „osoby, które się podały narodowości żydowskiéj." Skutkiem takiego właśnie rozumienia narodowości do liczby polaków policzono masę żydów, którzy w swych stosunkach rodzinnych zawsze i stale używają tak zwanego żargonu żydowskiego. Do poplątania ostatecznego przyłączył się jeszcze filosemityzm i antysemityzm delegowanych. Niektórzy bowiem z nich systematycznie zapisywali żydów jako polaków, inni zaś w swym antysemickim zapędzie poprawiali nawet w szematach wyraz polak na wyraz żyd. Słowem dowolności pozostawiono szerokie pole.

Skutkiem tego wszystkiego z danych zawartych w rozdziale czwartym można korzystać tylko z wielką ostrożnością. Gdybyśmy mieli tablice wykształcenia osobne dla chrześcian, a osobne dla żydów, to moglibyśmy dojść do czegoś, bo np. wszystkich żydów rodem z Królestwa, którzy otrzymali wykształcenie średnie lub wyższe, zaliczyć do polaków, gdyż w domu używają oni języka polskiego; a tak np. do polaków zaliczono i znanego mnie szewca Rubina M., rodem z Warszawy, choć w domu nigdy po polsku nie mówi, i młodsze jego dzieci ani jednego wyrazu w tym języku nie rozumieją.

W Piotrkowie wcale nie było rubryki narodowości, a natomiast zapisywano język rodzinny, co dało cyfry mające rzeczywistą wartość, a ponieważ przytém w tablicach pokombinowano wyznanie z językiem, można więc wyciągać z tego dość ciekawe i ważne wnioski.

W *Rezultatach* na str. 43 spotykamy następne zdanie: „pomiędzy przyjezdnymi było stosunkowo więcéj, niż pomiędzy ludnością zamieszkałą: rosyan, niemców i innych niewyszczególnionych narodowości." Mnie się zdaje, że rubryk „pozostałych", „niewyszcze-

gólnionych“ lub „innych“ wcale nie można porównywać z innemi rubrykami. Na tejże saméj str. 43 w rubryce narodowości spotykamy dwóch karaimów, pomieszczono ich tu na téj zasadzie, iż sami tak oznaczyli swą narodowość i uporczywie bronili swego poglądu, ależ gdyby przyszło uwzględniać wszystko, co ludzie napisali w szematach spisowych, to trzebaby było podać między narodowościami: prusaków, austryaków, wołyniaków, galicyanów i t. p. Nie widzimy też wcale białorusinów i małorusinów, których razem z galicyjskimi rusinami policzono do rosyan. Co znaczy rubryka „słowian bez oznaczenia szczepu“ lub „nieoznaczonego szczepu.“ Mógłby kto sądzić, iż ma ona oznaczać takich, którzy się podali za słowian, nie wymieniając narodowości, tymczasem oznacza ona słowian różnych narodowości po wyłączeniu polaków i rosyan, a zatém czechów, serbów i t. p. Czuwasze, baszkiry i t. p. prawdopodobnie zjawili się w Warszawie dzięki zaliczeniu do ogólnéj sumy pewnéj ilości żołnierzy.

Przejdźmy teraz do rozdziału piątego, traktującego podział ludności według wykształcenia. W szematach spisowych figurowało pytanie: „czy umie czytać i pisać? lub tylko po hebrajsku?“ w informacyi zaś na odwrotnéj stronie podano „dla osób umiejących czytać i pisać, oznaczać należy czy otrzymały wychowanie elementarne, średnie lub wyższe?“ Tak postawienie pytania, jak i objaśnienie są najniefortunniéj pomyślane. W pytaniu nie wskazano, o jaki język chodzi, i niema mowy wcale o tém, czy zapisywać umiejących tylko czytać, i czy odróżniać umiejących tylko czytać po hebrajsku od umiejących czytać i pisać w tym języku. W informacyi błędnie użyto wyrazu wychowanie zamiast wykształcenie, przez co sprowadzono straszny zamęt, bo bardzo wiele kobiet podało się jako otrzymały wyższe wychowanie. Nie wskazano też co rozumiéć pod elementarnym, średnim lub wyższym wykształceniem, czy ukończenie zakładu naukowego odpowiedniéj kategoryi, czy też tylko krótszy lub dłuższy pobyt w nim; jeślibyśmy zaś zaczęli dzielić ludność według zakładów naukowych, to co zrobić z tymi, którzy w domu otrzymali pewien dość znaczny stopień wykształcenia, nie uczęszczając nigdy do żadnego zakładu naukowego, a takich, wśród kobiet znajduje się znaczna ilość? Jaka dowolność panowała pod względem owego wykształcenia, łatwo sobie wyobrazić z tego, że pewien majster szewcki nieumiejący ani czytać ani pisać, w szemacie spisowym figurował z wykształceniem wyższym, a jego terminator, który już umiał czytać, choć pisać nie, z wykształceniem średnim. Zdarzył się też wypadek, że dziecko pewnego hrabiego, leżące jeszcze w kołysce, posiadało już wykształcenie „wyższe, odpowiednie urodzeniu.“

Zbyt rażące nonsensa można było sprostować przy opracowywaniu tablic, lecz ileż to błędów nie dało się usunąć. Najlepszy dowód niedokładności podziału wykształcenia znajdujemy w samym tekście *Rezultatów* na str. 55, gdzie powiedziano: „Podług szematów spisowych wykształcenie średnie otrzymali: jeden chłopczyk 5 lat, jeden w wieku od 5 do 10 lat, 29 dziewcząt tegoż wieku, 186 chłopców i 341 dziewcząt w wieku od 10 do 15 lat, i prócz tego 18 dziewcząt w wieku od 10 do 15 lat, miały otrzymać wyższe wykształcenie.“ Kobiet z wyższym wykształceniem znalazło się w Warszawie 1372, podczas gdy mężczyzn 4401.

W Piotrkowie podzielono mieszkańców na takich, którzy obecnie się kształcą, i takich, którzy otrzymali wykształcenie w takich a takich zakładach naukowych. Tak przy jednych jak i przy drugich rozróżniano: zakłady naukowe wyższe, średnie, elementarne i chedery, a także naukę domową, prócz tego w drugiéj kategoryi wyróżniono jeszcze niepiśmiennych t. j. takich, którzy się nigdzie nie kształcili. Nie otrzymujemy tu więc wcale liczby umiejących tylko czytać, ani téż umiejących tylko po hebrajsku, bo niejeden co się uczył tylko w chederze, może umieć i inne języki, np. w niektórych warszawskich chederach prócz hebrajskiego uczą téż polskiego i rosyjskiego. Przytém nie podano wcale wieku ludności, nie wiele więc można wnieść o stopniu wykształcenia. W *Rezultatach* spisu warszawskiego nie podano ilości uczących się, gdyż odłożono to do trzeciego tomu.

Podział ludności podług rodzaju zamieszkania t. j. pod względem policyjnym, stanowiący treść rozdziału szóstego, przedstawiał wielkie trudności podczas spisu, a bardzo małą przyniósł korzyść. Pod tym względem ludność dzieli się na stałą, niestałą i przyjezdną. Co należy rozumieć pod przyjezdnymi, mówiłem na początku, tu więc dodam tylko, że wszystkie te trzy kategorye były dla ludności zupełnie niezrozumiałe i opacznie zapełniano odpowiednie rubryki. Stałymi mieszkańcami podawali się tacy, którzy przebywają w Warszawie za paszportem, lecz bardzo dawno; bywały przykłady stałych mieszkańców nawet obcych poddanych; przyjezdnymi nazywano wszystkich, którzy się urodzili poza Warszawą, choćby nawet byli stałymi tutejszymi mieszkańcami. Wobec tego sądzę, iż cały rozdział szósty niema prawie wcale wartości, co zresztą rzecz małéj wagi, za wyjątkiem przyjezdnych, których ilość podana w rezultatach nie może być dokładną. O téj niedokładności liczby przyjezdnych łatwo się można przekonać z tego, że gdy we wszystkich rozdziałach podano ich ilość na 4431, w rozdziale szóstym znalazło się ich 4452 t. j. o 21 więcéj. Z porównania tablicy 19 z tablicą 1-ą

widzimy, iż różnica zjawiła się u osób z rokiem niewiadomym, mianowicie mężczyzn ma być 178 (zam. 185), kobiet 37 (zam. 51), razem 215 (zam. 236). Z porównania zaś tablicy 20 z tabl. 4 przekonywamy się, iż omyłka znajduje się w cyfrach odnoszących się do cyrkułu 1/11, a mianowicie mężczyzn winno być 334 (zam. 341), kobiet 276 (zam. 290), razem 610 (zam. 631). Skutkiem tego należy zmienić i ogólne sumy rubryki przyjezdnych, a mianowicie należy postawić 2606 (zam. 2613) mężczyzn, 1825 (zam. 1839) kobiet, razem 4431 (zam. 4452).

Dane o poddanych obcych państw pomiędzy ludnością Warszawy znajdują się w rozdziale siódmym. Uderza nas tu rozróżnianie poddanych pruskich i poddanych „innych państw niemieckich,“ czego delegowani prawie wcale nie pilnowali się w szematach, bardzo łatwo się o tém przekonać, bo w cyrkułach czwartym, siódmym i dziewiątym wcale nie ma poddanych pruskich, a w cyrkułach 5/6 tylko 619 kobiet. Toż samo daje się spostrzedz i w tablicy przyjezdnych. Ktoby więc chciał użytkować z tego rozdziału, powinien obie kategorye, o których wspomniałem, połączyć w jedną: poddani cesarstwa niemieckiego. W samych nawet *Rezultatach* chociaż poddani pruscy i innych państw niemieckich są rozdzieleni, zawsze jednak znajdujemy i ogólną sumę obu tych kategoryj.

W Piotrkowie wykazano tylko ogólną ilość cudzoziemców, nie podając wcale cyfr co do podziału ich między pojedyńcze państwa, choć odnośne dane zebrano.

W rozdziale ósmym znajduje się podział ludności według rodzin, gdzie na samym początku powiedziano: „osób zajmujących oddzielne lokale w mieście było 71583“, gdy tymczasem z tabl. 24 przekonywamy się, iż tylu było głównych lokatorów, a w szematach spisu warszawskiego oznaczało to zupełnie co innego. W instrukcyi dla przewodniczących i delegowanych w § 15 powiedziano: „za oddzielny lokal uważa się każde mieszkanie zajmowane przez właściciela nieruchomości lub czasowego posiadacza, który komorne z niego opłaca bezpośrednio właścicielowi.... Natomiast jeżeli jaki lokal, choćby z jednéj izby złożony, zajmują dwa gospodarstwa, każde za siebie komorne właścicielowi opłacające, każde z nich zapełnia osobny szemat, oznaczając na nich, że należą do jednego i tego samego lokalu.“ W informacyi pomieszczonéj na str. 4 szematu lokalowego na samym początku znajdujemy: „jeżeli jeden i ten sam lokal zajmuje kilka rodzin, to każda otrzymuje oddzielny wykaz lokalowy z zaznaczeniem, że to ten sam lokal.“ Nie każdy więc główny lokator zajmuje oddzielny lokal, bo zdarzały się wypadki, iż w lokalu złożonym z jednéj izby mieszkało aż czterech

głównych lokatorów, którzy opłacali komorne wprost właścicielowi domu, to znowu choć mieszkanie było oddzielne, lecz należało ono do innego lokalu, i osoba mieszkająca w nim, była tylko sublokatorem, np. w pewnym domu na Lesznie; lokator zajmujący mieszkanie na parterze, miał jednę izbę w suterenie, którą od siebie odnajmował, a za tym mieszkaniec owéj izby był sublokatorem, choć w położeniu mieszkania zachodziła nawet różnica piętr. W niektórych znowu domach właściciele tychże zgodnie z informacyą nie uważali stróża lub t. p. za oddzielnego lokatora, ponieważ nie płaci komornego, i pokoik zajmowany przez tegoż zaliczali do izb swego lokalu, samego zaś stróża z rodziną pomieszczali w liczbie swych sług, przez co wprowadzono pewną niedokładność do tablic lokalowych (będą one w tomie drugim), a zarazem i do tablic zajmującego nas obecnie rozdziału ósmego. Były téż i wypadki, że właściciel domu odnajmuje część pokoiku zajmowanego przez stróża, otóż według Instrukcyi i Informacyi jeden z lokatorów tego pokoiku figurowałby jako główny lokator, drugi zaś jako służący innego głównego lokatora.

W tablicach tego rozdziału widzimy osobną rubrykę dla żon głównych lokatorów, dla czegóż więc niema takiejże rubryki dla mężów głównych lokatorek, tylko zaliczono ich do krewnych, wraz z ojcami, matkami, braćmi, siostrami itp. głównego lokatora? W rubryce sublokatorów nie oddzielono sublokatorów zajmujących osobne pokoiki, od sublokatorów, mieszczących się w jednym pokoju z głównym lokatorem, to téż z téj rubryki niema wielkiego pożytku, o czym łatwo się przekonać z porównania liczby sublokatorów w cyr. $^7/_{11}$ i 10, tak bardzo różniącym się co do stopnia dobrobytu mieszkańców, w których jednak stosunek sublokatorów jest prawie jednakowy, lecz w cyr. $^1/_{11}$ mieszczą się oni razem z głównym lokatorem, podczas gdy w cyr. 10 osobno.

Tutaj należy zwrócić uwagę na niedokładność następnego zdania z rozdz. VI (str. 61) „przy spisie jednodniowym rozróżniano jeszcze czasowo-nieobecnych tak stałych, jak i niestałych, ale mających osobne lokale w mieście.“ Czasowo nieobecnych zapisywano do téj rubryki bez względu na to, czy mieli osobne mieszkanie, czy téż nie, czy mieszkali jako sublokatorzy, czy téż przy rodzicach, przy krewnych, pryncypałach, panach itp.

W tablicach spisu piotrkowskiego niema wcale takich tablic.

Rozdział ludności podług miejsca urodzenia jest jednym z najlepiéj opracowanych i można tylko małoważne zarzuty zrobić jego treści. Podano tu osobno urodzonych w każdéj z guberni Królestwa, wyłączywszy Warszawę z gubernii Warszawskiéj, każda z 9 gu-

berni zachodnich, a także gubernia petersburska i moskiewska także są osobno pomieszczone; gubernie nadbaltyckie traktowano jako jedną całość; podobnież postąpiono z Kaukazem, Syberyą (tu włączono Turkiestan) i Finlandyą, pozostałe zaś gubernie Rosyi utworzyły znowu tylko jedną rubrykę. W Austryi wyróżniono Galicyą, a w Cesarstwie Niemieckim Królestwo Pruskie, w tym zaś ostatnim W. ks. Poznańskie, od reszty prowincyj odnośnych państw. Wielka szkoda, iż nie wydzielono także Prus Wschodnich i Zachodnich i Szląska, co łatwo było uskutecznić, bo przecież przy układaniu tablic w sekcyi statystycznéj opracowano te prowincye osobno. Z innych państw podano jeszcze osobno Francyą i Szwajcaryą, resztę zaś razem.

W rozdziale niniejszym uderza wielka ilość osób urodzonych w królestwie, przy których nie podano guberni, w samym tylko cyrkule 1/11, gdzie ich się znalazło 1959 na 14.952 osób z oznaczoną gubernią w tymże cyrkule, i na 6443 osób także z nieoznaczoną gubernią w całéj Warszawie. Prócz tego w tablicy 29, podającéj podział przyjezdnych podług miejsca urodzenia, w rubryce gubernii, nieoznaczonéj, przez omyłkę w druku znajduje się 37 kobiet zamiast 38.

W Piotrkowie opracowano także ten podział ludności, lecz zbyt ogólnikowo, bo podano tylko urodzonych w samym Piotrkowie, następnie razem w całym Królestwie, potym we wszystkich guberniach Cesarstwa i nakoniec za granicą, słowem podano tylko cztery rubryki.

Rozdział dziesiąty i ostatni podaje podział osób z ułomnościami fizycznemi pomiędzy ludnością, przyczem podano w osobnych rubrykach niewidomych, głuchoniemych i „kaleków,“ do których liczono „osoby, które z przyczyny chorób chronicznych lub ułomności fizycznych, nie były w możności zarobienia na własne wyżywienie,“ lecz niemożność zarobienia na własne utrzymanie jest strasznie nieokreśloną, to téż delegowani dowolnie zapisywali do téj kategoryi: garbatych, ślepych na jedno oko, głuchych, mających rupturę, sparaliżowanych, idyotów, obłąkanych, kulawych, bezrękich itd., zdaje mi się więc, że rubryka kalek nie ma żadnéj wartości. I w tablicach spisu piotrkowskiego rubryka kalek niema wielkiéj wartości, bo wciągano tu razem kulawych, ślepych, garbatych, niemych i głuchoniemych; dopełnieniem niejako téj rubryki może służyć rubryka opuszczonych, gdzie pomieszczono osoby nieposiadające żadnych środków utrzymania i nie mogące osobiście na takowe zapracować; tak więc nawet po połączeniu obu tych rubryk nie

można ich jeszcze porównywać z cyframi zawartemi w ostatnim rozdziale *Rezultatów* spisu warszawskiego.

Na tém kończę i tak przydługi już rozbiór pojedyńczych rozdziałów, a uogólniając wszystko, co powiedziałem, muszę przyznać, iż „Rezultaty“ spisu warszawskiego podają nam znaczną ilość ciekawych i ważnych faktów opracowanych z sumiennością; wskazane wyżéj przezemnie usterki nie zmieniają tego wywodu. Rezultaty warszawskie górują nad piotrkowskiemi większą ilością faktów i bardziéj naukowém opracowaniem; ustępując im za to w dokładności i różnych kombinacyach tablic, jak np. wykształcenia i wyznania. Sądzę, iż czytelnicy z niecierpliwością oczekują drugiego tomu, mającego zawrzéć statystykę zabudowań i lokali.

Stanisław Bienias.

NAJŚWIEŻSZA PRACA O MICKIEWICZU.

Józef Tretiak. Mickiewicz w Wilnie i Kownie. Życie i poezya. Lwów 1884. 3 tomy, str. 246, 251, 201.

W przeciągu ostatnich lat dwunastu, jakby dla powetowania dawniejszéj opieszałości, trzech krytyków podjęło pracę zobrazowania kolei życia i analitycznego rozbioru natchnień największego wieszcza naszego w najrańszéj dobie twórczości jego poetyckiéj.

Najprzód Albert Gąsiorowski (r. 1872) w dziełku p. n. „Adam Mickiewicz i pisma jego do r. 1829" usiłował zebrać w jednę całość wszystkie wiadomości, jakie do owego czasu w piśmiennictwie naszém i obcém o twórcy nowego w poezyi kierunku istniały, i zaczął roztrząsać pisma jego w związku z faktami życiowemi, przez wiadomości te dostarczonemi. A jakkolwiek pracy téj dokonał bez talentu i bez ściśle krytycznego ducha, nie można jéj atoli lekceważyć, jako pierwszéj próby ogarnięcia i skupienia rozproszonych szczegółów.

Od tego czasu otworzyło się kilka nowych źródeł wiadomości o życiu i działalności poety, a niektóre z nich miały nawet bardzo doniosłe znaczenie: zmieniały bowiem lub znacznie uzupełniały dawniejszą naszę w téj mierze wiedzę. Równocześnie pojawiło się także kilka rozpraw, w których specyalnie zastanawiano się nad poszczególnemi utworami z najwcześniejszéj chwili twórczości Mickiewicza, a niektóre z nich sięgały do głębi.

Taki stan materyałów i krytyki umożliwił i uprawnił ponowne zajęcie się opracowaniem okresu, już przedtém obrabianego. Jakoż zajęli się niém spółcześnie, i po części niezależnie od siebie, dwaj literaci-estetycy pp. Teofil Ziemba i Józef Tretiak.

Nie zamierzając tu wdawać się w porównawczy rozbiór obu ich prac, nadmienię tylko, że u pana Ziemby przeważa biografia

a utwory poety służą tylko do objaśnienia przygód życia lub uzasadnienia poglądów życiopisarza, gdy tymczasem u p. Tretiaka żywioł biograficzny z krytycznym łączy się ściśle, a nawet z powodu szczupłéj ilości faktów, jakie z tego okresu życia Mickiewicza znamy, rozbiór bierze, pod względem przestrzeni, górę nad opowiadaniem. Prócz tego o jednym jeszcze szczególe zamilczéć mi tu niewolno. W pracy p. Ziemby, niezbyt co prawda krytycznéj, znajdujemy niezłe za to wynagrodzenie w kilku zupełnie autentycznych a z rękopismu przezeń wydobytych i ogłoszonych materyałach do życiorysu poety. Pod tym względem dzieło p. Tretiaka, lubo gdzieniegdzie podaje także jakiś zupełnie nowy szczegół, musi przecież utworowi p. Ziemby pierwszeństwa ustąpić.

Jaka jest wartość dzieła p. Tretiaka pod względem krytycznego zużytkowania materyałów i oceny twórczości Mickiewicza, nad tém właśnie chcę się dokładniéj zastanowić.

I.

Materyałów spółczesnych w ścisłém znaczeniu tego wyrazu t. j. pochodzących bezpośrednio z téj chwili, do któréj się odnoszą, mamy bardzo mało do okresu uniwersyteckiego i profesorskiego w życiu naszego poety. Najdawniejszy, dla wszystkich otwarty, ale przedtém albo w szczupłéj mierze albo zupełnie niewyzyskiwany, znajduje się w wydawnictwach peryodycznych, gdzie już to fakta wprost tyczące się Mickiewicza i jego przyjaciół, już to pośrednio objaśniające fazy jego kształcenia się przez oświetlenie epoki, w któréj żył, odszukać można. Następnie przybyły listy poety i jego kolegów, pozwalające bliżéj zajrzéć w ich duszę. Wreszcie, w ostatnich latach, zostały wydrukowane dokumenta urzędowe przez pana Ziembę, oraz pisma filareckie przez p. Odyńca i Władysława Mickiewicza.

Drugą kategoryą materyałów stanowią wspomnienia osób, które żyły wprawdzie w tymże czasie co i Mickiewicz, ale wiadomości o nim spisały późno, w lat 20 a niekiedy i w 60 po zaszłych zdarzeniach. Przy największéj sumienności, przy religijném choćby poszanowaniu dla tego, co opowiadają, trudno im przecież przekazać i oddać zupełnie wiernie i bez zmiany wypadki i fakta, na które patrzyli lub o których słyszeli. Pamięć, nawet najlepsza, po wielu latach zawieść może. Nie potrafi ona przechować w zupełnéj pierwotności całéj różnorodności wrażeń, jakich człowiek co sekunda doświadcza; stąd dwa lub więcéj wrażeń podobnych zaciera

się wzajem, lub zlewa w trzecie; stąd daty, z początku bardzo silnie tkwiące, późniéj zanikają lub się plączą. A cóż mówić o wpływie wyobraźni, któréj barwą przenikają się nasze wspomnienia!.. Z tych powodów dokumentom takim niepodobna zawierzać w równym stopniu jak materyałom bezpośrednio spółczesnym. Z tych téż powodów krytyka musi tu być nadzwyczaj czujną. Wspomnienia takie w kolei chronologicznéj podali: Ignacy Chodźko, Ignacy Domejko, Stanisław Jundziłł, A. E. Odyniec, Karol Kaczkowski, wreszcie jeden z założycieli towarzystwa filomatów, którego opowiadanie spisał Ignacy Zdanowicz (1).

Wspomnienia te zna p. Tretiak wszystkie; z bezpośrednio spółczesnych świadectw on pierwszy, o ile mi wiadomo, wskazał kalendarzyki polityczne wydziału wileńskiego jako źródło informacyi o zawodzie nauczycielskim poety, a także, dodać tu można nawiasowo, i o latach jego szkolnych. Nie widać natomiast z pracy jego, ażeby zasięgał informacyi z „Kuryera Litewskiego“ i „Dziejów dobroczynności krajowéj.“ Z pierwszego czasopisma mógłby nakreślić obrazek publicznych posiedzeń uniwersytetu wileńskiego, na które zarówno młodzież uniwersytecka wraz z przedstawicielami władz różnych, jak i publiczność postronna licznie się zbierała. Z drugiego dowiedziałby się, że ballady Zana *Neryna* i *Twardowski* mogą być znane każdemu, kto chce je odczytać, gdyż były w owych „Dziejach dobroczynności“ drukowane w r. 1824 (*Twardowski* w tom. VI, str. 28—40; *Neryna* w t. VI, str. 149—156); a poznanie ich możeby zachwiało cokolwiek wiarę autora w „niewątpliwą zdolność poetycką“ (t. II, str. 27) Zana.

Skala krytycyzmu w zużytkowaniu tych materyałów jest u pana Trietiaka wysoka. Zawdzięczamy jéj sprostowanie kilku błędnych podań (np. co do liczby studentów w uniwersytecie wileńskim), ustalenie dat tego lub owego utworu albo listu i t. p. Trudno wszakże powiedzieć, ażeby skala ta sięgała szczytu przedmiotowości, możliwego do osiągnięcia przez człowieka. Jeszcze w krytyku tkwią dawne przyzwyczajenia literackie, jeszcze pewien stopień dowolności w wyborze świadectw kieruje okiem jego i umysłem, jeszcze dążności do wywołania pewnego efektu czysto-estetycznego daje się w sposobie pracowania jego postrzegać, a może nawet — nie śmiem tego twierdzić napewno — jakaś predylekcya dla tego a nie innego świadka bywa jedną z pobudek obrania téj a nie innéj drogi krytycznego postępowania.

---

(1) Nie wymieniam Leona Potockiego (Bonawentury z Kochanowa, Kamertona), gdyż opowiadanie jego o pobycie Mickiewicza w Kownie, jakoby z ust prefekta Dobrowolskiego zasłyszane, pełne jest zmyśleń nie bujnéj i nie wybrednéj fantazyi.

Ogólne te spostrzeżenia postaram się poprzeć choć kilku dowodami.

Na początku studyum swego (t. I, str. 10—12) opowiedział autor—według relacyi A. E. Odyńca — piękną istotnie scenę poznania się Mickiewicza z Zanem podczas składania egzaminu na kandydatów stanu nauczycielskiego. Był tylko jeden wakans; zgłosili się zaś dwaj kandydaci: jeden protegowany przez dziekana wydziału fizyczno-matematycznego, drugi przez bibliotekarza i sekretarza uniwersytetu. Zeszli się więc w kancelaryi i oczekiwali w milczeniu na powołanie do sali egzaminacyjnéj. Stanęli obok siebie i obaj bardzo dobrze odpowiadali na zadawane pytania. Po egzaminie znowu się znaleźli sami w kancelaryi i znowu nie śmieli przemówić do siebie; współzawodnictwo przykrym ciężarem gniotło im serca. Nareszcie sekretarz wychodzi i powiada, że Mickiewicz został przyjęty, a Zan otrzymał *accessit*. Tryumf obudził w sercu Adama uczucie jakiegoś zawstydzenia i upokorzenia: zdawało mu się, że otrzymane pierwszeństwo zawdzięczał jedynie wpływom księdza dziekana. Promieniste oczy Zana dojrzały zapewne tych uczuć na twarzy Adama, bo zbliżył się do niego i powinszował mu tak szczerze i serdecznie, że Mickiewicz jeszcze bardziéj się zmieszał, ale i rozrzewnił zarazem. Młodzieńcy rzucili się sobie w objęcia, a łzy i gorące pocałunki uświęciły przyjaźń od téj chwili zawiązaną. — Opowiadanie to, tak silnie do uczucia przemawiające, wydrukował pan Tretiak wprzód, zanim mógł poznać artykuł p. Ziemby „Mickiewicz pod wpływem profesorów wileńskich“ (w „Bibliotece Warszawskiéj“ 1883, zeszyt marcowy). Otóż w tym artykule ogłoszony został z rękopismu znajdującego się pomiędzy „Aktami Wileńskiemi“ w bibliotece Jagiellońskiéj, raport księdza Stanisława Jundziłła, prefekta seminaryum nauczycielskiego. Z raportu tego widać, że w r. 1815 nie jeden tylko był wakans, kiedy przyjęto aż pięciu: Grzegorza Hreczynę, Jana Waszkiewicza, Dominika Szulca, Adama Mickiewicza i Chryzostoma Niemczewskiego.

Gdyby p. Tretiak trzymał się przepisów ściśle przedmiotowéj krytyki, to po odczytaniu tego raportu musiałby, wobec niewątpliwie autentycznego dokumentu, całe powyższe opowiadanie, oparte wprawdzie na słowach świadka spółczesnego, ale spisującego swoje wspomnienia w jakie lat 40 zgórą od czasu, kiedy o owém spotkaniu zasłyszał, musiałby, powiadam, opowiadanie to poddać krytycznéj rewizyi i w sprostowaniach na końcu pracy swéj rezultat téj rewizyi zamieścić. Zwróciłby więc może najprzód uwagę na tę okoliczność, że Odyniec—jak to sam wyznaje (Listy I, 359)—podał sumę dwu opowiadań słyszanych w różnych czasach i to z pewnemi

odmianami; łatwo więc stać się mogło, że przy tém zsumowaniu dał się unieść wyobraźni lubującéj się w ładnych sytuacyach. Powtóre możeby zrobił to spostrzeżenie, że całe opowiadanie Odyńca osnute jest na téj okoliczności, że w kancelaryi i sali egzaminacyjnéj znajdowało się tylko dwu młodzieńców, dwu kandydatów; gdyby ich było więcéj, to uczucie zawstydzenia i upokorzenia ze strony Mickiewicza a serdeczności ze strony Zana nie miałoby powodu ujawnienia się, gdyż byli sobie zupełnie obcy, nieznani, a potrzebaby szczególnego przypadku, żeby wśród większéj liczby spółubiegających się, obcych sobie młodzieństw, wylew zobopólnéj sympatyi tak szybko nastąpił. Wobec takich trudności, nie chcąc lekceważyć świadectwa Odyńca, mógłby autor zrobić jakieś przypuszczenie. Wiadomo z raportu Jundziłła, że egzamina kandydatów odbyły się 18 i 19 września. Jeżeli przyjęto pięciu, to zapewne zgłaszających się musiało być znacznie więcéj. Może przesłuchano 18 września wszystkich, oprócz dwu: Mickiewicza i Zana, którzyby tym sposobem zejść się mogli sami 19 września. Przypuszczenie to zapewne jest ryzykowne, trochę naciągane, ale ostatecznie przypadek taki zdarzyć się mógł; a tym jedynie sposobem opowiadanie Odyńca w znacznéj części ostać-by się mogło, lubo wypadałoby go, ze względu na ścisłość, znakiem zapytania zaopatrzyć. — Tymczasem autor, może nie chcąc przemazywać sceny tak pięknéj, która mu się tak harmonijnie zlewała z dalszym ciągiem stosunków filareckich, zamiast wchodzić w dokładny rozbiór podania Odyńca, sprostował tylko na końcu tomu III (str. 190) wiadomość o *jednym* wakansie i dodał lakoniczne zapewnienie: „Innym zresztą szczegółom opowiadania Odyńca o pierwszém spotkaniu się Mickiewicza z Zanem dokument ten nie przeczy.“ Widzieliśmy, że nie tak-to łatwo dojść można do uprzątnienia sprzeczności. Widzieliśmy, że opowiadaniu owemu brak tych szczegółów, któreby możność takiego spotkania się uczyniły widoczną i konieczną.

Nie można też nazwać ścisłą interpretacyi jednego szczegółu zawartego w „wiadomości o kandydatach stanu nauczycielskiego“ z d. 18 sierpnia 1816 r., gdzie podana jest tabela, w któréj zanotowano jako „przeznaczenie do nauki“ Mickiewicza — literaturę. P. Tretiak utrzymuje, że nie ma tu mowy o przedmiotach, jakich kandydaci obowiązani byli słuchać i jakich słuchali w przeciągu roku, ale tylko o téj gałęzi nauk, jaką obierali sobie do przyszłego zawodu nauczycielskiego. Zdaje mi się, że kandydaci musieli słuchać tych nauk, które im były potrzebne do przyszłego zawodu; bo i dziwném byłoby, gdyby przyszły nauczyciel fizyki, będąc w seminaryum, uczył się literatury... a przyszły nauczyciel literatury stu-

dyował fizykę. Przychylić się więc musimy do zdania p. Ziemby, który ów dokument ogłosił, iż w drugiém przynajmniéj półroczu Mickiewicz znajdował się już w oddziale literatury i sztuk pięknych. Gdybyśmy zaś chcieli wynaleźć pobudkę, którą p. Tretiak się powodował odrzucając ten wniosek, to możeby przyszło jéj szukać znowuż w predylekcyi do świadectw na wspomnieniach opartych, które twierdzą, że cały rok szkolny 1815/16 przebył Mickiewicz w oddziale fizyczno-matematycznym. Poznawszy ów dokument bezpośredni, trudno było autorowi rozstać się z tém, co już napisał i wydrukował; dlatego téż szukał środka utrzymania swego zdania i... znalazł go.

A przecież miał autor sposobność przekonać się, jak dalece ostrożnym być potrzeba co do świadectw opartych na wspomnieniach w zestawieniu dwu opowiadań o wierszu, który Mickiewicz, wyjeżdżając z Wilna, napisał w albumie dla narzeczonéj Ignacego Chodźki.

Opowiadania te pochodzą od dwu świadków naocznych: Ignacego Chodźki i A. E. Odyńca. Jeden z nich był zainteresowany w samym fakcie napisania wiersza, drugi czcił i kochał mistrza i starał się wszystko, co tegoż dotyczyło, najwierniéj w pamięci zachować. Chodźko spisał swoje wspomnienie w r. 1857, a zatém w 33-y lata po wypadku; Odyniec zaś w lat 61. Chodźko staje przed nami z owém albumem w ręku, Odyniec tylko z wierną pamięcią swoją. Obaj zaś opowiadają o tym samym wypadku zupełnie inaczéj. Ciekawy-to fakt i warto mu się przypatrzyć zbliska.

Opowiadanie Chodźki (1).

Była-to chwila, gdy młodzież w różne rozbijała się strony i przy czułych pożegnaniach rozmaitemi pamiątkami się udarowywała, najczęściéj kilką słowami, pisanemi na kartach, mających przy sercu każdego przebywać długie podróże, i razem z pamiątkami rodzicielskiego błogosławieństwa być im talizmanem, przypominającym ukochaną Litwę. Natenczas młodzieniec przyszedł do wieszcza,

Opowiadanie Odyńca (2).

...Otóż dnia 22 października (1824) ...wyszliśmy około północy, i zaraz z dziedzińca zadziwił nas widok światła we wszystkich oknach naszego mieszkania. Wnieśliśmy, ze Jeżowski ma gości, ale nie przewidzieliśmy jakich. Był nim pan kapitan kwartalny, Krukowski, który czekał właśnie na Adama, aby i jemu osobiście, jak przedtém już Jeżowskiemu, udzielić dla podpisu rozporządzenie wła-

(1) *Teka Wileńska* N. 3, str. 214 i 215, artykuł „Peryody życia“ spisany w Dziewiętniach 25 kwietnia 1857 r.

(2) *Kronika Rodzinna* r. 1883, N. 4, str. 101, artykuł: „Wspomnienia z przeszłości.“

uścisnął go serdecznie na drogę i rzekł mu:

— Adamie, wyjeżdżasz; wiesz, że mam się żenić; zostaw mi najdroższą twéj przyjaźni pamiątkę, kilka wierszy do méj narzeczonéj.

Uśmiechem miłym, a właściwym twarzy jego, w którym i piękność a dobroć jego serca i głębsze może natenczas współczucie dla zakochanego się odbijały, odpowiadając téj prośbie, usiadł on przy stoliku, wziął pióro w rękę i jeszcze raz ten uroczy uśmiech i wzrok czarnego a przenikliwego swego oka rzucając na narzeczonego—bardzo ją kochasz?—zapytał.

— Ha — odpowiedział ten — tak jak ty Maryę.

Wzrok poety zesmętniał.... wspierając on czoło na ręku, rzekł z cichém westchnieniem:

— Tak, tak, i tyś poeta!..

Zdawało się, że myśli i napisze: *kobieto, puchu marny* itd. Po krótkiéj chwili oddał on oczekującemu przyjacielowi kartkę, a na niéj znajome: *Nieznajoméj dalekiéj* i t. d. *Dla Ludwiki przyszłéj Ch... pisałem w godzinę przed oddaleniem się z Litwy 1824 r. 8-bra 22 d.*

dzy, ażeby pojutrze rano gotów był do wyjazdu w podróż do stolicy cesarstwa. Wiadomość tę, udzieloną grzecznie, Adam przyjął spokojnie, podpisał i— zostaliśmy sami. Cały ten wieczór, a raczéj noc tę całą, pamiętam zawsze jak wczora. O śnie nie było już mowy. Ale za dowód hartu duszy Adama i usposobienia jego w téj chwili może posłużyć następujący szczegół. Chodźko Ignacy, za ostatnią *przed kilku tygodniami* bytnością swą w Wilnie, prosił i zobowiązał Adama, ażeby do albumu narzeczonéj już jego, Ludwiki Mackiewiczówny, wpisał co przed wyjazdem na pamiątkę, i to album w tym celu w ręku mojém zostawił. Przypominałem o tém nieraz Adamowi, ale on zawsze odkładał napotém. W téj chwili album zgoła nie przyszło mi na myśl; ale on sam, nałożywszy fajkę i okrywszy się płaszczem, wyszedł do drugiego pokoju i po półgodzinném staniu przy piecu, podczas gdyśmy rozmawiali z Jeżowskim, powrócił, mówiąc do mnie, ażebym dał mu to album. Usiadł w drugim pokoju i wpisał w nie ów powszechnie znajomy dziś wiersz: *Nieznajoméj dalekiéj* itd. Nie pozwolił jednakże odczytać go wtedy przy sobie....

Wobec tych dwu tak różnych relacyj, jakże krytykowi zachować się wypada? Opowiadanie Chodźki jest niewątpliwie poetyczniejsze, niż relacya Odyńca, ze zwykłym trybem życia zgodniejsza; ale poetyczność ta czyż nie została osiągnięta kosztem prawdy? Jeżeli zawierzymy w zupełności Odyńcowi, to ani jeden szczegół w téj formie, jak został przez Chodźkę podany, utrzymać-by się nie dał. W takim razie nie mogłoby być prawdą, iż Chodźko otrzymał owę kartkę wprost od samego poety w dzień odjazdu, gdyż według relacyi Odyńca, Ignacy Chodźko przy ostateczném pożegnaniu Mickiewicza nie był; byli tylko: Odyniec, Aleksander Chodź-

ko, Ignacy Domejko, Korsak i Frejent, na pożegnalnéj zaś uczcie u Massalskiego również wymieniony nie jest. Powtóre nie mogłoby być prawdą, że kartka oddana mu została 22 oktobra (października), gdyż według Odyńca odjazd nastąpił 24. Wreszcie okoliczności, w których napisany był wiersz, nie mogłyby być takie, jakie Chodźko przytacza, t. j. Chodźko przy pisaniu go nie mógł być obecny.

Zgodność, jakiéj dopatrzéć chce p. Ziemba pomiędzy temi opowiadaniami, nie da się udowodnić przywiedzionym przezeń argumentem. „Wiersz bowiem—powiada p. Ziemba—mógł być w istocie wcześniéj ułożony, choć dopiero w godzinę przed odjazdem był może na czysto przepisany.“ Ależ według Odyńca ułożony był i wpisany, oczywiście na czysto, w album. Gdybyśmy chcieli utrzymać niektóre przynajmniéj części z opowiadania, musielibyśmy przypuścić, że owa rozmowa Chodźki z Mickiewiczem odbyła się kiedyś dawniéj, na kilka tygodni przed wyjazdem poety (a i to zapewne nie w téj formie) i że Chodźko oddanie mu albumu z wierszem przez trzecią osobę zlał, dla poetycznego efektu, w jednę chwilę z czasem owéj rozmowy. Dziwna tylko rzecz, iż Odyniec, który był spółpracownikiem *Teki Wileńskiéj*, gdzie opowiadanie Chodźki było pomieszczone, i oczywiście je czytał, nie ogłosił sprostowania żadnego i dopiero w lat 27 wydrukował całkiem odmienną od tamtéj relacyą,—P. Tretiak poszedł wprost za opowiadaniem Odyńca a o opowiadaniu Chodźki wypowiedział zdanie lakoniczne: „Sam ton deklamacyjno-sentymentalny tego ustępu wspomnień Chodźki zdaje się ostrzegać czytelnika o małéj wiarogodności opowiadania.“ Na zdanie to wypadnie się zapewne zgodzić; ale bądź-co-bądź pozostanie nierozstrzygniętą zagadka owego podpisu pod wierszem, iż był skreślony w godzinę przed oddaleniem się z Litwy, gdy według Odyńca odjazd nastąpił nie 22 lecz 24 października. Czyżby ten dopisek nie był autentyczny? Czyżby go ktoś z rodziny Chodźki a może on sam pod wierszem położył opierając się na tém, co mu wręczający album powiedział, a następnie zapomniawszy o tém, uważał go za notatkę samego poety? Czy téż mamy przypuścić pewną młodzieńczą chęć odznaczenia się przez największe zbliżenie daty napisania wiersza z datą wyjazdu? Czyżby dla tego szczegółu nie pozwolił Mickiewicz odczytać tego wiersza przy sobie?

Na jeden jeszcze punkt w krytyce źródeł zwrócić warto uwagę.

Wiadomo, że szczegóły o towarzystwach młodzieży wileńskiéj opierają się dotychczas wyłącznie prawie na świadectwach osób, które w nich żywy brały udział. Spisując swoje wspomnienia w wieku podeszłym, osoby te mimowoli patrzéć muszą z miłością na czasy

najpiękniejsze młodości swojéj, a ludzie, z któremi przebywali, zajęcia i zabawy, w których uczestniczyli, przedstawiają się im w blaskach zorzy porannéj. Krytycznego poglądu na osoby ukochane wymagać od nich trudno. Prócz tego mężowie ci, zgodnie z właściwém nam usposobieniem, które nie pozwala dopatrywać subtelnego stopniowania i cieniowania w cnotach i przywarach ludzkich, które nie pozwala nam widziéć zalet poza wadami i wad poza cnotami wraz z najróżnorodniejszém ich ugrupowaniem, przedstawiają nam z jednéj strony same doskonałości, z drugiéj zaś, bardzo nielicznéj, dającéj się sprowadzić właściwie do jednostki tylko, same ułomności. Znajomość natury ludzkiéj wogóle takiemu przedstawieniu rzeczy wiary zupełnéj dać nie może; lecz historyka, oprócz wzbudzenia w nim pewnéj nieufności do jednostronnych świadectw, nie upoważni do jakichś stanowczych zmian w tém, do czego świadectwa te się odnoszą. Pożądane mu więc będą dokumenta zostawione przez ludzi postronnych, którzy sprawie danéj przypatrywali się jako niezainteresowani w niéj bezpośrednio widzowie.

Dokument taki mamy jak dotychczas, tylko jeden, spisany około r. 1843 przez księdza Stanisława Jundziłła, byłego prefekta kandydatów, profesora w oddziale fizyczno-matematycznym. W tym charakterze znał on, jak powiada „prawie wszystkich“ filaretów i filomatów, „a to z lekcyj i egzaminów, gdy w fizycznym oddziale kursów słuchali i o początkowe naukowe stopnie ubiegali się. Otóż Jundziłł, przyznając, „iż w tak licznem zgromadzeniu było *kilku* rzadkiéj zdolności i najpiękniejszéj nadziei młodzieńców,“ stawia towarzystwu całemu szereg zarzutów, popierając je imiennemi przykładami. Rzecz warta zastanowienia, że zarzuty te są mniéj więcéj takież, jakie w najnowszych czasach starsze pokolenie literatów warszawskich robiło młodszemu z t. zw. *młodéj prasy*.

Najpierw tedy idzie oskarżenie téj młodzieży o „fałszywy kierunek,“ powtóre o „zarozumiałość,“ gdyż „poważali się wyrokować o zdatności, pracach i talentach najznakomitszych w uniwersytecie mężów i wedle urojonych mniemań.... jednych zbyt wynosili, drugich nie szczędząc *oszczerstwa*, jawną dotykali pogardą.“ Z zarozumiałością łączyła się, wedle Jundziłła, u „większéj części *ograniczona mierność*, wielu *niedołężność*.“ W całém tak licznem zgromadzeniu „mało było członków, którzy tą odrażliwą obyczajów nie odznaczali się szorstkością; a ci byli to sami tylko świeżo przyjęci, mianowicie staranniejszém wychowaniem ukształceni i duchem naczelników nie przeniknieni jeszcze młodzieńcy.“ Wreszcie zarzuca Jundziłł towarzystwu „duch korpusowy“ to jest, że szli ścieśnionym szeregiem, ławą: „Skwapliwi w poniżaniu wzrastających zdolności

wszystkiéj nie zagarnionéj jeszcze do ich związku młodzieży, sławili przed publicznością i wyższemi władzami zdatność, usposobienie, talenta miernych, a nawet niedołężnych towarzyszów swoich, i na wszystkie zyskowne, już w mieście już na prowincyach, posady gorliwie zalecali.“ Imiennie przytacza Jundziłł jako umysłowe miernoty lub niedołęgi: Jana Sobolewskiego, Jakóba Jagiełłę; jako opoja Ludwika Sobolewskiego, jako złego syna Franciszka Malewskiego, który „słuchał z zimną i występną obojętnością.... powtarzanych przez filaretów potwarzy“ na swego ojca, rektora uniwersytetu; jako niewdzięczników Jana Krynickiego, Fortunata Jurewicza, księdza Kalasantego Lwowicza. A nie chcąc się nad innemi przykładami rozwodzić, kończy sarkastycznym wykrzyknikiem: „Niechże kto mówi, iż towarzystwo było wzorową moralności i obyczajności szkołą!“

Gdy urywek z pamiętników Jundziłła, zawierający te zarzuty, został ogłoszony roku 1874 w „Obrazkach Litewskich“ Sobarrego (str. 69—88) żaden z żyjących do dziś dnia filaretów, o ile mi wiadomo, nie wystąpił z ich odparciem lub sprostowaniem; stąd téż położenie krytyka, który czasy owe poznaje tylko z materyałów drukiem ogłoszonych, jest bardzo kłopotliwe.

Jakże z kłopotu wybrnął p. Tretiak? Znał on świadectwo Jundziłła, nie mógł go pominąć, ale mu nie dowierzał. Stąd téż przedstawił charakter towarzystw młodzieży wileńskiéj według wspomnień filareckich, dodawszy króciutką krytykę zarzutów Jundziłła. Wspominając o „duchu korpusowym“ towarzystwa, nadmienia, że być może, iż przyjaźń zaślepiała niekiedy w sądzeniu o zdolnościach kolegów, ale zaraz dodaje, iż sam Jundziłł zbija poniekąd swój zarzut, gdy wzmiankuje, iż pieniądze pozostałe od potrzeb towarzystwa obracane były na wsparcie ubogich uczniów, nawet do niego nie należących. Inne zaś zarzuty nazywa tak błahemi, że nie warto ich rozbierać. A jednakże ograniczona mierność lub nawet niedołęstwo, zarozumiałość, nieposzanowanie zasług, brak czci dla rodziców, opilstwo, niewdzięczność nie są-to, zdaje się, zarzuty błahe, któreby tém zbyć można, iż Jundziłł był „szanownym, ale zrzędnym starcem.“ Wszyscy, co o Jundzille pisali, nawet filareci, zaznaczają jego prawość i zacność, a te przymioty do całkiem bezpodstawnych i lekkomyślnych oskarżeń chyba nie usposabiały. Jeszcze zarzut zarozumiałości i krytykowania powag można wraz z Karolem Kaczkowskim wyjaśnić tém, że starzy profesorowie, zwolennicy rutyny „nie mogli pojąć, jak młodzież bez ich opieki i kierownictwa sama sobie radzić może i upatrywali w tém pewne uchybienie dla siebie, lekceważenie tyloletniéj ich pracy i wyraźny dowód ich nieufności“— ale inne, co do zdolności i etycznego postępo-

wania nie dadzą się pedanteryą i zrzędnością tłómaczyć, a jaskrawo odbijają od tego świetlanego obrazu grona niemal seraficznego, jakie nam filareci ukazują. Tu więc głębsze wejście w sprawę byłoby nieodzowne. Do ułatwienia téj pracy krytycznéj i wogóle do wyświetlenia prawdy potrzebném byłoby wyjaśnienie zarzutów Jundziłła przez żyjącyzh do dziś członków towarzystwa filareckiego, o które niech mi tu upraszać ich będzie wolno.

II.

Krytyka twórczości poetyckiéj Mickiewicza dokonana zostala przez p. Tretiaka na tak szerokiéj podstawie psychologiczno-estetycznéj, z takiém wniknięciem w usposobienie lub chwilowy nastrój poety, z taką delikatnością, subtelnością i elegancyą, że można się wprawdzie na niektóre jéj wyniki nie zgadzać, ale trafność jéj całości uznać wypada.

Najmniéj może zadowalniajacemi są te ustępy, w których autor rozbiera utwory poety w duchu neoklasycznym i sentymentalnym. Wogólności zbyt malo, jak na studyum wyczerpujące, poświęcono im miejsca; rozbiór „Zimy miejskiéj" jest nader pobieżny; wiersz „Już się z pogodnych niebios" itd. użyty został właściwie tylko dla charakterystyki towarzystwa filomatów; w ocenie znanego nam tylko ze streszczenia poematu heroi-komicznego „Kartofla" niewłaściwie wymienia autor, jako poetów, co na utworzenie go wpływem swoim się złożyli, Homera, Wirgilego, Bojarda, Aryosta, Tassa, Kamoensa i Miltona (t. I, str. 80), gdy jako humorystyczny, a w części dydaktyczny, musiał się chyba zbliżać do innéj kategoryi utworów.

Ślady ckliwéj sentymentalności w „Kurhanku Maryli" widzi i należycie ocenia, ale podobneż ślady w „Dudarzu" i dwu obrazach z drugiéj części „Dziadów" (dwoje aniolków i dziewczyna) nie wydają mu się istotnemi. Zdaniem jego od zarzutu sentymentalności bronić ma owe obrazy ta okoliczność, że w nich nie występują rzeczywiści wieśniacy, ale w jednym sam poeta, w dwu drugich— żywioł szlachecki. Mnie się zdaje, że to, co autor na obronę ich przytoczył, wykazuje raczéj ich wadliwość. Wszakżeż nieprawda, nienaturalność sielanek XVIII i pierwszych lat XIX stulecia głównie na tém polega, że w nich niéma ani pasterzy prawdziwych, ani wsi rzeczywistéj, lecz tylko allegorye uczuć i poglądów tak zwanéj sfery dobrze wychowanéj, bawiącéj się w sielankę...

Rozbiór Ballad, któremu autor poświęca 112 stron tomu II, wybornym nazwać można. Takiego bogactwa trafnych spostrzeżeń, takiego subtelnego poczucia formy artystycznéj, takiéj miary w oce-

nie stosunku naszego poety do wieszczów niemieckich, żaden z dotychczasowych krytyków Mickiewicza nie okazał. Zgadzając się niemal w zupełności (bo chyba tylko w drobiazgach lub doborze wyrażeń różnicę zaznaczyć-by wypadło), polecam tę część pracy p. Tretiaka szczególnéj czytelników uwadze. Muszę tylko zrobić jedno faktyczne sprostowanie. Z powodu przypisku poety do ballady „To lubię,“ autor przypuszcza, że zrobiony on był dla cenzury. Ballada ta wraz z innemi była drukowana na wiosnę r. 1822. Cenzorem był ksiądz Kłągiewicz. P. Tretiak sądzi, że ksiądz ten „dając aprobatę na drukowanie ballady *To lubię*, mógł ściągnąć na siebie zarzuty, tém bardziéj, że *jezuici*, którzy mieli akademią w Połocku i posiadali znaczne wpływy, spoglądali na uniwersytet wileński niechętném okiem, obwiniając go o brak religijności.“ Nie przecząc pewnéj zasadności samemu domysłowi, ostatni jego motyw uważać musimy za wprost niemożliwy, gdyż jezuitów r. 1822 nie tylko w Połocku ale nigdzie w Rosyi nie było, zakon ten bowiem wywołany został z państwa rosyjskiego na dwa lata przedtém tj. na wiosnę r. 1820.

Analiza „Grażyny,“ tylokrotnie już piórem krytyków obrobionéj, nastręczyła autorowi sposobność wykazania, że jeszcze nie wszystko o niéj wypowiedziano. Bardzo zręcznie i bardzo umiejętnie wskazuje jéj strony silne i wadliwe, a sąd o całości streszcza w słowach, które za zupełnie trafne uznać wypadnie. „Zestawiwszy obok siebie—powiada—wszystkie wady i zalety *Grażyny*, ujrzymy z jednéj strony szlachetność i rodowitość pomysłu, uroczy koloryt, posągowość postaci, świetność języka, wspaniałość porównań; z drugiéj—niedostateczne obmyślenie powieściowego wątku, pewien brak ciepła, prostoty, szczerości epickiéj, wreszcie pobieżność niektórych ustępów. Na podstawie tego zestawienia trudno uznać *Grażynę* za skończone arcydzieło, jak to się powszechnie ją nazywa, chyba że nie będziemy do téj nazwy przywiązywać znaczenia zupełnéj doskonałości“ (t. II, str. 251). Trafnie zauważył autor, że w sposobie obrobienia tematu krzyżują się wpływy klasyczne z romantycznemi, ale niezawsze trafnie szczegółowe momenta krzyżowania się tego wykazuje. Tak np. mrok nocny, wśród którego wszystko prócz scen końcowych odbywa się w *Grażynie*, ma tchnąć, zdaniem autora, najczystszą romantycznością. „W epopei klasycznéj—mówi autor uzasadniając to twierdzenie—wszystko się zwykle dzieje przy oświetleniu słonecznem, dziennem i jutrzenka budzi człowieka do czynów i przygód, noc przerywa wszelkie prace, walki i zabiegi?“ Czyż tak jest rzeczywiście? Czyż cała dziesiąta pieśń Iliady (*Doloneja* (1) nie

(1) Kwestya autentyczności téj pieśni nie może tu miéć oczywiście żadnego znaczenia.

maluje zdarzeń i walk podczas nocy? Czyż cała niemal druga księga Eneidy, część czwartéj, ze sławném cytowaném powszechnie *Nox erat* etc., a daléj część piątéj nie opisuje wypadków nocnych? Cytuję oczywiście to, co się bezpośrednio przypomina, poszukawszy, znalazłoby się przykładów daleko więcéj. Jeżeli tedy to twierdzenie nie może się utrzymać wobec krytyki, to większą słuszność przyznać należy drugiemu, iż tło nocne zaznacza poeta klasyczny „ledwie *kilku słowami*, zostawiając resztę fantazyi czytelnika.“ Gdyby był autor użył wyrażenia *kilku wierszami* zamiast *kilku słowami*, byłby się bardziéj zbliżył do prawdy; ale natomiast nie mógłby już z taką swobodą rozwodzić się nad romantycznością kolorytu nocnego w *Grażynie*, gdyż ten można w zupełności zrozumiéć w granicach klasycyzmu.

Ocena „Dziadów“ bardzo szczegółowa, 116 stron tomu III obejmująca, zaznacza samodzielne stanowisko wobec dotychczas ogłoszonych rozbiorów (Cybulskiego, Tarnowskiego i in.). Zastanowiwszy się najprzód nad drezdeńskim planem poematu tego i wykazawszy doniosłość idei poświęcenia, w nim panującéj, przechodzi autor do wcześniejszego chronologicznie wileńskiego planu, który domysłem tylko uzupełnić można, gdyż, jak wiadomo, istnieją tylko fragmenta części pierwszéj, oraz część II i IV-a. Według hipotezy autora plan ten powstawał i rozszerzał się stopniowo. Poeta chciał odtworzyć niewielkie jeszcze wówczas pasmo życia swojego i rozpoczął od chwili ostatniéj, kiedy z walki uczuć wyszedł „posępny, cierpiący i gorzki.“ Porównał się wtedy do upiora i napisał wiersz pod tym tytułem. To był zawiązek przyszłych „Dziadów.“ P. Tretiak się domyśla, że po tym wierszu miało nastąpić przedstawienie pokuty tego upiora, „jakby zagrobowe zwierciadło, odbijające obraz miłości, cierpień i samobójstwa, przebytych przez upiora za życia.“ Ale poeta rozmyślając nad tém, w jaki sposób ma się objawić upior kochance, przypomniał sobie tajemniczy obrządek wywoływania dusz nieboszczyków. Myśl skojarzenia „Dziadów“ z historyą swéj miłości i swych cierpień tak mu się podobała, że całemu poematowi postanowił wtedy dać nazwę „Dziadów“ i szeroko rozwinąć obraz tego obrządku. Tak miał powstać plan części, która się dziś nazywa drugą a któréj jeszcze wtedy nie poprzedzała pierwsza, tak że ona sama właściwie pierwszą była. Następną częścią miało być to, co stanowiło według pierwotnego planu, jeżeli nie jedyną, to przynajmniéj główną treść „Upiora,“ mianowicie przedstawienie Gustawa w scenach z kochanką i jéj otoczeniem. W trzeciéj zaś zrzędu części, czyli w dzisiejszéj czwartéj, miała się odegrać powtórzona dla nauki scena samobójstwa; ale poeta nie przewidywał jeszcze zape-

wne, do jakich rozmiarów ta część się rozrośnie, ile wciągnie w siebie tego, co właściwie należéćby było powinno do części poprzedzającéj, nie przewidywał, że ostatnia część zagłuszy przedostatnią i „uczyni ją niejako zbyteczną.“ W końcu przyszła poecie myśl pokazania upiora Gustawa, jakim był za życia, jeszcze przed poznaniem kochanki i po tém poznaniu aż do chwili samobójstwa. Potrzeba tedy było do trzech części dawniejszego planu dodać czwartą, która naturalnie pierwsze musiała zająć miejsce (tom III, str. 19—28).

Ta hipotetyczna gieneza planu, który, jak wiadomo, nigdy w całości wykonanym nie został, wiele ma prawdopodobieństwa; jeden tylko uczyniłbym tu zarzut, iż w planie tym część III według wyznania samego p. Tretiaka byłaby „niejako zbyteczną.“ Gdyby poeta przy drukowaniu części II i IV nie miał jakiegoś pomysłu, któryby wypełnić mógł część III, nie wiadomo, dlaczegoby koniecznie aż na 4 części poemat swój rozciągał. „Niejako zbyteczną“ część ta w pomyśle Mickiewicza być chyba nie mogła.

W rozbiorze szczegółowym „Dziadów“ zastanowił się autor dokładnie nad II i IV częścią. Drugą bierze w szczególniejszą obronę przeciw krytykom, co ją osądzili surowo; czwartą natomiast, jakby dla zrównoważenia nagan i pochwał, surowéj poddaje cenzurze. Według p. Tretiaka część II to „jakby Komedya Boska w miniaturze z tą główną różnicą, że tu nie żywi kroczą w świat umarłych, ale umarli przybywają do żywych; raj reprezentowany jest przez dwoje małych dzieci, które przylatują z raju po dwa ziarnka gorczycy; piekło—przez okrutnego pana, którego ciało szponami i dziobami szarpią sowy, puhacze i kruki, pośrednia wreszcie sfera—przez dziewicę, któréj duch skazany jest na błądzenie między niebem a ziemią.“ Myślą zasadniczą téj II części jest odpowiedzialność na tamtym świecie za czyny dokonane na tym: dwoje owych dzieci, dwoje aniołków wyobraża „stan woli nierozwiniętéj,“ która ani win ani zasług właściwych nie ma, stąd aniołki są wprawdzie w raju, gdzie im lepiéj niż u mamy, ale do nieba dostać się nie mogą; okrutny pan—jako wyobraziciel woli ku złemu skierowanéj—cierpi kary straszniejsze od piekielnych, a dziewczyna między niebem a ziemią ulatująca, jest przedstawicielką „woli jałowéj.“

Zgodziwszy się nawet na to, że myśl poety w II części „Dziadów“ była taką, jak ją p. Tretiak przedstawia, jeszcze tém samém nie możemy przyznać, że znakomicie przeprowadzoną została. Jeden tylko okrutny pan, którego karę odmalował poeta potężnie, może być poczytany za wyobraziciela idei społecznéj wielce donio-

słéj; aniołkowie zaś i dziewica nie mogą nawet co do ważności swojéj być z nim zestawionemi, a z powodu fałszywego sentymentalnego kolorytu muszą być poczytywane za chybione w wykonaniu wbrew usiłowaniom p. Tretiaka wydźwignięcia ich na wyżyny poetyckie.

Przy téj sposobności winienem odpowiedziéć na zarzut, który mi zrobił autor z powodu, że cudowność w „Dziadach" potępiłem. Zdaje mi się, że nie zrozumiał mię należycie, kiedy powiada, że wobec mojego zapatrywania żadne z arcydzieł ostać-by się nie mogło, ani Iliada, ani Odyseja, ani Boska Komedya, ani Raj Utracony.—Bynajmniéj; zarzut mój do tych i tym podobnych utworów się nie odnosi. Mnie raziła i razi nie cudowność, ale tylko sprzeczność w samym umyśle poety, nie wierzącego w zabobony a przecież chcącego czytelnika przejąć wiarą w tego rodzaju objawy. Iliada i Odyseja powstały w czasach, kiedy zarówno poeta jak słuchacze wierzyli w bóstwa, były one więc w poematach zupełnie na miejscu. Boską Komedyą i Raj utracony pisali ludzie również gorąco wierzący w prawdziwość tych cudów, które opiewali, a zwracali się do publiczności, która w atmosferze téj wiary żyła i działała... A Faust? Zapewne Goethe pisząc ten poemat, nie wierzył w dyabła i możność przywoływania go; pisał dla ludzi, których większość tę niewiarę podzielała. Ale tu przynajmniéj sam przedmiot wymagał cudowności téj; poetyczne obrobienie podania o Fauście bez dyabła nie miałoby właśnie rzeczy najcharakterystyczniejszéj, bo ściśle związanéj z epoką, w któréj podanie powstało. W „Fauście" zatém materyał nie tylko uprawnił użycie cudowności, ale jéj żądał. W „Dziadach" taka konieczność nie zachodziła; poeta przedstawiał samego siebie, a więc człowieka XIX w., pisał dla czytelników, z których część tylko w upiory wierzyła (o ludzie bowiem nie może tu być mowy); cała tedy cudowność musiała miéć znaczenie jakieś konwencyonalne, nadane jéj przez naśladownictwo poezyi ludowéj i utworów romantyki. Zrozumiéć i usprawiedliwić użycie téj formy przez Mickiewicza nie trudno; ale nie idzie zatém, ażebyśmy samę formę za doskonałą poczytywać mieli.

Zarzuty porobione części IV są wogóle bardzo trafne. Ale nie możnaby się zgodzić na pewne obniżenie wartości „Wertera", a to celem podniesienia poetycznéj doniosłości „Dziadów." Niszcząca potęga miłości w utworze Goethego dobitniéj i wszechstronniéj została wyrażona (Werter-Lotta, Henryk-Lotta, parobek-gospodyni) aniżeli w poemacie Mickiewicza, lubo co do wyrażenia siły uczucia „Dziady" górują nad „Cierpieniami Wertera."

III.

Zadanie swoje jako historyk pojął autor rozumnie. Zna on dobrze warunki rozwoju człowieka i dlatego, obok badania przygód życia i duszy jednostki, szeroko uwzględnia czas i otoczenie, w którém jednostka ta snuła tkankę swego bytu.

A więc gdy ma mówić o życiu uniwersyteckiém Mickiewicza, przedewszystkiém przedstawia nam w dość szczegółowym zarysie stan tego uniwersytetu, a następnie stosunki wileńskie w jego różnorodnych objawach: towarzystwo wolnomularskie, „klub“ Szubrawców, szerzenie się mezmeryzmu, dziennikarstwo, teatr, zabawy i rozrywki. Jeżeli czego w tym obrazie brakuje, to chyba owych uroczystości naukowych, które łączyły uczonych z szerszą publicznością, owych publicznych posiedzeń uniwersytetu, dwa razy do roku odbywanych, których zewnętrzna okazałość budziła mimowolne wśród tłumu uszanowanie dla przedstawicieli umiejętności i dla niéj saméj.

Gdy autor mówić zamierza o pierwszych próbach poetyckich, zaznacza zaraz wpływ profesorów oraz tych poetów, którzy byli ulubionemi wtedy wzorami Mickiewicza. Tu pożądanym byłby obraz ówczesnego stanu poezyi na Litwie, ktora w początkach naszego stulecia obfitowała w niesłychaną przedtém liczbę wierszopisów. Pomiędzy rokiem 1815 a 1819 t. j. za czasu pobytu Mickiewicza w uniwersytecie wileńskim naliczyłem przeszło 70 nazwisk, podpisanych pod krótszemi i dłuższemi wierszami, pomieszczonemi w owoczesnych pismach peryodycznych. Jest zatém obfity materyał do zobrazowania poezyi, z jaką Mickiewicz codziennie się stykał.

Gdy autor pragnie odmalować nową fazę w rozwoju duszy poety pod wpływem życia koleżeńskiego i miłości, opowiada szczegółowo o znajomych i przyjaciołach, o towarzystwach przez nich zawiązywanych, o okolicznościach poznania się z Marylą. Dla uzupełnienia tego pięknego obrazu, potrzebny byłby rys życia niewieściego w Wilnie i na prowincyi. Niewątpliwie trudno o taki zarys, gdyż mało mamy świadectw w téj mierze; ale ostatecznie na podstawie szczegółów z pism peryodycznych, zwlaszcza „Wiadomości Brukowych,“ oraz Wspomnień Odyńca dałby się ułożyć chociaż skromny szkic tego życia, że tak powiem, salonowego, które zarówno na obyczaje jak i na twórczość poetów niewątpliwie wpływało.

W dokonaniu trudnéj pracy zlania tych różnorodnych wpływów w jednę całość z jednostkowém życiem poety, czyli innemi słowy, w wykazaniu łączności pomiędzy atmosferą duchową a tym

umysłem, który nią oddychał, niezawsze sprzyjało szczęście autorowi. Po odczytaniu jego trzytomowéj pracy doznaje się takiego wrażenia, jakby się poznało szereg rozpraw, nie zharmonizowanych w jeden organiczny utwór: różnorodne wpływy są zestawione tylko ale nie zlane; osobistość poety nie tylko że ginie czasami wśród innych osób otaczających lub akcesoryów, ale nadto nie widzimy wyraźnie tego stopniowania w jéj rozwoju, jakie przedstawić byłoby zadaniem historyka; lecz musimy je sobie sami układać.

Jeżelibyśmy chcieli sobie wrażenie to rozumowo choć w chęci wyjaśnić, to doszlibyśmy może do odszukania przyczyn w cokolwiek wadliwym układzie pracy.

U autora urywanie wątka opowiadania i nawiązywanie go późniéj w sposób sztuczny, za pomocą frazesów (zamiast organicznego, przez sam rozwój wypadków), widzimy dość często. Zaraz na początku pracy, opowiedziawszy w 1-m rozdziale poetyczne owo poznanie się Mickiewicza z Zanem rozpoczyna rodział II od frazesu: „Dzieje téj przyjaźni zostawiając na późniéj, przypatrzmy się teraz“ i t. d. I rzeczywiście dopiero w części II, na str. 98 wraca do Zana. Podobnież mniéj właściwie po przedstawieniu zawiązków towarzystwa filomatów urywa opowiadanie o jego wpływie na twórczość Mickiewicza, ażeby wrócić do tego przedmiotu dopiero pod koniec tomu. Może autor zechce się zasłonić różnicą chronologiczną? Ależ można na to odpowiedzieć, że rocznikarzy tylko obowiązywało szeregowanie faktów według dat, nie zaś według ich wewnętrznego związku. Chronologii pilnować się ściśle potrzeba, to rzecz niewątpliwa, ale nie należy być jéj niewolnikiem. Ze zbytecznego, bo niepotrzebnego trzymania się następstwa dat w szczegółach wynikły częste powtarzania i nawroty (t. I, 67, 71, 220).

Drugą cechę opowiadania p. Tretiaka, któréj skutkiem jest rozpraszanie wrażenia, upatruję w tém, że autor bardzo często porzuca narracyą historyczną, ażeby zrobić jakąś wycieczkę krytyczną co do wiarogodności świadectw, służących za materyał opowiadania. Tak np. zaraz na str. 36 tomu I wspomniawszy, iż było dwu prezydentów towarzystwa Szubrawców: Jakób Szymkiewicz i Jędrzéj Śniadecki, pomieszcza stronicowy ekskurs, w którym przeprowadza polemikę z p. Ottmanem co do osoby Kazimierza Strawińskiego, trzeciego jakoby prezydenta. Rzecz oczywista, że czytelnik pragnąłby się dowiedzieć saméj historyi Szubrawców, nie zaś sposobu, w jaki się do jéj ułożenia dochodzi. Zapewne są tacy, których w wysokim nawet stopniu interesuje ten sposób, ale ci woleliby o niéj dowiedzieć się z przypisku lub osobnéj rozprawki. Przenoszenie czytelników z szerokiéj widowni dziejów do pokoju histo-

ryka, mozolącego się nad sprawdzaniem opowiadań o zaszłych zdarzeniach, rozrywa jednolitość wrażenia, psuje to złudzenie, jakobyśmy sami patrzyli na rozwój wypadków za pośrednictwem czarodziejskiéj sztuki dziejopisa, wprowadza najniepotrzebniéj osobę autora tam, gdzie ona być nie powinna, miesza wypadki dawne z rozumowaniami nowoczesnemi. Takie wycieczki na pole krytyki są niewątpliwie pożyteczne dla oceniacza dzieła, gdyż dają możność zajrzenia w metodę autora; ale nie są bynajmniéj pożądane ze względu na ideał dziejopisarstwa — przedmiotowego odtworzenia przeszłości. P. Tretiak zaś częstuje czytelników obficie takiemi ekskursami krytycznemi, które niekiedy dość pokaźne przybierają rozmiary. Nie myśląc wyczerpywać całego ich spisu, wskażę tylko główniejsze; w tomie 1-ym oprócz już zaznaczonego, znajdujemy je na str. 57—9, 79, 89, 133, 147, 227; w tomie II na str. 2, 44, 138, 155.

Zresztą, zapewne autor sam podziela owo zapatrywanie na potrzebę usunięcia osoby dziejopisa z widowni opowiadanych przezeń wypadków, w których przecież nie brał udziału; — tylko nie mógł inaczéj się urządzić ze względów zewnętrznych. Praca jego drukowaną była częściami w czasopismach, których redaktorowie oczywiście na osobne dodatki (ekskursy) do artykułów nie zgadzają się, a przypisków, zwłaszcza dłuższych, pomieszczać nie lubią. Autor nie chcąc zmarnować swéj pracy nad porównaniem i oceną krytyczną źródeł, wolał już może zadać gwałt swemu przekonaniu co do kunsztu dziejopisarskiego, niż wyrzucać albo raczéj do innéj czysto-krytycznéj rozprawy zachować porobione notatki. Inni, mając dać przedruk książkowy pracy swéj pomieszczonéj w czasopismach, radzą sobie inaczéj: wynik swoich studyów podają w piśmie peryodycznèm, a dowody lub ekskursy drukują oddzielnie i dołączają do odbitki.

Zresztą i pod względem samego układu okoliczność powyższa zaszkodziła pracy p. Tretiaka jako dziełu. Artykuł pomieszczony w czasopiśmie musi być choć do pewnego stopnia zaokrągloną w sobie całostką: musi miéć jakiś wstęp i zakończenie. W pracy większéj, któréj artykuł pojedyńczy stanowi tylko cząstkę, wstępy i zakończenia stają się zbyteczne. Czuł sam autor niedogodności takiego sposobu ogłoszenia swego dzieła, i tłómaczy się z nich na czele „sprostowań, uwag i dopełnień“, pomieszczonych w końcu tomu III. „Autor ukończywszy swą pracę — powiada p. Tretiak — nie mógł jéj poddać ostatecznemu własnemu przeglądowi krytycznemu i w skutek tego nie mógł oczyścić jéj z usterek, których nie dostrzegł przy częściowém drukowaniu, wyrzucić z niéj tego, co mu się wydało zbytecznèm, ani uzupełnić jéj w niektórych szczegółach;

nie mógł, bo większa część jego pracy, znieruchomiona w druku, nie poddawała się już kreśleniu i dopisywaniu“ (t. III, str. 189). Zapewne jest tu część winy autora, ale znaczniejsza część tkwi w tém położeniu piśmiennictwa naszego, że prace obszerniejsze, nie znajdując chętnych nakładców w formie książkowéj, szukać muszą gościny w czasopismach, mających właściwe sobie, a różne od książki, wymagania.

Polszczyzna w całém dziele prawie zupełnie nieposzlakowana. Styl wszędzie jasny, dobitny, giętki i poprawny. Gdzieniegdzie z poza trzeźwéj, analitycznéj prozy wychyla się kwiat poetycznego porównania, zawsze dobrze przeprowadzonego i we właściwym tonie utrzymanego. Czasami tylko pojawi się frazes, który nie ma podstawy ściśle logicznéj, lecz użyty został jedynie dlatego, że wśród mas do beletrystyki przywykłych, może sprawić pewien efekt. Mówiąc np. o wierszu Mickiewicza „Już się z pogodnych niebios,“ powstałym pod wpływem towarzystwa filomatów, powiada: „Przyjaźń nie rozniecila jeszcze była w jego sercu tak wielkiego ogniska, żeby w niém stopniéć mogły żelazne pęta klasycyzmu“ (I, str. 116). Czyż w tém zdaniu można znaleźć istotną logiczną podstawę? Wszak uczucie przyjaźni nie datuje od czasów romantyzmu; można było być zagorzałym klasykiem, a mimo to najlepszym, najgorętszym przyjacielem; największe nawet ognisko przyjaźni rozniecone w sercu klasyka nie uczyni z niego romantyka, jeżeli inne czynniki (rodzaj fantazyi, rozumowe przekonanie o formach estetycznych) nie zostaną w ruch wprawione.

Takich atoli frazesów, któreby tylko frazesami nazwać wypadło, jest w dziele p. Tretiaka bardzo mało i nie robią one uszczerbku pracy sumiennéj i z talentem dokonanéj, która bogactwo naszéj literatury krytycznéj powiększa.

P. Chmielowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Marcin Kromer, historyk polski XVI wieku, rozbiór krytyczny, napisał Ludwik Finkel. Osobne odbicie z XVI tomu Rozpraw wydziału histor. filozof. Akademii Umiejęt. w Krakowie 1883.

Niewiele dotąd mamy w naszém piśmiennictwie prac poświęconych rozbiorowi dzieł pisarzy historycznych polskich, dlatego każdy w téj gałęzi nauki przybytek jest nam wielce pożądany, zwłaszcza jeśli odznacza się takiemi zaletami, jak nowe dzieło dra Finkla, w którém z oceną historyi Kromera łączy się ścisła analiza poglądów historyka, źródeł i metody przezeń użytéj. W danym razie sposób to tém szczęśliwszy, że wartość historyczna dzieła Kromerowego niewielka, a natomiast pada zeń niemało światło bądź to na teorye i dążenia polityczne epoki dziejopisowi spółczesnéj, bądź też na przekonania religijne i stosunki obywatelskie. Wielce potrzebną tu rzeczą zapoznanie się z postacią Kromera, boć on w tym razie jest przedstawicielem i rzecznikiem swego czasu.

Osobistość to, rzec można, niezwykła. W umyśle jego przeważnie rozwinęła się jedna idea, któréj gorliwym szermierzem pozostał do śmierci: potrzeba ustawicznéj walki z reformacyą. Podkład takiéj organizacyi umysłu dało wychowanie i studya. Wychowanie było ściśle katolickie, dalekie od budzących się na Zachodzie prądów reformatorskich. Ukończywszy akademią krakowską, poświęcił się stanowi duchownemu, pilnie studyując filozofią i literaturę. W młodzieńczym już wieku wydał zbiór krótkich zdań moralnych, narzekając w przedmowie na zepsute czasy i nowatorstwo religijne Pobyt we Włoszech, gdzie humanizm stał się sługą reakcyi katolickiéj, wpłynął nań stanowczo w dwóch kierunkach: ustalił religijne przekonania, i w wytwornéj łacinie dał silną broń do walki z zepsuciem wogóle, a osobliwie z reformacyą. Poczyna on od przekładu

mów Złotoustego, od polemicznych dyalogów p. t. Rozmowy dworzanina z Mnichem i odtąd przez całe życie we wszystkich dziełach, przy każdéj sposobności usiłuje przeprowadzić myśl, że panowanie na świecie należy się religii katolickiéj i jéj apostołom—katolickim duchownym. „Cóż jest większego, woła w jednéj mowie, cóż znakomitszego, co bardziéj boskiego nad stan kapłański!“

Nadto zwolennik możnowładztwa świeckiego, a zacięty wróg szlachty, odważnie rzuca kamieniem na sejm, ignoruje i lekceważy dobre strony szlachty „gwałcącéj, jak powiada, prawa boskie i ludzkie.“

Przytulił się do kancelaryi królewskiéj i za łaską króla i możnych duchownych szedł ciągle w górę aż do biskupstwa warmińskiego, używany do licznych posług poselskich osobliwie na dwór cesarza Ferdynanda. Jednakże politykiem nie był. Nie posiadał giętkości i łatwości godzenia się z pojęciami innych ludzi. Szorstki, często cierpki ciął prawdę w oczy, nie bacząc na osobę; nawet Maksymilianowi odpowiada niegrzecznie, jak to widać ze szczegółowéj relacyi o poselstwie jego w sprawie sum neapolitańskich (1). Zresztą był uparty w swych przekonaniach i łatwowierny. Rękopism 350 Bibl. Ossol. zawiera kilka nieznanych listów Kromera, pomiędzy innemi list do króla z 1553 (str. 89—93), gdzie o Ferdynandzie i Maksymilianie tak się wyraża: „optantque iidem Maiestati vestrae prosperrimos quosque successus rerum non minus, quam ipsi sibi.“ Przyszłość okazała to najlepiéj.

Takim był Kromer: fanatyczny niemal szermiesz idei katolickiéj, konserwatysta Polak, jako polityk krótkowidzący i łatwowierny, jako człowiek cierpki a prawdomówny, wytrwały, uparty, nieporównany stylista i wielbiciel formy, wytrawny w polemice, a nad to wszystko mający w swych wyobrażeniach lekki odcień pessymizmu.

Oto w grubych rysach charakterystyka Kromera na podstawie pracy d-ra Finkla. Nie wszystko to jednak i nie w takim ciągu monografia zawiera i ta jéj część, o któréj tu mowa, zdaniem naszém—najsłabsza. Dr. Finkel uwzględnia wprawdzie w charakterystyce Kromera te osobliwie rysy jego umysłowości, które w jakikolwiek sposób zabarwiły dzieło tegoż; czyni to jednak nie tak szczegółowo i nie z taką świadomością, jakby można pragnąć.

Autor pod „względem historyograficznym albo literackim“ w badaniu rozumie rozbiór metody pisarza, śledzenie w dziele cech znamiennych, będących wyłączną właściwością pisarza lub epoki.

---

(1) Al. Batowski: Poselstwo Kromera str. 55.

Jest to analiza, że tak powiem, odśrodkowa, od dzieła do jego autora „o ile się z kart pracy wychyla.“ Być może, że prowadzi ona niekiedy do pozytywnych wyników, i to tylko wówczas, gdy epoka, z któréj pochodzi dzieło, bliska, autor jéj znany, gdy wiadome liczne wpływy, drobne pobudki i motywa, tworzące dzieło. Boć zdaje mi się, że obok rysów plastycznie wychylających się z kart dzieła, weszły weń inne, głębiéj ukryte, a jeśli epoka oddalona, zasnute, jak mgłą, biegiem czasu i zapomnieniem wypadków. Aby je rozjaśnić, należy poznać autora, nie „o ile się z kart dzieła wychyla,“ ale wogóle, a rysy pozbierane zewsząd, z całego życia przykładać do poglądów autora w dziele. Będzie to zatém badanie na szerszą skalę, w stosunku do dzieła—dośrodkowe. Wówczas tylko geneza może być zupełną i dokładną. Dr. Finkel pilną uwagę zwrócił tylko na jeden rys: na katolickie wyobrażenia. Inne, jeśli i są w monografii, to tylko przy sposobności, jakby w nawiasach, porozrzucane w różnych miejscach na stronach 37, 54, 101, 111, 114, 116. Nadto z innych dzieł Kromera np. z Polonii, ze znanéj już korespondencyi w Hosianach (Acta historica Pol. t. IV), z materyałów ogłoszonych przez Eichhorna, Walewskiego, Batowskiego lub zalegających jeszcze w rękopismach dałoby się zebrać więcéj cech, o czém świadczy choćby tych parę dowodów nieudolności dyplomatycznéj i łatwowierności Kromera, znalezionych w rękopiśmie 350 B. O.

Historya, do któréj przystąpił Kromer za pobudką Zygmunta Augusta i w poczuciu potrzeby podobnego dzieła, nie jest pracą jednolitą. Początkowa księga, pisana jednym ciągiem, zawiera wywód Słowian. Powstała ona po roku 1545. Niebawem po jéj napisaniu nastąpiły przerwy w pracy, nieustanne poselskie wycieczki, które jéj przeszkadzały, absorbując czas i rozrywając umysł. To téż dalsza część historyi—nie oryginalna wcale. Stosunek jéj zależności bądź to od Długosza, bądź od Wapowskiego i innych kreśli dr. Finkel w drugiéj części swéj pracy. Jakkolwiek Kromer niezbyt pochlebnie wyraża się nieraz o Długoszu, że powikłał to lub owo, popełniał błędy, gmatwał i mącił; to jednak sam korzysta zeń w sposób dziś nieuchodzący, powtarza za nim dosłownie, podziela nawet jego sympatye i antypatye. W odpisywaniu atoli zachowuje dwie reguły:

a) Streszcza mniéj ważne ustępy.

b) Ściąga pojedyńcze cząstki, rozsypane po dziele Długosza, a do jednéj odnoszące się sprawy.

Ściąganie to ma strony ujemne i dodatnie.

Usiłując opowiadać dzieje sposobem pragmatycznym, nie umiał wiązać wypadków pasmem przyczyn i skutków, a po odrzuceniu

kronikarskiego „potém,“ „roku następnego,“ wypadki kolejne zanadto się z sobą zlewają.

Nadto częstokroć chronologicznie sprawy zmieszał. Np. skutkiem takiego łączenia wypadków u niego, po napadzie Mendoga z r. 1260 uderzają dopiero Krzyżacy z Ottokarem czeskim na Prusy i „tychże właśnie czasów“ zakładają Brandenburg, podczas gdy wedle Długosza odbył się napad Mendoga 1260, wyprawa Ottokara 1255, a założenie Brandenburga 1274. Zachowuje jednak przy tém ściąganiu pewien krytycyzm. Rzeczy, które uznaje za ważne, kreśli obszerniéj, inne krótko. Unika sprzeczności, znajdujących się u Długosza, unika licznych powtarzań się jego, a tu i owdzie prostuje błędy. Wplata nadto własne sentencye, aluzye do stosunków spółczesnych, wzmianki o współczesnych wypadkach lub ustępy do protektorów i przyjaciół.

Ponad Długosza wznosi się Kromer formą, brak mu jednak konstrukcyjnego talentu. Obok Długosza używał, jako źródeł, innych dziejopisów i dokumentów. W czerpaniu z Wapowskiego stosuje metodę wzmiankowaną wyżéj; niekiedy uzupełnia go lub inaczéj rzecz przedstawia. Siedemnaście przykładów takich zmian podaje autor.

Co się tyczy dokumentów, zasługą Kromera, że pierwszy między naszymi pisarzami dziejów określił jasno i dobitnie ich wartość. A miał ich ilość ogromną. Porządkujac z polecenia podkanclerzego Ocieskiego archiwum koronne, musiał przejrzéć i streścić znajdujące się tam dokumenty; prócz tego miał przystęp do archiwów kapituły krakowskiéj, heilsberskiéj, praskiéj, — i korzystał z udzielonych mu prywatnie odpisów lub oryginałów. W samém archiwum koronném miał 650 dokumentów do czasów przezeń opisanych. Cóż z tego, kiedy nie potrafił ich wyzyskać. Nawet użycie aktu jakiegoś zależało od pobudki zzewnątrz, od tego, czy znalazł miejsce w Długoszu, do któregoby mógł treść aktu nawiązać. Tak dalece brakło mu umiejętności kreślenia z surowych materyałów dziejowego obrazu. Skutkiem tedy umiejętnego i krytycznego zbadania źródeł, z których czerpał Kromer treść swéj książki, zakres jego samodzielnéj pracy okazuje się dość szczupłym. Materyałem władał obfitszym, niż Długosz, na posługi miał stosy dokumentów, a pomimo tego szedł po większéj części niewolniczo za którymkolwiek z poprzedników, albo wyzyskiwał dokumenta nieumiejętnie, zestawiając różne zdania obok siebie bez wyboru. Ta część rozprawy d-ra Finkla bez wątpienia potrzebowała największego nakładu pracy.

Nadzwyczaj żmudne, mrówczéj wytrwałości i czujnego oka wymagające kontrolowanie tysiąca drobnych szczegółów wielkiego dzieła z przedstawieniem ich u innych dziejopisów, przynosiło na domiar złego wyniki ujemne, co bynajmniéj nie zachęca do dalszego badania. Pomimo tego autor z wielką ścisłością wnika niemal w drobne rysy, każdy wniosek popiera licznym szeregiem przykładów, a jeśli można wytknąć tu lub owdzie powtórzenie jakiéj myśli, jeśli można zarzucić, że np, porównanie Kromera z Wapowskim idzie po zestawieuiu tegoż z innemi, mniejszéj wagi źródłami, to usterki te nikną i wcale nie zmniejszają ceny pracy.

Wykazawszy zależność Kromera od poprzedników, podnosi dr. Finkel to, co stanowi własność autora historyi. Przy sposobności téj ocenia metodę Kromera, rozbiera tendencyą, a oraz zaznacza poglądy dziejopisarza na kwestye społeczne epoki.

Jedyną oryginalną częścią dzieła jest księga I-sza, zajmująca się wywodem Słowian. Tu okazują się w pełni polemiczne zdolności Kromera. Cytuje zdania poprzedników: jedni wywodzą Słowian do synów Noego, drudzy identyfikują ich z Wandalani. Pierwsze uznaje za zbyt odległy rodowód drugi zbija. Sam stawia kruchy wywód Sarmatów od Asarmaty, wnuka Noego. Jak widzimy, i ta oryginalna część posiada pewną wartość chyba dla tego, że zbija twierdzenia mylne poprzedników. Dla historyi dzieło Kromera nie ma wielkiego znaczenia. Większą cenę, posiada ono pod względem historyograficznym.

Kromer czynił zadość potrzebom wieku.

Historyk był zarazem filozofem, moralistą; to téż Kromer lubował się w zbieraniu zdań moralnych i przysłów. Historya nie była już zbiorem, ciekawych wypadków i anegdot, spisem monarchów i ich czynów. Kromer téż pisze. „Aczkolwiek ja historyą moję przez króla i monarchy przewodzę, jednak ku temu usiłowanie moje zmierza, aby nie tak dalece samych królów i książąt, jako narodu polskiego sprawy dzielne przebiec.“

Humanizm pojmował historyą, jako „ars.“ Przymiotem jéj koniecznym miał być styl piękny i klasyczny. „Kromer wyraża się zazwyczaj krótko, zwięźle, frazesy jego wyszukane, zaczerpnięte u starożytnych pisarzy; jest i wymagana jędrność stylu i mowy piękne, które przystraja w cycerońskie szaty.“ Pomimo suchości i wad treści czyni to wszystko na współczesnych wielkie wrażenie zwłaszcza, że nie znali źródeł, z których czerpał historyk. Dzieło więc było cenione, rozbiegało się szybko, a cząstkę takiéj wziętości zawdzięczało może tendencyi.

Dzieli ją autor na zewnętrzną i wewnętrzną. Przed Europą głosił Kromer chwałę swego narodu, chciał go przedstawić dzielnym, bitnym i potężnym, zacierał ślady jakiejkolwiek zależności lub wpływu czy to ze strony Czechów czy Niemców.

W poglądach na sprawy wewnętrzne idzie w tropy swéj przewodniéj idei, zgodnie z swém cierpkiem usposobieniem.

Myśli o samorządzie, o swobodzie kościoła, o panowaniu duchowieństwa powtarzają się przy każdéj sposobności. Tęskni za czasem, kiedy duchowni mieli wielką władzę.

Mieszanie się królów do spraw duchownych nazywa „obyczajem pogańskim,“ nałożenie podatku na duchowieństwo, „profana tyrannis.“ Po duchowieństwie idzie senat. Obchodzi się z nim Kromer łaskawie, przyznaje mu moc karcenia i uczenia królów, a jednego tylko przebaczyć nie może to jest pobłażania szlachcie. Zwolennik możnowładztwa świeckiego, występuje śmiało przeciwko szlachcie, przypisując jéj wiele wad i gromiąc niejdnokrotnie.

Zapomina ona o obrzędach i ceremoniach kościelnych, jest kłótliwą, dumną, a posłowie sejmowi—to istne „trąby nadęte.“

Dla kontrastu zaznacza i podnosi zasługi ludzi z gminu lub z mieszczaństwa.

Taki jest zarys Kromerowego dzieła. Kompilacya z Długosza i kilku innych źródeł, z zastosowaniem nowéj metody i oryginalném zabarwieniem. Zaleca je znajomość odnośnéj literatury, podniesienie ważności dokumentów, powoływanie się na źródła, pewna oględność w wydawaniu sądów,—słowem odrobina krytycyzmu. A nadto jasność przedstawienia, niekiedy siła argumentacyi, jakkolwiek tylko negatywnéj. Z drugiéj znów strony z dzieła pada światło na epokę kromerową, na stopień władzy duchowieństwa, dążenia szlachty, znaczenie króla i możnowładców. A nareszcie nie są bez ceny i te okruchy, które przyczyniają się do poznania tak wybitnéj i wpływowéj jednostki, jak biskup Kromer.

Bezwątpienia rozbiór dzieła w dwóch ostatnich kierunkach—najciekawszy; ale też wymagał najwięcéj zmysłu spostrzegawczego, znajomości epoki, człowieka i nie mało konstrukcyjnego talentu. Pod tym względem autor dzieła o Kromerze nie miał zdaje mi się, poprzednika w naszéj historyograficznéj literaturze.

Ta część pracy, objęta napisem „charakterystyka Kromera,“ nawskróś samodzielna, pełna bystrych i ciekawych spostrzeżeń wartością swą wznosi się ponad poprzednie rozdziały. Właściwie dopełnia ona rozbioru historyi. Następują potém wydania i pięć dodatków, zawierających: List Lipomana do Kromera, kilka uwag o Wapowskim, o Bielskim, spis dokumentów i tablice porównaw-

cze, do rozbioru służące, ktore świadczą wymownie o ogromnym zasobie pracy, weń włożonéj. Wspomnieć tu jeszcze wypada o jednéj ujemnéj stronie dzieła. Składa się ono z kilku części, nie wiążących się w jednolitą całość. Są to niby oddzielne rozprawy, każda tworzy całość osobną, a łączy je tylko tożsamość przedmiotu i jedna w głębi snująca się nitka: idea religijna Kromera.

Po niéj chyba poznasz, że ostatnia część jest dalszym ciągiem pierwszéj. Potrzeba atoli pamiętać, że to pierwsze większe dzieło dra Finkla, że wada kompozycyi nie płynie wcale z nieumiejętności łączenia lub braku talentu. A liczne dodatnie strony cennéj monografii, które staraliśmy się podnieść, świadczą o jéj trwałéj wartości.

Antoni M.

= **Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie rzeczypospolitéj.** *Studyum z literatury politycznéj XV wieku przez Adolfa Pawińskiego.* Liczba pracujących nad dziejami Polski jest dotychczas bardzo mała, a przedmiot i materyały tak są rozległe, iż zazwyczaj nie spotyka poświęcający się badaniu pewnéj epoki lub rozwikłaniu pewnego trudniejszego pytania historyk żadnych zgoła współzawodników. Z tego téż powodu tak rzadko pojawiają się u nas wyczerpujące i źródłowe oceny choćby najciekawszych dzieł historycznych, a tylko książki popularniejsze i z polityczną napisane tendencyą, znajdują równie pochopnych jak nieumiejętnych krytyków. Wyjątkowo obudził się żywszy interes naszych historyków w kilku wypadkach: jak wskutek pojawienia się rozprawy p. Kanteckiego o testamencie Bolesława Krzywoustego, a następnie gdy p. Smolka poruszył w swoim „Mieszku Starym“ tyle pytań z dziejów wewnętrznych Polski i dał pobudkę pp. Bobrzyńskiemu i Piekosińskiemu do zabrania głosu w tym tak ważnym przedmiocie. — Zdaje się, że pytanie, które jest obecnie na porządku dziennym, choć nie tyle ważne co zagadnienia o powstaniu społeczeństwa Polskiego, obudzi w szerszych kołach o tyle większe od poprzednich zajęcie, iż sprawa toczy się o broszurze politycznéj z XV wieku, bardzo znanéj i uwzględnianéj nieraz nawet przy szkolnym wykładzie literatury polskiéj, o jedynym traktacie politycznym polskim ze średnich wieków, który czyta się z przyjemnością i bez mozołu, a zwłaszcza, iż spierający się z sobą badacze, to nie sami uczeni krakowscy, ale każdy z nich reprezentuje niejako w swéj osobie odrębny kierunek naukowy, a jeden nawet swą narodowością i językiem, w jakim uwagi swe złożył, przeniósł sporną kwestyą z ciasnéj sfery dotyczącéj wyłącznie Polski do szeregu zagadnień mogących zająć każdego historyka, a przedewszystkiem zaś pracującego nad w. XV. Pierwszy p. Bobrzyński, tak w rozprawce drukowanéj w „Przewodniku

Naukowym i Literackim“, jak w ściśle naukowém wydaniu dziełka Ostroroga, dał początek umiejętnym nad pisarzem tym badaniom. Widoczném jednak było, że autor „Dziejów Polskich w zarysie“ nie wypowiedział ostatniego słowa o memoryale Ostroroga i tylko — tyczy się to zwłaszcza przedmowy w V t. „Star. prawa pol. pomników“—w krótkich wyrazach podał niektóre wskazówki, jakie uważał na razie za niezbędne. — Pan Caro przygotowując dalszy ciąg swéj obszernéj pracy nad dziejami Polski, z urzędu musiał się zająć Ostrorogiem; widocznie przypadł mu przedmiot do smaku, niewzykle dokładnie się nim zajął, i nawet osobną mu poświęcił rozprawę. Oczywiście, że jedynym poprzednikiem, z którym mógł p. Caro na seryo polemizować był pan Bobrzyński. Nie poprzestając jednak na polemice przyczynił się p. Caro istotnie w kilku konkretnych szczegółach do lepszego poznania życia i stanowiska Ostroroga, zwracając np. uwagę na pobyt jego i studya w Erfurcie. — Jak nam od dość dawna już było wiadomem, przygotowywał p. Pawiński, mimo obarczenia tyloma różnorodnemi pracami, także i o Ostrorogu wyczerpującą rozprawę. Tymczasem wyprzedził go historyk niemiecki. Choć nieco później, jak przewidywano z początku, nie omieszkał jednak p. Pawiński udzielić nam rezultatów swych badań, rezultatów odmiennych od tych jakie osiągnęli p. Bobrzyński a częściowo także i p. Caro. Wywody p. Pawińskiego zwrócone są zwłaszcza przeciwko p. Bobrzyńskiemu i dlatego można się było domyślać, że zaczepiony z dwóch stron wydawca Ostroroga nie zachowa milczenia i albo uzna słuszność poczynionych mu zarzutów, albo stanie w obronie poprzednio wyrażonego zapatrywania. Istotnie zaraz po przeczytaniu książki p. Pawińskiego zapowiedział p. Bobrzyński nową rozprawę, którą téż w głównéj zawartości odczytał na posiedzeniu wydziału historycznego Akad. umiejęt. d. 10 stycznia r. b. Ponieważ p. Bobrzyński stanowczo obstaje za swém zdaniem i stara się zbić wszystkie przeciwników wywody, więc zdaje mi się, że najstosowniéj będzie wstrzymać się z ocenieniem, lub nawet tylko streszczeniem spornéj kwestyi, aż do chwili pojawienia się pracy p. Bobrzyńskiego, którą zapewne w przyszłym miesiącu ujrzymy w „Pamiętniku wydziału historycznego,“ w którym już pomieszczoną została w polskim przekładzie rozprawa profesora Caro. Tymczasem więc poprzestajemy na téj krótkiéj wzmiance, pozostawiając sobie powrócenie do tego samego przedmiotu w jednym z najbliższych niniejszego pisma zeszytów. *B.*

= **21 powiastek dziecinnych**. *Z dziewięciu rysunkami. Warszawa. Nakład i własność Zofii Sawickiéj. 1884* (str. 235).—Jest-to owoc pracy zbiorowéj, podobny do tego, jaki przed paru laty wydał p. Nowicki p. n. „Szlachetna Zabawa.“ Jak tu tak i tam na utworzenie całości

złożyły się kobiety; udział zaś mężczyzny polegał głównie na zebraniu i ogłoszeniu razem utworów pojedyńczych, a pobocznie tylko na napisaniu jednéj lub drugiéj powiastki. Obok podobieństwa jest jednakże i różnica. W „Szlachetnéj Zabawie" mieliśmy prace zarówno znanych jak i nieznanych autorek; w „21 powiastkach" spotykamy nazwiska kobiece poraz pierwszy na widowni piśmiennictwa występujące. Nazwisk tych poznajemy siedem: *Zofia Sawicka*, *Marya Łętowska*, *Tekla Krzyżanowska*, *Józefa Krzyżanowska*, *Anna Neymanówna*, *Eugenia Sudakówna* i *Katarzyna Pudłowska*. Największa liczba powiastek należy do trzech pierwszych autorek, z których każda dała po cztery; dalsze trzy autorki dały po dwie powiastki; ostatnia wreszcie jednę. Dwa końcowe opowiadania są pióra wydawcy, p. Aleksandra Walickiego, gorliwego opiekuna czystości mowy ojczystéj.—Ogólny charakter utworów pomieszczonych w tym zbiorku zasługuje na jaknajzupełniejsze uznanie; odznaczają się one i zacną i rozumną tendencyą wpojenia w umysły młodociane uczuć szlachetnych, rozbudzenie zmysłu spostrzegawczego i rozwagi. W dwu powiastkach p. Sawickiéj: „Dotrzymanie słowa", „Umiejętne wsparcie", same napisy wskazują przedmiot i dążność treści; w dwu innych: „Wycieczka na wieś", oraz „Janek i Henryś" uczucie miłości bliźniego i „grzeczność" są zalecone dzieciom w przykładach skutków złych, jakie pociąga za sobą ich brak.—W opowiadaniach p. Łętowskiéj widzimy najbardziéj rozwiniętą dążność do zaostrzenia zdolności spostrzegawczéj. W „Trąbce z papieru" mówi o powietrzu, w „Chatce tajemniczéj" o kuźni, co znowu powoduje objaśnienie „Skąd się bierze żelazo"; w końcu opowiada „o gwiazdkach, co tak ładnie błyszczą." Niezawsze przyznać można autorce zaletę zrozumiałego a zarazem ożywionego wykładu; najlepszemi są „Trąbka z papieru" i „Chatka tajemnicza." Szkoda, że od tego opowiadania przestrzeniowo oddzielono, a co gorsza, wprzód umieszczono inne, będące właściwie jego dalszym ciągiem, t. j. opwiadanie o tém, „skąd się bierze żelazo." — Powiastki p. Tekli Krzyżanowskiéj („Pies żebrak", „Powiastka o trzech chłopczykach", „Brzydka panna Ludwika", „Poświęcenie") mogą się przyczynić do rozbudzenia uczuć litości, poszanowania dla starszych, jako téż do ugruntowania pojęć o równości wszystkich ludzi i właściwie, rozumnie odczutego poświęcenia. — P. Józefa Krzyżanowska uczy rozróżniać „Co się nazywa bajką a co powiastką", a w opowiadaniu „O pewnym chłopczyku Michasiu" przestrzega, iż należy uszanować przekonania i obrzędy religijne wszelkich wyznań a jak w danym razie, żydów. Pani Sudakówna przedstawia „Zwycięstwo nad pokusą" i „Wynagrodzenie krzywdy." P. Neymanówna opowiada „Jakie to szczęście mieć mamę" i karze psotnicę „Leonią." P. Pudłowska

wreszcie w opowiadaniu p. n. „Lalka pastuszką kaczek“, przedstawiwszy zabawę młódéj panienki z dworu z pastuszką, napomyka o złym skutku zapomnienia wśród zabawy o obowiązku. Co do tego opowiadania musimy zastrzedz, iż uważamy raczéj za żart niż za istotne objaśnienie to, co czytamy na str. 101 w odpowiedzi pastuszki na ubolewanie panienki z dworu, iż nie wszyscy są na świecie bogaci. „To bardzo dobrze—mówi pastuszka—że Bóg tak dał; bo gdyby u nas (t. j. biednych) była także taka sadzawka i dużo kaczek, to jabym pasła na swojéj, *nie moglibyśmy być razem, i panienka zamiast uczyć się w chłodnym pokoju, musiałaby siedzieć na słońcu i paść kaczki.*“ Z téj odpowiedzi możnaby wyciągnąć dwa fałszywe wnioski, których nie życzyłaby sobie zapewne autorka, to jest, że powinny być uprzywilejowane istoty, które pracować nie potrzebują, i nieuprzywilejowane, które pracować muszą; a powtóre, że stosunki dworu z chatą wtedy tylko są możliwe, kiedy dwór bogaty, a chata uboga... Wykonanie powiastek wogólności jest dobre; staranie o jasność i niejaką barwność wszędzie widzieć się daje; styl i język co do poprawności niewiele przedstawia usterek. Na str. 4 w zdaniu: „Czy myślisz, że będę miała jaką przyjemność, gdy *jedna* bez ciebie pójdę do ogrodu,“ wolelibyśmy czytać: *sama*. Na str. 209 zamiast „w pokojach było jeszcze wcale *światło*“, pożądanym byłby przysłówek: *jasno* lub *widno*. Na str. 210 można było uniknąć niepoprawności stylowéj: „Była-to *pani* Skuplińska, *pani* domu.“ Na str. 235 wyrażenie: „miał aż do wieczora *przebawić* (zamiast zwykłego: *zabawić*), lubo z pewną intencyą użyte, trudno za szczęśliwe poczytać. — Ryciny dołączone do powiastek to również dzieło rąk kobiecych; są one robione starannie; zarzucilibyśmy tylko, że głowy dzieci są czasami za stare, a postaci czasami zanadto wymuskane. W końcu wyrazilibyśmy serdeczne życzenie, ażeby autorki zbioru w pracy nie ustawały i corok przynajmniéj równie pożytecznem wydawnictwem piśmiennictwo nasze wzbogacały.

---

† Zmarły 31 grudnia r. 1883 **Adam Frączkiewicz** należał do nielicznego grona prawdziwych mężów nauki, poświęcających jéj życie swe całkowicie.

Urodzony 19 lipca r. 1796 w małéj, przeważnie rolnéj mieścinie Kurozwękach, w Małopolsce, po ukończeniu szkół w Kielcach, zaczął w r. 1815 uczęszczać na uniwersytet Jagielloński, w którym już roku 1818 objął zastępstwo profesora matematyki elementarnéj. Katedra ta, utworzona w Krakowie i Wilnie przez Komisyą edukacyjną, miała na uwidok kandydatów do stanu nauczycielskiego.

Niewielkie jednak było uposażenie profesora, jeszcze mniejsze jego zastępcy, a nadto zmalało jéj znaczenie z powodu, iż niewiele było szkół średnich w ówczesném wolném mieście Krakowie z obwodem, dla których należało gotować przyszłych nauczycieli. Gdy więc już w r. 1819 przedstawiły się lepsze widoki w liceum kieleckiém, Frączkiewicz objął w niém posadę nauczyciela. W tymże roku ogłosił w Krakowie pierwszą pracę „O gnomonice analitycznéj.“ W r. następnym Frączkiewicz powraca jednak do Krakowa jako nauczyciel liceum św. Anny i zajmuje to miejsce do r. 1828. W roku 1824 uzyskuje stopień doktora filozofii na podstawie rozprawy o twierdzeniach Cauchy'ego, odnoszących się do zbieżności szeregów, a w r. 1826 wyjeżdża prawie na rok cały do Francyi dla studyów naukowych. W tymże czasie ogłasza kilka rozpraw w „Rocznikach“ Towarzystwa Naukowego krakowskiego, oraz pisze o nauczaniu matematyki wyższéj, ubiegając się o katedrę algiebry i matematyki wyższéj w ówczesnym uniwersytecie warszawskim. Uzyskawszy tę posadę, przesiedla się tegoż roku do Warszawy i odtąd stale w niéj do śmierci przebywa. Jakim Frączkiewicz był wtedy profesorem, o tém tylko od ludzi, którzy już przed 20 laty za starych sami się mieli, dowiadywali się jego późniejsi uczniowie w Szkole Głównéj. Był widocznie Frączkiewicz dzielnym wtedy profesorem, jeżeli z owéj epoki datująca się cześć powszechna przetrwała przez lat tyle. Trzy lata tylko Frączkiewicz zajmował katedrę uniwersytecką: a ile to ludzi szczyciło się, że byli jego uczniami... W owym czasie Frączkiewicz czynny brał udział w „Pamiętniku umiejętności czystych i stosowanych.“

W parę lat, po zamknięciu uniwersytetu, Frączkiewicz przyjął znów w r. 1834 obowiązki nauczyciela w gimnazyum gubernialném, a w roku 1836 przeszedł do ówcześnie założonych kursów dodatkowych, od r. 1842 nazywanych pedagogicznymi, w których był profesorem matematyki aż do ich zamknięcia r. 1849. Niezależnie od tego w r. 1834 został bezpłatnym adjunktem obserwatoryum astronomicznego, a w roku 1835 członkiem komitetu egzaminacyjnego, w którym pozostawał aż do roku 1853, t. j. do otrzymania emerytury. Jako emeryt, usunął się z szerszéj widowni, nie przestając z zamiłowaniem i energią pracować nad matematyką. W tym peryodzie ogłosił kilka rozpraw matematycznych w „Bibliotece Warszawskiéj“ (pierwsza w r. 1844 a ostatnia w r. 1860). Nadto w archiwach władzy naukowéj są z tego czasu zachowane jego dwa memoryały w kwestyi emerytalnéj. Przekroczylibyśmy zakres téj wzmianki, gdybyśmy nad specyalnemi pracami Frączkiewicza tu się zastanawiali; powiemy tylko, że zalecają się one gruntownem obmyśleniem, jasnością i dobitnością wykładu.

Przy otwieraniu Szkoły Głównéj w r. 1862 przerwano Frączkiewiczowi dobrze zasłużony spoczynek: powołano go na profesora matematyki i dziekana wydziału matematycznego. Jak wielką była wartość naukowa tego męża, jak głębokiém jego zamiłowanie do nauki, jak wytrwałą i ciągłą jego praca nad sobą, dowiodło najlepiéj to, iż Frączkiewicz pomimo swoich 66 lat wieku, po przeszło 30-letniéj przerwie, rozpoczynając na nowo wykład uniwersytecki, odrazu zajął stanowisko odpowiadające spółczesnemu stanowisku nauki, a przechodząc, w miarę rozwijania się instytucyi, do coraz nowych gałęzi matematyki, wszędzie wnosił prawdziwy zapał do przedmiotu, który umiał przelać w słuchaczów, oraz ślad tego, że wykłady nie były dorywczo przygotowane, lecz przedstawiały wyniki długiéj poprzedniéj pracy, bez żadnych widoków z umiłowania nauki prowadzonéj. Mimo kilkokrotnych usiłowań uwolnienia się od obowiązków, ustąpienia pola młodszym, Frączkiewicz, ulegając błaganiom (nie używamy tu za silnego wyrazu) rektora Mianowskiego, wytrwał w Szkole Głównéj aż do jéj zamknięcia.

O dalszém jego życiu można wraz z przemawiającym nad grobem jednym z jego uczniów, p. Filipem Sulimierskim się wyrazić, iż „Frączkiewicz umarł już 14 lat temu, umarł razem ze Szkołą Główną, któréj był chlubą.“ Nie możemy zaś lepiéj scharakteryzować postaci i działalności Frączkiewicza, jak słowy innego mówcy, profesora Karola Jurkiewicza, tak określającego nieliczny zastęp takich pracowników naukowych, jak Frączkiewicz: „Wśród społeczeństw dzisiejszych pojawiają się od czasu do czasu, jakkolwiek bardzo rzadko, jednostki wyjątkowe, które jakby do innych lepszych należały czasów, jakby legendowemi były postaciami. Nie licują może one swoją powierzchownością i całym trybem życia z większością spółziomków, nie hołdują stereotypowym towarzyskim zwyczajom, ani ubiegają się o bogactwa, czy zaszczyty, czy rozgłos, tyle dla pospolitych ludzi mające uroku; ale wśród głębokiéj ciszy i osamotnienia, pracują przez całe życie, z wytrwałém poświęceniem a zaparciem siebie dla dobra spółbraci. Krótkowidzący mają ich za dziwaków; głębszy wszakże myśliciel widzi w nich bohaterów idei, mężów wybranych w narodzie, by mu przyświecali przykładem, a cichą pracą wielki przynosili pożytek. I nierozgłośna ich działalność mało zazwyczaj zwraca na siebie uwagi, a jednakże zostawiają oni wiekuistą pamięć po sobie, niezatartém utrwaloną wspomnieniem w umyśle każdego, komu daném było bliżéj stykać się z nimi, i niewygasłą wdzięczność w sercu tych, którzy bezpośrednio z działalności ich korzystać mogli.“ *M. A. B.*

Wydawca, **W. Spasowicz.**—Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Stycznia 1884 r.

---

1. **Platona Theaetetos.** Przekładał z greckiego *Antoni Bronikowski* Poznań 1883 (str. 105.)
2. **Zasady Moralności** p. *G. Giżyckiego*, przełożył z niemieckiego. *Henryk Wernic.* Warszawa 1884. 8-o str. 141.
3. **21 Powiastek dziecinnych** z 9 rycinami, nakład Zofii Sawickiej. Warszawa 1884. 16-o str. 235.
4. La genése et le développement du globe terrestre et des etres organiques qui l'habitent p. le dr. Julien Weinberg Polonais. Varsovie 1884. 8-o str. 372.
5. O utworach trzeciorzędnych gubernii Lubelskiej p. dra Jana Trejdosiewicza prof. Un. Warsz. z mappą kolorowaną. (Odbitka z pamiętnika Fizyjograficznego T. III r. 1883) Warszawa 1883. str. 31.
6. **W Kraju słońca.** Obrazek z życia artysty p. *Stefanię Jurkowską* Płock 1883 str. 56.
7. Sprawozdanie z czynności zakładu narodowego imienia Ossolińskich za dwa lata 1882 i 1883. Lwów 1883. str. 100.
3. **Dr. Jan Scherr.** Historya literatury powszechnej przekl. *Bronisława Zawadzkiego.* Tomu II zeszyt 47 (ostatni). Warszawa 1883. Cena dwóch tomów rs. 6.
9. **Słownik Polsko-Angielski** opracowany p. *J. J. Baranowskiego.* Warszawa 1884. str. 402.
10. **Urzędnicy Kancelaryjni Koronni i Dworscy** z czasów Władysława III Warneńczyka p. *Saturnina Kwiatkowskiego.* Kraków 1883 (s. 104)
11. **Hajota. Poezyje.** Warszawa 1884. str. 176 Cena rs. 1.
12. **Wczesne Sorgo cukrowe** amerykańskie p. *Zygmunta Jaroszewskiego* wyd. 2-gie Warszawa 1883 str. 60.
13. **Rocznik Tow. Osad Rolnych** za rok 1882. Warszawa 1883.
14. **Zur Kentniss der Augenlinse** und deren Untersuchungsmetoden, von dr. *Severin Robinski.* Berlin 1883. str. 62.
15. **Czesław. Poezye.** III Warszawa. Lesman i Swiszczowski 1884: Cena 1 rs. (str. 185).
16. **Poezye Mieczysława Romanowskiego.** Zebrał i ułożył Jan Amborski. Lwów. Gumbrynowicz i Schmidt 1883. Tomów 3.
17. **Dr. Ludwik Kubala.** *Jerzy Ossoliński.* Lwów, u Gumbrynowicza i Schmidta 1883 Tomów 2.
18. **Listy J. Słowackiego.** Wydanie drugie pomnożone. Lwów u Gumbrynowicza i Schmidta 1883 Tomów 2.
19. **Rys Gospodarstwa Krajowego w Galicyi** napisał *Stanisław Skrzyński.* Lwów 1883. str. 154.
20. **Jan Kochanowski** w świetle własnych utworów—wizerunek literacki p. *Bronisława Chlebowskiego* Warszawa 1884. (str. 229).
21. **Ostatni z rodu.** Szkic powieściowy osnuty na tle historycznym skreślił *Wł. Korn. Zieliński.* Warszawa u Teod. Paprockiego 1884. (str. 195).
22. **Noc Majowa** powieść p. *J. I. Kraszewskiego.* Warszawa, u Teod. Paprockiego. 1884. (str. 244).

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzić będzie w roku 1884 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyk i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia spoecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie 3. (tylko w Warszawie)

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Января 1884 г.